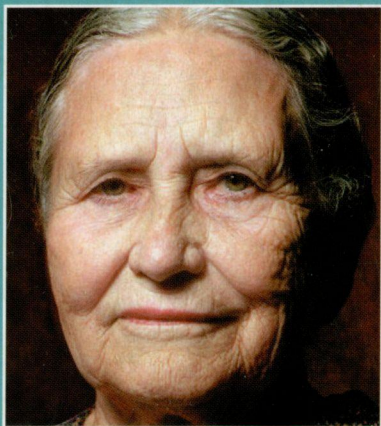


A woman is shown in profile, facing left. She wears a brown woven straw hat with a black band and a large, ornate floral brooch. Her hair is styled in a short bob. She is wearing a light blue sleeveless top and a multi-strand pearl necklace. A thick, shaggy fur stole is draped over her shoulders. The background is softly blurred with warm, golden bokeh lights.

Fala

DORIS LESSING

po burzy



**Laureatka Nagrody Nobla 2007  
w dziedzinie literatury**

Lessing posiada rzadką umiejętność bezpośredniego przelewania własnych uczuć na papier, w stopniu nieosiągalnym przez innych twórców.

To jak cios zadany prosto w serce.

*The Times*

Pięcioksiąg **DZIECI PRZEMOCY** stanowi portret współczesnej kobiety w całej jej złożoności.

*Literary Horizons*



Trzeci tom cyklu powieściowego **Dzieci Przemocy**. Kontynuacja losów młodej kobiety, Marthy, bohaterki wcześniejszych książek Doris Lessing **Martha Quest** i **Odpowiednie małżeństwo**.

Afryka Południowa, okres II wojny światowej. Po odejściu od męża, Douglasa Knowella, dwudziestotrzyletnia Martha angażuje się w działalność miejscowej grupy komunistycznej i rozstaje z kochankiem, żołnierzem RAF-u, który otrzymuje przeniesienie i wyjeżdża. Martha nie czuje jednak żalu. Ciężko pracuje, co owocuje poważnym przeziębieniem i kolejnym dramatycznym zwrotem w jej życiu. W trakcie choroby opiekuje się nią przywódca grupy, Anton Hesse. Martha i Anton stają się parą. Antonowi, emigrantowi z Niemiec, grozi internowanie. Chcąc mu pomóc, Martha decyduje się na kolejne małżeństwo. Jednak zarówno ten pozbawiony miłości związek, jak próba wprowadzenia reform społecznych w kolonii przez rozpadające się ugrupowanie komunistów, skazane są na niepowodzenie...

*Tej autorki*

**OPOWIEŚCI AFRYKAŃSKIE**  
**OPOWIEŚCI AFRYKAŃSKIE II**  
**DOBRA TERRORYSTKA**

*Pięcioksiąg DZIECI PRZEMOCY*

**MARTHA QUEST**  
**ODPOWIEDNIE MAŁŻEŃSTWO**  
**FALA PO BURZY**  
**CZAS NADZIEI**  
**MIASTO O CZTERECH BRAMACH**

# Fala

**DORIS LESSING**

## po burzy

Z angielskiego przełożyła  
MAGDALENA SŁYSZ



# Część pierwsza

*Nie ma pragnienia absolutu bez szaleństwa absolutu. Pragnieniu temu zawsze towarzyszy pewna egzaltacja, po której się ją rozpoznaje i która dąży do kulminacji, do szczytowego punktu zniszczenia, nawet za cenę ryzyka, że niewtajemniczonym owo pragnienie absolutu wyda się identyczne z pragnieniem nieszczęścia.*

Louis Aragon

## Rozdział pierwszy

Z zakurzonego okna pokoiku nad Black Ally's Cafe można było zobaczyć, że sala balowa hotelu McGrath szybko się zapełnia. Przy wszystkich pomalowanych na złoto, otoczonych filarami wejściach tłoczyły się grupki ludzi.

— Jackie jest już bardzo spóźniony — zauważyła spokojnie Jasmine, po czym, zamknąwszy starannie okna, obróciła się z uśmiechem do Marthy. Martha w odpowiedzi również uśmiechnęła się do niej z serdecznym oddaniem. Oddanie to zmieniło charakter, ale nie było z tego powodu mniejsze. Jeszcze przed trzema miesiącami ta dobrze zorganizowana dziewczyna budziła w niej respekt: Jasmine nie bała się stanąć na podwyższeniu przed setkami ludzi; rozumiała ten tajemniczy proces organizacji; i gdy potrzeba było sekretarza, zawsze zgłaszano jej kandydaturę. Martha miała zwyczaj obserwować ją, gdy ta skromnie schodziła z trybuny z dokumentami czy teczkami albo sprzedawała broszury propagandowe przy drzwiach, i czuła, że musi to być osoba zdecydowanie wyższej rasy, nie dlatego, że była taka kompetentna, ale dlatego, że jej kompetencja stanowiła wynik wielu lat w służbie publicznej tego czy innego rodzaju.

Teraz Martha sama potrafiła to wszystko robić. Spędzając dużo czasu z Jasmine, nauczyła się tego bezwiednie. Zrozumiała, że w oczach innych stała się tym, kim dla niej samej była Jasmine, gdy Marjorie Pratt, ładna nauczycielka z Anglii, powiedziała z uznaniem w pięknych niebieskich oczach: „Podziwiam cię, Matty, że nie boisz się wykonywać tego wszystkiego publicznie”. Na co Martha poczuła serdeczne współczucie — nie dla Marjorie, która miała wkrótce przyswoić sobie bez trudu te same umiejętności, ale dla siebie sprzed trzech miesięcy.

Zauważyła teraz:

— William też się spóźnia. Pewnie utknęli na tym samym zebraniu w obozie.

Dziewczęta ponownie wymieniły ciepłe spojrzenia. Podobną sympatię żywili wobec siebie wszyscy inni członkowie grupy: była to solidarność wspólnoty. Ale tu istniało coś więcej: Jasmine i Marthę, obie zakochane w lotnikach, łączyła szczególna więź. Nie rozmawiały z sobą o swoich uczuciach: o tym, że ich mężczyźni prawdopodobnie niebawem dostaną przydział, a one zostaną same; ich szczęście podsyciała świadomość tego rozstania. A raczej to właśnie każda z nich czuła wobec tej drugiej subtelne zrozumienie dla jej sytuacji, jak dla kogoś słabszego; i wszystkie te emocje były częścią uniesienia, w którym żyły od kilku miesięcy, od czasu powstania grupy.

W brudnym pokoiku znajdowały się mały stół z miękkiego drewna, dwie twarde ławki i kilka niepomalowanych krzeseł. To była kwatera i dom grupy. A także sceneria miłości Jasmine, bo obok szafy na dokumenty stało złożone łóżko połowe. Marcie, przy jej bolesnej potrzebie podziwiania kogoś za coś, czego sama mieć nie mogła, wydawało się naturalne,



że właśnie tu rozgrywa się romans Jasmine, wśród akt i dokumentów dotyczących rewolucji światowej. W te nieliczne noce, kiedy Jackie mógł wyrwać się z bazy, a Jasmine od rodziny, to tutaj spoczywali w swoich ramionach. Własna miłość w porównaniu z tą wydawała się Marcie taka zwyczajna, domowa.

Jasmine uniezależniła się od rodziny, ponieważ — przynajmniej takie można by odnieść wrażenie — była bardzo z nią związana. Cohenowie dowiedzieli się o romansie córki z tym podejrzanym człowiekiem z bazy wojskowej i zażądali wyjaśnień. Wtedy odparła spokojnie: tak, zamierza po wojnie żyć z Jackiem Boltonem. Tak, wie, że jest żonaty i ma dzieci.

— Trudno oczekiwać od nich zrozumienia — podsumowała, opowiedziawszy Marcie o nieprzyjemnej scenie. — Próbowałam im wyjaśnić, że chodzi o rewolucję, ale zobaczyłam, że to nie ma sensu.

Wyglądało na to, że rodzice, oboje we łzach, oficjalnie wydziedziczyli Jasmine, co było wyłącznie aktem rytualnym, bo nadal mieszkała w ich domu. Nie odzywali się jednak do niej.

— Nie mogę wyprowadzić się od nich — tłumaczyła — bo byłby to dla nich wstyd w oczach całej społeczności. — Miała na myśli społeczność żydowską w miasteczku. — To jest dla nich bardzo ważne; nic nie mogą na to poradzić. — Żeby chronić rodziców przed skutkami swojego postępowania, była gotowa żyć w domu niczym wyrzutek, traktowana jak powietrze. Martha podziwiała ją za tę troskę, do której sama, we własnym przekonaniu, nie byłaby zdolna.

Jej samej też się matka wyrzekła, w piśmie o podobnie rytualnym charakterze. Pani Quest oświadczyła w liście poleconym, że Martha już nie jest jej córką. Nie mogąc

znaleźć właściwej na to odpowiedzi, Martha nie zareagowała w żaden sposób. Zresztą była zbyt zajęta i nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. W efekcie pani Quest wpadła któregoś rana do umeblowanego pokoju, w którym Martha teraz mieszkała, i stwierdziła: — O Boże, ależ z ciebie bałaganiara! — Ten ostatni, zrywający stosunki list mógł więc w ogóle nie zostać napisany ani wysłany. A pan Quest, natknąwszy się na Marthę przed apteką w pobliżu domu, zawołał jak gdyby nigdy nic: — Ach, witaj, koleżko! Co tam u ciebie, wszystko dobrze? — To pozwoliło mu uniknąć ocen czy zajmowania stanowiska. Oznaczało jednak, że Martha nie mogła już zwracać się do niego o radę czy wsparcie. Ledwie przyznawała się sama przed sobą, że tego potrzebowała. Ale przy takich okazjach jak ta, kiedy były z Jasmine same, zajęte jakąś „robotą na rzecz grupy” — w tej chwili akurat pakowały do walizki broszury i książki o Związku Radzieckim na zebranie — często podejmowały temat rodziców. Rozmawiały o trudnościach związanych z „reedukowaniem starszego pokolenia w duchu etyki socjalistycznej” i o tym, jaki rodzaj pracy najbardziej odpowiadałby zdolnościom państwa Cohen czy państwa Quest — pracy, dzięki której staliby się znacznie lepszymi, szlachetniejszymi ludźmi, niż byli dotychczas; a jednocześnie martwiły się niepunktualnością swoich kochanków.

W końcu usłyszały dochodzące z dołu głosy, podeszły do okna i wyjrzały przez nie. Ujrzały Williama i Jackiego, którzy stali obok taksówki; a przy nich jej kierowcę; Jackie obejmował ramieniem czarnego mężczyznę i coś mu klarował z poufałością i przekonaniem, widocznym na wyrazistej twarzy. Czarny kiwał głową, ale sprawiał wrażenie zdenerwowanego; i Martha wraz z Jasmine także odruchowo zlust-

rowały ulicę, sprawdzając z niepokojem, czy ktoś nie widzi tej sceny. Jasmine wychyliła się przez okno i zawołała ostrzegawczo: — Hej, Jackie, bądź ostrożny!

Jackie zerknął w górę i skinął głową, ale nie przestał namawiać do czegoś taksówkarza. Martha zawołała więc do Williama: — Spóźnimy się!

Widziała, że młody mężczyzna już wcześniej ponaglał Jackiego; teraz uśmiechnął się pospiesznie do niej i do Jasmine, jakby zadowolony z ich moralnego wsparcia, i powiedział coś Jackiemu, którego ta interwencja wprowadzi zirytowała, ale uściskiem w łokieć pożegnał czarnego, spojrzął na niego ciepło, a potem odwrócił się i zniknął w drzwiach Black Ally's. Najwyraźniej zapomniał zapłacić taksówkarzowi, bo zrobił to za niego William. Taksówka odjechała. William znowu spojrzął w górę na dwie młode kobiety, które słyszały już kroki Jackiego na drewnianych schodach, i lekko skrzywił usta, co miało być ostrzeżeniem. Potem i on zniknął w drzwiach. Martha i Jasmine odwróciły się od okna z poważnymi minami. Z lojalności, najszerzej pojętej, nie zamieniły z sobą słowa; ale spojrzenie Marthy powiedziało Jasmine, że to ona bierze na siebie załatwienie sprawy.

Jackie Bolton wszedł do środka swoim cichym, wilczym krokiem; jedną ręką rozpiął guziki bluzy mundurowej, a drugą położył na policzku Jasmine i z uśmiechem spojrzał jej w oczy. Ten nieskrępowany gest wprowadził Marthę w zakłopotanie; wiedziała, że częściowo miał wywołać w niej zazdrość o Jasmine. Odwróciła wzrok, bo wszedł William. I rzucił od wejścia:

— Nie siadaj, Jackie. I tak jesteśmy już spóźnieni.

Jackie Bolton jednak z uśmiechem rozpiął do końca guziki i usadowił się na ławie pod ścianą. Martha zauważyła, że pił. Teraz oboje z Williamem spojrzeli na Jasmine, czekając, co

powie. Dziewczyna się zarumieniła, a na jej drobnej twarzy pojawiło się napięcie. Martha czuła, że Jasmine toczy wewnętrzną walkę.

Od miesiący żadne z nich nie mówiło o swoich odczuciach wobec Jackiego Boltona. Bez niego „grupa” by nie istniała. Ta jego cecha, dzięki której działał inspirująco na innych, stawiała go poza wszelką krytyką; bo krytykowanie Jackiego — takie wrażenie sprawiał na innych — byłoby krytykowaniem samej rewolucji. Jednakże przed dwoma dniami Jasmine, tak samo zarumieniona i niezadowolona jak teraz, wstała podczas zebrania i oświadczyła swoim spokojnym głosem, że jej zdaniem towarzysz Jackie ma poważną wadę, a jest nią skłonność do anarchii. Jeśli pozostali towarzysze się z nią zgodzą, Jackie powinien przyjąć krytykę i spróbować się zmienić. Pozostali towarzysze przyznali jej rację, i to z gotowością, która wprawiła ich wszystkich w zmieszanie. Jackie Bolton jak zwykle zatrzęsł się od bezgłośnego śmiechu; w końcu jednak powiedział, choć niechętnie, że przyjmuje do wiadomości jednomyślną opinię.

Od tego czasu w jego sposobie bycia można było wyczuć gniew i świadomy sarkazm; opuścił trzy zebrania, mówiąc, że ma zajęcia w obozie, i Jasmine, William oraz Martha wiedzieli, że tego wieczoru spóźnił się specjalnie, właśnie dlatego, iż go wcześniej skrytykowano.

Patrzył teraz na Jasmine z miną człowieka przygotowanego na zdradę.

— Jackie — zaczęła ta stanowczo, choć w jej głosie wyczuwało się niepewność — wiesz, że nie powinieneś publicznie rozmawiać w ten sposób z Murzynami. Wszyscy staramy się zachowywać ostrożność.

Jackie spojrział na Williama i Marthę, szukając u nich

wsparcia, nie znalazł go jednak i krzywiąc się, wzniosł oczy ku sufitowi.

— Jeśli chcesz porozmawiać z murzyńskim łącznikiem, powinieneś ściągnąć go tutaj, gdzie nikt was nie zobaczy.

— Ten człowiek jest tyle wart, co cała grupa — odrzekł Jackie. — Woził mnie do miasta już kilka razy. Intuicyjnie rozumie zasady polityczne.

— Ależ, Jackie, nie kwestionuję tego. Tylko nie o to chodzi. — Jasmine była bliska płaczu.

Na pomoc przyszedł jej William.

— Posłuchaj, Jackie, to zwykła głupota, do cholery!

— Wystarczy, sierżancie — ze śmiechem odezwał się Bolton, oficer lotnictwa.

Pod wpływem znanego już żartu wszyscy roześmiali się z ulgą.

Martha zwróciła uwagę:

— Obiecałeś, że przyjdiesz wczoraj i razem przygotujemy taktykę na dzisiejsze zebranie. Ale nie zostało nam zbyt wiele czasu na wyjaśnienia, co, Jackie?

— William powiedział mi z grubsza, o co chodzi — oświadczył beztrosko Jackie, po czym włożył bluzę i zaczął ją zapinać.

Nastąpiło milczenie, podczas którego Jackie przyjrzał się im z krzywym uśmiechem, zachęcając ich w ten sposób, żeby spełnili swój obowiązek i znowu poddali go krytyce.

W głosie Jasmine dało się odczuć zawód:

— Jest ósma. Musimy iść na zebranie.

Na stole leżała otwarta walizka z materiałami propagandowymi. Jackie Bolton zajrzał do niej z rękami w kieszeniach.

— A gdzie broszury na temat marksizmu? — zapytał.

— Podjęliśmy decyzję — oświadczyła Jasmine zdecydo-

wanie. — Żadnej literatury marksistowskiej na zebraniach Pomocy Sojusznikom. To zła taktyka.

— Przekleńci socjaldemokraci — orzekł Jackie. — Jesteście tacy sami jak ta banda z Klubu Książki Lewicowej. — Znowu zatrząsł się od śmiechu, spojrzął na nich wyzywająco, ale nie ciągnął dalej tematu: Jasmine czekała już przy drzwiach z ręką przy kontakcie, żeby wyłączyć światło. William zatrzasnął walizkę i wszyscy wyszli, a ostatni zamknął za sobą drzwi, starannie przekręcając klucz w zamku.

Na ulicy podzielili się na pary. Jasmine wzięła Jackiego pod ramię, ale on jakby tego nie zauważył, więc zabrała dłoń. Szli chodnikiem w odległości jardu od siebie, przed Martha i Williamem, którzy trzymali się za ręce.

Kiedy doszli do McGratha, Jackie rzucił nagle przez ramię, że musi o czymś porozmawiać z Jasmine. William i Martha patrzyli, jak oboje siadają przy stoliku obok grającej głośno orkiestry. Z dezaprobatą i smutkiem przyjęli do wiadomości fakt, że Jasmine tak łatwo ulega Jackiemu.

Sala balowa zastawiona była rzędami krzeseł, z których niemal wszystkie już zajęto. Odbывał się tu doroczny generalny kongres towarzystwa. Było to w większości bardzo szacowne grono. Czyli, jak określiła to Martha, obrzuciwszy je jednym spojrzeniem: publika Pomocy Sojusznikom. Nie czuła już skrywanego niesmaku, obserwując, jak ludzie automatycznie dzielą się na grupy: prawo to działało i w tym przypadku, bo zwolenników Pomocy Sojusznikom, Sympatyków Rosji czy Klubu Postępowców można było rozpoznać już na pierwszy rzut oka; łączyła ich jakaś niewidzialna więź, chociaż byli przekonani, że to pod wpływem niezależnej, świadomej decyzji wybrali przynależność do tych czy do tamtych. Martha sądziła, że już rozumie to prawo.

Na trybunie tego wieczoru zasiedli panowie Forester, Perr i Pycroft, wraz z jakimiś prominentnymi biznesmenami, parą członków parlamentu i dwoma duchownymi. Martha wysłuchiwała trzech zdań, którymi pan Perr rozpoczął przemówienie, wiedziała, co będzie później, i wyłączyła się.

Kierownictwo hotelu zapomniało o dostarczeniu stołów do sprzedaży materiałów propagandowych. Poszła więc z Williamem ich poszukać. Gdy stoły stanęły już po obu stronach wejścia, spoczęły na nich książki i broszury wraz z puszkami na pieniądze oraz spodkami na drobne, i oboje z Williamem zajęli za nimi miejsca jako sprzedawcy, skończył przemawiać pan Perr, i pan Forester jako sekretarz przedstawił raport, będący podsumowaniem efektów garden party, festynów, kiermaszów i tym podobnych, organizowanych przez towarzystwo. Ich celem była zbiórka pieniędzy dla Rosji — zdecydowano się na to słowo, bo nie miało źle widzianych konotacji z nazwą „Związek Radziecki” — i rzeczywiście uzyskano bardzo dużą sumę, która miała dotrzeć do Rosji w postaci środków medycznych. Skarbnik, pan Pycroft, przeszedł następnie do analizy liczb i danych.

Ci trzej panowie, przedstawiciele socjety, siedzieli w widocznym miejscu, wokół stolika przed podwyższeniem. Za nimi zajmowali miejsca szacowni sponsorzy.

Najnudniejsza część spotkania już się skończyła. Następny punkt programu stanowiła „strategia polityczna” i wszyscy spodziewali się różnicy zdań. Sprawa nie była w końcu taka prosta jak zamiana słowa „Rosja” na „Związek Radziecki”.

Gdzieś pośrodku stłoczonej widowni wstał Borys Krueger i zaproponował, żeby towarzystwo wydało przeznaczoną do masowej sprzedaży książkę, która składałaby się z artykułów o Rosji, finansowaną z płatnych ogłoszeń. Komitet przed

tygodniem dyskutował o tej propozycji od ósmej wieczorem do trzeciej nad ranem, w gorącej atmosferze i wśród wzajemnej niechęci. Frakcja reprezentowana przez panów Perra, Forestera i Pyecrofta była zdania, że sprzedaż tekstów publicystycznych zostanie uznana za propagandę na rzecz Rosji. Frakcja, którą reprezentowali Krueger, Anton Hesse i Andrew McGrew, twierdziła, że pozycja zawierać będzie wyłącznie fakty i nie będzie miała nic wspólnego z propagandą. Ale walka tak naprawdę toczyła się o to, kto zdobędzie władzę nad organizacją. Szacowni sponsorzy, którzy nie brali udziału w zebraniach komitetu, nie mieli o niej pojęcia. A ponieważ komitet nie osiągnął zgody, spór miał się rozstrzygnąć wśród szeregowych członków. Propozycja Borysa Kruegera miała być sondą nastrojów publiczności.

Martha znowu nie słuchała, co mówiono na sali; już nawet krótka styczność z polityką uczy, że słuchanie tego, co mówi się podczas zgromadzeń, stanowi najdłuższą drogę do zrozumienia, o co w nich chodzi.

Wysoki i szczupły pan Perr, który wstał z za stolika, aż skręcił się z urażonej godności; od jego okularów, tkwiących na przejętej twarzy, ciągle odbijało się światło. Potem równie kanciasty pan Forester zaczął w rozmaity sposób wyrażać oburzenie. Dołączył do nich pan Pyecroft. Przez chwilę ci trzej mężczyźni wstawali z miejsc i siadali niczym marionetki, poruszane gwałtownie sznurkami. Ich twarze jednak wciąż usiłowały przemówić do publiczności serdecznymi, pełnymi szacunku, ale jednocześnie ostrzegawczymi uśmiechami.

Martha widziała, że ludzie stłoczeni na krzesłach naprzeciwko trybuny przychylnie reagowali na wezwanie Borysa Kruegera, który mówił dobrze i spokojnie i nie próbował nic od nich uzyskać za pośrednictwem swojej bladej okrągłej twarzy



intelektualisty. Teraz natomiast poczuli się zaniepokojeni z powodu przesadnej reakcji swoich trzech przedstawicieli.

Borys wstał ponownie, nie żeby przedstawić jakieś nowe argumenty, bo powtórzył w innych słowach to, co powiedział wcześniej, ale żeby jeszcze raz zrobić wrażenie na publiczności swoim spokojem i obiektywizmem. Trzej panowie na podwyższeniu siedzieli na miejscach w ostrzegawczych gniewnych pozach, podczas gdy kilkanaście osób na sali wstawało kolejno, aby potwierdzić, że wydanie takiej książeczki nie będzie nic kosztowało, bo zostanie wydrukowana za darmo; a dystrybucją zajmą się oczywiście członkowie towarzystwa. Jakiś ironiczny głos zawołał, że artykuły też będą darmowe, bo najwyraźniej mnóstwo ludzi jest gotowych napisać je za nic. Ale wszyscy w sali zareagowali na to śmiechem; był to ten rodzaj śmiechu, którym na zebraniach publicznych przyjmuje się coś, co może być niebezpieczne, śmiechu zbyt skwapliwego, zbyt głośnego, z towarzyszącymi mu spojrzeniami kilkunastu par oczu, szukających u siebie nawzajem poparcia. Dało się zauważyć, że wobec niego trzej mężczyźni na podium przyjęli bardziej zrelaksowane postawy; krótko mówiąc, dostosowali się do nastroju większości. Najwyraźniej przedwcześnie dopatrywali się zagrożenia.

Pan Perr wstał, aby powiedzieć — spokojnym, cywilizowanym tonem przewodniczącego — że oczywiście przyjmie opinię większości. I jeszcze zanim usiadł, ludzie zaczęli zrywać się z miejsc na całej sali, żeby zgłosić praktyczne sugestie w związku z propozycją: sprawa przeszła bez głosowania.

W tym momencie Martha zauważyła, że bocznymi drzwiami wchodzi Jasmine i Jackie. Jackie znowu miał rozpiętą bluzę, a jego ciemna, szydercza twarz wyrażała pogardę. Ten człowiek miał taką zdolność ekspresji, że choć nie wydał

żadnego dźwięku, wszyscy zebrani po tamtej stronie sali odwrócili się w jego stronę, a panowie na podwyższeniu wymienili ostrzegawcze spojrzenia.

Jackie Bolton skierował się do pustego krzesła, przeprasząc potrąconych ludzi z uśmiechem, i za każdym razem, gdy to robił, patrzył w oczy osobie, którą potrącił, nie odwracając od niej wzroku, dopóki nie skinął głową i nie przeniósł spojrzenia na następną twarz. Zajął miejsce w taki sposób, że wszyscy spodziewali się, iż zaraz poprosi o głos.

Jasmine tymczasem usiadła za stołem z książkami obok Marthy. Jej twarz wyrażała dokładnie to co Jackiego: skrywaną pogardę. To przecięło nić sympatii pomiędzy dwiema dziewczynami; i Martha szepnęła:

— Mam nadzieję, że nie wygłosi żadnej mowy. Tylko tego by nam teraz brakowało.

Poprzedniego wieczoru grupa zdecydowała, że towarzysz Jackie będzie zabierał głos tylko w ostateczności; i tylko po to, żeby przedstawić fakty, a nie żeby wygłaszać rewolucyjne hasła. Można było mieć nadzieję, że Jasmine wyjaśniła to Jackiemu w sąsiedniej sali, gdy pili coś przy stoliku.

— Och — odparła Jasmine ze spokojem, przewracając oczami — nie zaszkodzi im, gdy usłyszą o sobie kilka słów prawdy.

I już dał się słyszeć jego głos. Jackie stał z tyłu sali, raczej w niedbałej pozie, i wygłaszał właśnie tego rodzaju mowę, która według nich mogła wywołać jak najgorszy efekt. Potrafił mówić dwoma głosami. Jeden był najbardziej poprawną, bezbarwną wersją sposobu mówienia klas wyższych, jaką można sobie wyobrazić. Posługiwał się nim beznamiętnie: żeby zneutralizować siebie samego i swoją wyrazistą osobo-

wość. I potrafił to robić bez złośliwych podtekstów, jakby chciał powiedzieć: tak mówicie wy. (Uciekał się do niego także wtedy, co z niechęcią zauważyła Martha, kiedy był sam na sam z kobietą). Drugim jego głosem był cockney z ulic, z których Jackie pochodził i którym mówił, gdy stawał się inną osobą. Przesadna pogarda, charakteryzująca go w tej drugiej roli, przybierała postać dobrodusznej, nonszalanckiej anarchii, typowej dla straganiarza; cała jego osoba emanowała wtedy zuchwałym krytycyzmem. Czasami porzucał ton oficera lotnictwa na rzecz cockneya, zadziwiająco skutecznie zamieniając się w przedstawiciela klasy robotniczej.

Tego wieczoru jednak był pijany i owe dwa głosy, dwie osobowości, stopiły się z sobą. Jego przemowa była atakiem na przedstawicieli i komitet Pomocy Sojusznikom. Wszyscy z nich to bojaźliwi, podszyeci tchórzem socjaldemokracji; on, Jackie Bolton, w imię uciskanych mas pracujących całego świata, żąda radykalnej zmiany polityki, trzeba wreszcie skończyć z tym niezdecydowaniem i obawami... Mógłby mówić w tym tonie jeszcze przez kilka minut, ale przewodniczący zastukał w stół. Jackie Bolton aż zaniósł się swoim bezgłośnym sarkastycznym śmiechem. Potem znowu wstał Borys Krueger, już nie taki spokojny i pełen godności, i zwrócił się wprost do Jackiego, stwierdzając, że jako pierwszy poparłby każdego, kto chciałby uwolnić uciskane masy świata spod jarzma, ale to nie jest odpowiedni czas ani miejsce... Przewodniczący ponownie zastukał w blat. Ani Borys, ani Jackie nie usiedli: patrzyli na siebie wyzywająco ponad głowami milczącego, zaniepokojonego audytorium.

— Jeśli panowie nie usiądą... — zaczął przewodniczący i urwał. Stracił panowanie nad sobą i Jackie Bolton zaśmiał się otwarcie na ten widok. — Proszę usiąść! — zawołał tamten.

— Rozumiem — zaczął Jackie uprzejmie — że zgodziliście się na publikację broszury. W takim razie proponuję powołanie podkomitetu, który zajmie się jej przygotowaniem. Zgłaszam pod głosowanie następujące kandydatury. — Wymienił nazwiska Jasmine Cohen, Antona Hessego, Andrew McGrew, Marthy Knowell, Marjorie Pratt i (tu jego ramiona uniosły się dobrodusznie, z lekką złośliwością) swoje własne.

Na to podniósł się pan Perr i stwierdził, że nie przegłosowano jeszcze kwestii, czy taka publikacja powinna, czy nie powinna powstać. Wśród zebranych na sali powstało poruszenie i niektórzy z nich podnieśli się z niepokojem, jakby chcieli wyjść. Wtedy zza stołu z literaturą wstał William i powiedział, że z wypowiedzi oficera lotnictwa Boltona zrozumiał, iż takie głosowanie nie jest potrzebne. Nie pojmuje, dlaczego nagle stało się konieczne. Usiadł, posyłając Marcie porozumiewawcze harde spojrzenie. Zorientowała się, że przyszedł na pomoc koledze z wojska, choć nie pochwałał zachowania Jackiego tak samo jak ona. Nie podobał jej się jednak ten chłopięcy uśmieszek; wstydziła się wszelkich związków z Jackiem Boltonem — i wstydziła się tego, że się ich wstydzi, bo jako członek grupy poczuwała się do odpowiedzialności za niego.

Trzej panowie na podwyższeniu skłonili ku sobie głowy. Wstał pan Perr i oświadczył, że nie może należeć do komitetu, który wykorzystywany jest przez komunistów do ich własnych celów. Albo się ich z niego wykluczy, albo on złoży rezygnację. Wciąż stał, gdy panowie Forester i Pycroft także zapowiedzieli swoją rezygnację. Zapanowała długa, krępująca cisza, podczas której wszyscy trzej spojrzeli surowo na Jackiego, najwyraźniej oczekując, że to on zrezygnuje.

Tymczasem Jasmine gwałtownymi gestami dawała Jackie-mu znaki, że powinien się wycofać, aby nie dopuścić do rozłamu. On jednak odpowiedział jawnie wyzywającym spojrzeniem.

Cisza się przedłużała. Potem trzech mężczyźni przeprosili zebranych i opuściwszy stół przydzielny, wyszli z sali. Wydawało się, że nikt w takiej sytuacji nie wie, co dalej.

Podniósł się Anton Hesse; ale ubiegł go Borys Krueger. Wyraził ubolewanie, że do tego doszło; w imieniu ogółu wyraził nadzieję, że panowie Forester, Perr i Pyecroft rozważą jeszcze swoją decyzję. Na razie jednak, stwierdził, należy wybrać tymczasowego przewodniczącego, żeby wyłonić nowych przedstawicieli. Na to z szeregu szacownych patronów wstał pastor, aby powiedzieć, że zupełnie nie rozumie tego konfliktu, który wziął się nie wiadomo skąd, niemniej kontynuowanie zebrania wydaje mu się konieczne, bo służy wspieraniu wysiłków wojennych, i chciałby poprzeć propozycję przedmówcy dotyczącą wyboru tymczasowego przewodniczącego. Sugerowałby na to stanowisko właśnie pana Kruegera.

Przemawiał łagodnym, przepraszającym głosem w duchu obywatelskim. Wszyscy szacowni patroni mieli łagodny, przepraszający wyraz twarzy. Zebrani na sali kiwali głowami i uśmiechali się, usiłując humorem ratować sytuację. Ale daremnie: wszystko to było fałszywe i nieprzyjemne.

Ponieważ nie zgłoszono protestu, Borys Krueger wszedł na podwyższenie i oświadczył, że choć, jak zapewne zgadzają się z nim wszyscy obecni, należy podjąć wszelkie starania, aby dotychczasowi przedstawiciele zastanowili się jeszcze nad swoją decyzją, to prosi o zgłaszanie z sali kandydatur na przedstawicieli alternatywnych. I czekał, wciąż stojąc.

Nikt się nie odzywał. Pod czekoladowo-złotym sklepieniem sali balowej McGratha siedziało z sześćset osób, ale wszystkie milczały.

Wstał więc Anton Hesse i swoim poprawnym tonem zapytał, czy może jacyś patroni zechcieliby pełnić funkcję przedstawicieli. Martha zorientowała się z tego, że Anton boi się utraty tego szacownego grona. Borys skonsultował się z ową dwunastką czy czternastką ludzi, którzy siedzieli za nim. Wszyscy kolejno pokręcili głowami; ale trudno było powiedzieć, czy dlatego, że mieli już wystarczająco dużo dotychczasowych obowiązków, czy sami rozważali złożenie rezygnacji. Na większości twarzy malował się wyraźny niesmak i jednocześnie rozbawienie, które demonstrowali wobec szeregowych członków. Anton podniósł się ponownie, żeby do objęcia funkcji tymczasowego przewodniczącego nakłonić wielebnego pana Gatesa (który właśnie zabrał głos). Pan Gates po chwili zgodził się, więc Anton usiadł z wyrazem zadowolenia na twarzy, który uzmysłowił Marcie, że nie doceniała zagrożenia wiążącego się z gremialną rezygnacją szacownych patronów. Nauczyła się już doceniać polityczne wyczucie Antona, mimo — a może właśnie z powodu — zimnej powściągliwości tego wysokiego, sztywnego Niemca, który budził w niej lęk nawet teraz, po kilku miesiącach codziennych kontaktów.

Borys Krueger ustąpił i pan Gates ponownie wezwał do zgłaszania kandydatur. Ktoś, kogo nikt nie znał, zaproponował, żeby jego przedmówca został sekretarzem. Anton Hesse wstał znowu i powiedział gładko, że jest Niemcem, człowiekiem obcym, teoretycznie wrogiem, i byłoby zdecydowanie niepożądane, gdyby taka osoba została sekretarzem towarzystwa. Usiadł. Zimna gorycz kryjąca się za jego słowami była tak

wyraźna, że wszyscy w sali balowej poczuli się winni. Wtedy głos zabrała młoda dziewczyna i stwierdziła impulsywnie, że nie widzi powodu, dla którego jedna z osób prześladowanych przez Hitlera nie miałyby być sekretarzem towarzystwa, którego celem jest przecież — czyż nie? — walka z Hitlerem. Jednakże cisza, która nastąpiła, była bardzo niezręczna. Na wszystkich cudzoziemcach w miasteczku ciążyło podejrzenie, że są agentami wroga, i Anton Hesse nie był wyjątkiem. Borys Krueger, wiedząc to, wiedząc, że w powszechnym mniemaniu sam jest na żołdzie niemieckim, wstał, aby poprzeć publicznie Antona, mimo że za sprawą politycznych niechęci obaj nie rozmawiali z sobą od kilku miesięcy. Orzekł, że Anton ma rację: sam jest cudzoziemcem i może wypowiadać takie uwagi bez posądzeń o uprzedzenia; chciałby więc skorzystać z okazji, aby powiedzieć, jak szczęśliwie się złożyło, że pan Gates zgodził się zostać przewodniczącym, bo byłoby wysoce niepożądane, gdyby na przewodniczącego takiego grona, choćby czasowo, wybrano cudzoziemca. Chciał, żeby zabrzmiało to wielkodusznie, ale uśmiechnął się do publiczności ze skrępowaniem, błyskając okularami. Pan Gates podziękował panu Kruegerowi za jego uwagi, „z którymi niekoniecznie się zgadza” — i ponownie zaapelował o przedstawianie kandydatur. I ponownie zapanowała cisza.

W tym punkcie William zgłosił kandydaturę Jasmine na sekretarza. Zrezygnowała ona z tego stanowiska przed trzema miesiącami, ponieważ była jednocześnie sekretarzem Sympatyków Rosji, ale gdy na sali wystrzelił w górę z tuzin rąk, aby poprzeć tę propozycję, skinęła głową, skromnie ją przyjmując.

Pozostała jeszcze funkcja skarbnika. Uzgodniono, że komitet sam go dokooptuje.

Pan Gates ogłosił przejście do następnego punktu programu, czyli przemówienia pana Horace'a Packera, członka parlamentu, na temat przebiegu działań wojennych na froncie rosyjskim. Rozległ się pełen ulgi aplauz; ci, którzy ewidentnie mieli już wymknąć się z sali, usadowili się ponownie na miejscach.

Jackie Bolton, który do tej pory siedział na miejscu i uśmiechał się, jakby wszelkie te nieprzyjemności nie miały z nim zupełnie nic wspólnego, wstał teraz z wyraźnie niedbałą swobodą i zaczął przeciskać się między rzędami krzeseł. Podeszedł do miejsca, gdzie siedziały Jasmine i Martha, położył Jasmine rękę na ramieniu i powiedział:

— Mam być przed dwunastą w obozie. Musimy spotkać się pilnie całą grupą. Zbierz wszystkich, dobrze?

Jasmine, wyraźnie rozdarta między uczuciem do niego a całkowitą dezaprobatą dla jego poczynań, odparła ze zmieszaniem:

- Ależ, Jackie, teraz to chyba niemożliwe?
- Och, znajdź kogoś, kto zajmie się sprzedażą literatury.
- Możemy pójść do biura, gdy to się skończy.
- Nie. Lepiej spotkajmy się w parku.
- Ale po co?
- Tam jest bezpieczniej — wyjaśnił Jackie z pełną znużeniem wyższością.

Jasmine i Martha, niepochwalamy tej błazenady, mimowolnie wymieniły zakłopotane spojrzenia, ale Jasmine odparła:

- Dobrze, ale lepiej wyjdźmy oddzielnie.

Jackie Bolton opuścił salę, śledzony wzrokiem wszystkich obecnych. Jasmine zaczęła pisać liściki do Andrew McGrew, Antona Hessego i Marjorie Pratt; poskładała je i przekazała ludziom na skraju rzędów, w których siedzieli adresaci, jakby wypuszczała w powietrze trzy gołębie. Potem podeszła do



młodego lotnika, który kiedyś wyraził chęć pomocy, poprosiła go, żeby zajął się sprzedażą materiałów, i załatwiwszy to wszystko, skinęła na Marthę oraz Williama. Wszyscy troje wyszli cicho za Jackiem. Anton, Andrew i Marjorie właśnie czytali wiadomości i patrzyli w stronę drzwi. „Grupa” — z widoczną dyskrecją — opuszczała razem zebranie.

Jasmine odnalazła Jackiego na chodniku przed McGrathem; palił papierosa. Tym razem to on wziął ją pod rękę — nie w geście przeprosin, bo czegoś takiego nie należało w ogóle oczekiwać po Jackiem Boltonie, ale z żartobliwą, demonstracyjną poufałością. Jasmine powiedziała bez ogródek:

— Jackie, zachowałeś się okropnie.

Zaśmiał się i oboje ruszyli w stronę parku. Martha i William poszli za nimi. W sali balowej tymczasem oświadczenia pana Horace'a Packera spotykały się z wielkim uznaniem. Stale rozlegały się burzliwe oklaski. Na zewnątrz brzmiało to jak ulewny deszcz bębniący o blaszany dach; drobne uderzenia poszczególnych kropli o metal w nasilających się i słabnących falach zacinającego deszczu. Martha instynktownie spojrzała w niebo — czyste i rozświetlone blaskiem księżyca.

— Dlaczego w parku? — zapytała z przepojonym irytacją humorem.

— Ma nowe wiadomości. Naprawdę.

— Jakież to wiadomości?

— Och, może nic z tego nie będzie.

Cała złość Marthy na Jackiego, i na Williama za to, że trzymał z Jackiem, skumulowała się w słowach:

— Nie ma żadnego poczucia dyscypliny. Tak naprawdę to tylko anarchista.

William jednak odpowiedział tonem mężczyzny próbującego żartobliwie ułagodzić kobietę: — Dlaczego jesteś taka

nieznośna, Marty? — I wykonał na chodniku kilka tanecznych kroków.

Udobruchana tym Martha uzmysłowiła sobie, jak często William przypominał jej Douglasa. Dlatego też na zgodę opowiedziała mu wesołą historyjkę, która wydarzyła się tego rana w biurze, bo — chociaż jeszcze nie przyznawała się do tego przed sobą — uważała, że nie warto żywić niechęci do Williama, skoro i tak miał ją niebawem opuścić.

Gawędząc przyjaźnie, dotarli do dużych, otwartych bram parku. Przed nimi w świetle księżyca rysowały się na niebie ciemne wierzchołki choin. Jasna sukienka Jasmine w plamach cienia i blasku księżyca sunęła pod drzewami obok czarnej, szczupłej sylwetki Jackiego. Sprężysty dywan sosnowego igliwia ugiął się pod stopami Marthy, która patrzyła, jak jej czarny cień przesuwa się po ciemnych pniach drzew i załamuje na nich.

Obie pary spotkały się na oświetlonej jasno ścieżce, porośniętej gęsto kępami paciorecznika, który niczym rzeźba wyłaniał się z mroku.

— Pozostali nie będą wiedzieli, gdzie nas znaleźć — zauważyła Martha.

— No to będą musieli poszukać — odparł ze śmiechem Jackie.

W trawie przy ścieżce stała ławka. Jackie przeskoczył żywopłot z paciorecznika, żeby na niej usiąść. Na oparciu widniał napis: „Tylko dla Europejczyków”. Jackie odruchowo się wyprostował i odwrócił do niego plecami. Na jego twarzy w świetle księżyca ukazała się wyraźna gniewna uraza. Kiedy zauważył, że reszta patrzy na niego i widzi, co czuje wobec tego przejawu segregacji rasowej, skomentował sardonicznie:

— Przekłęci biali faszyci.

Po raz pierwszy tego wieczoru wydawał się skrępowany; i ruszył przed siebie, w kierunku małego chińskiego pawilonu, który stał na końcu ścieżki, w otoczeniu rabat kwiatowych. Powietrze przesycone było różnymi zapachami, które mieszały się z sobą. W pawilonie tym w niedzielne popołudnia grała orkiestra pułku afrykańskiego, podczas gdy mieszkańcy miasteczka leżeli na trawie albo siedzieli w wyplatanych fotelach, jedząc lody, paląc i wymieniając plotki.

Jackie usiadł na zimnej, suchej trawie obok pawilonu i inni przyłączyli się do niego. Ale William zerwał się prawie natychmiast i oznajmił, że musi wrócić po pozostałych. Odszedł. W jego sposobie bycia była pewna nadgorliwość, której Martha nie lubiła i której wolała nie dostrzegać; lecz Jackie spojrzął za nim, uśmiechając się, i zauważył: — Sierżant Brown z administracji.

Światło księżycy żłobiło na jego ciemnej twarzy ostre linie i bruzdy. Uśmiechnął się do obu dziewcząt, najpierw do jednej, potem do drugiej, jakby nie miał zobowiązań wobec żadnej z nich. Nagle stał się zwyczajny, naturalny i bezpośredni. Należał do tych mężczyzn, którzy najlepiej radzą sobie z kobietami.

— Kiedy stąd wyjadę — wyznał cicho — zapamiętam ten park.

Każdą wolną chwilę spędzał właśnie tutaj, leżąc na trawie z antologią poezji.

Jasmine zaczęła oddychać szybciej; usłyszała to, uświadomił sobie, że jej osobiście dotyczyła możliwość tego wyjazdu, i ujął ją za rękę.

Spojrzął prosto w rozgwieżdżone, pełne powagi niebo i zacytował:

*Jak zatrzymać —jest gdzieś coś czy nie ma nic takiego,  
komuś coś znanego, wstążka, broszka albo warkocz,  
spinka, szminka, unik albo trik czy klucz, co zatrzyma  
piękno, piękno, piękno, piękno, co zatrzyma,  
żeby nie zniknęło?*

Jego głos zgiął w ryku silników; w górze przeleciał samolot z błyskającymi światłami lądowania.

Jackie zauważył cockneyem:

— Za połowę skrzydła jednej z tych zaszarych maszyn można by przebudować całą ulicę w tych zaszarych slumsach, w których mieszka moja matka. — Był lodowato, śmiertelnie poważny. Odczekał, aż samolot zniknie za drzewami, srebrna sylwetka w srebrnym świetle, i recytował dalej wiersz tamtym swoim drugim głosem. Z mroku wyłoniła się reszta grupy, pod przewodnictwem Williama, ale Jackie nie przerywał, i dopiero gdy Anton Hesse, Marjorie, Andrew i William stanęli nad nimi, dał znać, że zauważył ich obecność, mówiąc do nich głośniej:

*Dalej więc, te wasze sztuczki, pozy i konkiety, fioki,  
Z dziewczęcego arsenału wesołość i wdzięk\*.*

Wstał i dodał ze śmiechem:

— Ale to już oczywiście antyrewolucyjne.

Andrew zapytał z rozdrażnieniem:

— Co to, wieczorek poetycki?

Anton Hesse, ze swoimi szorstkimi włosami, które w blasku

\* Fragmenty *The Leaden Echo and the Golden Echo* Gerarda Manleya Hopkinsa.

księżycy wydawały się białe jak piasek, i z błyskami dezaprobaty w oczach, dodał:

— Dlaczego zwołaliście zebranie tutaj? Jaki jest powód, żeby wyciągać nas z innego zebrania?

Jackie odparł:

— Bo pomyślałem, że przyjemniej będzie posiedzieć w parku niż w tym brudnym ciasnym biurze.

Jasmine wtrąciła z determinacją:

— Powinniśmy wybrać przewodniczącego. — Ton jej głosu mówił wyraźnie, że nic, ani poezja, ani cokolwiek innego, nie odwiedzie jej od zamiaru poddania krytyce Jackiego.

— Andrew — podsunęła Marjorie.

Wszyscy wyrazili zgodę. Siedzieli już w kręgu na trawie.

— Towarzyszu Jackie — zaczął Andrew, nie kryjąc irytacji — to ty zwołałeś to zebranie. Chciałbym oświadczyć na początek, że jeśli naprawdę ściągnąłeś nas tutaj, żebyśmy podziwiali blask księżycy, to zamierzam zgłosić wotum nieufności. — Oficjalny ton przewodniczącego brzmiał tu, w parku, tak absurdalnie, że Andrew dodał, uśmiechając się: — Ale to tylko w kwestii formalnej.

Zaśmiali się wszyscy i od razu zjednoczyli jako „grupa”.

— W każdym razie — wyjaśnił Jackie — ci wszyscy socjaldemokraci i trockiści nas szpiegują. Wczoraj przyłapałem Borysa, jak węszył w Black Ally's Cafe.

Grupa jeszcze bardziej zaczęła poczuwać się do solidarności.

— Ściągnąłem was tutaj — kontynuował Jackie, ścisząc głos — bo dowiedziałem się, że jeśli chodzi o nas, wojskowych, możemy być przeniesieni w każdej chwili.

— Dlaczego tak sądzisz? — zapytał kapral McGrew. Był bardzo poruszony; jako jedynemu wśród lotników podobało mu się w kolonii i nie chciał stąd wyjeżdżać.

— Natknąłem się w kantine na młodego Petersa i wycisnąłem to z niego — wyjaśnił Jackie. Rozległ się chór lekceważących okrzyków. Na zebrania Klubu Postępowców chodziło wielu ludzi z bazy wojskowej. Głównie byli to szeregowcy i im podobni: nie wszyscy jednak zdawali sobie z tego sprawę, dopóki na zebrania nie zaczął uczęszczać niejaki sierżant Peters: był tak niepodobny do innych, że porównanie narzucało się samo. Ten powierzchowny, wręcz afektowany młody człowiek miał zwyczaj skłaniać się do przodu z przechyloną na bok głową i z nieprzyjemnym uśmiechem na małych różowych ustach zadawać pytania w rodzaju: „Mam rozumieć, że sugerujesz przez to...?”. Jackie Bolton, który odznaczał się tym wyjątkowym talentem, że potrafił od razu nawiązywać bliski kontakt z ludźmi, pewnego wieczoru wracał wojskowym autobusem do bazy właśnie z owym młodzieńcem, będącym akurat w gniewnym nastroju, bo Andrew McGrew nazwał go na zebraniu, wszem wobec, typowym przedstawicielem zepsutej drobnej burżuazji. Sierżant Peters był trochę pijany. Powiedział wtedy Jackiemu, że otrzymał od dowódcy bazy rozkaz, aby chodzić na wszelkie zebrania „czerwonych” w miasteczku i spisywać nazwiska obecnych na nich lotników. Po spotkaniu sporządzał ich listę wraz z krótkim streszczeniem tego, co każdy z nich powiedział. Jowialna pogarda Jackiego pod jego adresem nie zrobiła na nim wrażenia; i powstała dziwna sytuacja, bo choć donosił na kolegów do dowództwa, to jak rasowy szpieg zaraz potem szedł do Jackiego Boltona i mówił mu wszystko, o czym właśnie doniósł, bo jak tłumaczył: „Jeśli powstanie rząd laburzystowski i do władzy dojdą czerwoni, w kraju wszystko może się zmienić i nie zamierzam wylądować po niewłaściwej stronie”.

— Powiedział mi, że ja i William dostaniemy za swoje. Dowódca ubzdurał sobie, że jesteśmy bardzo niebezpiecznymi wywrotowcami.

— Po twoim wystąpieniu dzisiejszego wieczoru wcale mnie to nie dziwi — zauważył Andrew.

— Owszem — stanowczo potwierdziła Jasmine, zbierając się na odwagę, żeby skrytykować swojego ukochanego, choć jednocześnie walczyła ze łzami na wieść o jego ewentualnym wyjeździe. — Musimy przedyskutować sprawę twojego zachowania, Jackie.

— Które sprowadza się do czegoś takiego — włączyła się Martha. — Ponieważ i tak wyjeżdżasz, nie obchodzi cię, na jakie trudności nas narażasz.

— Och, nie mogę się przejmować tymi wszystkimi małomiasteczkowymi bzdurami — odparł Jackie nonszalancko. Po czym wstał z trawy i z rękami w kieszeniach, gwizdząc, odszedł w kierunku pawilonu.

Sześcioro ludzi, którzy pozostali na miejscu, siedziało w milczeniu: byli zgodni co do tego, że skoro towarzysz Bolton wkrótce ich opuści, nie ma sensu drażnić sprawy.

Towarzysz Bolton szedł tymczasem obok kęp paciorecznika, jakby wybrał się na miły wieczorny spacer.

Anton Hesse, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, zaczął:

— Towarzysze, muszę prosić o udzielenie mi głosu.

Przepełniał go zimny, pogardliwy gniew; pod wpływem tego gniewu w pozostałych wzmogło się poczucie odpowiedzialności.

— Towarzyszu Anton — zgodził się Andrew z lekką ironią, która zawsze pojawiała się u niego, gdy chodziło o Antona.

— Zachowujecie się jak banda amatorów...

— Zgadzam się — wtrąciła z przejęciem Jasmine. Śledziła wzrokiem ciemną sylwetkę Jackiego na drugim końcu ścieżki; twarz miała ściągniętą bólem, ale uważnie przysłuchiwała się dyskusji.

— Popełniliśmy wszelkie możliwe błędy. Postanowiliśmy, i słusznie, że Pomoc Sojusznikom pozostanie szanowaną, trzymającą się z dala od polityki organizacją, bo jej zadaniem jest zbieranie pieniędzy na środki medyczne dla Związku Radzieckiego i nic poza tym, i że będzie nią kierować grupa socjaldemokratów... pod naszym przewodnictwem, oczywiście. Teraz jednak, przez towarzysza Boltona, najprawdopodobniej straci wszystkich dotychczasowych sponsorów; trockista Krueger, który trzyma z Gatesem, przejmie nad nią kontrolę, jeśli Jasmine nie poświęci jej całego swojego czasu; Jasmine, która zgodziła się zostać jej sekretarzem, chociaż i bez tego ma pełne ręce roboty.

Tu Jasmine stwierdziła skromnie:

— Och, nie przejmuję się tym. Dam sobie radę.

— Nie — orzekł Anton ostro. — To nonsens. Dobra organizacja polega na tym, żeby nie robić nic samemu, jeśli może to zrobić ktoś inny. — W tym miejscu wszyscy się zaśmiali, ale Anton zauważył: — Tak, tak, tak. Śmiejecie się. Ale nie śmialibyście się, gdybyście coś wiedzieli. Główny problem w tym, że nie doceniamy teorii. To, co zdarzyło się dziś wieczorem, to bezpośredni skutek tego, że nie dość poważnie przeanalizowaliśmy sytuację...

Uśmiechnęli się: to wyrażenie, „przeanalizować sytuację”, było dla Antona typowe.

— Tak, towarzysze. Analiza sytuacji. I tyle. Dochodzi jedenasta. Towarzysze z bazy muszą zdażyć na autobus. Ale proponuję zwołać zebranie, żeby od podstaw zreorganizować pracę grupy. Bo tak dalej być nie może.



W tym momencie wrócił Jackie Bolton i usiadł obok Williama zamiast przy Jasmine. Widać było, że ci dwaj odstają od grupy. Wszyscy wiedzieli, że Jackie żegnał się z parkiem i w pewnym sensie także z nimi; myślami był już w innym miejscu, do którego miał go rzucić los.

— Świetnie — podsumował Andrew. — Zgadzam się z towarzyszem Antonem. — Andrew i Anton zawsze się z sobą zgadzali, chociaż nie byli w stanie zamienić dwóch zdań bez wyraźnej wrogości w głosie. — Musimy zorganizować specjalne zebranie. Rozumiem, że nikt nie ma nic przeciwko temu. Jutro wieczorem jest zebranie komitetu Klubu Postępowców. Pojutrze o piątej ma się odbyć zebranie Sympatyków Rosji. Więc o ósmej w naszym biurze odbędzie się specjalne robocze zebranie grupy. Obecność obowiązkowa. Nie będą przyjmowane żadne usprawiedliwienia. — Wstał, mówiąc do pozostałych dwóch mężczyzn z bazy: — Spóźnimy się na autobus.

Trzej lotnicy stali się oddzielną grupą wobec cywilów, a na jej czele stanął Jackie, który powiedział cockneyem:

— Chodźta, chłopaki, chodźta, spadamy stąd.

Odeszli w mrok pod drzewami. Anton i kobiety pozostali na miejscu. Anton skinął wszystkim trzem głową i ruszył w przeciwną stronę, nie proponując, że odprowadzi którąś z nich. Dziewczęta też się pożegnały: Jasmine poszła do domu, gdzie miało ją przywitać milczenie; Marjorie — do pensjonatu; a Martha do pokoju, który wynajmowała u wdowy Carson, niedaleko, naprzeciwko jednej z bram parku.

Martha powiedziała sobie: muszę iść powoli i podziwiać blask księżyca. Zdawała sobie sprawę, że z chwilą, gdy opuszcza grupę, czuje się, jakby traciła fizyczną podporę. „Rzadko jestem sama, powinnam korzystać z takiej okazji”.

Ale niemal biegła przez park. Jak zwykle deptał jej po piętach demon niecierpliwości i popychał ją w przyszłość. Jej niezadowolone z wieczoru, z Jackiego Boltona, z tych miesięcy, które poświęciła grupie, znalazło potwierdzenie w słowach wypowiedzianych przez Antona Hessego. Zachowywali się jak banda amatorów. Hm, poważna analiza skieruje ich pojutrze na właściwą ścieżkę; te myśli, które przemknęły jej przez głowę, jednocześnie jakby zamknęły ostatnie miesiące i odsunęły je w przeszłość. Przed dwoma dniami, gdy szły z Jasmine przez park, zgodziły się, jakby mówiły o jakimś dawno minionym okresie, że były nieodpowiedzialnymi romantyczkami, kiedy wstępowały do grupy. Ta rozmowa wydała jej się teraz bardzo odległa. Każdego dnia w ciągu ostatnich czterech miesięcy, od czasu gdy wyprowadziła się od męża, nabywała tyle doświadczenia i praktycznej wiedzy, że myślała o sobie jak o kimś zupełnie innym.

Przed nią jaśniała biała furka prowadząca do domu wdowy Carson. Martha szła już wolniej. Wiedziała, że gdy tylko znajdzie się w środku, padnie na łóżko i zaśnie, a przecież musiała się jeszcze zastanowić: właśnie dowiedziała się, że William wyjeżdża, i powinna być nieszczęśliwa z tego powodu. A nie była. Poczowała natomiast ulgę. Dwa dni temu William odwiedził ją w jej pokoju i powiedział, że „ma powody sądzić”, iż Douglas, jej mąż, wywiera nacisk na dowództwo bazy, żeby go przeniesiono. Co więcej, „miał dowód”, że Douglas zamierza pozwać go do sądu jako świadka w swojej sprawie rozwodowej w związku ze zdradą małżeńską. Martha słuchała tego, czując niechęć do Williama. Jej pogarda dla wszelkich form nacisku, jaki mogło wywierać na nią społeczeństwo, była tak głęboka i instynktowna, że Martha automatycznie gardziła każdym, kto im ulegał.

Kiedy Douglas zagroził jej, że odwoła się do prawa, wzruszyła ramionami i roześmiała się. Gdy William wspominał o „zasięgnięciu porady prawnej” i zorientowała się, że podoba mu się myśl o walce z Douglasem o nią — wtedy przez chwilę ci dwaj mężczyźni wydali jej się tacy sami, rodem z tej samej napuszonej, obłudnej, w przeważającej części męskiej tkanki społecznej. Dlatego poczuła ulgę na myśl, że William wyjedzie. Jednakże w oczach społeczeństwa tego miasteczka „Marty Knowell zostawiła męża i dziecko dla sierżanta lotnictwa”. Mimo to udało jej się pokonać tę niezrozumiałą konsternację wobec takiego obrazu samej siebie; starała się nie myśleć o ludziach, którzy jeszcze nie tak dawno odgrywali zasadniczą rolę w jej życiu. Żyła w „grupie” i nie obchodziło jej, co sądzą o niej wszyscy inni. Miała wrażenie, że jest niewidzialna dla całej reszty ludzi spoza tej „grupy”.

Zatrzymała się przed drzwiami domu. A to dlatego, że „stosunki z panią Carson”, jak je nazywała, stawały się z dnia na dzień coraz bardziej napięte. Do tego stopnia, że teraz gwałtownie skrzyżowała ręce, żeby zatoczyć jeszcze jedno kółko i zebrać siły na to, co mogło nastąpić.

Wynajmując ten pokój, Martha poinformowała wdowę, że zamierza żyć z Williamem Brownem; powiedziała to wyzywająco; bo w tej chwili pani Carson reprezentowała tak znienawidzone przez nią społeczeństwo. Ale pani Carson nie wydawała się specjalnie zdziwiona. Pewne odstępstwa od zasad przestrzeganych oficjalnie w tym małym miasteczku kolonialnym mogły być bardziej tolerowane niż, powiedzmy, w miasteczku w samej Anglii, nie przybierały jednak takich form, przy których obstawała Martha. Wdowa Carson zapytała ją któregoś razu, czy po zakończeniu wojny zamierza wyjść

za mąż za sierżanta Browna, a Martha odparła, z wyraźną irytacją, że jeszcze tego nie wie. Pani Carson westchnęła i zauważyła, że jej córka, która szczęśliwie poślubiła biznesmena z Johannesburga, była nieszczęśliwa w dwóch poprzednich małżeństwach. Martha nie dostrzegła tu jednak żadnych analogii do siebie. Pani Carson przyszło więc na myśl, że może Martha wierzy w wolną miłość. Jednakże określenie to zupełnie nie pasowało do zachowania Marthy, która była wręcz przerażająco praktyczna. Dlatego też pani Carson przestała się nad tym zastanawiać; wróciła do swoich zajęć i interesowała się Martha tylko o tyle, o ile ta młoda kobieta wkraczała na jej teren.

Pierwszej nocy, którą spędziła w domu pani Carson, Martha obudziła się o drugiej nad ranem, słysząc hałas na korytarzu za drzwiami. Zastała wdowę, chudą postać w kretonowej koszuli nocnej, z siwymi włosami opadającymi w strąkach wokół zapadniętej poszarzałej twarzy, z uchem przy dziurce od klucza w drzwiach na werandę. Pani Carson ujęła jej dłonie w drżące ręce i zapytała: — Słyszała pani ten rumor? Martha rozpoznała jedną z form znanej sobie neurozy. Życie wdowy Carson było dramatem, rozgrywającym się wokół urojeń w związku ze służącymi. Żaden z nich nie przetrwał u niej dłużej niż miesiąc; przeważnie odchodzili całkowicie zaskoczeni.

Pani Carson miała środki do życia po śmierci męża, a pokój wynajmowała tylko dlatego, że bała się być sama w nocy. Zawsze czekała, aż Martha wróci, sama czy też z Williamem, a potem zasuwała ciężkie żelazne kraty w drzwiach oraz wykonane na zamówienie specjalne stalowe okiennice. Mimo to Martha nieraz widywała ją późną nocą, jak stała nieruchomo pod wielkajakarandą przy furtce i obserwowała dom. Dręczył ją jakiś koszmar o czarnym maruderze, który włamuje się do

niego, mimo wszystkich krat i zapór, i nie zastaje nikogo w środku. Jeśli chodzi o Marthę, spała jak zazwyczaj przy otwartych oknach i drzwiach, choć obiecała pani Carson, że będzie zamykać się na klucz w pokoju.

Zebranie sił, żeby stawić czoła pani Carson, żeby zanurzyć się w świecie tej chorej kobiety i jej pomóc, nie kosztowało Marthy wysiłku — trudniejsza była konfrontacja własnej wizji życia z wizją świata tamtej. Pani Carson, mówiła sobie, jest produktem pewnego społeczeństwa, więc wszystkie panie Carson znikną, gdy to społeczeństwo przestanie istnieć. Miała cierpliwość dla tej strasznej, niezrównoważonej kobiety, ponieważ widziała dinozaura. Jednakże nieraz, zmuszona siedzieć z panią Carson za zabarykadowanymi drzwiami i oknami i zapewniać ją, że na zewnątrz nie czai się żaden czarny o złych zamiarach, wracała potem do swojego pokoju owładnięta rozpaczą. Opadały jej skrzydła i znikało uniesienie. Przytapała się wręcz na myśli: a jeśli takie jak ona są silniejsze niż my?

Dlatego też wieczorami, przed wkroczeniem do dużego pustego domu bez wsparcia Williama, zawsze uzbierała się i umacniała podstawy własnych marzeń: gdzieś tam, myślała, mając na myśli Związek Radziecki — gdzieś tam, jest już po wszystkim, zniknęły uprzedzenia rasowe i antysemityzm.

Szybko obeszła przecznicę, drżąc trochę, bo z powodu pełni księżyca było zimno, a nie miała płaszcz. Zamierzała jak najciszej przejść do swojego pokoju, ale drzwi frontowe stały otworem i wiedziała, że pani Carson już czeka. Ostrożnie pchnęła je, wchodząc do ciemnego korytarza, i usłyszała głos wdowy: — Och, czy to ty, moja droga?

Poczuła, że chuda, drżąca ręka ujmuje ją pod ramię, więc odparła wesoło:

— Tak, to ja.

Wolną dłonią włączyła światło, tak że ukazały się wypolerowane gołe deski na podłodze korytarza, wyblakła tapeta w kwiatki i wielka, błyszcząca, mosiężna misa na drewnianym stojaku, pełna nagietków i cynii. Pani Carson miała na sobie swoją kretonową koszulę nocną, a jej głowę pokrywały wątki do włosów.

— Nie widziałaś nikogo, gdy wchodziłaś? — zapytała; jej twarz wydawała się blada i wymizerowana, ciemne oczy lśniły w zapadniętych oczodołach.

— Nikogo. Naprawdę nic się nie dzieje. Powinna pani już pójść do łóżka.

— Saul bardzo dziwnie dziś na mnie spojrział.

— Chyba się pani wydawało.

— Jutro rano go zwolnię. Coś mu chodzi po głowie. Widzę, że coś mu chodzi po głowie.

— Pozamykam kraty i będzie pani mogła pójść spać — uspokoiła ją Martha.

— Dziękuję ci, moja droga — odparła pani Carson. Jak zwykle wydawała się rozczarowana: nie usłyszała od Marthy tego, co chciała usłyszeć. Nagle poinformowała ją już całkiem normalnym głosem: — Masz gościa.

— Kto to?

— Tak, masz gościa. — Potem w jej głosie znowu pojawiła się obsesyjna, natarczywa nuta: — Nie zapomnisz dziś zamknąć na klucz drzwi w swoim pokoju?

— Nie, obiecuję.

Pani Carson wiedziała, że Martha śpi przy otwartych drzwiach, ale dopóki mówiono jej, że są zamknięte, najwyraźniej była spokojna.

— Rano zwolnię Saula. Dziś po południu pytał o pracę całkiem sympatycznie wyglądający chłopak. Dam mu szansę.

Gościem Marthy był jej mąż.

Douglas siedział odwrócony plecami do okna w taki sposób, żeby widzieć jedne i drugie drzwi. Z jego postawy, pełnej napięcia i podejrzliwości, Martha domyśliła się, że musiał tu być już jakiś czas i czekając na nią, „wprawiał się w odpowiedni stan”, jak to określała. Twarz miał obrzmiałą i zaczerwienioną, co oznaczało, że nie powinna traktować poważnie niczego, co by powiedział.

— Przepraszam, jeśli to niewłaściwa pora na wizytę — zaczął. Nic nie odpowiedziała, więc ciągnął z uporem: — Bo może nie jest właściwa.

— Ależ nie. — Odruchowo przybrała uprzejmy, nic nieznaczący ton.

Wypalił z podświadomą goryczą: — Mógł tu być William.

— Owszem — stwierdziła Martha zimno. Usiadła naprzeciwko niego po drugiej stronie pokoju. Drżały jej kolana i to ją zirytowało. Dużo czasu trwało, zanim przyznała się sama przed sobą, że się go boi fizycznie, ale ta świadomość tylko pogarszała sprawę.

Od czasu, gdy się wyprowadziła, widziała się z nim trzy razy.

Pierwszy raz, że dwa tygodnie po jej odejściu, któregoś niedzielnego ranka przyszedł do niej i poprosił, żeby wybrała się z nim na przejażdżkę. Zachowywał się zwyczajnie, przyjaźnie, i nawet stwierdziła, że czuje do niego sympatię. Przyjęłaby jego zaproszenie, gdyby nie to, że tego przedpołudnia miała zebranie grupy. Kiedy wyszedł, zastanawiała się, czyby do niego nie wrócić. Przez kilka dni była bardzo nieszczęśliwa: wystarczyło, że zachował się przyjaźnie, aby powróciła do niej myśl o dziecku. Przeważnie Martha nie pozwalała sobie myśleć o Caroline i bardzo na to uważała. Kiedyś, tęskniąc za

nią, pożyczyła od Jasmine samochód i przejechała kilka razy obok domu, żeby popatrzeć na dziewczynkę, bawiącą się w ogrodzie z niańką. Ten widok wytrącił ją z równowagi, bo nie czuła się aż tak nieszczęśliwa, jak przypuszczała. Jeździła więc tam i z powrotem, aż zobaczyła w oknie kobiecą postać i wydało jej się, że rozpoznała w niej Elaine Talbot. Później myśl o Caroline sprawiała jej dotkliwy ból. Pancierz, jakim usiłowała się otoczyć, zniknął. Tęskniła za córeczką i już z dziesięć razy była gotowa zadzwonić do Douglasa i powiedzieć mu, że chce wrócić. W tym czasie była bardziej zakochana w Williamie niż kiedykolwiek wcześniej. Miotaly nią silne i sprzeczne uczucia, wzruszał ją jakiś ton głosu Williama albo widok małego dziecka, które bawiło się na trawiastym poboczu drogi.

Ten okres smutku zakończył się nagle, gdy przed trzema tygodniami Douglas zadzwonił z pracy, domagając się rozmowy. Gdy tylko usłyszała jego głos, poczuła, że tężeje. Poszła do biura, gdzie urządził jej scenę, która, jak od razu się zorientowała, miała służyć jego interesom. Zaczął z zacieklą przebiegłością wypytywać o jej „działalność”, patrząc na nią przez cały czas szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami, i w końcu poinformował ją, że tylko „się upewnia”, bo dostał od prywatnego detektywa pełny raport na temat jej poczynań. Było to o wiele bardziej dramatyczne, niż się spodziewała, tak że aż zrobiło jej się go żal i zauważyła, niemal żartobliwie, że angażowanie detektywa nie było konieczne, bo sama chętnie by mu opowiedziała o wszystkim, co robi.

— Przecież i tak ci wszystko powiedziałam, prawda? — stwierdziła.

Zgrzytnął na to zębami, ale chodziło tylko o formę: cała scena była wyreżyserowana, czego zresztą Martha się spo-



dziewała, od chwili gdy tylko usłyszała przez telefon jego „oficjalny” ton.

Za trzecim razem zjawił się nagle o ósmej rano i wiedziała, że jest to efekt bezsennej nocy, podczas której myślał o niej. Powiadomił ją, że rok przed opuszczeniem go dokonała w sklepach zakupów na sumę dwudziestu funtów, a ponieważ poniósł dodatkowe wydatki w związku z jej odejściem, uważa, że „przynajmniej to mogłaby zrobić” — czyli zwrócić mu te pieniądze. Jak handlarz wyjął rachunek na grubym papierze: para butów, sweter: sztuk jeden, dwadzieścia szylingów, i tak dalej, i wręczył go jej z błagalnym uśmiechem, cały przejęty. Usta mu drżały; miał prawie łzy w oczach.

Wzięła od niego rachunek i powiedziała, że odda mu pieniądze, gdy tylko będzie mogła. Zarabiała wtedy piętnaście funtów miesięcznie. On nadal patrzył na nią błagalnie, więc nagle bardzo rozgniewana, rzuciła: — Będę cię spłacać po funcie miesięcznie — i spojrzała na niego, żeby sprawdzić, czy to go zawstydzi. Ale znowu drżącymi ustami posłał jej ten swój smutny uśmiech i powiedział: — Dobrze, Marty, b-b-bardzo mi p-p-pomożesz.

To jąkanie zdradziło jej, że cała ta scena też była zaaranżowana.

Opowiedziała o tym Jasmine, ale pod wpływem jej zdziwionej, pełnej skrępowania miny poczuła złość na siebie; wiedziała, że powinna kazać Douglasowi iść do diabła; i że przez swoje zachowanie wzięła udział w tej hysterii.

— Ależ, Matty, chyba nie zgodziłaś się zapłacić tej sumy? On przecież tyle zarabia.

— Tak, owszem, zgodziłam się.

— Ty też jesteś szalona. — Jasmine dała jej dwadzieścia funtów, żeby zwrócić dług Douglasowi i zamknęła sprawę.

Martha odesłała mu te pieniądze, dostała napuszony, łzawy list z podziękowaniem i z powodu reakcji Jasmine na ten incydent, a także z powodu własnego zawstydzenia, obiecała sobie, że „w wolnej chwili” pomyśli o uczuciu, które określała jako dumę.

Było to więc ich pierwsze spotkanie od czasu, gdy odesłała mu te dwadzieścia funtów.

— Po co chciałeś się ze mną zobaczyć?

— Jest sprawa rozwodu.

— Tak?

— Zamierzam pozwać Williama przed sąd jako współwinnego.

Przez moment się przestraszyła; potem uświadomiła sobie, że się nie boi, że serce bije jej mocniej ze złości. Nauczyła się już interpretować własne reakcje na Douglasa: jeśli się nie boję, powiedziała sobie, to znaczy, że on kłamie. Nie wierzę mu. Dlaczego miałabym wierzyć? Po chwili dostrzegła to z właściwej perspektywy: oczywiście, że nie pozwie William — nie przyznałby publicznie, że żona opuściła go dla sierżanta lotnictwa — tak przecież pracuje jego umysł. Próbował dowiedzieć się czegoś innego. Tylko czego?

— Oczywiście, musisz pozwać Williama — stwierdziła. — To znacznie przyspieszy sprawę.

Poczerwieniał i wypalił:

— Naturalnie, gdyby dostał inny przydział i wyjechał, utrudniłoby to procedury rozwodowe.

— Tak, chyba tak.

— Porzucenie to szybsza i bardziej cywilizowana droga. Ale jeśli się sprzeciwiasz, będzie trudniej.

— Porzuciłam cię — zauważyła; uzmysłowiła sobie jednak, że coś się za tym kryje; że powinna być rozważna,

i w końcu powiedziała sobie: no tak. Boi się, że rozwiodę się z nim z powodu tej dziewczyny w Y., ale jak bym mogła? Nie przebaczyłam mu. A może tak? Nie mogłam mu przebaczyć, nie w świetle prawa, bo inaczej by się nie bał.

Znowu przeraziły ją rozmiary własnej pogardy dla niego. Wstała i oznajmiła:

— Jeśli zechcesz rozwieść się ze mną z powodu porzucenia, nie będę protestować. Rozwód to rozwód, wszystko jedno, jak się go przeprowadzi.

Wciąż siedział i patrzył na nią z drżącymi miękkimi ustami. Domyśliła się, że inaczej wyobrażał sobie tę scenę. Osiągnął to, co chciał, ale nie tak, jak chciał.

— Zamierzam położyć się spać — powiedziała.

Nadal nie wstawał.

— Jutro spotkam się z adwokatem i jeśli łatwiej będzie uzyskać rozwód, pozywając Williama, dam ci znać — oświadczył.

Pragnie doprowadzić do tego, abym błagała go o niewciągnięcie w sprawę Williama, pomyślała. Przyglądał jej się z bezwiednie smutnym uśmiechem. Nic nie odpowiedziała. Nienawiść wykrzywiła mu rysy, gdy dodał:

— Dostanie za swoje.

— Za co?

— Za to, że rozbił nasze małżeństwo.

Ale nawet on w to nie wierzył. Pospiesznie odwrócił wzrok i rzekł:

— Prawnicy napiszą do ciebie. Nie wolno nam komunikować się z sobą w żaden sposób, dopóki nie będzie po rozwodzie.

— Oczywiście.

Zatrzymał się przy drzwiach, znowu zasmucony. Pomyślała:

żyłam z tym przerośniętym chłopcem przez cztery lata i mam z nim dziecko. Powinnam coś czuć, ale nie czuję; powinnam być upokorzona, zawstydzona, żałować czegoś. Ale nie. To zwyczajnie mnie już nie dotyczy. Gdy przez głowę przebiegła jej ta myśl, znowu zaczęły jej drżeć kolana i dotarło do niej, że jest przerażona. Spojrzenia, które rzucał jej z ukosa, były pełne gorącej nienawiści; sprawiało to groteskowe wrażenie — te brzydkie oczy w przejętej, proszącej twarzy. Pomyślała: jeśli nie powiem, co trzeba, rzuci się na mnie albo zacznie bić; to będzie straszne. Straszna scena. Rzekła więc:

— Zadzwoń do ciebie jutro albo pojutrze, żeby się dowiedzieć, co orzekli prawnicy. — Mówiła zwyczajnym, przyjaznym tonem. Wtedy twarz mu się zmieniła i stężała. Skinął głową i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi, jakby więził ją w środku. A kiedy to sprawdziła, okazało się, że naprawdę przekręcił klucz w zamku.

Zebrało jej się na płacz. Jednak nie chciała pozwolić sobie na łzy. Jak czułe chwile z Williamem, chwile pełne prawdziwego uczucia, budziły w niej tęsknotę za Caroline, tak łzy, nawet krótkotrwałe, sprawiały, że stawała się podatna na ból, bezosobowy ból, który tylko czekał na moment jej słabości niczym bezimienny wróg i który już знаła, rozpoznawała jego cień, stale pogłębiający się za jasną skorupą, w której żyła.

Zasnęła od razu, nie myśląc o Douglasie.

W tych dniach budziła się wcześniej, z zachwytem, niezależnie od tego, jak późno położyła się do łóżka. Po raz pierwszy w życiu budzenie się nie było przykrym procesem dochodzenia do siebie. Świergot i piskliwe dźwięki ptaków, które co rano zlatywały się do ogrodu pani Carson, czy ryk samolotów na niebie, wdzierały się w jej sen jak zapowiedź podniecających wydarzeń dnia i jeszcze zanim otworzyła

oczy, już w myśli zrywała się z łóżka, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy znowu dołączy do grupy i swoich przyjaciół.

Zanim jednak mogła się z nimi spotkać, musiała oczywiście przesiedzieć osiem obowiązkowych godzin w biurze. Wróciła jako młodsza maszynistka do firmy Robinson, Daniel i Cohen, obecnie zredukowanej z powodu wojny do pana Robinsona. Pan Max Cohen umarł przed dwoma laty na atak serca. Pan Jasper Cohen pomagał dowodzić armią w Afryce Północnej. Pan Daniel służył w niej. Młode, szczupłe, sprężyste ciało pana Robinsona musiało natomiast kryć w sobie jakąś słabość, bo wiadomo było, że próbował dostać się do wojska, ale mu się nie udało. Kiedy Martha zgłosiła się do swojej dawnej firmy w poszukiwaniu pracy, zrobiła to ze względu na delikatność i dobroć pana Maksa Cohena. Ponieważ w biurach brakowało pracownic, pan Robinson chętnie przyjął ją na rozmowę. To, że Martha nigdy go nie lubiła, było bez znaczenia, znaczenie miało dla niej bowiem zdobycie stałej posady. W biurze pracowały więc obecnie dwie kobiety, ona i pani Buss. Nikt więcej nie był już potrzebny z powodu efektywności pani Buss, która nie pozwalała panu Robinsonowi ani Marcie zapomnieć o tym fakcie, dzięki czemu jej pensja rosła niemal z miesiąca na miesiąc. Ani pan Robinson, ani Martha nie mieli jej tego za złe: Martha nawet wyobrażała sobie, że kiedy podpisuje on czeki i wręczajeden z nich pani Buss, musi się czuć zawstydzony, bo w gruncie rzeczy płacił za całe jej życie; jej pełne zazdrości oddanie i baczna uwaga skupiały się bowiem wyłącznie na panu Robinsonie, niejako mężczyźnie, lecz niegodnym przedstawicielu nieobecnych starszych wspólników. Czasami nawet zwracał jej uwagę, niemal z niechęcią, że nie musi zostawać w pracy wieczorami ani przyjeżdżać do biura skoro świt. Wtedy stawała przed nim jak kłótniwy mały ptaszek i mówiła:

— Panie Robinson, znam się na swojej pracy. Uczyłam się w Anglii, nie jak te dziewczęta z kolonii.

— Cóż — odpowiadał, umykając czym prędzej — skoro to pani odpowiada...

Pani Buss tolerowała Marthę; a to dlatego, że charakter osoby z kolonii był dla niej za silny. Martha poślubiła już jednego z dobrze się zapowiadających młodych mężczyzn z miasteczka i prawdopodobne było, że poślubi kolejnego. Można by odnieść wrażenie, że społeczeństwo winne jest jej tę posadę jako czasowe wsparcie i nie należy wymagać od niej wielkiej sprawności. Pani Buss miała poczucie, że Martha jest jednym z darmozjadów — „z tych, co to wychodzą za mąż”, jak mówiła, z życzliwym, choć nie bezkrytycznym chichotem, sama zamężna w tej chwili nie będąc, chociaż kiedyś miała męża. Bazując na tym, obie kobiety utrzymywały z sobą całkiem poprawne stosunki służbowe.

Tego dnia Martha pracowała także podczas przerwy na lunch, nie dla pana Robinsona, ale adresując koperty w imieniu Sympatyków Rosji. Po lunchu odebrała telefon od Jasmine, która powiedziała jej, że zatelefonował do niej Jackie; on i William dostali przydział i mieli wyjechać jeszcze tego wieczoru w utajnione oczywiście miejsce. Muszą więc wszyscy spotkać się na stacji o szóstej, żeby ich pożegnać. Dziewczęta próbowały pocieszać się wzajemnie i umówiły się po pracy w biurze. Siedziały tam, paląc papierosy, choć raz beczynnienie, z poczuciem, że coś musi wynagrodzić im stratę, którą poniosą. Rozmawiały o tym, jak spotkają się we czwórkę po wojnie, żeby kontynuować przyjaźń z myślą o rewolucji. Nie określiły kraju, w którym mieliby się spotkać; świat stał przed nimi otworem. Jak często mówił Jackie: kiedy jesteś komunistą, wszędzie, gdzie pojedziesz, od razu znajdziesz

przyjaciół. Gdy członkowie grupy rozmawiali o przyszłości, to tak jakby mogli wymieniać się z sobą, w tym czy innym kraju; stanowili część wielkiej międzynarodowej braci i gdy tak dyskutowali, patrzyli sobie w oczy, wymieniając spojrzenia ufne i pełne oddania.

Jasmine i Martha wychyliły się przez okno, patrząc na ulicę, i obie były tak zaabsorbowane wizjami przyszłości, że wyjazd ukochanych, którzy mieli opuścić je za godzinę, wydawał im się już nieważny, co było kolejnym dowodem ich wiary, że przyjdzie niebawem taki czas, kiedy cierpienie przestanie istnieć.

Mały, obdarty, bosy Murzynek ze wzdętym od niedożywienia brzuszkiem stał niepewnie na przeciwległym rogu przed McGrathem z liścikiem w ręce. Został wysłany przez swoją białą panią z jakąś sprawą do załatwienia i nie mógł znaleźć adresu. Martha i Jasmine uśmiechnęły się do siebie, co miało znaczyć, że dzięki nim, dzięki ich wizji, mały ma już opiekę i jest uratowany: przyszłość, o której marzyły, zdawała się czekać tuż za rogiem; mogłyby jej wręcz dotknąć. Każda z nich widziała oczami wyobraźni idealne miasteczko, czyste, porządne i piękne, wznoszące się nad tym obecnym, na które patrzyły, z brudnymi sklepikami i podrzędnymi kafejkami. Obdarte dziecko było już obywatelem tamtego idealnego miasteczka, ich współobywatelem; same niewidoczne, przyglądały mu się z uśmiechem zza rogu: to było tak, jakby go dotknęły i naznaczyły swoją przyjaźnią.

Wkrótce w wejściu do McGratha znowu pojawiły się grupy ludzi, tym razem dlatego, że zbliżał się zachód słońca, i uzmysłowiły sobie, że jeśli mają odprowadzić Williama i Jackiego, powinny już iść na stację. Pociąg na południe już został podstawiony i czekał. Na peronie stały grupki mężczyzn w mundurach.

William i Jackie przyjechali w dwóch oddzielnych grupach, jeden z oficerami, a drugi z szeregowymi lotnikami. Umieścili swoje bagaże w pociągu i zamknęli się w jednym z przedziałów z Martha i Jasmine, aby nie było widać, że zwyczajowe bariery obowiązujące w organizacji wojskowej nie są przestrzegane. Siedzieli we czwórkę roześmiani, a dwaj mężczyźni ironicznie zastanawiali się, gdzie chcieliby zostać wysłani, jak turyści, którzy wybierają miejsce na urlop. William zdecydował się na Indie; Jackie na rejon śródziemnomorski. W sąsiednim przedziale grupa szeregowców śpiewała z różnymi akcentami angielskimi *Join the army and see the world\**.

Rozległ się świst lokomotywy, ale Martha i Jasmine, mające bogate doświadczenie w odprawianiu pociągów ze stacji, ani drgnęły. Obie instynktownie unikały łzawych pożegnań. Wyskoczyły z pociągu, gdy już ruszył, i odwróciwszy się, zobaczyły, że twarze Jackiego i Williama zniknęły już wśród innych, stłoczonych przy wszystkich oknach. Pociąg oddalał się, jak już to często widywały, w brudnym, zaśmieconym przez fabryki weldzie, zostawiając za sobą długą smugę rozwiewanego przez wiatr czarnego dymu na czystym, spokojnym, pomarańczowym niebie.

\* *Join the army and see the world* (ang.) — Wstąp do wojska i zobacz świat.



## Rozdział drugi

— Ktoś przygotował program zebrania? — zapytał Anton, a Andrew odparł:

— To ty je zwołałeś, towarzyszu Anton.

— Tak, rzeczywiście, rzeczywiście. — Do tej pory siedział na ławce, oparty o ścianę, z założonymi ramionami, i patrzył, jak schodzą się inni: Andrew, Martha, Jasmine, Marjorie. Teraz wyprostował się i wstał, przenosząc się na krzesło za białym stolikiem, a jego ruchy przypominały nóż sprężynowy, który otwiera się i składa. Przyjrzał się im wszystkim w milczeniu i czekał. Duża żarówka nad jego głową rzucała silne białe światło, tak że wydawał się w nim jeszcze bledszy i jaśniejszy niż zwykle, a jego lodowoniebieskie oczy już w ogóle straciły barwę. Ostatnio kobiety zauważały w swoim gronie: — Mam nadzieję, że Anton dba o siebie. Albo: — Nie sprawia wrażenia silnego, prawda? A jednak był silnym mężczyzną: jego siła wynikała z niezwykłego opanowania i sprzeczne uczucia malujące się na jego twarzy jeszcze pogłębiały to wrażenie. Miał mocny kościec, zwięzający się zbyt ostro ku małej wydatnej brodzie, lecz broda ta wyrażała

upór. Skóra pokrywająca szczupłe ciało była delikatna, bardzo jasna, cera poznaczona dziesiątkami maleńkich zmarszczek, tworzących napięte siateczki wokół oczu i ust, zwłaszcza ust, które, choć niemałe, potęgowały wrażenie, że górna część jego twarzy jest nieproporcjonalnie duża w stosunku do dolnej. Usta te jednak stale podlegały jego samokontroli.

Pełna skupienia powściągliwość Antona zawsze sprawiała, że ludzie czuli się przy nim skrępowani. Czasami, gdy skończył mówić, być może wymieniali między sobą krzywe uśmieszki — nie krytyczne, tak do tego nie podchodzili — ale jakby chcieli wyznać: „Wielkie nieba, nigdy nie spełnimy jego oczekiwań!”. Jeśli jednak była w tym jakaś ironia losu, to taka, że właśnie pod wpływem ich krytycyzmu, nie własnego, brał na siebie ciężar samodyscypliny, tak że mogli sobie pozwolić na pewną nieodpowiedzialność.

W powietrzu wyczuwało się właśnie coś w rodzaju pełnej podziwu ironii, gdy czekali, aż Anton zacznie mówić. On jednak nie spieszył się z tym, więc Jasmine w końcu zapowiedziała skromnie:

— Towarzysz Anton przeanalizuje teraz sytuację.

Obrzucił ją spojrzeniem swoich lodowatych oczu i odparł:

— Nie, towarzysze, nie zrobię tego. Mam wrażenie, że nikt z tu obecnych — teraz spojrzął oskarżycielsko na Andrew — nigdy nie zastanawiał się, co oznacza analiza sytuacji... prawdziwa marksistowska analiza. Przynajmniej sytuacja w tym kraju nigdy nie była analizowana. Ani razu. Jesteśmy zbyt zajęci, żeby pomyśleć. Jednakże prawdziwy komunista nie przystępuje do działania, które nie jest efektem pełnego zrozumienia sytuacji gospodarczej w danych warunkach i w odniesieniu do sił społecznych. My natomiast

zaczęliśmy działać gorączkowo wyłącznie pod wpływem rewolucyjnych, czy tak zwanych rewolucyjnych, frazesów.

Zawarta w tych słowach pogarda pod adresem nieobecnego Jackiego Boltona uraziła Jasmine, która spojrzała ze smutkiem ku miejscu, gdzie zazwyczaj siadał, wciśnięty między szafę a ścianę, i emanował zimnym sarkazmem.

Martha, zmieszana, myślała: no dobrze, tylko że przez cały ten czas Anton siedział tu, słuchał i patrzył, ale czekał z tymi zarzutami, aż Jackie wyjedzie.

Andrew zauważył swobodnie:

— Masz całkowitą rację, towarzyszu. Ale wszystko działa się tak szybko, że wymknęło się spod kontroli. Teraz musimy się zorganizować. I chciałbym, żebyś wygłosił jakieś oświadczenie, które stałoby się podstawą do dyskusji.

— Wymknęło się spod kontroli — powtórzył Anton ze zniecierpliwieniem. Słuchając, miał zwyczaj wybierać jakieś sformułowanie, które następnie poddawał im pod rozwagę. — Nie byłoby nic złego w tym, że coś wymknęło się spod kontroli. Gdyby wcześniej się pod nią znajdowało. Przewodzimy najbardziej postępowym organizacjom w miasteczku. Ale jak? Dlaczego? Przede wszystkim: jak?

— No, no — rzucił szorstko Andrew. — No, no, no.

— Może, towarzyszu Anton, przedstawicie analizę i będziemy mogli ją przedyskutować — zaproponowała pospiesznie Marjorie. Anton wyraźnie złagodniał, gdy na nią spojrział. Kruchość drobnej, jasnowłosej Marjorie i jej żarliwa szczerłość jakby stawiły ją, w jego oczach, poza jakąkolwiek krytyką. Wszyscy z nich to czuli; sam towarzysz Anton też najwyraźniej był tego świadomy, bo otrząsnął się z chwilowej słabości, potoczył swoim zimnym spojrzeniem po pokoju i powiedział:

— Jesteśmy podobno komunistami. Tak, chyba tak siebie

samych określamy. Nie zamierzam analizować sytuacji, towarzysze. To poważna sprawa, wymaga czasu i zastanowienia. Zamierzam natomiast wyjaśnić, co znaczy słowo „komunista”, a wtedy, jeśli uznamy to za konieczne, zajmiemy się analizą sytuacji. — I znowu, powiódłszy wokół wzrokiem, zjednoczył ich wszystkich w swoim pojęciu szlachetności. — Komunista, towarzysze, to człowiek całkowicie, bezgranicznie oddany sprawie wyzwolenia ludzkości. Komunista powinien uważać się za skazanego, któremu odroczone wyrok śmierci. Komunista spotyka się z nienawiścią i pogardą, jest zastraszany i prześladowany przez kapitalistów z całego świata. Komunista musi być gotowy porzucić wszystko, rodzinę, żonę, dzieci, najedno słowo partii. Komunista musi być gotowy pracować osiemnaście godzin na dobę, a nawet dwadzieścia cztery, jeśli zajdzie potrzeba. Komunista stale się doksztalca. Komunista wie, że sam jest nikim, ale ponieważ reprezentuje uciśnione masy pracujące, jest wszystkim; jednakże nie zasługuje na to, żeby reprezentować masy pracujące, jeżeli każdej chwili swojego życia nie poświęca, żeby na to zasłużyć. Masy pracujące tego świata są spadkobiercami całej jego kultury, całej wiedzy, całej sztuki, i waszym zadaniem jest uświadomić im to, a nie zechcą was słuchać, jeśli nie zdobędziecie ich szacunku.

Tu trzy kobiety spojrzały na Andrew, który był przecież takim samym komunistą jak Anton. Siedział na ławce, wygodnie oparty o ścianę, z fajką w ustach, patrzył na Antona i od czasu do czasu kiwał głową.

— Komunista — ciągnął Anton — musi pamiętać, że jeśli okaże słabość, to ta słabość zostanie przypisana partii. Komunista musi tak kierować swoim prywatnym życiem, żeby nie obciążało ono partii. Komunista musi szanować samego siebie, tak żeby mógł spojrzeć w oczy robotnikom, gdy do nich wyjdzie.

Słowo „komunista”, powtarzane przez Antona, za każdym razem było odwołaniem do odpowiedzialności i dobroci; i Martha czuła, że uniesienie, które w sposób naturalny panowało w tym małym brudnym pomieszczeniu, wciąż rosło. Równocześnie jednak tak jakby czegoś brakowało. Bez Jackiego i Williama wydawało się tu pusto. Tego wieczoru nie stanowili „grupy”. Byli piątką ludzi.

Marjorie wtrąciła pospiesznie:

— Towarzyszu Anton, myślę, że powinniśmy zwerbować więcej towarzyszy, bo wydaje mi się... to znaczy, z tego, co powiedziałeś, wynika... że powinno nas być więcej.

Towarzysz Hesse uśmiechnął się łagodnie, widząc jej zmieszanie, ale natychmiast się opanował.

— To nie ma znaczenia, ilu nas jest. Kiedy Lenin zaczynał działalność, prawdopodobnie miał jeszcze mniej współpracowników.

W jednej chwili znaleźli się w samym środku własnej wizji: mieszkańcy Zachodu, przechodzący w kilku ostatnich dziesięcioleciach na komunizm, zawsze uważali się za współczesnych Leninowi. Wydawało im się, że są w jakimś wielkim barbarzyńskim kraju (choć nie ich własnym), pogrążonym w mroku dziejów, że stanowią grupkę mężczyzn i kobiet, gotowych z bronią w rękę oddać życie za przyszłość. Wyobrażali sobie, że jak zbiegowie przenoszą się z jednej kryjówki do drugiej; widzieli tłum obdartych robotników, szturmujący Pałac Zimowy; słyszeli Lenina, który mówi: „Towarzysze, teraz przystąpimy do budowy socjalizmu”.

Andrew zauważył szorstko:

— Nie zamierzam nikogo tu obrazić, ale żadne z nas nie jest Leninem.

Zaśmiali się i nastrój przysł.

Anton jednak się nie śmiał. Z poważną miną ciągnął:

— Jeśli dwaj komuniści znajdują się na bezludnej wyspie albo w mieście, w którym poza nimi nie ma żadnych innych towarzyszy, ich obowiązkiem jest pracować razem, przeanalizować sytuację i na podstawie tej analizy zdecydować, jak należy działać.

— Wszyscy zgadzamy się z tobą — odezwała się z podnieceniem Marjorie, szukając potwierdzenia u innych, którzy skinęli głowami.

— Ale uważam, że powinniśmy zwerbować więcej osób — powiedziała Jasmine. — Wszyscy znamy ludzi, którzy już dojrzeli.

— Nie możesz zwerbować jakiegoś Toma, Dicka czy Harry'ego — stwierdził Anton.

Poczuł się niezręcznie. Siedzieli tu przecież, bo ogarnęła ich wielka światowa pożoga, jaką była rewolucja; mieli poczucie, że mogło ominąć ich to szczęście i mogli nie spotkać ludzi, dzięki którym przejrzeli na oczy. Musiały być przecież dziesiątki, setki takich, którzy nadal czekali, aż dotknie ich ten święty ogień. Lecz jeśli Anton nie czuł tego, to może chciał powiedzieć, że jego zdaniem w ogóle nie zasługują, żeby tu siedzieć? Bo co innego mógł mieć na myśli?

Andrew odparł z szorstką dezaprobatą, która świadczyła, że zupełnie nie zgadza się z Antonem:

— To oczywiste, że musimy zwerbować więcej ludzi. Nie możemy działać jako grupa komunistyczna tylko w piątkę. — Kilka razy zaciągnął się fajką, wypuszczając dym przez zaciśnięte zęby, i dodał: — Znam kilku facetów z bazy, którzy chemie się przyłączą. — Potem skupił się na fajce: zaczął nią stukać, oglądać ją i gmerać w niej, poświęcając temu całą swoją uwagę. Wszyscy domyślili się, że w ten sposób usiłuje

zapanować nad sobą; i wiedzieli, że jest bardziej niż zwykle poirytowany na Antona.

Martha włączyła się czym prędzej: — Wszyscy znamy takich ludzi, prawda? — i zerknęła z obawą na Antona, podobnie jak cała reszta, a ten odparł:

— Zanim ktokolwiek zostanie przyjęty, musi to przedyskutować i zaakceptować cała grupa.

— Cała grupa — prychnął Andrew — pięć osób. Z których jedna, czyli ja, należy do RAF-u i nie pochodzi stąd; druga to obywatel wrogiego państwa; trzecia — uśmiechnął się z sympatią do Marjorie — dopiero przyjechała z Anglii, a wszyscy wiemy, że mieszkańcy kolonii traktują każdego z Anglii jak niespełna rozumu. Czwarta — po przyjacielsku kiwnął głową, wskazując Marthę — ostatnio zachowywała się, jak mówią, skandalicznie. Tak naprawdę jedyną rozsądną, szanowaną osobą wśród nas, której nie można nic zarzucić, jest Jasmine. Myślę, że musimy ściągnąć więcej ludzi, zobaczyć, jak im idzie, a potem podjąć decyzję.

— Zobaczyć, jak idzie — powtórzył Anton. — Tak właśnie postępowaliśmy i spójrzcie na efekty. Musimy się na coś zdecydować: albo zorganizować porządną grupę komunistyczną, w której obowiązują zasady i dyscyplina, albo skończyć z tą zabawą. — Mówił z pełną zniecierpliwienia pogardą.

— Nie możemy stanowić porządnie zorganizowanej grupy bez odpowiedniej liczby członków — zauważyła Jasmine. Anton milczał i zorientowali się, że raczej byłoby za tym, aby rozwiązać grupę.

— Ale przecież kierujemy tyloma organizacjami — stwierdziła Martha. — Porzucenie ich byłoby nieodpowiedzialne.

— Nikt nie mówi, żeby je porzucić — sprostował Anton. — Jeśli chodzi ci o Pomoc Sojusznikom, Sympatyków Rosji

i Klub Postępowców, to wystarczy, żebyśmy raz w tygodniu spotykali się, aby omówić koordynację działań. Niepotrzebna nam do tego struktura organizacyjna.

— Ale mówisz tak, jakbyśmy musieli zdecydować, czy partia komunistyczna ma istnieć, czy nie. Przegłosowaliśmy to już w zeszłym roku. I partia komunistyczna istnieje.

— Biegamy tylko w kółko jak kurczęta... bez dyscypliny, bez analizy, właśnie jak one.

— Spotykamy się, dyskutujemy, podejmujemy decyzje — zauważyła Marjorie takim głosem, jakby chciało jej się płakać.

— Decyzje? Podejmujemy decyzje i nikt ich nie respektuje. Jesteśmy gromadą anarchistów.

— Żeby skończyć z anarchią — stwierdziła Jasmine — nie trzeba rozwiązywać organizacji, ale ją wzmocnić.

— Muszę powiedzieć, że takie jest i moje zdanie — włączył się Andrew. — Nie rozumiem, jak towarzysz Anton może proponować nowe głosowanie. Już raz głosowaliśmy. Formalnie tworzymy grupę komunistyczną. Teraz tylko ją zreorganizujemy.

Anton się nie odzywał. W końcu powiedział:

— Doskonale. — Znowu zamilkł i rzekł: — Mamy komitet. Proponuję, żeby ten komitet się zebrał. Jackie wyjechał... — Jego mina świadczyła wyraźnie, że jest zadowolony z takiego obrotu sprawy. — Ale jesteśmy my, Andrew, ja i Jasmine.

— To trzech członków komitetu spośród pięciu — zauważyła Martha. Anton spojrzał na nią gniewnie.

— Ten komitet to głupota — odezwała się Marjorie. Zarumieniła się pod wpływem własnego wzburzenia, podczas gdy Anton uśmiechnął się do niej. — Uważam za niewłaściwe powoływanie komitetu, gdy jest nas tak mało — stwierdziła męźnie. Pozostali uśmiechnęli się do siebie z sympatią.



— Dobrze — oświadczył Anton — ale najpierw, zanim zaczniemy rekrutację kadr... to znaczy, jeśli ją zaczniemy... musimy zreorganizować nasze obecne struktury. Powinniśmy zrobić coś w związku z Pomocą Sojusznikom.

— Mamy nad nią kontrolę — powiedziała Jasmine. Był to już ostatni raz, gdy przemówiła głosem Jackiego Boltona. Jego duch został poddany egzorcyzmom i wypędzony raz na zawsze przez ton Antona, który odparł:

— Tak, tak, tak, mamy nad nią kontrolę.

To potrójne „tak” stanowiło największy przejaw humoru, na jaki było go stać; w gruncie rzeczy było ironicznym, śmiertelnie poważnym przyznaniem racji, wobec którego wszyscy wzdrygnęli się wewnątrz. — Nie mamy sobie czego gratulować. To najłatwiejsza rzecz: uzyskać kontrolę nad organizacją. Każdy głupiec to potrafi. To kwestia znajomości psychologii tłumu czy zgromadzeń publicznych. Jeśli jakiś pijany idiota chce być kimś ważnym i odgrywa rewolucjonistę, to nie jest jeszcze powód, żebyśmy sobie gratulowali.

Twarz Jasmine zapłonęła. Kiedy Marjorie okazywała niepokój, Anton zawsze starał się ją osłaniać, dopóki nie doszła do siebie, ale najwyraźniej nie wykazywał żadnych uczuć opiekuńczych w stosunku do Jasmine. Patrzył wciąż na nią, mówiąc jednocześnie:

— Moim zdaniem to całkiem prawdopodobne, że towarzysz Bolton zniszczył tę organizację. Pozostaje tylko sprawdzić, czy nie zniszczył jej ostatecznie. Z całą pewnością nie będzie już taka sama. Musimy zobaczyć, co da się jeszcze zrobić. Po pierwsze, musi mieć porządnego sekretarza.

Kiedy ktokolwiek poza Antonem wypowiadał słowo „porządny”, robił to z nieznacznym, jakby drwiącym uśmiechem; Anton natomiast używał go jako wyznacznika statusu.

— Poprzedni komitet był idealny. Perr, Forester i Pyecroft to dobrzy urzędnicy. Towarzysz Bolton uznał jednak za stosowne zmusić ich do rezygnacji wbrew jednomyślnej decyzji grupy.

— A teraz kontrolę przejął trockista Borys Krueger... i ją utrzyma, bo jest w dobrych stosunkach z tym dziadkiem Gatesem... a my będziemy musieli wypuścić ją z rąk — zauważyła Marjorie.

— Tak, tak, tak — potwierdził Anton.

Jasmine zapytała w końcu:

— Oceniliście ponownie charakter Borysa, towarzyszu Anton?

— Nie widzę powodu, dlaczego Krueger nie mógłby sprawować kontroli.

Jasmine odezwała się znowu, tym razem płaczącym, zdziwionym tonem:

— Ależ, towarzyszu Anton, on jest trockistą.

Zapadła długa, krępująca cisza. W ostatnich miesiącach, 0 których wszyscy w skrytości ducha myśleli jako o „reżimie Jackiego Boltona”, ani Anton, ani Andrew nie sprzeciwiali się, kiedy ten drwił z Borysa i jego żony. Była to instynktowna zbiorowa drwina.

Anton odparł w końcu:

— Borys jest oportunistą, podobnie jak jego żona. Ale ma kwalifikacje, żeby poprowadzić Pomoc Sojusznikom.

Obudziło się w nich poczucie winy. W końcu Borys był ich przyjacielem. Lubili go — w jego poprzednim wcieleniu. Podejście Antona wydawało im się czymś więcej niż obrażaj było niepoważne. Od miesiący szydzili z Borysa Kruegera i jego sprzymierzeńca, Solly'ego Cohena. A nawet odcięli się od nich obu — jeśli można odciąć się od kogoś, kto stale

zasiada w jakichś komitetach. Niezależnie więc od tego, czy Anton uznał za stosowne zmienić swoją ocenę Borysa, czy nie, było już za późno. Głos zabrał Andrew. Za każdym razem gdy to robił, wchodził w inną rolę: w końcu on też zgadzał się z Jackiem, nazywał Borysa trockistą. Teraz rzekł z ironią:

— Towarzyszu Anton, mogłeś wcześniej wypowiedzieć się na ten temat. I faktem jest, że gdy zgłaszamy w którymś z komitetów jakąś propozycję, Borys zawsze się sprzeciwia. Tak samo Solly Cohen i Berty Krueger. Może przez chwilę zastanowisz się nad tym?

— Borys stara się, aby Pomoc Sojusznikom zachowała umiarkowany charakter, próbuje ograniczyć jej działalność do wyznaczonego celu, czyli zbiórki pieniędzy na rzecz Związku Radzieckiego. I do wydania tej broszury, która, jak zgodziliśmy się wszyscy, będzie dobrą rzeczą, bo służy jednocześnie edukacji i zbiórce funduszy. Moim zdaniem linia Borysa jest słuszna, a nasza błędna.

Popatrzył na nich spokojnie. Byli jednak zbyt zdezorientowani, żeby cokolwiek powiedzieć.

— Ale czy oni nie są trockistami? — zapytała z przejęciem Marjorie, oblewając się rumieńcem.

Zadziwiająco było, że w gruncie rzeczy żadna z dziewcząt nie wiedziała, kim jest trockista; po prostu uznały to określenie za obraźliwe. Jeśli o to chodzi, nie wiedziały nic o Trockim, poza tym, że usiłował zaprzepaścić rewolucję rosyjską. Kojarzyły to słowo z czymś destrukcyjnym, złym, ze sprzeciwem dla samego sprzeciwu — z ostrożnym kunktatorstwem Perrów, Foresterów i Pyecroftów, z ciągłym naleganiem Borysa i Berty, żeby nie alienować obywateli miasteczka przez zbytne ekstremizm; i z postawą Solly'ego Cohena, który przychodził na wszystkie ich zebrania i wstawał, żeby wygłaszać przemó-

wienia o Związku Radzieckim, pełne faktów i liczb, które przeczyły ich własnym. A najbardziej zdumiewające było to, że „grupa” przez większość czasu spiskowała, jak przechytryć „trockistów” — choć ludzie, których nazywali trockistami, mieli z sobą niewiele wspólnego, a nawet byli do siebie wrogo nastawieni. Między „Perrami, Foresterami i Pyecroftami” a ludźmi takimi jak Solly Cohen i Borys panowała wzajemna pogarda; i tak naprawdę jednych i drugich dzieliła znacznie większa przepaść niż Solly'ego, Borysa i ich samych. A między świadomością całej masy ludzi żyjących w kolonii, białych czy czarnych, a garstki tych, którzy składali się na „trockistów” i członków „grupy”, przepaść była już tak wielka, że rozmaite sekty lewicowców o innej orientacji ideowej były praktycznie nierozróżnialne i w związku z tym określano ich wszystkich razem jako „czerwonych” albo „bolszewików”.

Piątka ludzi zebranych w tym pokoju przez godzinę dyskutowała o „właściwym podejściu” do trockistów i doszła do następujących wniosków: że należy ich obserwować; nie powinno się im pozwolić na przejęcie gdziekolwiek kontroli; lepiej, żeby nie dowiedzieli się o istnieniu grupy; należy ich „demaskować” na zebraniach publicznych, gdyby wystąpili ze stwierdzeniami szkodliwymi dla honoru Związku Radzieckiego. Wszyscy z nich to odszczepieńcy, socjaldemokraci, lewicowi sekciarze, prawicowi kunktatorzy — te określenia były rzucane na oślep, bez żadnych dalszych definicji. Jednocześnie jednak należało z nimi „współpracować” i ich „wykorzystywać”. Jeśli chodzi o Borysa Kruegera, pobłądził, ale w gruncie rzeczy jest przyzwoity (Solly Cohen był nieprzyzwoity) i powinno mu się dać do zrozumienia, że oni, jako grupa, poprą go na każdym stanowisku, jakie uda mu się zająć w Komitecie Pomocy Sojusznikom.

Była już dziesiąta wieczorem i Andrew musiał zdążyć na autobus do bazy. Wstał, chowając fajkę, jakby to był przyjaciel, z którym zamierzał odbyć potem rozmowę na osobności.

Anton zauważył:

— No dobrze, ale nie podjęliśmy żadnych zasadniczych postanowień.

— Jakich postanowień? — zapytała Jasmine, która wyobrażała sobie, podobnie jak reszta, że ich stanowcza postawa wobec trockistów to decyzja polityczna.

— Towarzysze — powiedział Anton — w tej chwili jest nas pięcioro. Uważamy, jak się zdaje, że trzeba dokooptować nowe kadry. Powinniśmy wiedzieć, po co chcemy je dokooptować. Proponuję, żeby każde z nas krótko określiło swój zakres obowiązków i zadania.

Andrew, który wciąż stał, wyjął fajkę z kieszeni i zapalił.

— Towarzyszu Andrew... wygląda na to, że bardzo się spieszycie.

— Towarzyszu Anton, nie ja układam rozkład jazdy autobusów. Ale już mówię: prowadzę w bazie bibliotekę. Mogę chyba powiedzieć, że to najlepsza biblioteka z baz wojskowych w kolonii. Z wyjątkiem bazy pod G., gdzie bibliotekę też prowadzi komunista. Mam w niej całą postępową i lewicową literaturę, jaka jest dostępna, a mój zbiór angielskiej i brytyjskiej klasyki też nieźle się prezentuje, zważywszy, jak trudno ją zdobyć. Dwa razy w tygodniu prowadzę wykłady na temat literatury i poezji angielskiej, na które przychodzi z setka ludzi. Raz w tygodniu prowadzę zajęcia z rozwoju socjalizmu w Europie, na które chodzi ze dwudziestu ludzi. Raz w tygodniu prowadzę kółko marksistowskie liczące sześcioro członków. Należę do komitetu Pomocy Sojusznikom. Dużo czasu poświęcam samokształceniu. Myślę, że to wszystko.

- Dobrze — rzekł Anton. — Możecie iść.
- Dziękuję — odparł Andrew i wyszedł, starając się zapanować nad złością.
- Marjorie — wywołał dziewczynę Anton.
- Jestem bibliotekarką organizacji Sympatycy Rosji i Pomoc Sojusznikom.
- Świetnie, ale rozwinęłaś się już na tyle, żeby wziąć na siebie więcej obowiązków. Martha?
- Należę do komitetu Pomocy Sojusznikom, Sympatyków Rosji i Klubu Postępowców, organizuję też sprzedaż „Watch-doga”.
- Dobrze. Wygląda to na dobrze wyważone. Nie musisz brać na siebie więcej. Ale powinnaś zadbać o samokształcenie. Jasmine?
- Jestem sekretarzem Sympatyków Rosji, Pomocy Sojusznikom, Klubu Postępowców. Organizuję wystawę rosyjskich plakatów i zdjęć. Jestem bibliotekarką i sekretarzem grupy.
- Martha i Marjorie się zaśmiały. Antona to nie rozbawiło. Powiedział:
- Ponieważ jestem obywatelem z wrogiego państwa i nie wolno mi uprawiać działalności politycznej, moja lista nie jest tak imponująca jak Jasmine. — Spojrzał na nią krytycznie. — Towarzyski — dodał — trzeba z tym zrobić koniec. To nieporozumienie. Nie można być sekretarzem więcej niż jednej organizacji i robić tego dobrze. Funkcję sekretarza Sympatyków Rosji przekażesz Marty, a Pomocy Sojusznikom... Marjorie.
- Ale na to stanowisko trzeba zostać wybranym — zauważyła Martha.
- Teraz Anton popatrzył na nią.
- Towarzysko — zwrócił się do niej — komunista

zawsze może dać się wybrać. Jesteśmy najlepsi do tej roboty. Odpowiedzialni, punktualni i gotowi pracować ciężiej niż wszyscy pozostali. Jeśli nie jesteśmy lepsi od reszty, to żadni z nas komuniści. Nie zasługujemy na to miano.

Zaczął zbierać dokumenty.

— Ogłaszam zakończenie zebrania — rzucił.

— Ależ, towarzyszu, nie podjęliśmy decyzji w sprawie tych ludzi, których zamierzamy wciągnąć do grupy.

— Tak, tak, tak. — Anton ruszył do drzwi.

— Ale postanowiliśmy ich zwerbować.

— Nie więcej niż jednego na raz — oświadczył Anton. — Wygłoszę wykład na temat zasadniczych wytycznych materializmu dialektycznego. To znaczy, że będzie nas nie więcej niż dziesięć osób, maksymalnie. Musimy utrzymać kontrolę nad tym, co robimy. Skończyć z tymi skautowskimi akcjami. Jesteśmy rewolucjonistami. Tak zwanymi.

Marjorie zauważyła żartobliwie:

— Anton, powinieneś mieć dla nas więcej tolerancji. Na pewno kiepski z nas materiał przy twoim doświadczeniu, ale nie musisz nam stale tego okazywać. — Zaczerwieniła się znowu z powodu wysiłku, jaki kosztowała ją ta drobna prowokacja.

Pozwolił sobie na uśmiech. Potem jego twarz spoważniała i patrząc przed siebie na brudną ścianę, powiedział cicho, z egzaltacją w głosie:

— Tak. Trudno jest stać się prawdziwym komunistą, komunistą z krwi i kości. Bardzo trudno, towarzysze. Pamiętam, że kiedy wstępowałem do partii, dano mi do nauczenia się na pamięć kilka słów i polecono powtarzać je sobie, gdy ogarną mnie wątpliwości albo zniechęcenie. — Zacytował głośniej: — „Największą wartością w życiu człowieka jest życie; a ponie-

waż jest ono tylko jedno, trzeba je przeżyć tak, żeby nie czuć dręczącego żalu z powodu lat pozbawionych celu; żyć tak, żeby nie płonąć ze wstydu na myśl o tchórzliwej, banalnej przeszłości; tak żyć, żeby umierając, móc powiedzieć: >Całe moje życie i wszystkie moje siły poświęciłem najszlachetniejszej sprawie na świecie: wyzwoleniu ludzkości<".

Na jego twarzy malowało się uniesienie. Odwrócił się i wyszedł bez słowa.

— Ale ja to znam — powiedziała Marjorie z rozżaleniem. — Przepisałam sobie i przypięłam nad łóżkiem.

— Ja też — odparła Jasmine.

— Wszystkie to znamy na pamięć — podsumowała Martha. Miały poczucie, że Anton ich nie rozumiał i nie doceniał. — To pierwsza rzecz, jaką przeczytałam o Leninie — dodała.

— Cóż, musimy żyć według tego zalecenia — stwierdziła Jasmine w swój zwykły skromny sposób.

Trzy kobiety poszły razem przez park, rozmawiając o Związku Radzieckim, o rewolucji, o tym, co będzie po wojnie — kiedy, jak wszyscy sądzili, zacznie się nowy etap przemian rewolucyjnych i razem staną do walki w pierwszym szeregu, jak Lenin, nie bojąc się niczego, uzbrojeni we wszechogarniające współczucie dla całej ludzkości.



## Rozdział trzeci

W następnych dniach Marthę przez większość czasu trawił niepokój, ponieważ miała wrażenie, że jako jedyna spośród całej grupy nie zna nikogo, kto by już „dojrzał”. Nie utrzymywała kontaktów z nikim poza grupą, panią Buss i panią Carson. To prawda, że jako członkini tylu komitetów zyskała w krótkim czasie kilkudziesięciu znajomych i wszyscy oni w rozmaity sposób byli zakochani w Związku Radzieckim, zgodnie z nowymi, pełnymi egzaltacji nastrojami społecznymi; jak też wszyscy pragnęli chodzić na wszelkie zebrania i odczyty dotyczące najbardziej wywrotowych kwestii. Ale zdaniem Marthy nie byli jeszcze „dojrzałi”. Miała poczucie winy, że nie „pracuje” nad nimi dostatecznie, aby przynajmniej niektórzy mogli przejść drogę od skwapliwej podatności na nowe idee do całkowitego im oddania, co stanowiłoby istotę „dojrzałości”.

Ludzi, którzy mieli zostać zaproszeni na zebranie kwalifikacyjne, łączyły bliskie osobiste więzi z członkami grupy. Martha zastanawiała się nad tym i doszła do wniosku, że wina jest po jej stronie, bo spędza za dużo czasu z Williamem;

gdyby była prawdziwą komunistką, w takim sensie tego słowa, w jakim używał go Anton, obdzieliłaby swoją uwagę kilka osób. Ale tylko potrafiła uznać to za swoją winę. Jeśli przez te wszystkie lata tęskniła za czymś, to za bliskim, autentycznym związkiem z mężczyzną. Uświadomiła sobie, że to nie Jasmine wprowadziła ją do grupy, lecz William. Jeśli więc chce mieć taki wpływ na innych ludzi, aby mogli wstąpić do grupy, to czy musi dać im to, co daje Williamowi? Przecież to byłoby niemożliwe.

Jest taki typ kobiety, która może być „sobą”, jak to sama określiła, tylko przy mężczyźnie, któremu odda serce, na zawsze lub nie na zawsze. Po jego odejściu zostaje puste miejsce, wypełnione tylko cieniami. Ona opłakuje tego umarłego dla niej człowieka jako jedyne, z którym mogła być; opłakuje go jako tego, który tchnął w nią życie, żeby była „sobą”. Teraz żyje sama, w pustce, którą wypełniają jedynie wizje jej własnych możliwości, dopóki nie pojawi się następny mężczyzna, nie wchłonie cieni, nie stworzy jej, aby znowu stała się „sobą” — ale już nową „sobą”, bo ukształtują ją jego wyobrażenia. Taką kobietę łatwo rozpoznać nie dlatego, że jest sama, ale przez to, że otacza ją mnóstwo znajomych i przyjaciół, z którymi utrzymuje bliskie kontakty, ale którzy, jeśli o nią chodzi, „tak naprawdę” wcale jej nie znają.

Martha zdawała sobie sprawę, że po wyjeździe Williama jest nie tyle samotna, ile rozdarta. Samotność, te chwile, gdy mówiła sobie: „Jestem samotna”, niosły z sobą przyjemne cierpienie; jej dawny wróg, nieszczerza nostalgia, był znowu bardzo blisko i łatwość, z jaką mu się poddała, budziła w niej złość na siebie samą. Bo odczuwała nostalgię za czymś, z czego już wyrosła. Prawda wyglądała tak, że Martha nigdy nie była tą osobą, jaką stała się przy Williamie. Przypominali

dwoje dzieci bawiących się pod osłoną grupy, byli niemal jak brat i siostra. Rozmawiali o tym, że spotkają się po wojnie, ale należało to do roli, którą grali, roli zakochanych, kochanków, i nie mówili szczerze. I Martha już niecierpliwie czekała, kiedy pozbędzie się tego obrazu siebie, osoby o znacznie mniejszych możliwościach niż w rzeczywistości. Kto jednak miał zająć to puste miejsce przy jej boku? Wiedziała, że nie ma nikogo takiego; żaden z mężczyzn wokół niej nie pobudzał jej wyobraźni, a przynajmniej nie fantazjowała o nim dłużej niż kilka chwil.

Tymczasem, powiedziała sobie, musi stać się dobrą komunistką. I zrozumieć, że choć ma pewien potencjał jako komunistką, inni zawsze ją wyprzedzą. Na przykład nigdy nie będzie umiała „pracować” nad ludźmi. Gdy nadarzy się okazja, podejdzie do Antona i zapyta, czy prawdziwy komunista, dobry towarzysz, może tak po prostu przyznać przed sobą, że ma pewne ograniczenia.

Myśl o rozmowie z Antonem sprawiła jej zmysłową przyjemność. Poszczególni członkowie grupy zwierzali się sobie ze spraw osobistych, pod wpływem przemożnego pragnienia, aby dzielić się wszystkim, co ich dotyczy. Anton tego nie robił. Trudno było w ogóle wyobrazić go sobie w takiej sytuacji. Pod koniec zebrania albo w przerwie między jednym a drugim, kiedy inni siedzieli w parach, rozmawiając o swojej przeszłości w taki sposób, jakby składali ofiary przyszłości, on sucho wymawiał się i wracał do pokoju hotelowego, w którym mieszkał.

Wszyscy jednak wiedzieli, że w tym samym hotelu zatrzymała się Austriaczka Toni Mandel; i mimo że jego życie prywatne nie powinno ich interesować (choć wszyscy twierdzili, że sprawy osobiste należy podporządkować działalności

grupy), nie mogli pozbyć się wrażenia, że ta kobieta nie jest ich warta. Na zebraniach chwytła go za ramię obiema rękami, patrzyła mu w twarz z figlarną żywiołowością. Idąc na zebranie albo wracając z niego, dreptała chodnikiem obok Antona i zanosila się krótkim, głośnym śmiechem. Była młoda kobietą w typie dziewczyny, dość szczupłą, a nawet chudą, i nosiła kostiumy o szerokich ramionach w stylu Marleny Dietrich; jej jasne kręcone włosy podskakiwały i kołysały się nieco poniżej obojczyków, po obu stronach pociągłej twarzy 0 nieregularnych rumieńcach na policzkach — twarzy, która wyglądała zza pojedynczych loków, zerkała, obruszała się i kokietowała żywo. Odnosiło się wrażenie, że ani przez chwilę nie czuje się wolna od przymusu okazywania wesołości. Ale raz czy dwa podczas zebrań, kiedy rozmowa albo wymiana poufanych szeptów była niemożliwa, Martha zauważyła, że ta kobieta patrzy przed siebie, z lekko otwartymi ustami, niewidzącym wzrokiem. Co do Antona, spoglądał na tę Austriaczkę z nieznacznym uśmiechem, czułym, pobłażliwym, ojcowskim; Martha jednak miała wrażenie, że ten jego opiekuńczy uśmiech nie jest skierowany ani do owej drobnej, swawolnej dziewczyny, ani prześladowanej kobiety, która jak on uciekła z Europy. Właśnie pod wpływem tego intuicyjnego spostrzeżenia powzięła myśl, żeby porozmawiać z nim o swoich niedostatkach.

Umówili się na spotkanie o szóstej przed zebraniem kwalifikacyjnym. Tego popołudnia Martha zajęta była dostarczaniem paczek „Watchdoga”, komunistycznego pisma z południa, do różnych kawiarni, restauracji i sklepów, które zgodziły się prowadzić jego sprzedaż. Jasmine, która przez ostatnie lata sprzedała zaledwie tuzin jego egzemplarzy, powierzyła to zadanie Marcie, czując najwyraźniej, że ta lepiej sobie z nim

poradzi. I Martha sprzedała go już pięćdziesiąt tuzinów. Chwała otaczająca Stalingrad wyzwoliła niewyczerpane pokłady dobrej woli i tolerancji wobec prowokacyjnych doktryn „Watchdoga” w duszach kilkudziesięciu oszczędnych sklepiarzy. Wystarczyło, że Martha weszła do jednej z greckich czy żydowskich kafejek, do jakiegoś hinduskiego sklepiku z egzemplarzami „Watchdoga”, którego nagłówki głośno przeważnie: *Armia Czerwona odbija Rostów* czy też *Bohater-ska obrona Charkowa*, a właściciel już uśmiechał się przyjaźnie na myśl, że mógłby sprzedawać je dla niej. Tego popołudnia wyruszyła jak zwykle na rowerze do biedniejszej części miasteczka, jeżdżąc od jednego sklepu do drugiego. Tłoczyli się w nich Murzyni. Drzwi zawieszane były ramami od rowerów oraz girlandami opon, koralami, czosnku i jardami kolorowej taniej bawełny. Przed każdym stał przenośny gramofon i cicha jazzowa muzyka drgała wraz z falami gorącego powietrza, które lśniło oleiście i migotało nad płytami chodnikowymi, mieszając się z odurzającymi, fermentującymi w słońcu, dusznymi zapachami tej części miasteczka. Czasami jakiś czarny zatańczył przy gramofonie: uderzał swoimi wielkimi, kocimi stopami o chodnik i muskał go, wyrzucał przed siebie ramiona i biodra, przewracał oczami, z wielką dobroduszną radością podczas gdy jego wzrok przeczesywał grupki przechodniów, mężczyzn i kobiet, zapraszając ich, aby przyłączyli się do niego, a przynajmniej odczuli tę samą przyjemność. Albo spoglądał posepnie przed siebie, tęskniąc, jak sądziła Martha, za weldem. Bo sama nie mogła wkroczyć do biednej części miasteczka, żeby nie owładnęła nią tęsknota za nim i za swoim dzieciństwem. W każdym sklepie zatrzymywała się na chwilę przy ladzie wśród bel bawełny i słoików z zabójczo kolorowymi słodyczami, wdychając wonie

silnych, tanich barwników, potu i mydła, rozmawiając z młodymi, uśmiechniętymi hinduskimi sprzedawcami o okrągłych twarzach, z których część przychodziła regularnie na zebrania Klubu Postępowców. W końcu, gdy jej torebka stawała się ciężka od drobnych, zwracała rower w kierunku szacownych dzielnic miasteczka i robiła to z niechęcią. Tego popołudnia dochodziła już szósta, gdy skończyła i przejeżdżała obok stacji, ale zauważyła pana Maynarda za kierownicą samochodu stojącego przed budynkiem sądu pokoju. Obok niego siedziała pani Talbot. Udawała, że nie widzi Marthy; czy raczej, kiedy jej piękne szare oczy przypadkiem napotkały jej wzrok, przybrały wyraz przepojonego zdumieniem bólu i spojrzały w dół, podczas gdy jej mina wyrażała pełną urazy powściągliwość. Miała na sobie szary jedwabny kostium, a przy dekolcie bukietek ciemnych fiołków, jej blada twarz prześwitywała przez ciemnoróżową woalkę spływającą z czubka głowy, gdzie też przypięte były fiołki. Najwyraźniej była na ślubie, którego udzielał pan Maynard. Goście, sztywni w ciemnych garniturach, z których wystawały spalone słońcem ręce i twarze, albo w kwiecistych jedwabnych sukniach, odświeżonych rękawiczkach i kapeluszach, rozchodzili się właśnie po nędznych chodnikach, obsypanych konfetti. Pani Talbot, przeczuwała Martha, musiała pospiesznie wsiąść do samochodu, żeby uniknąć krępującej sceny, krępującej ze względu na niestosowność uczestniczenia w niej. Z ożywieniem położyła teraz dłoń na obciążonym czarnym sukniem ramieniu pana Maynarda, a on skłonił się do przodu, pochylając nad nią swoją ciężką głowę o ciemnej wydatnej szczęce. Prosi go o radę w sprawie inwestycji, uznała Martha; bo zauważyła, że pani Talbot nigdy nie była tak bezradnie kobieca jak właśnie w takich momentach. Przejechała obok samochodu w taki

sposób, żeby pani Talbot nie musiała denerwować się koniecznością zignorowania jej; ale melancholijne, przypominające posokowca spojrzenie pana Maynarda zwróciło się ku niej i usłyszała, jak powiedział przez otwarte okno:

— Proszę poczekać, chcę zamienić z panią słowo, młoda kobieto.

Martha skinęła głową, zirytowana ową „młodą kobietą”, ale świadoma, że zwrócił się do niej tak ze względu na panią Talbot, która — jak doskonale zdawała sobie sprawę ze słuszności takiej postawy — zawsze spodziewała się po ludziach chwilowych odstępstw od zazwyczaj wyznawanych przez nich standardów. Martha podjechała na rowerze do krawężnika i zaczęła, aż pan Maynard zrównał się z nią i powiedział, już bez żadnych konotacji z „młodą kobietą” w głosie:

— Może pani odstawić na chwilę ten pojazd? Chciałbym z panią porozmawiać.

Martha oparła rower o ścianę i wsiadła do samochodu obok niego z naręczem „Watchdoga”.

Pan Maynard siedział ze zmarszczonym czołem. Był rozdrażniony, ale nie na nią.

— Cóż to słyszę? — zapytał w końcu. — Nie chce pani dać rozwodu młodemu Knowellowi?

— Nie wiem, o co chodzi.

— Przyznaję, że wydało mi się to nieprawdopodobne.

— Muszę gdzieś być o szóstej — zauważyła Martha.

— Nie mam wątpliwości, że gdzieś pani musi być... zawsze pani była. Ale jest już po szóstej i może pani równie dobrze przeprosić za uzasadnione spóźnienie.

Martha pomyślała o czekającym na nią Antonie, przez chwilę wierciła się na miejscu i znieruchomiała.

— Podobno — zaczął pan Maynard, dość obcesowo, bo był niezadowolony z konieczności powiedzenia tego — dała pani do zrozumienia, że jeśli młody Knowell rozpocznie postępowanie rozwodowe przeciwko pani, pani podejmie kroki przeciwko niemu, oskarżając go o zdradę.

Martha na wpół zdrętwiała z gniewu i niesmaku. Odparła:

— Innymi słowy pani Talbot obawia się, że jej ukochana Elaine zostanie pozwana przed sąd, i poprosiła pana, żeby mi pan to wyperswadował.

— Może pani tak to określić.

Odwróciła od niego twarz, bawiąc się uchwytem przy drzwiach, jakby miała zaraz wyskoczyć z samochodu. Widząc wyraz gniewu i odrazy na jej twarzy, powiedział pospiesznie, ze śmiechem:

— Każdy inteligentny człowiek wie, że kiedy małżonkowie się rozwodzą, to nawet jeśli są najbardziej uroczyymi, prawdziwymi ludźmi na świecie, nie należy wierzyć żadnemu ich słowu.

— W takim razie nie wiem, po co się pan kłopotce i zadaje mi te pytania. — Otworzyła drzwi i już miała wyjść.

— Nie, proszę poczekać jeszcze chwilę. Niech pani poczeka. — Teraz z kolei on się zaczerwienił: jego przystojna, potężna twarz nabiegła krwią. Przesunął dłonią po oczach, które przymknął. — Przepraszam — rzekł. — Znalazłem się w niezręcznym położeniu. Nie wiem, dlaczego w ogóle zgodziłem się z panią porozmawiać... ale chyba nie miałem wyjścia. Proszę potraktować mnie jak emisariusza. Niech mi pani odpowie jak grzeczna dziewczynka i skończmy z tym.

— Od całej tej sprawy robi mi się niedobrze — odparła Martha. — Nie wiem, dlaczego to musi być takie... obrzydliwe. Parę dni temu widziałam się z Douglasem, który powiedział



mi, że rozwiedzie się ze mną, podając jako powód porzucenie, i zgodziłam się na to. Czemu miałabym się nie zgodzić? Nie chcę być w to wszystko zamieszana.

— Zamieszana? Ale przecież jest pani zamieszana.

— Nie, nie jestem. — Na widok jego ironicznej miny wyjaśniła: — Jeśli oni chcą zrobić z tego coś brzydkiego, to ich sprawa.

— Nie pani?

— Nie. Jeżeli Douglas opowiada pani Talbot, że stwarzam trudności, to nie dlatego, że chce mieć wymówkę, aby nie zenić się z Elaine, jestem tego pewna...

— Skąd ta pewność? Ja jej nie mam wcale.

— To oczywiste. Im szybciej się ożeni, tym szybciej jego duma zostanie uleczona, nie sądzi pan? Nie mam wątpliwości, że ożeni się znowu przed upływem roku... a ma akurat pod ręką Elaine. Ożeni się dzień po uprawomocnieniu się orzeczenia, żeby pokazać wszystkim.

— To znaczy, żeby pokazać pani?

— Mnie? — zapytała Martha, szczerze zdziwiona. — Dlaczego mnie? Ja go nie obchodzę. Obchodzi go, co ludzie powiedzą, to wszystko.

— Aha — skomentował pan Maynard.

— A jeśli pani Talbot zna choć trochę Douglasa, to powinna wiedzieć, że oskarża mnie on o utrudnianie rozwodu, aby ona i Elaine tym bardziej mogły mu współczuć.

— A nie przyszło pani do głowy, że Douglas nie może pani wybaczyć, iż nie poprosiła go pani, aby zachował się szarmancko i wziął na siebie odpowiedzialność za rozwód?

— Pana zdaniem nie może mi wybaczyć, że nie dałam mu okazji zademonstrowania przed panią Talbot i Elaine, jaki jest szlachetny... i będzie się nad sobą użalał miesiącami.

— Już taka pogarda jest naprawdę niewybaczalna, proszę pani — zauważył w końcu z ironiczną urazą w głosie, jakby to jego oskarżała.

— O Boże, ja tylko chcę już uwolnić się od tego. Powtarzam wam... — Urwała. W końcu do tej pory nie miała możliwości nic mu powiedzieć i owo „wy” obejmowało wszystkich i wszystko, jej poprzednie życie, które nie miało nic wspólnego z tym, kim była obecnie.

— Ach tak — rzucił pan Maynard, tym razem ostatecznie. Przez chwilę przyglądał się swojej szlachetnej dłoni, z tyłu i z przodu. — Cóż, pani stanowisko wydaje się jasne, więc przy sposobności powtórzę pani Talbot to, co pani chce jej przekazać.

— Nie chcę nic przekazać pani Talbot.

— Nie może pani przecież oczekiwać, że zaaprobuje ona pani postępowanie.

— A dlaczego nie? Teraz może mieć to, czego zawsze pragnęła... żeby Elaine wyszła za Douglasa. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego tak jej na tym zależy, ale zawsze czułam, że tak jest.

— Tak, chyba ma pani rację. Co do tego prawdopodobnie się pani nie myli. — Martha, zaniepokojona, spojrzała na niego uważnie; sposób, w jaki to powiedział, świadczył, że zna panią Talbot całkiem dobrze (choć teraz wyrażał się o niej ironicznie), czego nigdy by się nie spodziewała. Przestał oglądać swoje palce i uniósł wzrok, a zobaczywszy jej wyraz twarzy, dodał pospiesznie: — Pani Talbot i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Wzruszyła ramionami, zniecierpliwiona myślą, że mógłby uznać, iż to ją w ogóle interesuje.

— Hm — odparł, zirytowany tym jej wzruszeniem ra-

mion. — Nigdy nie zgłębię pani zawiłej moralności, ale jeśli jest pani zaszokowana, a tak się zdaje, to mogę tylko powiedzieć, że nie ma pani ani krztyny poczucia humoru.

Martha znowu wzruszyła ramionami. Przyjrzał jej się, odnotował, że jest blada, znacznie szczuplejsza niż wtedy, gdy ostatnio ją widział, a usta ma zaciśnięte w wyrazie smutku.

— Tęskni pani za córką? — zapytał.

— Nie — odparła zdecydowanie, krzywiąc się.

— Aha — powiedział już łagodniejszym tonem. — No, no. I zamierza pani wyjść za mąż za tego swojego młodego człowieka?

— Jakiego młodego człowieka? Ach, ma pan na myśli Williama?

— Nie wiedziałem, że jest jakiś inny, o którego mogłoby chodzić.

— Dostał przydział. Za mieszanie się do polityki — dodała.

— I słusznie.

— Jeśli ludzie mogą umierać za politykę, to nie widzę powodu, dla którego nie mieliby brać w niej czynnego udziału.

— Jakie to naiwne. Czy to linia tego szmatławca? — Wyciągnął rękę po cienki egzemplarz „Watchdoga” i z uniesionymi brwiami spojrzął na jego krzyżącą pierwszą stronę.

— To okrutne — zauważyła Martha.

— Owszem. Wolę lewicową propagandę napisaną przyzwrotną angielszczyzną, z mniej rażącymi hasłami, w poważanych tygodnikach, gdzie tylko tacy reakcjonści jak ja mogą ją oglądać. Lubię te ich wprowadzenia: „Na podstawie informacji naszego korespondenta można by sądzić, że istnieje prawdopodobieństwo...”. — Uśmiechnął się do niej, prowokując i ją do uśmiechu. Ale pozostała niewzruszona.

— Dlaczego nazywa to pan propagandą? Zresztą i tak nie

jest adresowana do pana. — Odebrała mu gazetę i położyła na stole pozostałych.

— Rzeczywiście nie, ale chyba też nie do pani.

— Która godzina? — zapytała.

— Nie pojechalibyśmy do klubu na drinka?

— Do klubu! — zawołała szyderczo.

— No to chodźmy na herbatę do Greasy Dick's.

— Jestem już spóźniona, mówiłam panu.

— Prowadzi pani rekrutację wśród mas pracujących?

Uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy, ale nic nie powiedziała.

— Tak czy nie?

— Muszę już iść.

— Nie, niech pani zaczeka jeszcze chwilkę.

— Po co, jest coś jeszcze?

— Właściwie tak. Chodzi o Binkiego. Pamięta pani może mojego syna?

— No oczywiście.

— Oświadczył nam, że zamierza ożenić się z dziewczyną imieniem Maisie. Zna ją pani?

— A pan nie? Oprowadza się z Binkiem od miesiący.

— Nie wiedzieliśmy o tym. Ale zdaje się, już dwa razy owdowiała?

— Och, więc ten typ z RAF-u w końcu dał się zabić?

— Tak jak pani powiedziała. Ten typ z RAF-u dał się zabić. Podobnie jak jej pierwszy mąż.

— Hm, to chyba nie jej wina?

— Binkie jest na przepustce i chce się jak najszybciej ożenić z tą Maisie. Spotkałem się z nią i zapytałem, czy i jej na tym zależy, a ona odparła, że nie za bardzo. Zawsze podchodzi z takim entuzjazmem do swoich narzeczonych?

— Cóż, tak. To... poczciwa dziewczyna — stwierdziła Martha.

— Dobry Boże.

— Co chciałby pan o niej wiedzieć?

— Moja żona od trzech dni płacze, ale najwyraźniej widzi w Maisie uroczne dziecko. Chcę się dowiedzieć, czy i ja mam tak o niej myśleć.

— Nie jest z państwa klasy — powiedziała Martha — jeśli o to panu chodzi. — Miała świadomość, że używając tego słowa, składa hołd ich starej znajomości: nauczyła się bowiem stosować je w znaczeniu politycznym, nie towarzyskim. Jednak znowu odniosła wrażenie, że daje się wciągnąć w coś, z czego już wyrosła, i poczuła o to do niego pretensję.

— Nie, bynajmniej. Może nie należy do naszej klasy, ale już do klasy Binkiego, owszem. Chcę wiedzieć, czy to dobra dziewczyna... no, rozumie pani, stateczna, spokojna i tak dalej. Czy też wezmą rozwód podczas jego następnego urlopu?

— Znają się od lat. Ale dlaczego nie porozmawia pan o tym z Binkiem?

Twarz mu sposepniała i odparł:

— Nie umiem rozmawiać z ludźmi, których użycie języka ogranicza się do prymitywnych okrzyków radości i bólu. Nie żebym nie potrafił ich rozróżnić, oczywiście. — Pochylił się i położył swoją dużą dłoń na jej kolanie. — Moja droga, nie porozmawiałaby pani z nią w moim imieniu?

— Chce pan, żebym spotkała się z Maisie i poprosiła ją, aby nie wychodziła za Binkiego? — zapytała Martha poruszona.

— A dlaczegoż by nie? Jeśli jej wszystko jedno, za kogo wychodzi? Bo rozumiem, że to miała pani na myśli? Z tego, co widzę, teraz wszyscy się żenią, bo zbliżyli się do siebie w ostatnim tygodniu i taki pomysł przyszedł im do głowy.

— Ależ, panie Maynard, sądząc z tego, co mówił mi pan w przeszłości, i tak uważa pan małżeństwo za idiotyzm... więc co za różnica? Jeśli Binkie nie ożeni się z Maisie, to ożeni się z którąś z nich.

— Co to znaczy „z nich”?

— Z paczki... z ich towarzystwa. Z grupy.

— Chce pani powiedzieć, że nie ma wśród nich wielkiego wyboru?

Martha wykonała zniecierpliwiony ruch całym swoim ciałem i wyjaśniła:

— Panie Maynard, nie spotykam się już z nimi. Nie rozumiem, dlaczego prosi pan akurat mnie. Nie widziałam się z Maisie od miesiący... chyba że na ulicy. To odrażające, że prosi mnie pan o to, abym wywarła na nią presję. Obrzydliwe, wie pan?

— Nie rozumiem dlaczego — odparł ze znużeniem. — Ja sam naprawdę nie mogę tego zrobić. Ale jeśli takie są pani odczucia, to nic więcej nie mam do powiedzenia.

Otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu na chodnik.

On włączył silnik i odwrócił się, aby jeszcze powiedzieć:

— Chciałbym dać pani pewną radę, młoda kobieto. Lepiej niech pani wyjedzie z dzielnicy kafirskiej sama. I chyba nie sądzi pani, że oni rozumieją choć słowo z tego, co pani do nich mówi?

Martha odparła uprzejmie:

— Jedyne język, jaki rozumieją, to bicz.

— Dobry Boże! — wykrzyknął naprawdę rozeźlony i głęboko poruszony. — Wydaje się pani, że coś da się zmienić? Skoro mamy władzę, wykorzystujemy ją. Czym jest historia? Zapisem nieszczęść, gwałtów i przejawów głupoty. To wszystko. I zawsze tak będzie. Jakże to ma znaczenie, kto stoi na

czele kraju? To zawsze będzie banda niegodziwców, którzy rządzą gromadą głupców. Niech pani posłucha, młoda kobieto. Jeśli z jakiegoś powodu, którego nie pojmuję, interesuje panią mechanizm rządzenia, jeśli naprawdę chce pani się w to mieszać, jedyne, co może pani zrobić, to zdobyć pozycję, która daje władzę. Dla kobiety to łatwe. Powinna pani wyjść za mąż za polityka i kierować nim... a w tym miasteczku, gdzie wszyscy wtrącają się w nie swoje sprawy, łatwiej wyjść za mąż, niż zostać czyjąś kochanką. Jeśli rzeczywiście chce pani zajmować się osobiście brudną robotą, to niech pani porzuci te wszystkie socjalistyczne bzdury i zostanie radną, w końcu da się wybrać... — Urwał na widok urazy, jaka widniała na jej twarzy. Przepełniło go poczucie niesprawiedliwości; mówił poważnie, jak do kogoś równego sobie.

Jeśli zaś chodzi o nią, popatrzyła na niego spokojnie jak na przerażający gatunek z dawnej epoki; wręcz pobladła z niesmaku.

— Dobrze — powiedział. — Dobrze. Niech pani jednak zapamięta moje słowa: może pani sobie biegać i wykrzykiwać te swoje socjalistyczne hasła, ale to nie Anglia, która wspomaga młodych ludzi o socjalistycznych poglądach. Ten kraj to beczka prochu i pani dobrze o tym wie. Wszystko tu może w jednej chwili eksplodować... i jeśli wydaje się pani, że horda dzikusów nie poderżnie pani gardła, tak samo zresztą jak mnie, to jest pani głupia.

Znowu przywiódł Marcie na myśl posokowca, gdy pochylił się w jej stronę z przedniego siedzenia samochodu i popatrzył na nią głęboko osadzonymi oczami o ciężkich powiekach, z ponurą irytacją oczekując, że przyzna mu rację. Uzmysłowała sobie, że rozmawiał z nią jak biały z białym; tak niewiele wiedział o jej poglądach, iż nie potrafił sobie wyobrazić, że te

jego słowa będą dla niej tylko godne pogardy, a nawet nieistotne. Czuła się tak samo jak w obecności pani Carson; słuchała głosu, który był już martwy; jakby to było nagranie, które straciło sens.

Wydał jej się nawet dość żałosny.

— Jestem już strasznie spóźniona — powiedziała.

Zacisnąwszy usta, przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku; potem poprawił pozycję swojego dobrze odzianego ciała za kierownicą, skinął jej oficjalnie głową i odjechał.

Jej rower stał pod ceglana ścianą hinduskiego sklepu wraz z kilkoma innymi. Młody Hindus opierał się o framugę w wejściu obramowanym sznurami koralu i przypraw i przyglądał się parze czarnych dzieci, które kucały na chodniku i kręciły kołami rowerów, tak że kilka par pedałów obracało się bez przerwy — matowe rdzawe krążki w świetle zachodzącego słońca. Dzieci przeskakiwały od jednego do drugiego jak żaby. W momencie gdy ją zauważył, młody Hindus gorliwie podszedł do dzieci, pociągnął je ku górze, tak że wstały, i stuknął je wzajemnie głowami.

— Kafirskie bachory! — zawołał. — Zmykajcie do siebie. Wracajcie do domu, wy czarne kafirskie pokraki.

Spojrzał na nią służalczo, w oczekiwaniu na przychylny uśmiech ze strony białej kobiety. Martha wzięła swój rower, marszcząc czoło i starając się nie pokazać po sobie, że bynajmniej nie docenia tego gestu, i szybko odjechała. Za sobą usłyszała jeszcze przenikliwe głosy dzieci:

— Hinduski Żyd! Hinduski Żyd!

A Hindus odkrzyknął:

— Brudny kafirski pomiot!

Marthę nagle ogarnęło przygnębienie. Pomyślała o panu Maynardzie oraz o incydencie z rowerem i poczuła, że popada



wjeszcze większe przygnębienie. To pewnie dlatego — pomyślała — że jest zmęczona i od rana prawie nic nie jadła. I była już czterdzieści pięć minut spóźniona na spotkanie z Antonem.

W Black Ally's pełno było szaroniebieskich mundurów i nie mogła wypatrzeć Antona. W końcu zauważyła go w kącie, jadł, czytając książkę. Zaniknął ją, gdy Martha usiadła przy stoliku.

-- Już prawie skończyłem — oświadczył.

— Zatrzymał mnie pan Maynard.

W jego oczach błysnęła podejrzliwość.

— Mam nadzieję, że byłaś ostrożna.

Odparła ze śmiechem:

— Mówił, że nie powinniśmy drażnić kafirów.

— „My”, czyli kto?

— Ależ, Anton, oni nie są idiotami. Muszą zdawać sobie sprawę z istnienia grupy czy czegoś w tym rodzaju.

— Zdecydowaliśmy, że to powinno być tajemnicą.

— Anton, jak można podejmować takie decyzje, jeśli... —

Pod wpływem jego intensywnego spojrzenia nie była jednak w stanie kontynuować.

— Decyzje to decyzje i należy ich przestrzegać.

Była świadoma, że zachowuje się poniżej jego i swojego własnego poziomu, kiedy zażartowała, aby go ułagodzić: — Powiedział, że w Anglii można sobie być socjalistą, ale tu to oznacza podważanie supremacji białych.

— Tak, tak, tak. — Jadł dalej, bez uśmiechu, przyglądając się jej. — To w jakiej sprawie chciałaś się mnie poradzić?

Nie wyobrażała sobie, że „prywatna rozmowa” z Antonem potoczy się według harmonogramu, jak na zebraniu; poczuła się niepoważna, bo oczekiwała czegoś innego. Rzuciła pośpiesznie:

— Och, nieważne. Problemy osobiste są zresztą bez znaczenia.

— Tak, tak, wszyscy mamy problemy osobiste — zauważył pomiędzy jednym starannie uformowanym kęsem a drugim. Potem, widząc wyraz jej twarzy, odłożył nóż i widelec i odwołał się do teorii. — Towarzysz powinien tak ułożyć sobie życie osobiste, żeby jak najmniej przeszkadzało mu w pracy — stwierdził. Grupa szeregowców wstała od sąsiedniego stolika i sięgnęła nad głowami Antona i Marthy po czapki i kurtki, które wisiały na wieszaku w kącie sali. Uśmiechnęli się do Marthy po koleżeńsku, bo tak odnosili się do „czerwonych” z miasteczka wszyscy mężczyźni z bazy. Odpowiedziała uśmiechem i zauważyła, że Anton był z tego niezadowolony. Ciągnął jednak: — Kobiecie jest trudniej niż mężczyźnie; i dlatego towarzyszka może oczekiwać pomocy od towarzyszy. Według mnie problemowi kobiet poświęcono za mało uwagi w naszym ruchu. — To oświadczenie obudziło w Marcie nadzieję, że może liczyć na zrozumienie i wsparcie, czekała więc, spodziewając się, że Anton będzie kontynuował. Ale on rozglądał się za kelnerką. — Co zjesz? — zapytał.

— Och... ale ty już skończyłaś, więc nie ma o czym mówić.

— Objadałaś się chlebem. Pewnie powiesz, że to wystarczy, i pójdziesz na górę, na zebranie. Zjadłaś coś w południe? Nie, na pewno nie. Moim zdaniem powinnaś zadbać o to, żeby jadać trzy porządne posiłki dziennie i się wysypiać. Tak, tak, możesz tak funkcjonować z pięć lat, nie śpiąc i nie jedząc, ale w końcu się rozchorujesz i staniesz ciężarem dla innych towarzyszy. Dbanie o zdrowie to pierwszy obowiązek komunisty. — Powiedział to takim samym tonem, jakim mówił o kobietach; ale teraz ją to zirytowało, bo miała wrażenie,

jakby słyszała własną matkę. Pomyślała: w moim wieku — a miała lat dwadzieścia trzy — powinnam już przewyciężyć tę instynktowną niechęć i pragnienie ucieczki za każdym razem, gdy ktoś wywiera na mnie presję. To efekt walki z matką. Powiedziała jednak:

— Postaram się zmienić i być rozsądniej sza.

Podeszła kelnerka. Chodziła z Martha do szkoły, więc uśmiechnęły się do siebie. Dziewczyna podała Antonowi kartę dań w taki sposób, że Martha od razu zorientowała się, iż ten dziwny cudzoziemiec budzi w niej lekko ironiczny respekt.

— Dużą porcję dla tej młodej damy — zamówił Anton. — Owoce w syropie.

Kelnerka niczym szefowa przekazała zamówienie czarnemu kelnerowi, który właśnie przechodził; i poszła poflirtować po matczynemu z grupą szeregowców. Zwracając się do czarnego kelnera, odruchowo przybrała ostry, lekceważący ton. Martha po raz tysięczny odnotowała to znane sobie zjawisko i opowiedziała Antonowi o zdarzeniu przed sklepem hinduskim, ze sprzedawcą i murzyńskimi dziećmi. Gdy o tym mówiła, jej zniechęcenie wróciło; Anton zaś słuchał w milczeniu i stwierdził na koniec, bo najwyraźniej oczekiwała od niego jakiegoś komentarza:

— Kapitalizm powoduje podziały wśród ludzi, ale wszystkie one znikną z nadejściem socjalizmu.

Czarny kelner postawił przed nią talerz. Kelnerka przerwała potyczkę słowną z lotnikami, aby zapytać: — Wszystko w porządku, Matty? — a potem powiedziała do Murzyna: — Jim, wciąż ci powtarzam, żebyś nie... — Z gwałtownym, pełnym zniecierpliwienia gestem ruszyła za nim, gdy odszedł pospiesznie za ściankę kryjącą drzwi do kuchni. Dobiegły zza

niej ich głosy: — Jim, powtarzam to bez przerwy, już sto razy ci mówiłam o nożach i widelcach...

— Tak, proszę pani, ale szef powiedział...

— Nie obchodzi mnie, co powiedział szef. Masz słuchać mnie.

— Tak, proszę pani.

Martha stwierdziła z uporem:

— Czasami wydaje mi się, że socjalizm nie wystarczy, żeby uleczyć to miejsce.

— Socjalizm — sprzeciwił się Anton — uleczy wszystko.

— Nie jesteś stąd, nic nie wiesz.

— Mam tę przewagę, że byłem ćwierćkrwi Żydem w hitlerowskich Niemczech.

To znowu wzbudziło w niej szacunek dla jego doświadczenia, znacznie większego niż jej własne, i poddała się. Nic więcej nie powiedziała, tylko skupiła się na jedzeniu.

— Zrzuńniesz sobie system trawienny — zauważył Anton. Na jego surowych ustach wykwitł nieznaczny ojcowski uśmiech.

Pomyślała: ciekawa jestem, czy tej głupiej Austriaczce też wstawia mowy o zdrowiu i trawieniu. W spojrzeniu, jakie mu rzuciła, musiało być widoczne pytanie, bo wyraz jego twarzy się zmienił.

— To kogo przyprowadzasz na dzisiejsze zebranie? — zapytał. Zabrzmiało to niemal oskarżycielsko; ale nie w związku z polityką, jak podpowiedziała Marcie intuicja. Odparła więc kokieteryjnie:

— Nikogo. Wygląda na to, że byłam zbyt skupiona na Williamie, aby dobrze wykonywać swoją pracę.

Zatrzymał na niej wzrok, tak że poczuła falę gorąca, oblewającą jej szyję, i powiedział:

— Tak jak mówiłem, kobiety mają szczególne problemy. — Ale tym razem jej się to nie spodobało; i wyraził to kolejny rumieniec na jej twarzy.

— Chyba nie mam już ochoty na owoce w syropie — oznajmiła i wstała.

Anton zebrał swoje papiery, zapłacił rachunek i ruszył za nią za zewnątrz, gdzie zatrzymała się, odwrócona plecami do drzwi knajpki, patrząc na ulicę. Pomyślała: w końcu jest z tą Austriaczką już całkiem długo... Jeżeli interesuje się mną — a intuicja podpowiadała jej, że tak jest — to chyba mam z nią coś wspólnego. Ta refleksja wzbudziła w niej pogardę dla siebie samej; bo choć współczuła Toni Mandel, nie miała dla niej szacunku. Zauważyła: byłoby dla niego znacznie wygodniej, gdyby wybrał mnie zamiast niej; jego życie nie byłoby podzielone na dwie części. Zaskoczył ją własny cynizm i spytała zaczepnie:

— Dlaczego nie wciągniesz pani Mandel do grupy?

— Są ludzie, którzy nie nadają się do polityki — odparł. Ona nie jest zwierzęciem politycznym.

— Czy nie mówiłeś, że wszyscy powinni interesować się polityką i że w gruncie rzeczy się nią interesują? Powiedziałeś kiedyś, że gdybyś znalazł się z jakimkolwiek człowiekiem na bezludnej wyspie, w ciągu tygodnia przekonałbyś go o słuszności i logicznym następstwie komunizmu.

— Tak, tak, tak. Ale tymczasem musimy brać pod uwagę okoliczności. — Szli teraz po pograżonych w mroku schodach. — Więc nikogo nie przyprowadzasz? A wiesz, kogo przyprowadzą inni?

— Widziałam się wczoraj z Marjorie. Zamierza wziąć z sobą Colina Blacka.

Nawet w ciemnościach poczuła, że zeszywniał.

— A kto to jest Colin Black?

— Widywałeś go na zebraniach klubu. To jej chłopak.

Martha miała świadomość, że Anton darzył Marjorie szczególnymi względami, i pomyślała: A może on myśli o niej? Ale chyba musiał zauważyć, że ona i Colin są razem? W tej chwili przez otwarte drzwi biura na twarz Antona padło światło i widniał na niej wyraz zaciętości. W biurze zebrało się już sporo ludzi, była wśród nich i Marjorie, która siedziała obok Colina. Zwykle Anton witał się najpierw z nią, przypomniawszy sobie Martha; tym razem, nie witając się z nikim, sztywno podszedł od razu do stołu, usiadł za nim i rozłożył swoje papiery, nie patrząc na innych, którzy, uznając jego przywództwo, zamilkli i czekali na swoich miejscach na ławach pod ścianami. Na twarzach każdego z nich widać było radosne wyczekiwanie; i Martha poczuła się podniesiona na duchu po niedawnych wątpliwościach i zniechęceniu, jakie czuła na dole, w Black Ally's i na ulicy. Usiadła i zerknęła na nowe osoby.

Znała ich wszystkich, z wyjątkiem lotników, którzy przybyli z Andrew, pięciu mężczyzn w grubych szarych mundurach siedzących razem jak grupa w ramach grupy. Colin, chłopak Marjorie, otyły, potężny, ciemnowłosy urzędnik służby cywilnej w okularach, także przyglądał się wszystkim z powagą w tych chwilach, gdy nie patrzył czule na Marjorie. Po jej drugiej stronie siedziała niezwykle ładna szczupła dziewczyna, sekretarka z któregoś biura handlowego. Nazywała się Carrie Jones. Jasmine przyprowadziła Murzyna, którego nikt wcześniej nie widział, potężnego mężczyznę, patrzącego na nich dobrotliwie ze swojego miejsca. Jasmine ściągnęła także małżeństwo Marie i Pieta Du Preez. On był wysokim, muskularnym, łagodnym facetem, jednym z wyższych urzędników w Unii Białego Handlu. Jego żona — poważna kobieta

0 sympatycznej twarzy — ubrała się jak na popołudniową herbatkę, bo miała na sobie sukienkę w kwiaty i białe pantofle na wysokich obcasach. Za Pietem siedział drobny młodzieniec, mniej więcej siedemnastoletni, prawdopodobnie jego protegowany, ze związku zawodowego. Na jego czerwonej twarzy widać było skrępowanie, skóra łuszczyła się na skutek oparzenia słonecznego, miał pełne przejęcia i gorliwości szare oczy i wysuszone, wypłowiałe od słońca włosy, przylizane brylantyną, ale ze słabym skutkiem, bo sterczały w grubych niesfornych kosmykach wokół całej jego głowy.

Tych piętnastu ludzi spoglądało po sobie z pełną respektu ciekawością, w tak głębokiej ciszy, że w pokoju słychać było zgiełk głosów dochodzących z Black Ally's na dole wraz z wonią jedzenia, która współzawodniczyła z kredowym zapachem biura.

Andrew McGrew, który zdjął kurtkę, zwinął ją w kulę i podłożył sobie pod plecy, w końcu wyjął fajkę z ust, kiwając na Antona, i powiedział: — Zaczynajmy.

Anton całą swoją postawą, ściągniętymi ramionami i opuszczoną nieprzyjaźnie głową, wyraźnie dawał do zrozumienia, że zgodnie z umową nie powinno być tu tego wieczoru więcej niż dziesięć osób. Zaczął, nie unosząc wzroku:

— Przede wszystkim trzeba wyjaśnić, dlaczego się tu zebraliśmy.

Andrew odparł niecierpliwie:

— Jesteśmy tu wszyscy, bo wierzymy w komunizm.

W pokoju zapanowało poruszenie i rozległy się ciche okrzyki aprobaty i zainteresowania. Anton uniósł swoje jasne oczy i przesunął wzrokiem po twarzach zebranych.

— Tak, tak, ale musimy wyjaśnić sobie powód naszej tu obecności.

Andrew, zmarszczywszy czoło, chciał znowu coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Pospiesznie włączyła się Jasmine, najwyraźniej próbując zapobiec konfliktowi między tymi dwoma:

— Podjęliśmy decyzję, że przyprowadzimy na to zebranie ludzi, którzy chcą wstąpić do grupy. I uzgodniliśmy, że wygłosisz krótki wykład na temat marksizmu.

Anton powiedział z uporem:

— Najpierw trzeba ustalić, czy ludzie zebrani w tym pokoju uważają się za kandydatów na członków, czy nie.

— Myślę, że pan Hesse ma rację — odezwał się Piet Du Preez. — Jeśli chodzi o mnie, to trochę nie mogę się zorientować. Nie chodzi mi o komunizm. W zeszłym roku zetknąłem się z partią na południu, i w porządku. Ale chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o tej grupie. W mieście dużo się o niej mówi. Czy to formalna, zorganizowana grupa komunistyczna, czy kółko dyskusyjne?

Anton nic nie odpowiedział. Jasmine spojrzała więc na Andrew, który wyjaśnił:

— To grupa komunistyczna. Tajna grupa komunistyczna. A chłopcy z bazy przyszli tu dziś, żeby posłuchać i zorientować się, czy chcą do niej wstąpić. Towarzysz Anton jednak, jak się zdaje, uważa, że nie powinien się wypowiadać, dopóki się nie dowie, czy wszyscy chcą się do nas przyłączyć.

— W takim razie — zabrał głos Anton — określmy to tak: ludzie przyszli tu, żeby posłuchać dyskusji o marksizmie, a potem zdecydują, czy chcą wstąpić do grupy, czy nie.

— Ale przecież od początku tak mówiliśmy — odezwała się Marjorie, rozbawiona i zniecierpliwiona. Martha zauważyła, że dziewczyna usiłuje pochwycić spojrzenie Antona, aby jak zwykle uzyskać jego ojcowską aprobatę, i jest urażona, bo spojrzał jej w oczy z kamienną miną. Odparł chłodno:



— Owszem, tak. Ale musimy dobrze wiedzieć, na czym stoimy. Wygłoszę teraz czterdziestopięciominutowy wykład o marksizmie, ze szczególnym uwzględnieniem dialektyczno-materialistycznej koncepcji historii, po którym odbędzie się dyskusja. A później wszyscy przybyli zdecydują, czy na podstawie tego, co usłyszeli, chcą się do nas przyłączyć.

— Właściwie — głos zabrała ładna ciemnowłosa dziewczyna, pochylając się do przodu — większość z nas wie coś niecoś o partii, prawda? Ja zostałam do niej wciągnięta w zeszłym roku w Londynie. Oczywiście, byłam na wakacjach, więc może to się nie liczy, ale jestem już trochę zorientowana i myślałam, że tak samo jest z większością.

Próbując powściągnąć irytację, Anton powoli przerzucał kartki.

Andrew zapytał:

— Czy jest tu ktoś, kto nie zetknął się w żaden sposób z zorganizowaną partią komunistyczną?

Chłopak siedzący obok Pieta poczerwieniał jeszcze bardziej. Piet dobrodusznie szturchnął go łokciem, więc ten uniósł rękę jak uczeń i powiedział:

— Ja jeszcze nie miałem z nią do czynienia.

Po nim, w odpowiedzi na spojrzenia Andrew, głową skinął Murzyn, Elias Phiri, który oświadczył: — Ja jestem zupełnie niezorientowany. Ale bardzo mnie to interesuje.

Popatrzyli na niego z sympatią; w końcu byli tu wszyscy ze względu na jego pobratymców. Odpowiedział na ich spojrzenia szerokim uśmiechem.

— No to teraz wiemy, na czym stoimy — stwierdził Andrew. — Chłopcy tu mają pewne doświadczenia z Anglii. Ale nie zaszkodzi, jeśli powtórzymy sobie podstawy.

— Na pewno nie — przyznał Anton spokojnie, patrząc na

nich kolejno. — Towarzysze — zaczął. — To brzask historii rodzaju ludzkiego. Mamy ten przywilej, że przypadło nam żyć w czasach, w których ludzkość czyni pierwszy wielki krok naprzód, żeby wyjść z barbarzyństwa i chaosu nieplanowej gospodarki na światło słoneczne socjalizmu... przejść z dzieciństwa naszego gatunku ku dojrzałości. To od nas, ludzi takich jak my, z całego świata, zrzeszonych członków partii komunistycznej, zależy przyszłość rodzaju ludzkiego, przyszłość naszego gatunku.

Mówił powoli, wypowiadając zdanie po zdaniu z głowy, gdzie spoczywały przygotowane, i rzucając je słuchaczom miarowym, spokojnym głosem, nie tyle zimnym, ile bezosobowym.

Martha pochyliła się do przodu, cała napięta, na swoim kawałku twardej ławy. Kiedy rozejrzała się wokół, zauważyła, że inni znajdują się w podobnym stanie, czują się radośni i wyzwoleni. Miała wrażenie, że ten powolny głos odcina ją od przeszłości, tej szpetnej przeszłości, którą pan Maynard nazwał tego popołudnia historią nieszczęść, gwałtów i aktów głupoty, będącą dziełem „bandy niegodziwców, którzy rządzą gromadą głupców”. Ale koniec z tym. Czuła wszechogarniające współczucie: dla całej tej żalostnej przeszłości i dla niezliczonych nieszczęśliwych ludzi na świecie, którym zobowiązała się służyć.

Ten spokojny głos odwoływał się do wspomnień z jej dzieciństwa, które wciąż w niej żyły, do doświadczeń, które wydawały jej się trwałe i prawdziwe; chwil oświecenia i wiary.

Głos ten mówił: — Towarzysze, nieskończona złożoność zdarzeń, mających miejsce i wchodzących z sobą w interakcje, tak że nie ma na tym świecie zjawiska, które nie byłoby powiązane z innymi... bo w naturze nic nie dzieje się samo... —

I powróciła do niej świadomość wzajemnego oddziaływania i zmagania się sił natury, które w przeżytych przez nią chwilach oświecenia walczyły z sobą w jej własnym ciele, aby stać się jego częścią.

Mówił: — Towarzysze, ludzie sami tworzą swoją historię... — I poczuła, że jej ramiona się prostują, w przypływie siły, jakby dostała zastrzyk wiary. Czuła się tak przed wieloma laty, gdy młodzi Cohenowie na stacji dawali jej książki, jakby wręczali klucz, wierząc, że użyje go właściwie.

Mówił: — Towarzysze, burżuazyjne złudzenie wiecznego trwania, złudzenie, że obecny system władzy jest stały... — I straszny lęk, który ją prześladował, koszmar powracającego i nieuniknionego zła, został przez te słowa zepchnięty w miejsce, gdzie nie był już groźny.

Mówił: — Pobudki ludzi tworzących historię w przeszłości często były szlachetne; ale idee reformatorów przeważnie nie miały związku z tym, czego udało im się już dokonać; teraz pierwszy raz w historii ludzie mogą osiągnąć to, do czego dążą; bo marksizm to klucz do zrozumienia wszelkich zjawisk; my, w naszej epoce, widzimy już koniec tego strasznego procesu, który objawił się na przykład podczas rewolucji francuskiej, kiedy ludzie w szlachetnym celu szli na śmierć tysiącami... w ich przypadku były to wolność, równość i braterstwo... choć w gruncie rzeczy obalili jedną klasę i dali władzę innej, żeby rabowała i niszczyła. Po raz pierwszy świadomość i dokonania są z sobą powiązane, idą ręką w rękę, uzupełniają się nawzajem... — I Martha poczuła się, jakby zapaliło się przed nią światło: mogła nadal podziwiać tych wielkich ludzi, których do tej pory podziwiała; zostali tylko wprowadzeni w błąd, to wszystko. I nie musiała już wściekać się, jak choćby jej ojciec, na wspomnienie zdradzonych ideałów. Nie

będzie już czegoś takiego jak niewłaściwie skanalizowane pragnienie czynienia dobra ani pełen goryczy idealizm.

Spokojna, pełna odpowiedzialności pewność w głosie Antona sprawiła, że Martha popadła w stan cichego uniesienia i poczucia celu. Wiedziała, że wszyscy w pokoju czują podobnie. Złączyła się z nimi wszystkimi, i to z najgłębszej potrzeby całej swojej istoty. Zebrani, słuchając, wymieniali z sobą krótkie, pełne ufności spojrzenia; ich oczy wyrażały wiarę w siebie wzajemnie i w całą ludzkość.

Anton Hesse przemawiał dłużej niż trzy kwadranse. Nie można by powiedzieć, że go poniosło — bo tak nie było; ale jego słowa miały w sobie moc i pasję wielkich ludzi, od których je przejął; a z kolei milczenie pełnych ufności piętnastu słuchaczy obudziło w nim wiarę w nich, której niewątpliwie mu brakowało, zanim zaczął mówić. Jego bardzo jasne, niebieskie oczy, błyszczące w białym świetle spływającym z góry, wędrowały od jednej twarzy do drugiej — nie z jakimkolwiek apelem; wyrażały za to pewność, bo słowa, których użył, były dowodem życzliwości i zaufania.

Zakończył cicho:

— Towarzysze, wyłożyłem wam sam rdzeń tej konstrukcji myślowej, jaką jest marksizm. Niech wam się nie wydaje, że to coś więcej niż tylko szkic, zarys. Jeśli mamy być poważnymi ludźmi, musimy się uczyć. Musimy się dużo uczyć.

Opuścił ramiona i schylił głowę, patrząc na kartki, które zebrał, jakby chciał już pójść.

— Powinienem pogratulować towarzyszowi Antonowi najlepszego zarysu marksizmu, jaki kiedykolwiek słyszałem — odezwał się Andrew. — Proponuję, żebyśmy niniejszym powierzyli mu funkcję członka grupy do spraw samokształcenia.

— Popieram — pospiesznie rzuciła Jasmine.

Anton odpowiedział cierpliwie, choć nie bez ironii:

— Towarzysze, jeśli mogę zauważyć, w partii nie mianuje się członka do spraw samokształcenia, ani zresztą żadnego innego, na fali entuzjazmu.

— Słusznie — odparł Andrew. — Przepraszam.

— Czy jest tu ktoś, kto nie chce wstąpić do grupy? — zapytała Jasmine.

Nikt się nie zgłosił. Po chwili można było zauważyć, że wszyscy patrzą na czarnoskórego Eliasa. Ten uśmiechnął się i skinął głową. Andrew powiedział:

— Chyba mogę mówić w imieniu chłopców z bazy. — Wszyscy czterej lotnicy, którzy byli z nim, kiwnęli głowami.

— Więc nie ma nikogo, kto chciałby się wycofać. No oczywiście, że nie — stwierdziła Marjorie z zapałem.

Jeden z lotników, młody Szkot o płomiennych włosach, zarumienił się i przemówił rozmyślnie żałosnym tonem:

— Posłuchajcie, żaden ze mnie uczony. Jeśli oznacza to powrót do nauki, nie mam nic przeciwko. Uczyłem się do czternastego roku życia, ale jestem zwykłym robotnikiem, i już.

Na co odezwał się młody Tommy Brown:

— Ja tak samo. Nie wszystko rozumiem. To znaczy podobąło mi się to, co pan powiedział, ale skończyłem naukę w wieku piętnastu lat.

Anton wyprostował się za stołem, patrząc najpierw na młodego Szkota, a potem na chłopaka z kolonii.

— Towarzysze — rzekł — chcecie powiedzieć, że robotnicy nie są zdolni do nauki? Do samokształcenia? Dobrze zrozumiałem?

— A tam — odparł Szkot. — Nikt nie powie przy mnie

złego słowa na robotników. Ale na mój rozum to wszystko jest za bardzo napuszone, taka jest prawda.

— Nie, to nie jest prawda — oświadczył Anton. Pochylił się, przyszpilając wzrokiem młodego Murdocha Mathewsa ze slumsów Glasgow, który skulił się pod jego zimnym spojrzeniem. — Towarzyszu, skoro tak mówicie, to znaczy, że wywarła na was wpływ kapitalistyczna propaganda, głosząca, że robotnicy nie są zdolni do niczego. Jesteście ofiarą tej propagandy. Jako robotnika stać was na wszystko.

Murdoch, próbując porozumieć się z młodym Tommym, który był zbyt przejęty, żeby odpowiedzieć na jego żartobliwie desperackie spojrzenia, odpowiedział:

— Mimo wszystko nie rozumiem połowy tego, co powiedzieliście, towarzyszu. — W jego głosie wciąż było słyhać lekki żal. Jednak pod wpływem surowego, karcącego spojrzenia Antona wyprostował się i rzekł już inaczej, męskim, odpowiedzialnym tonem: — Ale jestem chętny. Chętny do nauki, jeśli będziecie chcieli mnie uczyć.

Anton zwrócił się do Tommy'ego:

— Towarzyszu Tommy, naprawdę nie zrozumieliście połowy z tego, co powiedziałem?

— Zrozumiałem, o co chodzi — odparł Tommy przepraszająco. — Ale użył pan wielu trudnych słów.

— Wobec tego przepraszam. Musicie zwracać mi uwagę w przyszłości. To była zawsze moja największa wada. Ale trudno jest znaleźć właściwie słowa w obcym języku.

— Mówi pan po angielsku lepiej niż ja — zauważył Tommy z nutą podziwu i pretensji jednocześnie.

— Cudzoziemcy przeważnie mówią lepiej po angielsku niż Anglicy — włączyła się Marjorie z serdecznym uznaniem dla Antona, aż ten uniósł głowę i posłał jej swój lekki,

wyrozumiały, ojcowski uśmiech, do którego była zresztą przyzwyczajona. Jednak Colin Black wciąż patrzył na nią z uwielbieniem; więc twarz Antona sposepniała i powiedział, rozglądając się po pokoju:

— To co, popracujemy teraz wszyscy nad teorią?

Na to odezwał się jeden z lotników, który do tej pory milczał, bardzo wysoki, niechlujnie wyglądający młodzieniec o bladej pociągłej twarzy pod rzadkimi ciemnymi włosami:

— Chciałbym wam przypomnieć, towarzysze, że teoria powinna łączyć się z praktyką.

Anton zapytał:

— Należeliście do partii? — Nie dodał „oczywiście”, ale sugerował to jego ton; młody człowiek mówił tak samo autorytatywnie jak on.

— Przez trzy lata — potwierdził lotnik.

— Macie całkowitą rację. Nie zapominamy o nierozłączności teorii i praktyki. Ale zanim zastosujemy idee w praktyce, musimy wiedzieć, na czym one polegają. Krótko mówiąc, należy przeanalizować sytuację... — Na znudzone spojrzenia starej gwardii, Jasmine, Marthy, Marjorie i Andrew, zareagował niecierpliwym wzruszeniem ramion. — Jak mówię, należy przeanalizować sytuację. Ale żeby to zrobić, najpierw trzeba ją przedyskutować. A zanim do tego przystąpimy, powinniśmy zorganizować się w taki sposób, żeby grupa mogła korzystać z doświadczenia i wiedzy wszystkich należących do niej towarzyszy. Dlatego najpierw musimy omówić kwestię organizacji grupy.

— Niejedną bitwę przegrano z powodu drobiazgu — zauważyła Marie Du Preez, uśmiechając się żartobliwie. Ale uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy Anton zwrócił się do niej:

— A owszem. Jesteśmy marksystami... tak zwanymi. Dla-

tego przeanalizujemy istniejącą sytuację i opracujemy odpowiednią do niej strategię.

Marie zdusiła resztki pełnego rezygnacji rozbawienia, podczas gdy jej mąż, uśmiechnięty szeroko, nachylił się w stronę jej policzka.

— Tak, tak, tak — rzucił Anton i czekał.

— Zgłaszam formalny wniosek — zabrał głos Andrew — żeby towarzysz Hesse przedłożył plan reorganizacji grupy.

— Popieram — zgodziła się Jasmine. Nikt się nie sprzeciwił.

Anton zaproponował więc, żeby co tydzień odbywało się formalne zebranie grupy, obecność obowiązkowa, poświęcone sprawom bieżącym, raportom z dotychczasowej działalności, krytyce i samokrytyce. Raz w tygodniu powinno też odbywać się zebranie, obecność obowiązkowa, poświęcone edukacji marksistowskiej. I raz w tygodniu zebranie, obecność obowiązkowa, poświęcone edukacji w zakresie organizacji politycznej.

— To trzy wieczory — zauważył poważny, ciemnowłosy młody mężczyzna. — Niektórzy z nas nie mają aż tyle wolnego w tygodniu.

— A co z moją dziewczyną? — zapytał Murdoch łobuzersko; lecz Anton rzucił: — Zapomnij o dziewczynie. — I Murdoch zamilkł, westchnąwszy przeciągle.

Ponieważ trzy wieczory w tygodniu nie wchodziły w rachubę i jak zauważono, ta niewielka grupa ludzi zaangażowana była również w prowadzenie kilku najaktywniej działających i zarazem najbardziej absorbujących organizacji w miasteczku, postanowiono, że odbywać się będzie jedno obowiązkowe zebranie grupy, łączące sprawy organizacyjne i samokształceniowe. Lotnicy będą uczęszczać na wykłady z marksizmu, prowadzone przez Andrew w bazie. Grupa pozostanie tajna. Nie będzie legitymacji członkowskich. Członkowie będą



związani jedynie deklaracją przestrzegania dyscypliny i decyzji większości.

— Dlaczego grupa ma być tajna? — zapytał w tym punkcie młody Tommy Brown. — Chciałem powiedzieć, że przecież jest demokracja, no nie? — Na te słowa rozległ się śmiech i wszyscy zerknęli na Eliasa, który odparł pocziwie:

— Tak, demokracja w rzeczy samej.

— Rozumiem, o co wam chodzi — odrzekł Tommy ze zmieszaniem. Potem nad kolanami innych pochylił się ku Eliasowi i powiedział do niego z przejęciem: — Przepraszam, towarzyszu Elias. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Ten pogodnie pomachał do niego swoją wielką ręką.

— Ponieważ zgadzamy się, że żyjemy w demokracji, w której nie pozwolono by na istnienie partii, pozostanie ona tajna — podsumował Anton.

Bill Bluett, poważny lotnik, powiedział:

— Rzeczywiście, bardzo tajna... od miesiący słyszę w obozie o jakiejś grupie.

— My sami nie potrafiliśmy ustalić, czy grupa istnieje, czy nie, więc nie dziwi nas twoja dezorientacja — odparł Anton. — Ale w przyszłości musimy zachowywać się jak rewolucjoniści, a nie gromada kurcząt.

Grupa wstała z twardych ław, przeciągając się i rozcierając zdrętwiałe części ciała. Elias stwierdził, że zaraz musi wyjść. Wszystkim zrobiło się przykro; wychodził pierwszy, wiedzieli o tym, bo byłoby im niezręcznie, gdyby po zejściu ze schodów postanowili pójść razem do knajpki, gdzie on nie miałby wstępu. Pożegnali się z nim ciepło, uściskiem dłoni. Jednocześnie przyszło im do głowy, że sami nie podają sobie rąk; wysiłki, żeby uniknąć jednych form dyskryminacji rasowej, często prowadzą do innych.

Elias wyszedł; lotnicy pospieszyli na autobus. Cywile pozostali, a ponieważ ciężko im było się rozstać, zeszli na dół do Black Ally's na kawę, gdzie z wyraźną tęsknotą rozmawiali, jak zwykle, o Związku Radzieckim.

Państwo Du Preez pożegnali się pierwsi. Potem wyszli Marjorie z Colinem. Uniesienia brwi i nieznaczne uśmiešky, którymi ich odprowadzono, świadczyły, że grupa zaakceptowała ich jako parę; wydawało się, że nerwowy wdźwięk Marjorie harmonizuje z flegmatyczną rozważą Colina.

Na miejscu pozostali Anton, Jasmine, Martha, Tommy i Carrie.

Tommy, czerwony z przejęcia, ze sterczącymi na całej głowie kępkami włosów, rozmawiał z Jasmine o lukach w swoim wykształceniu. Dziewczyna obiecała spotkać się z nim następnego dnia o czwartej, po pracy, żeby omówić listę lektur. Carrie nie odrywała swoich bardzo ładnych ciemnych oczu od Antona. Martha pomyślała, że on jej się podoba, i ze zdziwieniem poczuła drobne ukłucie zazdrości. Stała się więc opryskliwa i nieprzyjemna wobec Antona. Ale uczucia żadnej z tych dwóch młodych kobiet nie zostały w żaden widoczny sposób odwzajemnione, bo Anton wstał, powiedział spokojnie: — Muszę iść spać. — I opuścił wszystkich z oficjalnym skinieniem głowy.

Dochodziła północ i nie było już żadnego pretekstu, aby siedzieć dłużej. Rozstali się więc, wymieniwszy wzajemne zapewnienia, że spotkają się następnego dnia o jak najwcześniejszej porze.

Martha zastała panią Carson w ciemnej kuchni; gospodyni, tylko w cienkiej koszuli nocnej, stała z uchem przy uchylonych drzwiach, które prowadziły do ogrodu, cała drżąca z zimna. Tego wieczoru łatwo było uspokoić biedną kobietę i przekonać ją, żeby poszła do łóżka.

## Rozdział czwarty

Cecil John Rhodes Vista przechodziła na swoim górnym odcinku w zamożne przedmieście zwane przez mieszkańców Robber's Roost. Kończyła się w dolnej części miasteczka płataniną rozgrzanych torów kolejowych i obszarem tłustej, śmierdzącej, zarośniętej trawą ziemi, za którym, tuż obok siebie, znajdowały się cmentarz dla białych i dzielnica tubylców.

Wcześniej jednak, przed torami kolejowymi, Vista biegła przez kilka jardów między budami, sklepikami i pralniami, jako jedna z czterech równoległych ulic, wyznaczających dzielnicę kolorowych. Na tych czterech ulicach Martha, chodząc od domu do domu, sprzedawała „Watchdoga”. Teoretycznie ta działalność miała jej zajmować dwie godziny w tygodniu. Praktycznie jednak zabierała trzy albo cztery popołudnia i dlatego przydzielono jej do pomocy jeszcze trzech ludzi z RAF-u. A ponieważ dzielnica kolorowych stanowiła dla nich strefę zakazaną ze względu na zagrożenie demoralizacją i krzyżowaniem ras, ci trzej dołączyli do sporej liczby lotników, którzy po różnych kątach w miasteczku

trzymali cywilne ubrania i przebierali się w nie, żeby odwiedzać swoje kolorowe znajome i przyjaciółki.

Miejscem spotkań sprzedawców „Watchdoga” był sklep hinduski na końcu Visty. Któregoś popołudnia o szóstej Martha dostarczyła do niego na sprzedaż pięćdziesiąt egzemplarzy gazety i kręciła się przed nim bezczynnie, czekając na kolegów, gdy przez ulicę przebiegła mała dziewczynka z dużą dziurą w sukience, przez którą widać było chude biodra.

— Prosz'pani, prosz'pani — rzuciła. — Mama panią woła.

Sto jardów dalej pojawił się Murdoch Mathews otoczony gromadą małych chłopców, którzy wołali radośnie:

— „Watchdog”! Wujek Joe! Stalingrad!

Ze swoim szczupłym, nerwowym ciałem w za dużych 0 trzy numery ciuchach, pożyczonych od Antona, z płomienistymi włosami i rozpaloną od słońca twarzą stanowił tak szczególny widok, że grupki ludzi przystawały na chodniku i gapiły się na niego. Ulice były tu szerokie, trzy razy szersze niż w górnej części miasteczka, bo zbudowano je w czasach, gdy musiały na nich zakręcać wozy zaprzęgnięte w woły, zresztą nadal często się takie widywało. Pośrodku, pasem 0 szerokości osi kół samochodowych, biegł asfalt, ale już po obu jego stronach, nad zrytą koleinami piaszczystą ziemią unosiła się mgiełka pyłu, czerwona w blasku zachodzącego słońca, które widocznie świeciło Murdochowi prosto w oczy, bo Martha musiała pomachać do niego kilka razy, zanim ją zauważył. Dała mu znak, żeby na nią zaczekał; odkrzyknął cicho, że poczeka za rogiem, skąd nie będzie go widać, i skręcił, odprowadzany spojrzeniami kilkadziesiątu zaciekawionych ludzi.

Przez koleiny i muldy na drodze Martha ruszyła za dziewczynką ku wejściu do Mansion Court. Stanowił on typowy

przykład budownictwa z dawnych czasów, sprzed pięćdziesięciu lat: pojedyncze pokoje wychodziły na zabudowaną z trzech stron werandę. Plac pośrodku pokryty był pyłem i poprzecinany sznurami do wieszania bielizny. W jego centralnym punkcie, na pudle po świecach, siedziała gruba ciemna kobieta w starym kapeluszu, przytrzymywanym na głowie przez połamane druty do robótek ręcznych. Podejrzliwie popatrzyła na Marthę swoimi małymi, zwężonymi oczami o pożółkłych białkach i zapytała:

— Dlaczego nie mogę dostać gazety, dlaczego nie mogę jej dostać?

Po czym wyciągnęła rękę po „Watchdoga”, jakby to, czy go otrzyma, miało być jakąś próbą. Stała się jeszcze bardziej podejrzliwa, gdy z kolei Martha wyciągnęła rękę po pensa.

— Nie było tu po południu mężczyzny z „Watchdogiem”? — zapytała, bo ta ulica należała do rejonu Murdocha.

— Mężczyźni nigdy tu nie przychodzą. Nie chcę ich tutaj. Policja ich nie chce. — A potem zapytała z naciskiem i podejrzliwością: — Kiedy dostanę pokój w nowej kamienicy?

— Nie mam nic wspólnego z kwaterunkiem.

— Mówiliście, że dostanę mieszkanie, gdy podpiszę papiery — powiedziała, odganiając muchy płachtą „Watchdoga”.

— Jeśli nie było tu tego człowieka z gazetami, to ja je rozniosę.

— Bo wszyscy tutaj chcemy dostać nowe pokoje — odparła kobieta.

W budynku było dwanaście pomieszczeń, w których mieszkało ponad sto osób. Za pierwszymi drzwiami, otwartymi na oścież, ukazał się mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami, który leżał na łóżku, zasłaniając ramieniem twarz; kobieta siedząca na podłodze i robiąca na drutach, czworo małych

dzieci, niemowlę w skrzyni na świecy i dorastająca dziewczyna w różowej halce, która odwróciła głowę z szerokim zamachem warkocza, wieszając ścierkę do naczyń na kołku, na którym było już kilka ubrań. Kobieta na podłodze powiedziała do drzemiącego mężczyzny: — „Watchdog”. Ten przedramieniem starł z oczu resztki snu, wsadził piść do kieszeni spodni, wyjął sześciopensówkę, wziął gazetę, skinął Marcie głową po bratersku i znowu opadł na łóżko, zakrywając twarz ramieniem. Drzwi do następnego pomieszczenia były zamknięte, ale wydawało się, że przebywa za nimi wielu ludzi, którzy nasłuchują, czekając, aż sobie pójdzie: pewnie bali się osoby pobierającej opłaty za czynsz albo wezwania do sądu, więc Martha szybko przeszła dalej. W następnym na podłodze między dwoma łózkami kucało sześciu mężczyzn, którzy grali w kości, obok każdego z nich stał stosik pensów. Na jednym z łóżek spało dwoje niemowląt, a na drugim kobieta, owinięta w koc. Wstał młody mężczyzna, pochylił się nad głowami rzucających kości, wręczył jej dwa pensy, wziął dwa egzemplarze „Watchdoga” i zapytał: — Co u czerwonych w tym tygodniu? — i wrócił do gry. Martha poszła dalej, w towarzystwie dziewczynki, która zawołała ją spod sklepu hinduskiego i teraz skakała wokół niej na jednej nodze, patrząc na nią spokojnie, z ciekawością, swoimi bardzo bystrymi czarnymi oczami.

Kolejne drzwi były zamknięte, ale tym razem Martha nie miała wrażenia, że czają się za nimi wylężnieni ludzie. Zapukała i otworzył jej młody biały mężczyzna, który powiedział z akcentem z Yorkshire: — Wejdz, czekałem na ciebie i w ogóle.

Martha zorientowała się, że wziął ją za jasnoskórą kolorową; ale kiedy zauważył „Watchdoga”, błysk podejrzliwości zniknął z jego oczu.

— Ach, „Watchdog”—rzucił. — Coś dla mnie, o rewolucji.

Wziął gazetę i dał Marcie szylinga, kręcąc głową, gdy chciała mu wydać resztę. Za uchylonymi drzwiami dostrzegła w łóżku dwie półnagie dziewczyny i drugiego młodego mężczyznę. Jedna z dziewczyn podeszła, oparła się nagimi piersiami o ramię stojącego w progu mężczyzny i zawołała nad jego głową do kobiety siedzącej na skrzynce po świecach:

— Mamo, kupiłaś chleb?!

Kobieta odkrzyknęła, nie odwracając się, tylko wzruszając ramionami w niechętnym, wyniosłym geście:

— Ty nędzna suko, napuszczę na ciebie policję. — I nadal wachlowała się „Watchdogiem”.

— Nie widziała tu pani policjantów? — zapytał Martha chłopak z RAF-u, traktując ją jak współniczkę.

— Nie — odparła. — Ale dwóch było na sąsiedniej ulicy.

— To lepiej zwiewajmy. — Pospieszenie przyciągnął do siebie drzwi, mówiąc jeszcze: — Przyjdę któregoś dnia na jakieś zebranie, to się zobaczymy.

Drobna, przypominająca wróbla dziewczynka, która wciąż skakała na jednej nodze, powtórzyła:

— Mama panią woła. — Martha sądziła, że jej matką jest kobieta siedząca na skrzynce po świecach, ale dziewczynka przebiegła przez środek podwórka, wołając z podnieceniem: — Mamo, mamó, mamó!

Po drugiej stronie otworzyły się na wpół uchylone drzwi i wyjrzała zza nich dość młoda kobieta, która sprawiała wrażenie zmęczonej. Zapytała Martha:

— Pani z opieki społecznej?

— Nie.

— Myślałam, że z opieki społecznej — odparła z rozczarowaniem.

— Mogę coś dla pani zrobić?

Kobieta skwapliwie zaprosiła ją do środka. Za drzwiami znajdował się mały pokój, taki sam jak pozostałe, o niedbale otynkowanych ścianach i czerwonej popękanej podłodze z cementu. W pęknięciach roiło się od małych, czarnych mrówek. Na kołkach wisały ubrania, a na niskim łóżku pod połatany prześcieradłem leżała długa, gruzłowata postać. Po jednej stronie spod prześcieradła wystawała czarna czupryna. Osoba ta oddychała ciężko, nieregularnie, ze świstem.

— Miał dzisiaj przyjść ktoś z opieki społecznej, tak mówili — powiedziała kobieta, patrząc na łóżko. W tej samej chwili prześcieradło się odwinęło, ukazując bardzo chudego młodego mężczyznę w szarej koszuli, rozpiętej na piersiach, tak że widać było sterczące żebra. Miał wyjątkowo wymizerowaną twarz, ogromne oczy błyszczały od gorączki. Skóra była sucha, szarawa.

— Czego pani chce? — zapytał Marthę gniewnie.

— Ona nie jest z opieki społecznej — wyjaśniła kobieta. — To mój syn — powiedziała do Marthy. — Jest bardzo chory.

— Mówiłem ci — odezwał się mężczyzna — nie pójde do szpitala.

— Gadasz tyle, bo jesteś chory — stwierdziła matka. Stała niedaleko łóżka z założonymi rękami. Jej stopy, w płóciennych pantoflach, poruszały się nerwowo po cemencie. Marcie przypomniał się jeden z gestów jej matki, jak siedząc, rozpostartą dłonią wygładzała na kolanach sukienkę, raz po raz, zmęczonym, nerwowym gestem. Podobnie ta kobieta suwała stopami po podłodze, w sposób nieopanowany, niespokojnie jak koń, który stoi zbyt długo w jednym miejscu. Powiedziała do Marthy: — To przez tę chorobę jest taki marudny. Trudno go zadowolić.



Po kościstej twarzy przebiegł gniewny grymas. Chłopak z powrotem opadł na łóżko, odwrócił się plecami i znowu zamienił w zawinięty rzęzący kształt.

— Przysłać do pani kogoś? — zapytała Martha.

— Mówili, że przyjdzie ktoś z opieki.

Podczas tej rozmowy dziewczynka, zawieszona u klamki przy drzwiach, wykręcała swoje chude czarne nóżki raz w tę, raz w tamtą stronę, nie spuszczać oczu z Marthy.

— Och, przestań — powiedziała do niej matka i wymierzyła jej lekki policzek, żeby dać upust zdenerwowaniu. Mała pod wpływem uderzenia odruchowo obróciła buzię, ale nadal wisiała na klamce, szeroko rozstawiając nogi.

Na werandzie pojawiła się ruda czupryna Murdocha.

— Co się dzieje? — zapytał.

Martha wyszła na zewnątrz i kobieta ruszyła za nią. Przeniosła wzrok z Marthy na Murdocha, patrząc na nich pytająco, ale z cierpliwością, niczego nie oczekując.

— A, dzień dobry — rzucił do niej Murdoch. — Jak chory? — Ton, jakim mówił, wydał się Marcie niepoważny, ale kobieta podeszła i odpowiedziała:

— To coś w piersiach i nie poprawia się.

— Gruźlica — wyjaśnił Murdoch Marcie, a kobieta kiwnęła głową i dodała rzeczowo: — Chyba niedługo umrze.

Martha była zaszokowana prostotą tego stwierdzenia, ale Murdoch potwierdził ruchem głowy i odparł po prostu:

— Uhm i lepiej by mu było w szpitalu, bo tam by wiedzieli, co jeszcze można zrobić.

W tym momencie przed wejściem do budynku zatrzymał się duży samochód i wysiadła z niego dobrze ubrana młoda kobieta. Martha rozpoznała w niej Ruth Manners, już matronę z dziećmi: z tyłu wozu siedziały z czarną nianią dwie małe

dziewczynki. Ruth przeszła przez podwórkę w wyglansowanych pantoflach na wysokich obcasach, starannie wybierając drogę, i ponieważ patrzyła w ziemię, nie zauważyła grupki ludzi na werandzie, dopóki do niej nie podeszła. Poznała Marthę i uśmiechnęła się do niej uprzejmie, natomiast na widok Murdocha w jej jasnych, pełnych rezerwy oczach na sekundę pojawił się popłoch, po czym uznała, że zarówno on, jak i Martha są poza sferą jej zainteresowania. Murdoch nie powstrzymał się od pogardliwego uśmiešku.

— Opieka społeczna — rzucił głośno drwiącym głosem.

Ruth Manners zignorowała go i zapytała kobietę:

— Jak on się ma?

— Bardzo źle, proszę pani.

— Zdecydował się pójść do szpitala?

— Nie, proszę pani, przykro mi to powiedzieć, ale nie, przez tę chorobę stracił rozum, proszę pani.

Ruth Manners sprawiała wrażenie pełnej wyrozumiałego niesmaku wobec całej tej sytuacji. Zapytała chłodnym, bezosobowym tonem:

— Czy mam spróbować go przekonać, żeby zmienił zdanie?

— Jak pani chce, ale on nie jest sobą.

Martha i Murdoch usunęli się na bok, gdy młoda kobieta podeszła do drzwi i zatrzymała się w nich, patrząc na długą kościstą sylwetkę pod białym prześcieradłem.

— Ronaldzie — powiedziała, czy raczej oświadczyła.

Postać nie drgnęła.

— To opieka społeczna — rzuciła matka bezradnie, ale ostrzegawczym tonem.

Spod prześcieradła dobył się pomruk i potok cichych wyzwisk. Ruth wróciła i stanęła przed matką, z jeszcze wyraźniejszym niesmakiem na twarzy.

— Sama pani widzi — powiedziała wysokim głosem, z cierpliwością — nie możemy nic tu pomóc. Czy bierze lekarstwa?

— Tak, proszę pani, dam mu je.

Ruth Manners stała w miejscu, marszcząc czoło i rozglądając się po podwórku, jakby z dużej odległości. Nagle cały jej niesmak się skumulował; jasne oczy pod ciemnymi, ściągniętymi brwiami szybko spoczęły na Murdochu i Marcie; cała twarz wyrażała niechęć.

— To wy, komuniści, wbijacie mu do głowy te głupstwa — wyrzuciła z siebie.

Z zaróżowionymi od gniewu policzkami wróciła sztywno do samochodu.

Murdoch odsłonił zęby w uśmiechu i powiedział:

— Znowu ci czerwoni. Rany, wszędzie się wepchniemy, jesteśmy pod każdym łóżkiem.

Cierpliwa, pełna stoickiego spokoju kobieta, szarpana za rękę przez żywą jak srebro, huśtającą się na klamce dziewczynkę, wyjaśniła:

— Wczoraj był tu baas, który rozmawiał z Ronaldem. Ron go polubił. Może on mógłby go przekonać, żeby poszedł do szpitala.

— Kto to był? — zapytała Martha, powoli rozszyfrowując słowo „baas”: to musiał być ktoś z RAF-u.

Kobieta, lustrując wzrokiem niezwykle strój Murdocha, odparła niepewnie:

— On chyba też był z bazy.

— Jak wyglądał?

— Sprzedawał gazetę.

— Zobaczymy, czy uda nam się dowiedzieć, kto to był — odparła Martha.

Wyszli z Murdokiem z budynku, podczas gdy cierpliwa, zmęczona matka i jej ruchliwa córeczka patrzyły za nimi, a kobieta siedząca na skrzynce zawołała:

— Obiecaliście mi pokój! Obiecaliście!

— Nie bardzo wiem, kto to mógł być — zauważyła Martha — chyba że Bill wziął naszą ulicę. A tak przy okazji, ten budynek to twoja działka... zapomniałeś o tym.

— Już tu szedłem, już tu szedłem — odpowiedział Murdoch natychmiast, z urazą. Przy najmniejszej krytyce sugerował, że został niesłusznie posądzony, ale na szczęście miał poczucie humoru. Uśmiechnął się więc do Marthy błazeńsko i rzekł: — Dajcie mi szansę, towarzyszek. Rozmawiałem z miłą dziewczyną na ulicy tuż za tym domem.

Martha spytała:

— Jaką dziewczyną? — I uświadomiła sobie, że myśli o białej, bo w pierwszej chwili przyszło jej do głowy, że w tej okolicy nie ma dziewcząt, w każdym razie białych dziewcząt. Zawstydziała się i pod wpływem poczucia winy, zła na siebie, powiedziała: — Jak dobrze wiesz, grupa zdecydowała, że nie możecie wdawać się w romanse z kolorowymi dziewczynami, więc to wbrew postanowieniu grupy.

— Miej serce — poprosił — tylko z nią rozmawiałem.

Wyglądał jak skruszony chłopiec i Martha odparła, czując niechęć do samej siebie:

— A właściwie dlaczego nie miałbyś tego robić? To była niemądra decyzja, niedemokratyczna.

— Och, powinniśmy słuchać Antona, on wie, co mówi, to prawdziwy twardziel — stwierdził Murdoch z pełnym egzaltacji przejęciem i Martha, zirytowana tą egzaltacją, odparła:

— Ale nie zawsze musi mieć rację, prawda?

Po zakurzonych, popękanych płytach chodnikowych szła

ku nim wysoka i szczupła postać w za dużym o parę numerów ubraniu. Był to Bill Bluett.

— Cześć. — Zatrzymał się w pewnej odległości. Miał poważną, ściągniętą twarz, ale mrugnął do Marthy z teatralnym uśmiechem na ustach. — Skończyliście?

Martha wyjaśniła:

— Jest tam chory mężczyzna, który nie chce iść do szpitala. — Bill Bluett od razu zareagował na podniecenie w jej głosie, odpowiadając z lekką drwiną: — Oj, dzieciaki, dzieciaki. Ci ludzie boją się szpitali. Powinno się nad nimi popracować dla ich własnego dobra.

— Ona ma rację — odezwał się Murdoch do Billa jak swój do swego, bo obaj byli lotnikami. — Ten chłopak powinien znaleźć się w szpitalu.

— Oczywiście, że powinien. — W głosie Billa nadal słychać było delikatną drwinę. Obsadził Marthę w roli „towarzyszki z klasy średniej” i nie pozwalał jej o tym zapomnieć.

— To ty się nim zajmowałeś? — zapytała Martha. — Jego matka mówiła, że ktoś u niego był.

— Może.

— Ale po co te tajemnice?

Bill Bluett odparł, jakby cierpliwie wyjaśniał idiotcie:

— Ci ludzie nie lubią szpitali dla tubylców, z powodu tego, jak się ich tam traktuje.

— Oczywiście... jednak nie widzę powodu, żeby ktoś miał umierać przedwcześnie dla idei politycznej. Nie zamierza pójść do szpitala, bo kolorowi nie chcą być traktowani jak „kafirzy”. Chcą mieć własny szpital.

Bill Bluett i Martha, antagoniści od pierwszego wejrzenia, patrzyli na siebie ze zmarszczonymi brwiami.

— Dobrze, dobrze — powiedziała. — Nie ma to jak in-

telektualista, który sprowadzi wszystko do idei. Ale ten człowiek nie pójdzie do szpitala. I już. To akurat jeden z nielicznych, którzy zupełnie nie znają się na polityce. Ma wpływ na sporą grupę tutejszych. Wpadłem raz czy dwa na ich popijawy. Co on by robił w szpitalu?

— Może nie umarłby tak szybko?

Bill nagle uznał, że wyraził swoje zdanie wystarczająco jasno, bo uśmiechnął się do niej ciepło i powiedział:

— Dobra, Marty, pójdę do niego i spróbuję przemówić mu do rozumu. Ale najpierw musimy rozwiązać drobny problem. Na sąsiedniej ulicy jest facet, któremu zabiorą meble, jeśli nie zdobędzie dwóch funtów do szóstej wieczorem. To już za pół godziny. Jesteśmy wolontariuszami, no nie? No to zrzuta. — Wyciągnął kieszenie ze spodni i z jednej z nich wyjął sześciopensówkę. Murdoch znalazł trzy szylingi. Martha otworzyła torebkę i wysupłała pięć.

— Za mało, to nie załatwi sprawy — stwierdził Bill Bluett. Kiwnął głową, wskazując torbę na ramieniu Marty. — Dawaj.

— Ale to pieniądze za „Watchdoga”.

— Pożyczymy sobie trochę, i już. Potem zorganizujemy w grupie zbiórkę i oddamy. — Zabrał torbę, odliczył dwa funty w pensach i trzypensówkach, zawinął zatłuszczone monety w chusteczkę i rzucił: — Dzięki. Zaniosę to biedakowi, a potem pójdę z wizytą do łoża boleści, skoro ci tak zależy. Facet ma czworo dzieciaków i piąte w drodze.

— Może powinieneś założyć klinikę regulacji urodzin — zauważyła Martha, bo wspomniał o czwórce dzieci z niechęcią, jakby były efektem nadmiernego folgowania sobie przez owego „biedaka”.

— Hola, hola — zaoponował Bill — jestem porządnym,

pracującym gościem, który się nie wyraża, nie rozmawiam o takich nieprzyzwoitościach.

— Och, idź do diabła! — wykrzyknęła Martha, tracąc w końcu opanowanie, a on zaśmiał się, znowu mrugnął do niej z obojętnym wyrazem twarzy i oddalił się ulicą.

— Nie powinnaś odgrywać się na Billu — stwierdził Murdoch poważnie. — On tylko się z tobą drażnił.

Martha wzruszyła ramionami; po każdym kontakcie z Billem czuła się, jakby dostała pałką w łeb, i była rozdrażniona. W końcu skapitulowała. — Hm, prostemu robotnikowi z Anglii chyba musimy się wydawać okropni.

Murdoch zapytał:

— Prostemu robotnikowi? Taki z niego robotnik jak z ciebie. To burżuj jak się patrzy, jego ojciec był malarzem, prawdziwym malarzem, nie z tych, których ja nazywam malarzami.

— Wobec tego już zaczynają mnie męczyć te wilczki z klasy średniej w przebraniu robotników.

To z kolei Murdoch przyjął z oburzeniem:

— Porządny z niego facet. — Dodał, znowu z egzaltacją: — Chłopaکی z bazy świata poza nim nie widzą.

— Och, wracajmy na wystawę — powiedziała, zbyt wytracona z równowagi i zła, żeby chciało jej się nad tym zastanawiać. — Skoro tak mu przeszkadza przynależność do klasy średniej, to dlaczego odgrywa się akurat na mnie?

— Nie żołądkuj się, Marty — powiedział poważnie, idąc za nią. — Nie żołądkuj się.

Mijali sklep hinduski. Sprzedawca, który właśnie zamykał go na noc, skinął im głową i zapytał nieśmiało: — Jak tam Armia Czerwona?

— Świetnie — odparła Martha, już bez rozdrażnienia, bo przypomniała sobie, jakie są między nimi relacje.

— Zebrałem siedemnaście szylingów ze sprzedaży waszej gazety.

— Przyjdziecie na wystawę?

— A wpuscicie nas?

— Oczywiście.

— Oczywiście — powtórzył ironicznie, ale bez wrogości. — Po raz pierwszy w tym pięknym miasteczku Hindus może tak po prostu wejść na wystawę, a ty mówisz „oczywiście, oczywiście”.

— Walczymy z uprzedzeniami rasowymi.

Wciąż uśmiechając się ironicznie, kiwnął głową i powiedział:

— Czerwoni walczą z uprzedzeniami rasowymi, więc uprzedzenia rasowe wkrótce przestaną istnieć w naszym miasteczku? — Porzucił ironię i stwierdził zwyczajnie, z uśmiechem: — Dobrzy z was ludzie, wiemy, kto jest nam życzliwy. — Wsiadł na rower i odjechał w stronę torów kolejowych.

Martha i Murdoch szli zapchaną rowerami ulicą w stronę centrum miasteczka. Murdoch miał teraz inną minę i wciąż przyglądał się Marcie. Martha w odpowiedzi pomyślała: „No nie, jeśli on też...”.

— Wpadnijmy na piwo do McGratha — zaproponował ochotczo.

— Ale jesteśmy już pół godziny spóźnieni.

— Komunista ma równie kiepsko jak żołnierz — odparł smętnie.

— Musimy przestrzegać dyscypliny.

— Ani łyeczka piwa? Hm, chyba masz rację. Chyba masz rację. — Westchnął. — To piękne — powiedział — widzieć taką dziewczynę jak ty, która rezygnuje ze wszystkiego dla klasy robotniczej.



- Nie bardzo wiem, z czego takiego rezygnuję?
- Można i tak do tego podejść. Podziwiam cię za to, nie ma dwóch zdań.

Przeciskali się po zatłoczonym chodniku, rozdzielani co chwila przez nadchodzących z przeciwka ludzi. Martha pomyślała: Kilka razy rozprawdzaliśmy razem „Watchdoga”, na zebraniach przebywam z nim w jednym pokoju. Poza tym nie mamy z sobą nic wspólnego. To chyba niemożliwe, żeby...

- A gdybyśmy się tak pobrali? — zagadnął.

Martha odparła:

- Ależ, Murdoch, prawie się nie znamy.
- Jesteś dobrą towarzyszką — zauważył z przejęciem. — I atrakcyjną dziewczyną. — Ponieważ nie odpowiedziała, tylko zmarszczyła czoło, dodał z typową dla siebie lekką nutą wesołości: — Zapytać nie można?

- Ależ, Murdoch, jak można tak po prostu się pobrać?

— W partii nie ma za dużo czasu na zaloty. — Ciągnął z urazą: — Widzę, że życie z robotnikiem cię nie pociąga. Tak to jest z białymi dziewczynami, zwłaszcza tutaj... nigdy nie musiałyście ruszyć palcem. Uwierz mi, byłaby z ciebie świetna żona dla robotnika!

- To po co mi to mówisz?

— Zapomnij o tym — powiedział i zaczął pogwizdywać. Szli dalej, mniej przyjaźnie do siebie nastawieni.

— Więc nie chcesz pójść na piwo? — zapytał, gdy przechodzili obok McGratha.

- Poszłabym, gdybyśmy nie byli spóźnieni.

— Hm, już ci wierzę. Zmarnować pięć minut partyjnego czasu... to nie w twoim stylu! — Ruszył w stronę biura nad Black Ally's, mówiąc: — Wskoczę z powrotem w więzienne ciuchy. To na razie.

Na wystawę pod tytułem „Dwadzieścia sześć lat Armii Czerwonej” wynajęli salę przy Main Street. To duże pomieszczenie zastawione było lekkimi przenośnymi ściankami z poprzypinanymi plakatami i zdjęciami. Przy stole obok drzwi siedziała Jasmine z Tommym Brownem. On miał przed sobą otwartą książkę, a ona zaglądała mu przez ramię.

— Przepraszam, że się spóźniłam — powiedziała Martha.

— Owszem. Spóźniłaś się — odparła oficjalnie Jasmine jako sekretarz grupy. Zmieniając ton, zapytała: — Ej, Marty, co zrobiłaś z Murdokiem? Chyba go nie zostawiłaś, co? Znowu się wstawi.

— Nic na to nie poradzę — odrzekła Martha ze złością.

— Co się z tobą dzieje? — Jasmine przyjrzała się jej chłodno, skinęła na Tommy'ego, żeby pozostał na miejscu, i wyszła z nią na zewnątrz. — Co cię ugryzło?

Martha odparła wesoło, ale z autentyczną rozpaczą:

— Murdoch właśnie mi się oświadczył.

— Cóż, mnie oświadczył się w zeszłym tygodniu. A przedwczoraj Marjorie i poszedł się upić, gdy mu powiedziała, że zamierza wyjść za Colina.

— Oni powariowali — stwierdziła Martha. — W zeszłym miesiącu każdej z nas oświadczyli się wszyscy faceci z RAF-u.

— Cóż — mruknęła Jasmine.

— Najwyraźniej zupełnie nie ma dla nich znaczenia, z kim się żenią. — Martha się śmiała, ale przepełniały ją niesmak i zniechęcenie. Poczowała ulgę, kiedy Jasmine przewróciła oczami i powiedziała uspokajająco: — Takie czasy.

Zawsze rzucała podobne uwagi, jakby były jakimś odkryciem. Martha pomyślała: rzeczywiście, takie czasy, i zaśmiała się, Jasmine zaś ruszyła do ratusza w centrum, gdzie pomagała organizować publiczne zebranie.

Tommy przyjmował pieniądze za wstęp od grupy dziewcząt, które właśnie skończyły pracę w biurach. Przyszły obejrzeć plakaty i fotografie z czasów wojny domowej, przypominały im bowiem fotosy ze starego filmu. Martha знаła ten wyraz twarzy, oznaczał słabe, zaprawione lękiem zainteresowanie; odzwierciedlał jej własne odczucia sprzed roku, gdy po raz pierwszy zetknęła się z rewolucją rosyjską. Pomyślała: ale przecież każda z nich za rok będzie już mężatką, więc po co to wszystko?

Usiadła obok Tommy'ego, który czekał na nią, zakładając palcem stronę w książce.

— Lepiej, gdyby ta wystawa była poświęcona wojnie, udziałowi Armii Czerwonej w wojnie zamiast w rewolucji — zauważyła.

Przyjrzał jej się swoimi okrągłymi oczami. Na jego twarzy widać było skupienie. Nastąpiła chwila ciszy, podczas której zastanawiał się nad jej słowami. Już po pięciu minutach spędzonych z Tommym Martha zawsze czuła się niepoważna, a to z powodu głębokiej uwagi, z jaką słuchał wszystkich starszych członków grupy.

— Chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy im tak wciskać tego komunizmu? — zapytał. Zmarszczył czoło. — Ale po to właśnie jesteśmy.

— Och, nie wiem, nie wiem, nie wiem.

Przed drzwiami stała niepewnie grupka osób o ciemnym kolorze skóry i Martha zatrzymała na nich wzrok, zastanawiając się: Hindusi? Kolorowi? Zauważyła sprzedawcę ze sklepu hinduskiego i uśmiechnęła się do niego. Weszli do środka, zerkając nerwowo na gromadkę białych dziewcząt, które obchodziły salę wystawową.

— W porządku? — zapytał sprzedawca.

— W porządku — potwierdziła Martha. Kilku hinduskich chłopaków patrzyło w przeciwną stronę wystawy niż dziewczęta, z rodzajem niepewnej godności, jakby chcieli powiedzieć: Jeśli mamy sprawić kłopot, to wolelibyśmy w ogóle nie przychodzić.

— Och, do licha — wymknęło się Marcie z powodu nagłego przygnębienia i natychmiast zdała sobie sprawę, że ujawnianie w obecności Tommy'ego swoich nastrojów jest nieodpowiedzialne.

Powiedział, oblewając się szkarłatem:

— Chyba nie mogę być komunistą. Chodzi mi o to, że stale czuję coś, czego nie powinienem. Wiem, że tak zostałem wychowany. Ale kiedy widzę kolorowych albo Hindusów, wydają mi się inni od nas, a to źle, prawda?

— Nic na to nie poradzimy, jak nas wychowano.

— Ale to nie wszystko. Gdy tak tu siedzę i sprzedaję bilety, to znaczy sprzedaję je wszystkim, czuję się dziwnie. Trochę skrępowany. To snobizm, nie sądzisz?

— Ja też początkowo tak się czułam.

— Czuję się dziwnie od czasu, gdy wstąpiłem do grupy. Nie mogę się w tym połapać, połowa z moich odczuć wydaje mi się niewłaściwa, tylko co z tego. Wiem, że są złe, ale nie mogę nic na to poradzić. — Zakończył wyzywająco, jego szczerą chłopięcą twarz zarumieniła się ze zmieszania.

— Ależ, Tommy, to dlatego, że oboje wychowaliśmy się w tym kraju. Mamy nieodpowiednie podejście do ludzi o innym kolorze skóry. Musimy to zmienić.

— Ale to takie trudne. Dziś w pracy zrobiłem coś bardzo złego. Dopasowywałem rurę z kolegą. Jeden z kafirów przyniósł nie taką jak trzeba, więc zacząłem na niego krzyżeć. Ale gdybym postąpił inaczej, chłopaki z roboty uznaliby, że coś ze mną nie tak. Jestem tylko praktykantem i nie mogę

zachowywać się inaczej niż dorośli. Taki Piet. Widziałem go dziś w robocie, jak z jakimiś kafirami wyładowywał towar i rozmawiał z nimi tak jak zawsze... i zresztą posłuchaj mnie, używam słowa „kafir” nie tak, jak się powinno, po prostu mi się wymyka. — Zakończył z rozpaczą, prawie we łzach.

Grupka białych dziewcząt, skończywszy oglądanie, wyszła. Hindusi powoli pozbyli się obronnej rezerwy i zaczęli już swobodniej krążyć po sali.

— Chodzi o to — zaczął znowu Tommy — że tobie jest łatwiej, bo jesteś wykształcona.

Zaśmiała się ze zdumieniem.

— Chyba nie.

— Tak, tak, mówię ci.

Uwagę Marthy przykuła książka, w której wciąż trzymał palec, zakładając stronę. Była to *Wojna i pokój*.

— Jasmine poleciła ci to przeczytać?

— Powiedziała, że to najwspanialsza powieść, jaką kiedykolwiek napisano. Tak jest naprawdę?

— Tak, chyba tak.

— Ale, człowieku, tyle czytania! Myślałem, że to już całość, ale kiedy doszedłem do końca, okazuje się, że są jeszcze dwa tomy.

Na otwartej stronie ołówkiem podkreślono kilka słów, a obok napisano definicje.

*Myślę — rzekł książkę z uśmiechem — iż gdyby posłano panią zamiast naszego kochanego Wintzingerode, zdobyłabyś szturmem zgodę króla pruskiego. Pani jest tak wymowna!\** — przeczytała. A obok ołówkiem: „Wymowna — umiejąca zgrabnie się wysławiać”.

\* Lew Tołstoj, *Wojna i pokój*, w tłumaczeniu Andrzeja Stawara; t. 1, rozdz. 1, PIW, Warszawa 1984, wyd. XIII.

— Nawet połowy słów nie rozumiem — dodał.

— Ależ, Tommy, nie powinienesz czytać książek, jeśli tak naprawdę nie masz na to ochoty.

— Wcześniej nic nie czytałem, może poza powieściami przygodowymi. Jasmine powiedziała, że ta książka wyjaśnia, skąd się wzięła rewolucja rosyjska; mówiła, że jeśli to przeczytam, zrozumieję Rosję sprzed rewolucji. Ale może jest jakaś cieńsza książka.

— Ta ci się nie podoba?

W jego oczach rozbłysnął entuzjazm.

— O tak, podoba mi się. Ale nie wiesz, co chcę powiedzieć, Marty. Któregoś dnia przyglądałem się Jasmine, jak czytała. Zastanowiło mnie to. Jakby to była dla niej po prostu kolejna książka. Bo tyle czyta, nie widzisz? Zagadnąłem ją o tę książkę, a ona odpowiedziała: „Stanowi przydatny opis kręgów rewolucyjnych w Paryżu”. A potem podsumowała: „Ale to kiepska książka”. Widzisz, ja bym nie wiedział, czy książka jest zła, czy dobra. Książka jak książka. I kiedy czytam to wszystko, o tych generałach i dworakach, i dworzaczach, to sobie myślę... — Zawahał się z wyrazem złości i uporu na twarzy. — Chodzi mi o to, że ja nie mógłbym powiedzieć: „To pożyteczny opis”. — Nagle poczerwieniał z gniewu. — Bo widzisz, to zarozumiałstwo, gdy obie z Jasmine mówicie coś w tym stylu. Przynajmniej ja tak myślę. Gdy to czytam, cały czas wydaje mi się... że biorę w tym udział. To znaczy, że gdybym tam był, myślałbym właśnie tak jak ci wszyscy generałowie i starsze damy. Byłbym taki sam jak oni. I trochę nie mogę się w tym połapać. Bo przecież to była banda reakcjonistów, no nie? A ta dziewczyna, Natasa... ja ją lubię.

— Dlaczego miałbyś jej nie lubić?

— Była córką arystokraty, no nie? Więc dlaczego miałbym ją lubić?

— Ale, Tommy, przypuśćmy, że ktoś napisałby powieść o tobie. Murzyni mogliby powiedzieć: „Dlaczego miałbym lubić tego białego reakcjonistę, Tommy'ego Browna?”. Ale dzięki temu zrozumieliby, jak się sprawy mają, nie widzisz?

— Nie, nie widzę. O to właśnie chodzi — powiedział. — Po prostu nie widzę. A czasami, kiedy mówię tobie i Jasmine, i Piętowi, co czuję, uśmiechacie się i na pewno myślicie: głupi chłopak ten Tommy.

— Ależ ja wcale się nie uśmiecham — odparła Martha. — Nie wiem, dlaczego uważasz, że wszystko jest dla nas takie łatwe. Teraz, gdy jesteśmy komunistami, każde z nas musi się uczyć do końca życia.

— Nie umiem powiedzieć, co mam na myśli — oświadczył. Uniósł swoją opaloną pięść i zaczął walić się nią po głowie, po sterzających kosmykach włosów. — Mówisz: każdy z nas musi się uczyć, ale ja nie znam nawet połowy słów, które mam przed oczami.

— Przecież wszyscy ci pomagamy, zresztą sobie nawzajem też.

— Wiesz, co sędzę, Matty? Domyślam się, jak zareagujesz, kiedy ci to powiem. Ale trudno. Nie wydaje mi się, żebyjacyś ludzie, którzy się tu wychowali, biali ludzie, mogli być kiedykolwiek dobrymi komunistami. Co innego ci z RAF-u, oni nie spędzili *tu* całego swojego życia i wszystko im łatwo przychodzi. Ale nie uważam, żebyśmy my mogli się zmienić.

— Przecież zmieniamy się cały czas.

— Hm, no dobra. Spróbuję. — Pchnął książkę w jej stronę. — Jeśli mi powiesz, co znaczą te słowa, nie będę musiał szukać ich w słowniku.

Pochylili się razem nad książką, ale prawie natychmiast na druk upadł duży prostokąt z kartonu. Obwiedziony był czarnym atramentem i nosił nagłówek „W hołdzie dla bohaterów”. Za stertą broszur piętrzących się na stole stał Solly Cohen, uśmiechając się szeroko, z rękami w kieszeniach.

Solly był niedawno na prelekcji Klubu Postępowców, poświęconej konieczności wsparcia Tity zamiast Michajłowicza, którego współpraca z Niemcami została w końcu oficjalnie potwierdzona; przyszedł na nią z grupą miejscowych Jugosłowian i stał wraz z nimi na końcu sali, skandując za każdym razem, gdy padała wzmianka o Ticie: „Komunistyczna propaganda! Komunistyczna propaganda!”. Na koniec zebrania, kiedy przewodniczący już je zamknął, Solly przedarł się do przodu, krzycząc raz po raz: „Precz z mordercą Stalinem!”.

Tymczasem polityka aliantów uległa zmianie: Tito był teraz oficjalnie przywódcą partyzantki w Jugosławii, a Michajłowicz podejrzanym kolaborantem. Dlatego Martha triumfalnie spojrzała Solly'emu w twarz.

On jednak jakby nie wiedział, co ją do tego upoważnia. Wskazał duży karton z czarną obwódką i powiedział: — Przyniosłem to na wystawę.

Martha przyjrzała się planszy. Były na niej nazwiska kilkuset oficerów Armii Czerwonej, o których nigdy wcześniej nie słyszała.

— O co ci chodzi tym razem? — zapytała.

— To lista oficerów zamordowanych przez Stalina — wyjaśnił. — Dlaczego tego też nie powiesicie? Oddali życie za sprawę.

Zwróciła mu planszę i rzekła:



— Chcesz powiedzieć, że zadałeś sobie tyle trudu i wydrukowałeś te nazwiska, żeby przyjść z nimi tutaj i się zamęć? — Była naprawdę zdumiona. Solly wciąż się uśmiechał; można by odnieść wrażenie, że jest całkowicie usatysfakcjonowany jej reakcją. Widząc jego zadowoloną, złośliwą minę, którą przybierał za każdym razem, gdy stykał się publicznie z „grupą”, Martha od razu go zlekceważyła.

— Jesteś okropnie dziecinny — zauważyła.

— Nie zamierzasz powiesić tej listy? — zapytał. — Nie masz miejsca? — Szybko rozejrzał się po sali i stwierdził: — Mogłabyś zdjąć jeden z tych sześciu portretów Stalina.

Tommy Brown zawołał: — Kapitalistyczna propaganda! — i Solly, zachwycony, ryknął śmiechem. Opanował się i powiedział: — Domagam się prawdy. Jako marksista domagam się prawdy.

— Takiej jak ta, że Tito został wynaleziony przez partię komunistyczną?

Machnął lekceważąco ręką i oświadczył:

— To wystawa poświęcona Armii Czerwonej, więc chciałbym uhonorować kilkuset jej oficerów zamordowanych przez Stalina.

— Oszalałeś — rzuciła Martha. — Jesteś ofiarą propagandy kapitalistycznej. — I teraz już na pewno Solly dostał to, po co przyszedł; bo znowu wybuchnął śmiechem i zanosząc się nim, ruszył do drzwi. Odwrócił się i lekko skłonił przed najbliższym portretem Stalina: „*Salaam*, najwyższy, *salaam*” — powiedział. I wyszedł.

Tommy i Martha skwitowali pojawienie się Solly'ego pogardliwym wzruszeniem ramion. Martha podarła pląszę, rozglądając się za miejscem, gdzie mogłaby złożyć jej kawałki, i znalazła pod stołem dużą skrzynię. Przykryta była natłusz-

czonym papierem i zawierała broszury pod tytułem *Faszystowskie żmije zgniecione pod obcasem Stalina*. Martha otworzyła jedną z nich i przeczytała: *Gdy faszystowskie męty zostawiają swoje brudy na świętej ziemi naszej Matuszki Rossii, bohaterscy żołnierze radzieccy maszerują dalej, zbrojni w niezachwianą wiarę prawdziwych patriotów i natchnieni przez wielką Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego oraz jej przywódcę, towarzysza Stalina!* Skrzywiła się z rozbawieniem i spojrzała na Tommy'ego, który jednak rozbawiony nie był.

— No właśnie — powiedział, znowu z rozpaczą. — To miałem na myśli. Wszystkie te teksty o ojczyźnie tylko mnie śmieszą.

Weszło kilka osób i wręczyło pieniądze za wstęp. Martha odruchowo schowała broszury. Tommy pomógł jej zamknąć skrzynię i dodał:

— Jasmine przyniosła je na sprzedaż. Ale każdy, kto wszedł i je zobaczył, zaczynał się śmiać. — Na jego twarzy malowało się poczucie winy. Martha uzmysłowiła sobie, że też czuje się winna. — W końcu to zrozumiało, że Rosjanie bardziej przeżywają wojnę niż my — wytłumaczyła bez przekonania.

Tommy zauważył:

— Ale piszą „męty”. A przecież Niemcy to też ludzie. Są żołnierzami. — I dodał pospiesznie: — Chociaż oczywiście radziecka partia komunistyczna wie lepiej, prawda? Towarzysz Stalin też musi wiedzieć, co robi.

— Mamy cztery skrzynie broszur z Rosji — stwierdziła Martha. — Co z nimi zrobimy? Hm, zabierzemy je na zebranie grupy i podejmiemy formalną decyzję o dalszej polityce.

W tym momencie wszedł Bill Bluett, znowu w mundurze.

Tommy wyjął kontrowersyjną broszurę i pokazał mu ją. Bill czytał ze śmiertelną powagą, aż w końcu Martha zapytała:

— No i co o tym sądzisz? Moim zdaniem jest głupia. —  
A wtedy on zareagował automatycznie:

— Niedobrzy, niedobrzy Rosjanie, tacy prymitywni, co?

— Nie ma sensu sprzedawać broszur, z których ludzie się tylko śmieją.

— Nie byłoby im do śmiechu, gdybyśmy mieli tu Niemców.

— Może, ale nie mamy.

— Weźmiemy je na zebranie i papa Anton zdecyduje, co z nimi zrobić.

Martha, zdeorientowana, bo Bill zawsze odnosił się z szacunkiem do Antona, zapytała:

— Dlaczego? Co masz przeciwko Antonowi?

Bill odparł z uśmiechem:

— A co można mieć przeciwko papie Antonowi? — Był w tym osobisty podtekst, więc zapytała ostro:

— To po co tak gadać?

Wzruszył ramionami i powiedział nonszalancko:

— Jeśli chcesz iść, to cię zastąpię. Powinnaś być na zebraniu i lepiej się pospiesz, bo będzie padać.

— I mogłabym przemoczyć sobie stopy?

— Właśnie. — Ale jak zwykle dał za wygraną i jego agresja rozplynęła się w na wpół przymilnym, na wpół przyjacielskim uśmiechu. — Pędźcie, towarzyszeko Marty.

Tommy wziął ze stołu *Wojnę i pokój* i Bill od razu przyczepił się do niego.

— No, no — rzucił — a dlaczego nie T.S. Eliot?

— Co jest złego w *Wojnie i pokoju*?

— Jesteś burżujem, no nie? Skoro tak, to dlaczego nie T.S. Eliot? — Zaczął recytować: *Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień — spod ziemi / Martwej — wyciąga gałęzie bzu\**.

Martha słuchała krytycznie; niczego nie opuścił. Przerwała mu, żeby zapytać:

— Jeśli tak tym gardzisz, to czemu zadałeś sobie tyle trudu i nauczyłeś się na pamięć?

— To pamiątka z mojego dekadenceckiego okresu. Myślałem, że ci się spodoba. Wielkie dzięki.

Na ulicy było gorąco i duszno. Wieczorne niebo zasnuły czarne siarkowe chmury. Spadło kilka wielkich lśniących kropel. Gdy rozpętała się burza, Martha zaczęła biec chodnikiem, z przyjemnością czując ciepłe pacnięcia deszczu na ramionach.

Gdy dobiegła na miejsce, była przemoczona, a zebranie komitetu Sympatyków Rosji już się zaczęło.

Komitet dyskutował o tym, jak odbudować pozycję organizacji, bo jak przewidywał Anton, wystąpienie Jackiego Boltona spowodowało wycofanie się wszystkich szacownych patronów, włącznie z wielebnym panem Gatesem, który się namyślił i zmienił zdanie. Nad linią polityczną która pozostała niezmieniona, czuwali teraz Borys Krueger jako przewodniczący, Betty Krueger jako sekretarz i dokooptowani przez nich członkowie komitetu. Należały do niego Martha i Marjorie, które miały za zadanie „obserwować trockistów”. Choć między frakcją Kruegerów a grupą komunistyczną panowała taka wrogość, że przed zebraniem albo po nich żadne z nich nie potrafiło się zmusić do wymiany więcej niż kilku zdawkowych uprzejmości, to dzięki podobnym poglądom politycznym, przynajmniej jeśli chodzi o tę organizację, prace

\* *Ziemia jałowa*, przeł. Krzysztof Boczkowski, T.S. Eliot, *Wybór poezji*, PIW, Warszawa 1988.

przebiegały znacznie sprawniej niż w przeszłości, kiedy to należało brać pod uwagę wrażliwość szacownych patronów na terminologię każdej rezolucji. Tak czy owak, Kruegerowie i Martha z Marjorie zbierali duże sumy na rzecz pomocy dla Rosji, a poza tym sprzedawali ulotki propagandowe po całym mieście w nakładach, które zaskakiwały ich samych. Kiedy zebranie dobiegło końca, Betty Krueger, która patrzyła na Marthę z wyraźną niechęcią, poradziła jej, żeby poszła zmienić sukienkę, zanim się przeiębi. Martha zapomniała już, że przemokła, i skwitowała: — Ale nie mam czasu.

— Takie z was, czerwonych, pracowite pszczołki — stwierdziła Betty, a jej jasną, delikatną twarz wykrzywiła złośliwość.

— Myślałam, że to wy jesteście czerwoni — odcięła się Martha i wyszła razem z Marjorie.

— Ci trockiści są naprawdę strasznie dziecinni — stwierdziła Martha gwałtownie, myśląc o Sollym i jego popołudniowym występie.

Marjorie odparła:

— Ale nadają się do takiej roboty.

Wyglądała na zakłopotaną i Martha wiedziała dlaczego: lubiła wymknąć się z Colinem między jednym zebraniem a drugim, żeby coś zjeść, i zawsze niepokoiła ją myśl, że uleganie „osobistym uczuciom” jest niełojalne wobec grupy.

— Umówiłaś się z Colinem? — zapytała Martha; i Marjorie z ulgą odrzekła:

— W przyszłym tygodniu bierzemy ślub.

— To cudownie.

Marjorie stała niepewnie na skraju chodnika, patrząc na Marthę prosząco. Mokra ulica błyskała błękitem, czerwienią i złotem, gdy przemykały nią samochody. Wciąż lekko padało i choć był to ciepły deszcz, Martha zaczynała drżeć.

— Sądziś, że dobrze robię? — zapytała Marjorie.

— Że wychodzisz za męża?

Twarz Marjorie, zwykle pełna entuzjazmu i skwapliwości, sprawiała wrażenie pozbawionej wyrazu. Dziewczyna miała na sobie czerwoną bluzkę, rozpiętą od góry, ale przytrzymała ją przy szyi swoją szczupłą opaloną dłonią, zaciśniętą niemal w pięść.

— Co się dzieje? — zapytała Martha.

— Sama nie wiem; mam poczucie, że słabo znam Colina. Jest taki miły. — Dodała to żartobliwie — i w chwili, gdy do ich rozmowy wkradł się taki ton, Martha zrozumiała, że dziewczynie przeszła chęć na zwierzenia: — Jest bardzo miły i taki, jakiego chciałam... poważny mężczyzna, rozumiesz. — Skrzywiła się, patrząc na kino po drugiej stronie ulicy, w którym wyświetlano jakiś film wojenny. Na wielkim, zajmującym całą ścianę plakacie widać było nurkujące spit-fire'y i focke-wulfy, które pluły ogniem. Na jej twarz padał czerwony blask kinowych neonów. — Wiesz, zawsze mówiłam, że nie chcę takiego małżeństwa, to znaczy nudnego... oczywiście, nie mam na myśli zwykłej nudy; nie, nie o to mi chodzi. Ale bawię się już od jakiegoś czasu i mam dosyć...

— Mówisz, jakbyś miała ze czterdzieści lat — zauważyła Martha, nagle rozżłoszczona.

— Hm, mam dwadzieścia pięć, więc gdybym chciała mieć dzieci... choć oczywiście nie będzie mowy o dziecku, jeśli wybuchnie rewolucja... ale chyba każdy bierze to pod uwagę, gdy się z kimś wiąże — dodała z uśmiechem, znowu uciekając się do lekkiego tonu. Skinęła głową i odeszła, mówiąc pośpiesznie: — Do zobaczenia za pół godziny na zebraniu.

Nie jest więc zakochana, pomyślała Martha z dezaprobatą,

bo miała wrażenie, że Marjorie dopuściła się jakiejś zdrady. Potem stwierdziła: hm, to nieważne, ważne, żebyśmy wszyscy pracowali ciężko dla partii. I z tą myślą ruszyła w stronę biura grupy. Nie jadła lunchu i nie zamierzała jeść kolacji. Była wciąż przemoczona i drżała, ale miała nadzieję, że rozgrzeje się w biurze, załatwiając, co trzeba będzie załatwić.

Anton zjawił się pierwszy i od razu zasiadł za stołem na miejscu przewodniczącego. Popatrzył na zegarek.

— Nie możemy tolerować niepunktualności — orzekł. — Towarzysze się spóźniają.

Przyszła Marjorie z Colinem. Była w ponuro-żartobliwym nastroju; Colin spoglądał na nią niespokojnie. Martha pomyślała, że wspólna kolacja musiała być nieprzyjemna. Oboje nerwowymi przeprosinami zareagowali na przyganę Antona z powodu swojego pięciominutowego spóźnienia.

Wkrótce z dwoma ludźmi z bazy przybył Andrew; miało ich być jeszcze pięciu, jak powiedział, ale nie miał pojęcia, gdzie się podziewają. Wszyscy usiedli na twardych ławkach i czekali, podczas gdy Anton patrzył na drzwi.

— Dlaczego nie zaczynamy? — zapytała Marjorie.

— To zebranie organizacyjne; odbywa się tylko raz w tygodniu i powinni być na nim wszyscy.

— Coś mi się wydaje, że Murdoch nie przyjdzie — odezwał się jeden z lotników.

— A dlaczegoż to?

— Trochę za dużo sobie golnął — wyjaśnił przeprasząco chłopak.

Anton utkwiał w nim spojrzenie i Andrew pospiesznie wziął kolegę w obronę:

— Murdoch to porządny chłop. Przyjdzie, jeśli będzie mógł.

Martha przypomniała sobie popołudniową scenę i pomyślała: przecież nie mógł się upić z mojego powodu... Ni z tego, ni z owego bardzo przygnębiona, stwierdziła: czy wszyscy musimy tworzyć pary? To jak tasowanie kart, coś zupełnie przypadkowego. Przeróżające.

Po piętnastu minutach przyszli Piet i Marie Du Preez. Spóźnili się, bo byli w ratuszu z Jasmine, która przesyłała przez nich wiadomość, że nie przyjdzie.

— A dlaczego?

Marjorie odparła:

— Nie dziwię się jej, że nie chciała wyjść po tym, co zdarzyło się ostatnim razem. — Ale Anton zgasił ją swoim zimnym spojrzeniem.

Przed miesiącem wizytę w miasteczku złożył przedstawiciel Pomocy Medycznej dla Rosji z Johannesburga. Jako wykładowca Rand University uchodził za człowieka „szacownego”.

Wieczorem zebrało się ponad tysiąc osób, żeby wysłuchać jego odczytu na temat pomocy dla Rosji — było to największe zgromadzenie publiczne, jakie widziało miasteczko. W prezydium zasiadli premier, biskup i połowa gabinetu. Przez godzinę i trzy kwadranse mówca rozwodził się nad zaletami komunizmu oraz całkowitym rozkładem i upadkiem kapitalizmu.

Członkowie grupy poczuli się w swoim żywiole, podczas gdy twarze ministrów poczerwieniały i wykrzywiły się, a publiczność przyjmowała oklaskami każde co bardziej rewolucyjne stwierdzenie.

Później jednak Anton wtrącił się do rozmowy towarzyszy, podczas której z ożywieniem omawiali odczyt, i skomentował:

— Tak, tak. To wszystko było bardzo zabawne, pod pewnym względem. Ale nie miało żadnego politycznego znacze-



nia. Nowi towarzysze nie zdają sobie sprawy, że czasami bardzo trudno jest być komunistą, że bywa to kwestią życia i śmierci. Przystąpili do nas już w czasach, kiedy każdy Tom, Dick czy Harry może nazywać siebie komunistą, a sam komunizm cieszy się szacunkiem. Jeśli zwołacie zebranie w środku nocy, żeby podyskutować o ubezpieczeniu społecznym na Syberii, pojawią się i będą wykrzykiwać slogany. Nie muszą ryzykować, że zapłacą za to życiem. Ale są lepsze sposoby na wykorzystanie czasu niż słuchanie gromady głupców, którzy oklaskują towarzysza Rochesterę z Johannesburga.

Z przykrością przyznano mu rację i w rezultacie podjęto decyzję, że drugie zebranie publiczne powinna zorganizować Jasmine, ale żaden z towarzyszy nie będzie tracić czasu na uczestnictwo w nim.

— Uznaliśmy — powiedział Anton — że tego rodzaju zebrania mogą z powodzeniem prowadzić ludzie tacy jak Borys i Betty. My mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

Zjawił się Bill Bluett, który rzucił od niechcienia: — Przepraszam za spóźnienie.

— Półgodzinne — zauważył Anton.

— Nas obowiązuje dyscyplina, ale już ochotników do pomocy nie. Dziewczyna, która miała mnie zastąpić, spóźniła się.

— W takim razie jesteś usprawiedliwiony — stwierdził Anton.

Bill rzucił „Dzięki” w taki sposób, że Anton gwałtownie uniósł głowę i obaj mężczyźni wymienili długie, uważne, zaczepne spojrzenia. Bill Bluett, który zdecydowanie przegrał w tym pojedynku, odczekał, aż Anton opuści wzrok, i dodał:

— Poza tym była sprawa literatury. Musiałem przytaszczyć cztery skrzynie materiałów z wystawy.

— To nie ty, jak mi się zdaje, jesteś odpowiedzialny za literaturę. Marty, co masz do powiedzenia na ten temat?

— Nie miałam czasu — wyjaśniła Martha. — Dziś po południu zajmowałam się rozprowadzaniem „Watchdoga” w dzielnicy kolorowych. Jak we wszystkie inne popołudnia w tym tygodniu.

Anton odłożył pióro, odsunął papiery i wyprostował się na krześle, w sposób, który świadczył, że wszyscy mogą spodziewać się ostrej krytyki. Ale sytuację zmieniło wejście Jasmine i Tommy'ego Browna, bardzo ożywionych i roześmianych, bo udzielił im się ogólny entuzjazm panujący na zebraniu, z którego przyszli.

— Należy się wam surowa nagana — zwrócił się do nich Anton.

Tommy usiadł obok potężnego Pieta, jakby szukał u niego ochrony. Jasmine, momentalnie przytomniejąc, jako sekretarz zajęła miejsce za stołem obok Antona.

— Jesteśmy mniej więcej w komplecie — stwierdził Anton. — Ogłaszam rozpoczęcie zebrania. Pierwszy punkt programu, robota partyjna. Sam zabiorę głos, chyba że ktoś zgłasza sprzeciw. — Nie czekał jednak na żadne sprzeciw. — Proponuję, żebyśmy porozmawiali o dyscyplinie. Dyscyplina w takiej grupie jak ta jest dobrowolna. Nie można jej narzucić. Ale co za sens ustalać kolektywnie terminy, skoro się ich nie przestrzega. — Zwrócił się do Jasmine: — Towarzyszko, a gdybyście tak z towarzyszem Tommym opuścili tamto zebranie i przyszli tu na czas, to czy coś by się stało... poza tym oczywiście, że stracilibyście trochę zabawy na widok tych wszystkich burżujów zrywających się z miejsc i klaskających przy każdej wzmiance o Związku Radzieckim dla samego klaskania?

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego organizujemy te zebrania, skoro tak gardzisz ludźmi, którzy na nie przychodzą — włączyła się Marjorie.

— To nie kwestia pogardy, to kwestia właściwej oceny sytuacji. Tak, towarzyszeko Jasmine?

Jasmine odpowiedziała:

— Macie całkowitą rację, towarzyszu. Przepraszam całą grupę i obiecuję, że to się nie powtórzy.

— Towarzyszu Tommy?

Tommy wymamrotał coś, waląc się pięścią w czubek głowy.

— No to sprawa towarzyszy Jasmine i Tommy'ego jest zamknięta. Towarzysz Murdoch się upił; to niedopuszczalne. Towarzysze Marie i Piet przeprosili. Pięciu towarzyszy z RAF-u się nie stawiło. Miejmy nadzieję, że mają ważny powód.

— Są w dzielnicy kolorowych — odezwał się jeden z lotników. Przyłączył się do grupy niedawno: grubokościsty, o zapadniętych policzkach, poważny młody człowiek, londyńczyk, Jimmy Jones, miał skłonność do wygłaszania pełnych pasji tyrad jak podczas zebrań publicznych. — Zdaje się, że nawiązali tam pożyteczne kontakty.

— A kto uznał, że ich kontakty są ważniejsze niż przestrzeganie dyscypliny?

Jimmy powtórzył z uporem:

— To ważne kontakty. Trzeba je podtrzymywać.

— Czyżby? — rzucił Anton. Zwrócił się do Marthy: — Nie wypełniłaś swoich obowiązków jako sekretarz do spraw materiałów propagandowych z powodu dystrybucji „Watchdoga”. Takie problemy załatwia się, przychodząc do grupy, mówiąc, że ma się nadmiar pracy, i przesuwając zadania. Robota nie może zostać niewykonana.

W tym momencie Bill Bluett, zwykle niechętnie nastawiony do Marthy, kiedy spotykał się z nią poza grupą, spojrzął na nią ze współczuciem i wziął ją w obronę:

— Towarzyszka Matty wykonuje dobrą robotę w dzielnicach kolorowych.

— W dzielnicach kolorowych, tak, tak, tak. Ale postanowiliśmy, że na sprzedaż „Watchdoga” przeznaczone będzie jedno popołudnie w tygodniu. Ile popołudni już spędziście, biegając jak kurczęta po dzielnicach? I po co?

— Jest tyle spraw, którymi trzeba się zająć: ludzie w kłopotach, kobiety potrzebujące porady w sprawie dzieci.

— Macie sprzedawać „Watchdoga”, a nie prowadzić życie towarzyskie.

Na to wszyscy wydali okrzyki oburzenia, a Bill powiedział:

— Komuniści powinni angażować się w życie ludzi pracy i ich problemy. I to właśnie robi towarzyszka Matty. A przy okazji, grupa będzie musiała zebrać dziś wieczorem dwa funty dla gościa, który ma kłopot z czynszem... zrobić zrzutkę.

— Towarzyszu Bill — powiedział Anton.

— Towarzyszu Anton — odparł Bill, uśmiechając się nieprzyjemnie.

— Ilu jest kolorowych tu, w kolonii? Kilka tysięcy. Są nieważni z ekonomicznego i politycznego punktu widzenia. Możemy sprzedawać „Watchdoga” w dzielnicach kolorowych do sądnego dnia, ale dopóki ich liczba czy sytuacja ekonomiczna się nie zmieni, żadna z nich siła polityczna.

Bill pokiwał głową, ale milczał.

— Zgadza się z moją oceną roli kolorowych? Jeśli dobrze pamiętam, to wy przeprowadziliście dla nas taką analizę?

— Owszem — potwierdził Bill niechętnie.

— I mogę oczekiwać, że wyciągniecie z niej odpowiednie wnioski? Uzgodniliśmy, że będziemy prowadzić działalność wśród Murzynów, którzy w tym kraju stanowią proletariats. Ale że w tej chwili nie mamy kontaktów z Murzynami, ponieważ ze względu na strukturę polityczną żaden biały nie może łatwo takiego kontaktu nawiązać, musimy współpracować z postępowymi organizacjami białych i z kolorowymi, którzy mieszkają w miasteczku. Uznaliśmy więc, że jedno popołudnie na sprzedaż „Watchdoga” w zupełności wystarczy.

Tu Jimmy nie wytrzymał.

— Powinniśmy wyjść do Murzynów, a wciąż tylko tracimy czas; jeśli chodzi o działalność grupy, uważam, że za dużo zadajemy się z białymi. To wszystko burzuje, szkoda energii. — Tu żywołowo poparli go ludzie z RAF-u, Bill i Andrew, którzy przyznali mu rację, zdecydowanie kiwając głowami i wydając okrzyk aprobaty.

— Towarzysze — rzekł Anton cierpliwie — byliście tu wszyscy, gdy analizowaliśmy sytuację klasową w tym kraju... tak czy nie?

Nikt się nie odezwał.

— I z tej analizy wyciągnęliśmy pewne wnioski, zgodziliśmy się co do nich i je przegłosowaliśmy.

Nastąpiła krępująca, nieprzyjemna cisza.

— No, towarzysze? Czy to znaczy, że chcecie dokonać nowej analizy?

— O Jezu, nie — gniewnie odpowiedział Jimmy.

— A więc co to znaczy? Że takie analizy nie są konieczne?

Jimmy odparł z uporem:

— Wiem tylko, że nawiązaliśmy pożyteczne stosunki ze sporą liczbą kolorowych. To ludzie pracy, tak jak my... albo niektórzy z nas. Rozumiemy się wzajemnie. A towarzyszka

Matty wykonuje dobrą robotę. Dlaczego to odrzucać? Nie widzę powodu.

— Postawię tę kwestię formalnie — oświadczył Anton. — Czy uznajemy, że powinniśmy przeprowadzić od nowa analizę sił klasowych w tym kraju i bazując na tej analizie, zreorganizować naszą działalność?

— Nie — odpowiedział zapalczywie Jimmy. — Nie, do diabła, nie.

— Wobec tego, logicznie rzecz biorąc, obowiązują nas wcześniejsze decyzje. Matty przeznaczy jedno popołudnie w tygodniu na sprzedaż obnośną „Watchdoga” w dzielnicy kolorowych. Towarzysze z RAF-u mogą jej pomagać w razie potrzeby. Żadne z was nie będzie się angażować w problemy z czynszem, kontrolą urodzin czy inne tego typu sprawy. I od tej chwili nie tylko zobowiązujemy się do punktualności, ale też będziemy punktualni. A teraz następny punkt zebrania.

— Literatura — podsunęła Jasmine.

— Chwileczkę, towarzysze — odezwała się Marie Du Preez. Spojrzała Antonowi w twarz. Mówiła z niepokojem i jednocześnie z autentyczną matczyną serdecznością, jakby pokrywała swoją dezaprobatę dla niego tonem głosu, używanym wobec dziecka.

— Towarzyszko Marie — włączył się ze zniecierpliwieniem Piet.

— Martwi mnie to. Trudno mi wytłumaczyć dlaczego. Teoretycznie zgadzam się z wami. Jeśli podejście się do tego bez emocji, każdy musiałby się zgodzić. Ale jeżeli podejść do sprawy po ludzku... to coś tu jest nie tak. Pewni towarzysze tu obecni nawiązali naprawdę przyjacielskie stosunki z kolorowymi, a wy mówicie, że trzeba je zerwać, uciąć... a to przecież ludzie, tak jak my.

— Towarzyszko Marie, działalność partii komunistycznej w każdym kraju opiera się na intelektualnej analizie struktury klasowej, sił klasowych w tymże kraju w danym czasie. Nie opiera się na indywidualnych, osobistych uczuciach. Bo inaczej nie będzie to żadna partia komunistyczna.

Marie zmarszczyła brwi i w końcu odrzekła uparcie:

— Mówiłam wam, nie jestem w stanie dyskutować z wami racjonalnie. Czuję jednak, że to złe podejsście.

Jej mąż Piet, który uśmiechał się podczas tej wymiany zdań, zaśmiał się głośno i stwierdził:

— Kobiety. Czują, że coś jest nie tak, i koniec.

Jego żona odcięła się: — Koniec, jeśli chodzi o ciebie.

— Nie podoba mi się to — zauważyła Marjorie. — Żądam, żeby towarzysz Piet bezwarunkowo cofnął swoją poprzednią uwagę.

— Ja też — poparła ją gorąco Martha.

— I ja — dołączyła się Jasmine.

— Cofam ją — odparł Piet, wciąż z uśmiechem.

— Wcale nie cofasz — stwierdziła Marjorie. — Tylko udajesz, że nam ustępujesz. Wykazujesz niewłaściwy stosunek do kobiet.

— Towarzyszko Marjorie — wtrącił Anton — on oficjalnie cofnął to, co powiedział.

— Oficjalnie — podkreśliła Marjorie.

Kobiety spojrzały z niechęcią na tego potężnego, poczciwego, roześmianego związkowca, który usiłował wykazać skruchę.

Nagle Andrew wyjął fajkę z ust i powiedział, również z uśmiechem:

— Towarzysze, muszę zdążyć na autobus za pół godziny, tak samo jak chłopcy.

— Dobrze — odrzekła Marjorie. — Widzę, że towarzyszy Andrew popiera towarzysza Pieta.

— Co do towarzysza Pieta — odezwała się znowu Marie, patrząc na męża — porozmawiam z nim później.

— Tak? — zapytał Anton. — Uporaliśmy się już z tą ważną kwestią?

— Nie chcecie, mam nadzieję, sugerować, że jest nieważna? — nie dawała za wygraną Marjorie.

— Jako przewodniczący — odrzekł Anton — proponuję, żebyśmy przeszli do drugiego punktu zebrania. Czyli do literatury.

Głos zabrała Jasmine:

— Chodzi o to, że mamy cztery skrzynki broszur z Moskwy. Uważam, że styl, w jakim są napisane, nie przystaje do naszych obecnych warunków.

Znowu rozległ się zbiorowy głos poparcia. Wyglądało na to, że wszyscy widzieli broszury. Jednakże ich twarze wyrażały zmieszanie: czuli się nielojalni, że muszą skrytykować Związek Radziecki; co więcej, czuli się jakby zdradzeni, a nawet zagrożeni.

Anton zauważył spokojnie:

— Przejrzałem te broszury i zgadzam się, że towarzysze w Moskwie nie rozumieją naszych potrzeb i przysłali nam niewłaściwe materiały propagandowe. Proponuję wystosować do nich poważne pismo i wyjaśnić w nim, dlaczego tak uważamy, podsuwając jednocześnie wytyczne, według których mogliby przygotować bardziej użyteczne broszury.

— Nigdy nie odpowiadają na nasze listy — zauważyła Jasmine, z przykrością występując z kolejną krytyką wobec uwielbianego kraju.



— Pewnie mają ważniejsze sprawy niż przejmowanie się problemami w Zambezji — wyjaśnił Anton.

— To dlaczego w ogóle zadają sobie trud, żeby przysyłać nam te broszury? — zapytała Marjorie.

Anton odparł zimno:

— Wydaje mi się, że to nie jest istotny problem. Następny punkt zebrania.

— Uważam, że prowadzisz to zebranie w bardzo arogancki sposób — zauważył nagle Bill Bluett.

— Ja także — dołączył się Jimmy, który siedział w napięciu, marszcząc czoło, a jego duże czerwone ręce aż drżały nerwowo na kolanach.

Anton odrzekł:

— Za dwadzieścia minut towarzysze z RAF-u będą musieli wyjść, a mamy jeszcze do omówienia osiem punktów programu. Będziemy musieli skrócić zalecenia polityczne, bo towarzysze nie dbają o punktualność.

— Mimo to uważam, że jesteś arogancki — powtórzył Bill.

— W takim razie proponuję, żebyście wybrali kogoś innego na przewodniczącego.

Anton powiedział to ze zniecierpliwieniem, urażonym tonem, i Marjorie stwierdziła:

— Moim zdaniem twoja reakcja na uwagę Billa jest nieodpowiednia.

— Moim także — dodała Jasmine spokojnie. — Nie powinieneś tak przyjmować krytyki.

Anton opuścił wzrok na blat stołu i bawił się ołówkiem, wbijając go raz po raz w jakąś kartkę. Drobne bruzdy wokół jego ust drgały nieznacznie.

— To mi przypomina, że coś jeszcze mam do powiedzenia — dodał Bill. Wstał, wkładając czapkę na gęste cienkie

włosy. — Proponuję, żeby grupa podtrzymała swoją gotowość do przeprowadzania krytyki i samokrytyki.

— Popieram — skwapliwie rzuciła Jasmine.

— Ponieważ nie jest to kwestia do głosowania, ale do wprowadzenia w życie, nie ma potrzeby jej popierać albo nie popierać — skwitował Anton. Do Billa zaś powiedział uprzejmie: — Dziękuję, że mi to przypomnieliście, towarzyszu. Macie całkowitą rację.

— Och, nie ma za co — stwierdził niedbale Bill i ruszył do drzwi. Dwaj koledzy z RAF-u poszli za nim.

Pozostali stwierdzili, że będą kontynuować zebranie bez nich, ale Anton nagle wstał, skinął wszystkim głową i oświadczył, że musi już iść. Wyszedł, zostawiając grupę bez przywódcy.

— Chyba nie obraził się, że został poddany krytyce? — zapytała Marjorie.

— Na pewno nie — odparła Jasmine. — To doświadczony towarzysz i umie przyjmować krytykę. Kontynuujmy. — Tu jednak Martha, która dygotała z zimna od początku zebrania, zadrżała tak, że aż zadzwoniły jej zęby. Wszyscy spojrzeli na nią i głośno orzekli, że jest chora. Zebranie więc na tym się zakończyło. Marie i Piet Du Preez odprowadzili ją do domu i położyli do łóżka. Martha pomyślała słabo, że uleganie chorobie to akt nieodpowiedzialności i nielojalności wobec grupy. Jednocześnie zaświtało jej w głowie, że przyjemnie byłoby pochorować sobie dzień czy dwa, mieć trochę czasu na refleksje, a nawet — tu ogarnęło ją przemożne poczucie winy — żeby pobyć jakiś czas samej, a nie stale w otoczeniu ludzi.

# Część druga

*Lenin, jak wiemy, nie oszczędzał przeciwników*

Andriej Żdanow

## Rozdział pierwszy

Rano Martha obudziła się chora, a przede wszystkim przygnębiona z powodu poczucia winy: zachorowała, bo była nierozważna, a teraz jej obowiązki spadną na innych. Ale osłabienie wywołane gorączką było przyjemnym odczuciem. Śniło jej się coś i chciała znowu zasnąć, bo te sny miały w sobie dziwną tęsknotę, która budziła w niej niepokój, ale jednocześnie miała niebezpieczny urok. Śniła o „tej krainie”; tak nazywała to szczególne miejsce, które często odwiedzała we śnie albo które nawiedzało ją — zawsze gdy była przemęczona albo chora. „Ta kraina” była osnuta jasną mgłą, płaska; mewy przy zabarwionych na fioletowo wybrzeżach krzyczały jak dzieci. Stała na mieniących się kolorowo kredowych skałach z gorzkim od soli morzem u stóp, czując w nozdrzach wyraźną jego woń.

Pomyślała teraz: hm, przypuśćmy, że to Anglia... ale jak mogę być wygnańcem z Anglii, jeżeli nie mam z nią nic wspólnego? I czy naprawdę muszę czuć się winna, że chce mi się spać, skoro od dawna nie spałam tyle, ile trzeba? Ponownie zapadła w gorączkowy sen i śniło jej się, że znowu jest „na

wsi" i że stoi na skraju kopalni złota, należącej do pana McFarline'a. Ale kopalnia była opuszczona. I to od wieków. W olbrzymiej dziurze w ziemi pracowała zapomniana rasa, którą wyraźnie widziała we śnie: ludzie o miedzianej skórze, długich kończynach, ostrych rysach twarzy, powiązani z sobą jak niewolnicy i pilnowani przez czarnego nadzorcę z biczem. Zniknęli oni przed wiekami, kopalnia została porzucona, a jej stoki porosły małymi kępami buszu i niską trawą. Ale w pobliżu miejsca, gdzie się znajdowała, był występ, półka skalna, która rozszerzała się u podstawy jak mocno wsparta łapa zwierzęcia. Martha stanęła w najbardziej wysuniętym jej punkcie, z otchłaniami pod sobą; czuła ciepły piaszczysty zapach afrykańskiego słońca na suchej ruchomej ziemi i patrzyła na wielowarstwową skałę. Z boku ukazywało się wypiętrzenie, kolejne sfałdowania terenu, z ciepłą czerwienią żywej gleby na górze i martwymi warstwami kamienia poniżej. Zauważyła, że występ skalny nie był martwy, żył. Nie była to zwierzęca łapa, ale łeb i łopatki olbrzymiej jaszczurki, prehistorycznego gada, uwięzionego tu tysiące lat temu. I skamieniałego. Kształt wąskiego łba, linia łopatek były wyraźnie widoczne. Wąska półka skalna biegnąca w dół po zarośniętym trawą dnie wykopu stanowiła jego łapę. Martha rozejrzała się ponownie i zauważyła oko jaszczurki, patrzące na nią cierpliwie, posępnie, pytająco. Było to porośnięte łuskami stare oko, pokryte pyłem z kopalni, pełne smutku. Ona żyje, pomyślała. Żyje po tylu wiekach. I zanim umrze, też upłyną wieki. Może powinienam ją wydobyć?

Jednakże wydawało się, że to wielkie, na wpół skamieniałe, prehistoryczne zwierzę powinno tu pozostać i żyć w tych zwałach ziemi. Spojrzała na półprzymknięte, cierpliwe oko i pomyślała: Musisz być za stara, żeby mnie w ogóle widzieć.

Obudziła się i całe jej ciało było obolałe od gorączki. Teraz, na jawie, sen wydawał jej się przerażający, ale głównie dlatego, że był tak odległy od chłodnych, oblewanych słoną wodą wybrzeży „tej krainy”. Pomyślała: następnym razem, gdy zasnę, mogę się znaleźć gdziekolwiek i to jest koszmar, nie wiedzieć, co cię czeka... Bo zlewane słoną wodą wybrzeża i głęboki ponury wykop jakby nie miały z sobą nic wspólnego, nie były w żaden sposób powiązane z sobą, i to ją przerażało. Zdała sobie sprawę, że boi się ponownie zasnąć.

Była dziesiąta rano. Chociaż przytłaczała ją poczucie winy, że nie wywiąże się ze swoich obowiązków wobec grupy, dopiero teraz przypomniała sobie o pracy, która dawała jej utrzymanie. Podeszła więc do telefonu w korytarzu i zadzwoniła do pani Buss, która nie zaniechała okazji, aby zapewnić Marthę, że sama przez dowolnie długi czas świetnie da sobie radę z prowadzeniem biura. Jeśli o nią chodzi, od piętnastu lat, odkąd zarabia na życie, nie chorowała ani jednego dnia. Martha zauważyła, że pani Carson stoi za nią i słucha.

— Jestem chora — wyjaśniła pospiesznie, żeby uniknąć wciągnięcia w jakąś nową aferę ze służącymi. Wróciła do łóżka, odprowadzona przez białą napiętą twarz i ciemne udręczone oczy pani Carson, która przysiadła w nogach jej łóżka i opowiedziała długą historię o tym, jak to kiedyś była sama na farmie w jakimś odległym miejscu, i cała banda tubylców otoczyła dom, próbując dostać się do środka, ale widząc, że ona czeka na nich z bronią, zadowolili się zagładaniem przez okna i miotaniem wyzwisk. Martha leżała pod warstwą skotłowanych koców i drżała, słuchając tych fantazji; powtarzała sobie co chwila: nie dam jej się wyprowadzić z równowagi. Nie mogę. Jest nienormalna i nic się

na to nie poradzi. W końcu jednak odezwała się i ze zdziwieniem zauważyła, że głos łamie jej się od łez: — Pani Carson, jestem chora.

Pani Carson, przypomniawszy sobie o istnieniu Marthy, powoli wstała, wygładzając sukienkę kościstymi dłońmi i rozglądając się po pokoju, jakby nie wiedziała, co ma zrobić. W końcu dość bezradnie zaciągnęła perkalowe zasłony i znowu podeszła do łóżka. Spojrzała na Marthę ze ściągniętymi brwiami.

— Może powinnam zatelefonować do twojej matki? — zaproponowała.

Martha usiadła na łóżku z przerażenia.

— O nie, nie, proszę, nie.

Pani Carson, niezdziwiona, a raczej zadowolona, że niczego się od niej nie oczekuje, odparła niepewnie:

— Gdybyś czegoś potrzebowała, to daj znać. — Wyszła, mówiąc: — Lepiej, jak zasłony są zaciągnięte; wtedy nie mogą zajrzeć do środka.

Martha ponownie zasnęła i natychmiast obudził ją zły sen, którego nie pamiętała, ale pod jego wpływem zerwała się z łóżka. Podjęła się pewnych obowiązków i musi się nimi zająć. Ubrała się i pojechała rowerem do centrum. Dopiero gdy pod wpływem gorączki zaczęła tracić równowagę na rozchwianym rowerze, zrozumiała, że jest naprawdę chora i ma prawo zostać w łóżku. Pojechała jednak do biura grupy komunistycznej, zabrała adresy biznesmenów, do których trzeba było zwrócić się z prośbą o datki na rzecz Pomocy Medycznej dla Rosji, i przez cały dzień jeździła po mieście. Ze zdziwieniem zauważyła, że już bez żadnego wysiłku wchodzi w rolę osoby „zbierającej pieniądze”. Nie lubiła siebie takiej: chłodnej, praktycznej, trochę zalotnej, skłonnej

do żartów, żeby tylko złagodzić to, że zbiera pieniądze dla Rosji. Obiecano jej ponad trzysta funtów. Wróciła do biura, zostawiła kartkę z informacją, że ktoś inny z towarzyszy będzie musiał przejąć jej zadania, i z trudem wsiadła na rower. Działo się to w dostojnym, ciężkim upale popołudnia. Słońce odbijało się od murów, od chromowanych części samochodów i rowerów, od skór Murzynów, od oczu przechodniów, od liści drzew. Wszystko lśniło od gorąca. Światło wpadające do oczu boleśnie wwiercało się w jej czaszkę. Pedałowała wolno, świadoma, że trąbią na nią samochody. Pomyślała: nie mogę dziwnie się zachowywać, bo będzie to ujmą dla grupy. Muszę jechać prosto i wyglądać normalnie. Gdyby ktoś wziął mnie za pijaną, odpowiedzialność za moje zachowanie spadłaby na partię.

Kiedy wreszcie położyła się do łóżka w zaciemnionym pokoju, pomyślała żałośnie: na całym świecie ludzie umierają, giną, cierpią katusze nie do opisania, a ja choruję. Nie mam prawa chorować.

Spała i śniła jej się, że jest wśród ofiar wojny, za które czuje się odpowiedzialna. Na w pół się budziła i znowu zamykała oczy przed jaskrawym światłem dochodzącym przez wiotkie perkalowe zasłony. Myślała: To Francja, tak — trzymamy się tutaj (bo w swoim śnie jako reprezentantka całej „grupy”, powstrzymała jakąś falę przemocy czy akt terroru), ale są przecież i Niemcy, ludzie w obozach koncentracyjnych w całych Niemczech, zapominam o nich. I kiedy znowu zasnęła, znalazła się w Niemczech, walcząc tam z przemocą, ale wówczas zadreczęła się, że zapomina o Francji albo Rosji, albo o jakimś innym miejscu, za które ponosiła odpowiedzialność. Budziła się i zasypiała, zasypiała i budziła się z wciąż narastającym gorączkowym niepokojem, raz po



raz odwiedzając w swoich snach chłodne płaskie wybrzeża nostalgii, gdzie nie istniała żadna odpowiedzialność, albo zaglądając znowu w pokryte pyłem półprzymknięte oko wielkiej skamieniałej jaszczurki.

Któregoś razu, gdy się obudziła, zobaczyła przy łóżku tacę przykrytą siatką przeciw muchom. Pani Carson, zaniepokojona myślą, że coś powinna dla Marthy zrobić, ale niezdolna wyzwolić się ze swojej obsesji na tyle, aby wpaść na pomysł, co by to miało być, przygotowała trzydaniowy posiłek: zupę, zimną już i pokrytą warstewką tłuszczu; pieczeń wołową i ziemniaki też z zakrzepłym tłuszczem; i kawałek wilgotnego, zimnego pasztetu. Żołądek podszedł Marcie do gardła i pobiegła do łazienki, żeby wymiotować. Po drodze minęła kuchnię, w której siedziała pani Carson, ubrana w kretonową podomkę, odsłaniającą jej pomarszczony brzuch, z packą na muchy w ręce, i patrzyła, jak jej nowy służący piecze ciastka. Nie zauważyła Marthy, która wróciła do łóżka, a tam przyśniło jej się, że jest odpowiedzialna za panią Carson i próbuje jej wytłumaczyć „raz na zawsze”, że „jest na złej drodze”, że „powinna być zadowolona i nie marnować swojego życia”. W tym śnie widziała ją jako wesołą, tryskającą zdrowiem wdowę, lubiącą grać w karty, zalotnie puszczającą oko, która mówi do Marthy: „Dziękuję ci, moja droga, za to, że mnie uratowałaś. Jesteś moją prawdziwą przyjaciółką”.

Był to dla niej taki koszmar, że próbowała się z niego obudzić, gwałtownie łapiąc powietrze i krzycząc.

Minęła noc. Rano obudziła się i zobaczyła, że Jasmine patrzy na nią, stojąc w nogach łóżka.

- Wszystko w porządku? — zapytała.
- Oczywiście.
- Wezwać lekarza?

— O nie, tylko nie to.

— Ja też ich nie cierpię. Idę do pracy. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz potrzebowała pomocy. — Jasmine, skromna i rzeczowa jak zwykle, w jaskrawoniebieskiej kwiecistej sukience podkreślającej jej drobną zgrabną sylwetkę, marszczyła czoło, patrząc na Marthę i poprawiając kolczyk w uchu.

— A co tam w grupie? — zapytała Martha, która miała wrażenie, jakby była z niej wykluczona od kilku tygodni.

— Kłopoty — odparła Jasmine, przewracając oczami i wzdychając. — Wczoraj wieczorem było zebranie. Chłopczy z RAF-u cierpią na poważne zaburzenia, są infantylni. Chcą rewolucji tu i teraz. Jimmy domaga się, żebyśmy wyszli na ulice z czerwoną flagą, krzyżąc: „Precz z białymi tyranami!”.

— Poważnie?

— Poważnie.

— Może to nie jest taki zły pomysł — powiedziała Martha ze złością.

— Wobec tego zostań w łóżku — stwierdziła Jasmine. — Jeśli ty też masz ochotę machać czerwoną flagą, bardziej zaszkodziś, niż pomożesz.

— Mimo wszystko tak sobie pomyślałam... gadamy i gadamy, analizujemy i opracowujemy wytyczne, ale co tak naprawdę robimy? Co takiego zmieniamy? — Dokuczał jej ból głowy i leżała bez ruchu, patrząc na chłodny biały sufit.

— Na twoim miejscu przespałabym się.

— I co jeszcze? Co jeszcze się dzieje?

— Cóż, chłopcy z RAF-u mówią, że jesteśmy burżujkami.

— Pewnie jesteśmy. A dlaczego?

— Bo — wyjaśniła Jasmine spokojnie — malujemy usta

i lakierujemy paznokcie. — Wysunęła małą stopę w niebieskim sandałku na wysokim obcasie i z zadowoleniem spojrzała na swoje szkarłatne paznokcie. — Twierdzą, że to, jak się ubieramy, zdradza nasze pochodzenie.

— Kto? Wszystkie kobiety czy tylko te z grupy?

— Towarzyszki. Ich zdaniem deprawuje nas znaczenie, jakie w kapitalistycznym społeczeństwie przypisuje się płci. — W tym ostatnim zdaniu skierowanym do Marthy zawarte było całkiem poważne pytanie.

Martha zastanowiła się nad nim, pełna połączonego z niepokojem niezadowolenia z siebie, pod wpływem którego gotowa była zgodzić się z każdym, kto ją krytykował. Ale na rewersie jej nieustającego autokrytycyzmu widniał obraz osoby, jaką pragnęła być: i zestawienie tegoż obrazu z którymkolwiek z mężczyzn należących do grupy wystarczało, żeby odrzuciła ich całkowicie. Myślała: każdy prawdziwy mężczyzna dostrzegłby, kim mogę być, i pomógłby mi stać się kimś takim, a wszyscy ci gówniarze z grupy... Przeraziła się, że może tak myśleć o towarzyszach, i powiedziała gniewnie:

— Och, mogą sobie mówić...

— To właśnie powiedziałam Jimmy'emu.

— Bo oczywiście był to Jimmy.

— Tak, powiedziałam mu, że jeśli nie podoba mu się nasz makijaż, wysokie obcasy i tak dalej, to co robił u McGratha z tą dziewczyną z recepcji? Bo trzeba zacząć od tego, że ma tlenione włosy. Powiedział, że ją edukuje.

Martha zaśmiała się. Jasmine uśmiechnęła się spokojnie i zauważyła:

— Cholerni hipokryci. Wszyscy co do jednego. Dobra, na razie, Matty. I dbaj o siebie. — Wyszła, zarzucając sobie na ramię torbę pełną broszur propagandowych.

Następnym razem, gdy Martha się obudziła, był wieczór i zamiast Jasmine w nogach łóżka stała pani Quest.

— Cieszę się, że choć raz się wyśpisz — oświadczyła dziarskim tonem.

— Uhm.

— Miałaś jakieś wiadomości od Williama?

— Od kogo?

— Tego kaprała czy jaki on tam ma stopień.

— Tak.

— Jeśli i jego rzucisz, to już naprawdę nie będę chciała cię znać.

— Mamo, powtarzam ci, nie zamierzam wyjść za Williama.

— Zostawiłaś dla niego męża.

— Wcale nie. Zostawiłam Douglasa, bo... — Urwała, wiedząc, że nie ma sensu wyjaśniać matce, dlaczego od niego odeszła.

Tymczasem pani Quest chłodnym okiem, krytycznie spojrzała na nagie ramiona Marthy.

— Ta koszula nocna jest nieprzyzwoita — stwierdziła. — Gdyby przyszli tu jacyś twoi znajomi...

Martha, która na widok matki pomyślała: dzięki Bogu, przynajmniej zajmie się mną, podciągnęła koc pod brodę i powiedziała:

— Nikt nie przyjdzie. A ja śpię.

Pani Quest podeszła do toaletki, przyjrzała się stojącym na niej przedmiotom, i zauważyła:

— Używasz więc teraz różu. Cóż, jeśli zamierzasz tak się bawić jak dotychczas, to rzeczywiście będzie ci potrzebny nawet w tak młodym wieku. Ale nie mów, że cię nie ostrzegałam. — Wróciła na miejsce przed łóżkiem i zmieniła temat: — Pani Carson martwi się o ciebie.

— Dlaczego?

— Mówi, że nie zaciągasz zasłon i ogrodnik kręci się pod oknem, żeby cię podglądać.

— Och, przestań — rzuciła Martha, uświadamiając sobie z niezadowoleniem, że jest w stanie znieść takie uwagi od pani Carson, ale nie od matki, dla której przecież powinna mieć więcej cierpliwości i zrozumienia. Tu znowu odezwało się poczucie winy, pogarszając jeszcze jej gorączkowy stan.

Panią Quest ogarnęło pełne skruchy zmieszanie i wycofała się pospiesznie:

— No, może coś jej się pomyliło. Nie będę zakłócać ci już wypoczynku, sen dobrze robi na urodę. — Podeszła do drzwi, demonstracyjnie milcząc. Odezwała się w progu: — Słyszałam, że Caroline źle się czuje, biedna mała.

Przed oczami Marthy wyrósł obraz Caroline i powiedziała sobie z udręką: nie mogę teraz o niej myśleć, naprawdę nie mogę. Surowo zepchnęła jej osobę w obszar świadomości z napisem „wstęp wzbroniony”. Jednak gdy tylko zasnęła, Caroline wychynęła z zakazanego miejsca i pojawiała się przed Martha, raz jako urocza i po dziecięcemu bezbronna, raz chora i płacząca albo wrogo nastawiona wobec niej jako matki. Martha budziła się wciąż, po raz pierwszy bojąc się samotności w tym ciemnym, nędznym, wynajętym pokoju, gardząc sobą za ten lęk, nienawidząc matki za to, że przywołała obraz Caroline.

Minęły kolejna noc i leniwe, gorące przedpołudnie. Muchy brzęczały, tłukły się o zasłony, przez które żółtymi igłami przebijał się blask słońca. Martha myślała: gdyby matka przyszła tu jeszcze raz i była miła, zamiast odnosić się do mnie z niechęcią... i z kolei przestraszyła ją słabość zawarta w tej refleksji. Uzmysłowała sobie: jestem chora i dlatego

zaczynam tęsknić za matką. A może wcale nie jestem chora, tylko usiłuję się z czegoś wydobyć. Ale z czegoż to usiłuję się wydobyć? Po prostu nie wolno mi się poddawać. Wstała więc chwiejnie z łóżka, przeczesała włosy i umalowała się. Potem znowu położyła się na poduszkach i postanowiła: jeśli się zawezmę, przestanę chorować. Ale prawie natychmiast znowu zapadła w sen, pełne koszmarów delirium.

Obudziła się późnym popołudniem i zobaczyła, że na łóżku siedzi Anton. Jego widok przyniósł jej cudowną ulgę.

— Tak, tak, tak — powiedział. — Jeśli ktoś o siebie nie dba, to choruje. — Ujął ją mocno za nadgarstek: miał to być braterski gest, a jednocześnie próba zmierzenia jej pulsu. — Więc — zaczął — co mówi lekarz?

— Nie potrzebuję lekarza.

— Nie potrzebujesz. Być może, ale musisz mi wybaczyć: zatelefonuję do twojego lekarza, on przyjdzie i cię zbada.

Uśmiechał się do niej. Martha ledwie go poznawała. Stwierdziła: nagle stał się człowiekiem. Przyszło jej do głowy: a jeśli się we mnie zakochał? Ta myśl wywołała u niej podniecenie i jednocześnie najzwyklejszą panikę. O mój Boże! — pomyślała mimowolnie, jest taki sam jak inni — zakochanie to dla niego czysty przypadek, jeśli można tak powiedzieć. Mimo to poczuła przyspieszony puls. Rozpalona gorączką, spojrzała na surową, opanowaną twarz Antona, której wyraz łagodził nieznaczny ojcowski uśmiech, i pomyślała: Może jeszcze sam tego nie wie, ale mu się podobam.

Anton wstał, pochylił się nad nią i pocałował w czoło.

— Tak, tak — powiedział. — Poleż sobie teraz spokojnie, dopóki nie przyjdzie lekarz. — Przez chwilę oboje byli zakłopotani tym pocałunkiem, więc Anton rzucił pospiesznie: — Zajrzę do ciebie jeszcze wieczorem. To doktor Stern,

tak? Wszystko załatwię. — I sztywno wyszedł na palcach, jak ptak brodzący, który unosi wysoko długie nogi.

Czy w jego obecności czuję się bezpiecznie? — zaczęła się zastanawiać, przypomniawszy sobie, jak kiedyś powiedział, że problemom kobiet poświęca się za mało czasu, i jak zareagowała na tę zapowiedź zrozumienia. Tak, on jest dobry, stwierdziła teraz.

Czekała więc na wizytę lekarza. Jeśli Anton wziął na siebie odpowiedzialność za jej słabość, za poddanie się chorobie, to wszystko w porządku, ona może zrzucić z siebie ten ciężar.

Leżała, patrząc na drzwi, w których miał pojawić się doktor Stern. Ale kiedy się obudziła, zobaczyła Jimmy'ego; wszedł z taką samą przesadną ostrożnością, z jaką wyszedł Anton, skupiony na tym. W dużej czerwonej dłoni trzymał wielki bukiet różowych cynii i sądząc, że Martha śpi, rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby go położyć. Wszedł znowu, zostawiając drzwi otwarte, i usłyszała, że zagadnął służącego w kuchni. Mówił przyjacielskim, bezpośrednim tonem, ale służący odpowiadał nerwowo i wymijająco: kontrast pomiędzy Jimmym a panią Carson był dla niego za dużym wyzwaniem. Jimmy wrócił z dużym, bardzo ozdobnym wazonem, w którym tkwiły sztywno kwiaty. Martha zauważyła, że podobał mu się ten wazon, bo niósł go z dumą. Postarała się stłumić dezaprobataę dla jego złego gustu, myśląc: to snobizm, mają rację, że nam to wytykają, klasa średnia i tak dalej... Kiedy już postawił wazon z kwiatami obok niej, zobaczył, że się obudziła i uśmiecha do niego, dziękując mu jednocześnie.

Chociaż światło słoneczne na zasłonach było bladożółte i upał nie przenikał już do pokoju, panowała w nim duchota, a duża, wyrazista twarz Jimmy'ego pałała. Miał na sobie gruby, niezgrabny mundur zimowy.

— Może zdejmiesz kurtkę? — zapytała i od razu się zmieszała. Przypomniała sobie uwagę matki, że ma nieprzyzwyczajoną koszulę; podciągnęła więc prześcieradło pod samą brodę, myśląc: nie przeszkadzało mi to wcale, gdy był tu Anton, a przeszkadza w obecności Jimmy'ego.

Prawdą było, że na jej widok krytycznie zmarszczył czoło. Rozpiął górny guzik przy kurtce i widać było, że bardzo chce być użyteczny: przyjrzał się uważniej jej twarzy i orzekł:

— Nie wyglądasz za dobrze, taka jest prawda.

Po czym zlustrował jej łóżko, zastanawiając się, co mógłby zrobić.

— Poczekaj minutę. — Włożył jej dłoń pod głowę, uniósł ją, poprawił poduszki, odrzucił grubą warstwę koców, które były dla Marthy za ciężkie, choć dotąd nie zdawała sobie z tego sprawy, i powiedział władcym tonem: — A teraz ułóż się swobodnie. To niedobrze tak się kulić. — Martha posłusznie rozluźniła całe ciało. — Tak lepiej. Możesz mi wierzyć. Sam przez to przeszedłem.

— Przez co?

— Przed wojną leżałem dziesięć miesięcy w sanatorium. Wiem, co to znaczy chorować.

— Już jesteś zdrowy? — zapytała, widząc czerwone rumieńce na jego wydatnych kościach policzkowych.

— Przyjęli mnie do RAF-u, więc pewnie tak.

Zaśmiała się, ale on nie.

— Dlatego przyszedłem cię odwiedzić. Powinnaś się wypocić. Masz wysoką temperaturę.

Całkowicie wszedł w rolę pielęgniarki.

— Masz tu kroplę czegoś? Brandy? Owinę cię w koce i alkohol zrobi swoje.

— Ależ, Jimmy, zaraz przyjdzie lekarz.



— Ja bym im nie ufał. Faszcerują cię trucizną i zawracają głowę, zamiast zdać się na naturę.

— Ale już idzie doktor Stern.

Odparł sztywno:

— No cóż, jak uważasz. — Był tak urażony, że znowu zapiął kurtkę i zrobił krok w stronę drzwi.

— Jimmy, chyba nie będziesz się gniewał, że wezwałam lekarza, bo jestem chora? — Zabrzmiało to płacziwie i zmarszczyła czoło, myśląc: hm, czyżbym chciała grać na tej nucie... On od razu rozpląnął się w uśmiechu i przysiadł na łóżku.

— Skoro już jestem, to opowiem ci, co ze sprzedażą „Watchdoga”. Murdoch, Bill i ja w twoim zastępstwie wzięliśmy ją na siebie. — Zdał jej dokładny raport, ze wszystkimi detalami, a ona leżała i przyglądała się w milczeniu jego niezwykle poważnej twarzy, dopóki nie powiedział: — Załatwiliśmy sprawę Ronalda. Czuje się dobrze. Nie ma się czym martwić.

— Ronald? Ten mężczyzna, który umiera na... — Nie dokończyła.

— Umiera? On nie umiera. Powiem ci, towarzyszeko, że jedyne, czego mu było potrzeba, to trochę porządnego jedzenia i odpoczynku. Nie ma już czegoś takiego jak gruźlica.

— To co zrobiłeś?

— Zorganizowaliśmy zrzutkę wśród chłopaków i nakarmiliśmy go. Załatwiliśmy mu wyzerkę i uregulowaliśmy czynsz. Te choroby biorą się wyłącznie z biedy. Z biedy, i to wszystko. Nie masz o tym pojęcia, z tym swoim klasowym pochodzeniem, ale możesz mi wierzyć, kiedy lekarze mówią o gruźlicy, raku czy innych bzdurach, to wspomagają tylko kapitalistów. Nie mieliby co robić, gdyby nie bieda.

Marthę rozboleła głowa.

— Jimmy — powiedziała — mimo wszystko, on jest tak chory, że powinien pójść do szpitala.

— Chory? Oczywiście, że jest chory. Ale pod opieką chłopaków za tydzień mu się poprawi. Teraz zajmijmy się tobą. Jak długo leżysz w łóżku?

— Nie wiem.

— Dlaczego ta stara kobieta nie zajmie się tobą?

— Och, jest zbyt skupiona na swoich urojonych problemach z tubylcami.

— Co masz na myśli, mówiąc „urojonych”? Co to ma znaczyć?

— Jeśli wolisz, niepokoją ją Murzyni.

— Mówisz jak jakaś burżujka, towarzyszeko, wiesz o tym?

Odparła nonszalancko:

— Jestem przedstawicielką klasy średniej aż do szpiku kości. — I pomyślała przy tym: teraz straci panowanie nad sobą, a potem się roześmieje.

Ale w głęboko osadzonych oczach pojawiło się oburzenie, a nie gniew.

— Gdybyś nie była chora, powiedziałbym ci, co o tym myślę, powiedziałbym wprost. Spójrz na siebie, towarzyszeko, leżysz tu sama w łóżku z umalowanymi ustami. O co tu chodzi?

— Nie jestem sama — zauważyła — ale z tobą.

I uśmiechnęła się do niego. On jednak poczerwieniał i powiedział:

— Tu cię mam. Posłuchaj. Możesz mi wierzyć, jesteś zepsuta i będziesz musiała się z tego wyleczyć, żeby stać się dobrą towarzyszką.

— O Boże — rzuciła Martha, nagle rozeźlona — jesteś takim strasznym zarozumialcem.

— I ten twój język. Nie lubię, gdy dziewczęta mówią takim językiem.

Martha, urażona i zniecierpliwiona, poruszyła się gniewnie w łóżku. Zupełnie odruchowo Jimmy wyciągnął swoją dużą rękę i poprawił jej koc, jakby chciał powiedzieć: „Leż spokojnie”.

— Wam, młodym burżujkom, przydaliby się porządni mężowie z klasy robotniczej, już oni by was nauczyli tego i owego. Kiedy na was patrzę, wspominam swoją matkę i to, z czego musiała zrezygnować w życiu... wierz mi, że od niej także mogłybyście nauczyć się paru rzeczy.

— Wszyscy z was — zauważyła — wszyscy mężczyźni z klasy pracującej, macie ten cholernie sentymentalny stosunek do matki.

— Sentymentalny, tak? Coś ci powiem: to kobiety z klasy pracującej zawsze dostają największe cięgi.

— Chyba dlatego chcemy zmian.

— To znaczy czego? — spytał zapalczywie. Pochylił się, zgrzany, z poczerwieniałą twarzą. Martha usiadła, przyciskając do siebie koce, z twarzą mokrą od potu.

Odpowiedziała ponuro, w innym tonie:

— Zlikwidujemy biedę, damy kobietom wolność, a one nadal będą stać przy garach, poświęcając się dla wszystkich... jak moja matka. — Zaśmiała się, widząc pełen zdumienia gniew na jego twarzy. — Nie masz mi co opowiadać o kobietach, które poświęcają się dla rodziny... znam taką jedną. I nie mam ochoty o tym rozmawiać — dodała, gdy emocje, które w nim wezbrały, znalazły odzwierciedlenie w gorącym, pełnym sprzeciwu wyrazie jego oczu.

— Co to znaczy, że nie chcesz o tym rozmawiać? Już ja ci to wybiję z głowy, wierz mi. Kobiety to sól tej ziemi. Mówię

ci. Moja matka była solą tej ziemi. Tata umarł, kiedy miałem dziesięć lat, więc wychowywała mnie i moje dwie siostry sama, z tego, co zarobiła, sprzątajac biura, dopóki nie poszedłem do pracy i nie zacząłem jej pomagać.

— Dobrze, zorganizujemy to tak: kobiety będą pracowały po osiemnaście godzin dziennie i umierały z wycieńczenia około pięćdziesiątki, żebyś ty mógł odnosić się do nich z sentymentem.

Opadła na poduszki, drżąc z osłabienia.

— Nie wiem, o czym mówisz, towarzyszek, taka jest prawda — odparł. Znowu wyciągnął rękę i podciągnął jej pod szyję prześcieradło. — I powinnaś leżeć spokojnie. Powtarzam ci, leż spokojnie. Gdy moja mama kiedyś się rozchorowała, opiekowałem się nią przez trzy miesiące, dzień i noc... powinnaś leżeć spokojnie i pozwolić, żeby natura zrobiła swoje. Lekarze nie potrafili mamie pomóc, ale ja tak. Przepisywali to, przepisywali tamto, aja po prostu kazałem jej leżeć w ciepłym łóżku i odpoczywać. Bo potrzebowała odpoczynku i odpoczęła, przy mojej pomocy. Powinnaś zdać się na siły natury, towarzyszek. Taka jest prawda.

— Być może masz rację, ale już idzie lekarz... słyszę go.

Rzeczywiście słyszała doktora Sterna i Antona, którzy rozmawiali w korytarzu. Jimmy wstał, mówiąc:

— To wyjdę na zewnątrz i poczekam, aż sobie pójdzie. — Wyszedł przez drzwi na werandę. Martha widziała przez zasłony, na tle czerwonego zachodzącego słońca, jego potężną nieruchomą sylwetkę.

Dobry Boże, pomyślała, przejął nade mną kontrolę. Czuje się za mnie odpowiedzialny. A za ścianą Anton z kolei rozmawiał o niej z doktorem Sternem. Ogarnęło ją dawne nieprzyjemne uczucie osaczenia i ubezwłasnowolnienia. Nie

cierpię tego wszystkiego, pomyślała ze wzburzeniem, nie bardzo wiedząc, czego nie cierpi albo dlaczego czuje się uwięziona. Niech wszyscy pójdą do diabła i zostawią mnie samą. Miała koszmarnie wrażenie, że bezradnie ześlizguje się w przepaść.

Kiedy wszedł doktor Stern, bezbarwny i znużony jak zawsze, uzmysłowiła sobie, że nie widziała go od czasu, gdy opuściła męża. Usiadła z myślą: będzie ze mnie niezadowolony i okaże mi to, a ja udam, że tego nie widzę. Poza tym jest sprawa wynagrodzenia. Zapomniałam... nie stać mnie na chorowanie.

Ale on potraktował ją czysto zawodowo.

— Cóż, pani Knowell? — zapytał, jak już często słyszała. — Czym mogę pani służyć?

Zaśmiała się posłusznie na ten żart i leżała bez ruchu, gdy mierzył jej puls.

— Powinna była pani wezwać mnie wcześniej — stwierdził. — Kto się panią opiekuje?

— Moja gospodyni.

— Chyba znajdziemy dla pani łóżko w szpitalu.

— O nie. — Martha usiadła znowu, ogarnięta ochotą, żeby umknąć przed całą tą sytuacją. Doktor Stern ujął ją za ramiona i powiedział:

— Jeśli to kwestia pieniędzy, proszę się nie martwić. Są takie czasy, kiedy ludzie mogą zapłacić, i takie, kiedy nie mogą. Przecież jest pani moją pacjentką nie od dziś, prawda?

Marcie do oczu napłynęły łzy i odwróciła głowę, żeby je ukryć. Gdy mu dziękowała, drżał jej głos.

— Tak, pani Knowell, i leżała tu pani przez te wszystkie dni, zdając się na los... a przecież jest pani rozsądną dziewczyną, tak przynajmniej myślałem.

— Może nie jestem rozsądna — wymamrotała. — Doktorze Stern, naprawdę nie chcę iść do szpitala.

— A kto będzie pani doglądał?

— Mam przyjaciół. — Pomyślała: jeśli to zrozumie, to znaczy, że jest prawdziwym lekarzem, a nie szamanem.

Nie spuszczał z niej wzroku przez jakiś czas: drżały jej usta. W końcu skinął głową i powiedział:

— Pani Knowell, czasami wszyscy musimy przyznać, że życie jest dla nas zbyt trudne.

O Boże, pomyślała, chyba chce, żebym się rozpłakała.

— Rozumiem, że jest pani w trakcie rozwodu z Douglasem. Cóż, to nie moja sprawa. I pewnie tęskni pani za córką.

Na wzmiankę o Caroline łyzy w oczach Marthy natychmiast wyschły.

— Doktorze Stern — powiedziała — zrobię wszystko, co pan zaleci, ale proszę pozwolić mi tu zostać.

Był urażony, i to — jak Martha się zorientowała — nie dlatego, że nie chciała pójść do szpitala, ale dlatego, że się przed nim zamknęła. Stwierdził chłodno:

— Świetnie. Ale nie biorę za to odpowiedzialności. Przepiszę leki. I odwiedzę panią jutro. Czy taka rozsądna dziewczyna musi zachowywać się jak osoba prosta, niewykształcona, która boi się szpitala? Jest pani jak moi czarni pacjenci, którzy myślą, że umrą w szpitalu.

Martha poczuła się jak przy panu Maynardzie: odwołując się do tego argumentu, doktor Stern oddalił się od niej tak, jakby w ogóle cofnął się w przeszłość. Stał w nogach łóżka, czekając, na jej reakcję; ponieważ nic nie powiedziała, powtórzył: — Świetnie — i wyszedł. Ponownie usłyszała, że Anton rozmawia z nim na korytarzu. Dotarło do niej, że Anton się nią zaopiekuje. Kiedy wszedł, pogodziła się z myślą,

że jest chora; po raz pierwszy poddała się chorobie. Poczuli, że znowu pocałował ją w czoło, równocześnie z przypływem mdłości nawiedziła ją myśl: hm, to znaczy, że Anton i ja będziemy z sobą. Nie sprecyzowała, w jaki sposób będą z sobą. Siedział przy niej kilka minut, a potem powiedział, że pójdzie po lekarstwa dla niej. Nie słyszała, jak wychodził; nie słyszała też, jak wszedł Jimmy. Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą jego wielką postać. W jego zachowaniu wyczuła coś nieprzyjaznego.

— I jak, towarzyszek, jesteś chora?

— Tak twierdzi lekarz.

— I co, nafaszeruje cię lekami?

— Chyba tak.

— Przywiozę ci je. Mogę skoczyć po nie na rowerze.

— Anton już po nie pojechał.

— Widziałem go tu, widziałem — powiedział oskarżycielsko. A gdy nie zareagowała, zapytał: — Powiedz mi, ty i Anton jesteście po słowie?

— Po słowie? — Była zła, bo najwyraźniej wydawało mu się, że ma prawo zapytać. Bo nie miał co do tego wątpliwości. Patrzył nawet tak, jakby został zdradzony. — Chodzi mi o to, czy ty i Anton jesteście z sobą?

— Nic o tym nie wiem. — Nie otwierała oczu i kiedy to zrobiła, Jimmy'ego już nie było.

Była głęboko zaniepokojona: żołądek skręcał jej się ze strachu. Pomyślała: irtuje mnie to, jak ci mężczyźni zakochują się w nas, raz w tej, a zaraz potem w innej, ale czy między Antonem i mną nie jest podobnie? Bo chyba jednak coś się między nami dzieje. Gdybym zareagowała na zaloty Jimmy'ego czy Murdocha, przy piwie albo podczas sprzedaży broszur, byłoby to całkiem na miejscu i naturalne, a nawet

romantyczne. Jej niepokój osiągnął apogeum i poczuła się schwyтана w pułapkę przez Antona. Że też to akurat Anton... ale dlaczego? Czy dlatego, że przewodzi grupie? To nie w porządku. I co właściwie nas łączy?

Ten niepokojący mętnik — to było już dla niej za dużo i zapadła jakby w malinę. Jej ciało przejęło władzę nad umysłem. Leżała, czując każdy przypływ bólu, każdą falę gorąca i zimna. To ciało, dokładnie podzielone na obszary gorąca i zimna, spoczywało wyciągnięte w pościeli, która wydawała się drapiąca i ostra, jakby leżało na piasku albo na uwijających się mrówkach. Ale dłonie nie należały do niej. Wydawały jej się spuchnięte. Były olbrzymie i nie potrafiła kontrolować ich wielkości. Czuła je na końcach przedramion — dłonie olbrzymki, jakby trzymała w nich cały świat. Wszystko, czym była, przeszło w dłonie. Poruszyła nimi, żeby sprawdzić, czy skurczą się do poprzednich rozmiarów. Przez moment to znowu były jej dłonie, a potem ponownie spuchły i leżąc z zamkniętymi oczami, czuła, że czubki palców stykają się z wielkimi opuszkami kciuków, niczym przeszła mostu nad wąwozem. Świat spoczywał bezpiecznie w jej rękach. Przepełniła ją czułość. Pomyślała: dzięki nam wszyscy zostaną ocaleni. I jeszcze: świat jest u mnie bezpieczny, nikt nie zazna na nim cierpień ani nieszczęść.

Później wrócił Anton i pomógł jej się unieść, żeby mogła wziąć lekarstwa. Trzymała ręce z dala od niego; musiała trzymać je z dala z powodu ich ogromnej mocy: mogłaby go skrzywdzić, gdyby ich dotknął.

Obudziła się w ciemnościach i zobaczyła, że pogrążony we śnie, wciąż siedzi przy niej w fotelu. Kiedy odpłynęła znowu, trzymając ludzkość w swoich delikatnych, lecz silnych rękach, trzymała w nich i jego, blisko siebie, bezpiecznie: opiekun pod opieką; bezbronna siła.



Rano dzięki lekom gorączka jej przeszła, ale Anton nadal siedział przy niej z uśmiechem.

— Nie idziesz do pracy? — Pracował jako urzędnik w firmie zajmującej się eksportem i importem. Jako Niemiec miał trudności ze znalezieniem posady i zaniepokoiła się, że mógłby ją teraz stracić z jej powodu. — Nie idziesz? — dopytywała się.

Pokręcił głową.

— Zadzwoń do pracy, więc nie martw się, musisz spać.

Anton siedział przy niej przez trzy dni, prawie jej nie opuszczając; przyjmował zalecenia lekarza i odnosił się do pani Carson z lekko ironiczną wyrozumiałością, której Martha nigdy by się po nim nie spodziewała. Powoli jej dłonie odzyskiwały dawny rozmiar. W pewnym momencie, kiedy spojrzała na nie, były znowu małe i szczupłe, i rozpłakała się serdecznie. Anton objął ją i pocałował.

Mruknęła:

— A co z Toni Mandel?

Odparł:

— Tak, tak, wszystko się kiedyś kończy. Nie przejmuj się panią Mandel.

Anton był u niej, gdy znowu przyszedł Jimmy, cały najeżony. Rzucił kilka uwag na temat sprzedaży „Watchdoga”, powiedział jej, że Ronald wrócił całkowicie do zdrowia, a potem stwierdził:

— Muszę ci powiedzieć, towarzyszeko, że powinnaś złożyć samokrytykę z powodu swojego podejścia.

— Jakiego podejścia?

— Nie lubię kłamstw. Nie muszę znać prawdy, ale kłamstw nie lubię.

— Jakich kłamstw?

— O tobie i Antonie.

— A co to, do diabła, ma wspólnego z tobą?

Znowu się zaczerwienił i rozżłościł, był wojowniczo nastawiony.

Pomyślała: cóż, to prawda, że równie dobrze mogło paść na Jimmy'ego. Jednak uczucie między nią a Antonem wzmocniło się i to, że będą z sobą, wydawało się już naturalne i nieuniknione; nie umiała sobie wyobrazić, żeby jakiś wypadek (miała na myśli swoją chorobę i to, że Anton się nią zajął) połączył ją i Jimmy'ego.

— W każdym razie, towarzyszeko, chcę ci powiedzieć wprost, że znalazłem lepszą kobietę.

— Hm, to się cieszę — odparła bezbarwnie.

— A tak. Owszem. Porządną kobietę z klasy robotniczej, jak ja. Ty i ja nie dogadalibyśmy się z sobą.

— Bardzo się cieszę. — Zastanowiło ją, co chciał przez to powiedzieć. W grupie nie było żadnej dziewczyny z klasy robotniczej. Pomyślała: czyżby ta recepcjonistka z McGratha? No to będzie musiał zakazać jej używania szminki i tlenienia włosów.

— To kobieta, która potrafi znosić trudy, która wie, co znaczy cierpieć. Tak, te dziewczęta z dzielnicy kolorowych znają życie.

Martha zorientowała się, że każda jej reakcja na tę wiadomość zostanie uznana za typową dla „białej osadniczki” i dlatego podejrzana. Ale przecież coś musiała na to powiedzieć. A on wyraźnie czekał, żeby się odezwała, czekał, gotowy przyjąć wyzwanie i stanąć do walki.

— Jimmy, odeślą cię.

— Nie przyjmuję rozkazów od żadnego cholernego rasisty.

— Nie pozwolą ci się z nią ożenić.

— Wojna nie będzie trwała wiecznie.

— A poza tym ustaliliśmy, że ludzie z RAF-u nie będą utrzymywać stosunków osobistych z kolorowymi kobietami, bo to dałoby reakcjonistom argument przeciwko nam.

Na to właśnie czekał. Zwrócił przeciwko niej całą swoją niechęć i powiedział:

— Kto podjął to postanowienie? Mnie nie wiążą żadne rasistowskie postanowienia. Jeśli towarzysz Anton chce podtrzymywać uprzedzenia rasowe, to powinien się wstydić, ale ja im nie podlegam.

— Dlaczego nie powiedziałeś tego na zebraniu grupy?

— W grupie dzieje się wiele złego.

— Dlaczego więc nie powiesz o tym w obecności wszystkich? Nie ma sensu mówić takich rzeczy poza nimi.

— Będę mówił, co chcę i gdzie chcę. Nikt mi nie będzie niczego narzucał. Powiem ci, że jak na mój gust w tej grupie występuje za dużo idei klasy średniej. I jak na gust chłopaków z bazy.

Nagle wyniósł się z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Martha leżała, wyobrażając sobie, jakimi słowami opowie o tej scenie Antonowi. Intuicyjnie ją złagodziła. Przez chwilę miała ochotę w ogóle o niej nie wspominać: „osobiste odczucia Jimmy'ego to jego sprawa”. Ale nie były wyłącznie jego sprawą. Jej obowiązkiem jest donieść o wszystkim Antonowi.

Powiedziała mu, że Jimmy był chyba bardzo rozemocjonowany i trzeba by się nim „zająć”. Potem zreferowała, co mówił.

Anton od razu się zmienił: dżentelmen, który siedział przy niej jak pielęgniarka, zniknął. Pojawił się natomiast przewodniczący: surowy i chłodny, z zaciśniętymi ustami i krytycznym wzrokiem.

— Nie będzie różnych zasad dla jednych i drugich. Podjęto decyzję i dopóki nie zmieni się jej głosami większości, towarzysz Jimmy będzie musiał jej przestrzegać.

— Może nie powinnam ci była tego mówić? — zapytała samą siebie i Antona. Na co on odparł:

— Obowiązkiem towarzysza jest zgłaszać informacje o naruszeniu dyscypliny. Musimy pomagać sobie i wspierać się nawzajem.

Przyznawała mu rację; ale czuła, że to nieludzkie i złe podejście. I nie mogła pogodzić z sobą tych dwóch odczuć. Wciąż była chora i słaba, więc odsunęła od siebie ten problem.

Powoli zaczęła wracać do zdrowia; a członkowie grupy odwiedzali ją w porze lunchu albo między zebraniem. Nie przyszedł jednak nikt z RAF-u: Jasmine doniosła, że z jakiegoś powodu mają do niej pretensje.

Wszyscy uznali już fakt, że Martha i Anton są parą.

## Rozdział drugi

Pan Maynard i jego żona jedli śniadanie; siedzieli po przeciwnych stronach dużego stołu, nakrytego wytwornie adamaszkim, srebrami i rżniętym szkłem, z pięcioma rodzajami marmolady w odcieniach żółci, brązu i złota. Pani Maynard miała przed sobą filiżankę kawy i pół grzanki; pan Maynard zadowolił się tylko herbata. Problem, który nurtował umysły tych dwojga za szerokimi, śniadymi twarzami o mocnych szczękach, nie został wyrażony słowami: przez cały posiłek bowiem przy kredensie stał w gotowości czarny służący.

— Za czterdzieści minut muszę być w sądzie pokoju — odezwał się pan Maynard.

Pani Maynard odparła:

— Zdaje się, że w salonie nie ma już nikogo.

Pan Maynard zatrzymał się przy drzwiach do salonu i patrzył, jak poranne słońce migocze na błyszczących liściach roślin wokół werandy. Pani Maynard, wetknąwszy białą chusteczkę za dekolt sztywnej granatowej sukni, skąd sterczała jak mały wachlarz, zatrzymała się przy nim i zauważyła:

— Chyba to ja powinnam zobaczyć się z tą dziewczyną. — Powiedziała „dziefczyną”.

Odparł na to:

— Gdy rozmawiałem z nią ostatnio, była nawet podatna na perswazje.

— To sprawa między kobietami — stwierdziła, ale bez przekonania. — Ile możemy jej dać?

— Nie sądzę, żeby wyplątanie się z tego kosztowało nas mniej niż setkę.

— Z kimś takim nie można za ostro, w każdym razie ja bym uważała — rzekła.

Ale skupiła już wzrok na krzewach róż, których białe i różowe pąki narażone były na wiatr; i ugiwały się lekko pod chmurą zielonobiałych motyli. Zmarszczyła czoło i powiedziała:

— Muszę kazać ogrodnikowi podlać te róże przed południem.

Pokiwał głową.

— Chyba nie wrócę na lunch — zapowiedział i wyszedł z założonymi do tyłu rękami, kierując się do bramy.

Pani Maynard, potężna postać w granacie, powędrowała ze ściągniętymi brwiami na suchy trawnik i spod przymrużonych powiek przyjrzała się różom.

Maisie Gale wynajmowała pokój przy jednej z alej, niepełna pięć minut drogi od porannej trasy pana Maynarda do sądu. Liczył więc, że złapie dziewczynę przed jej wyjściem do pracy. I rzeczywiście, gdy się pojawił, jechała na rowerze w stronę bramy.

— Dziękuję, że pan przyszedł, panie Maynard — powitała go uprzejmie i oparła rower o pień jakarandy.

Pan Maynard odwiedził ją przed kilkoma tygodniami, aby

odwieść ją od zamiaru poślubienia jego syna, a przynajmniej namówić, żeby chociaż zaczekała z tym do następnego urlopu Binkiego. Spodziewał się oporu, ale go nie napotkał. Poprzedniego dnia napisała zaś do niego list z informacją, że zaszła w ciążę: *Chciałabym porozmawiać z Panem o tym, gdy znajdzie Pan dla mnie czas. Szczerze oddana, Maisie Gale.*

Wydawała się przyjemnie zdziwiona, że znalazł ten czas tak szybko.

— Zakładam, że upewniła się pani co do tego? — zapytał.

Maisie oparła się o brązową gałąź jakarandy, objęła ją gołą ręką, a drugą położyła leniwie na biodrze. Oczy w jej ładnej okrągłej twarzy były podkrążone.

— O tak, to drugi tydzień — powiedziała.

— I jak sądzę, ma pani pewność, że to Binkie jest ojcem?

Zwróciła na niego spojrzenie szeroko otwartych, niebieskich oczu i przyjrzała mu się równie spokojnie jak on jej.

— O tak. Widzi pan, zaręczyliśmy się.

Słyszając jej wyjaśnienie, wypowiedziane z przekonaniem, że moralny aspekt sytuacji nie może budzić żadnych wątpliwości, pan Maynard zmarszczył czoło i unióśł swoje ciemne brwi.

— I tak sobie pomyślałam — ciągnęła. — Binkie wspomniał, że pani Maynard ma znajomości w dowództwie RAF-u. A gdyby tak załatwić mu urlop okolicznościowy? Wiem, że jest jeszcze dużo czasu, poza tym mówi się, że chłopcy są już pewnie we Włoszech, ale przyszło mi na myśl, że dałoby się to zorganizować.

Pan Maynard spojrzał jej w twarz tak uważnie, że sam tym speszony, szybko opuścił wzrok, pozwalając sobie na lekki znaczący uśmiech.

— Znam dziewczynę, która miała chłopaka w wojsku —

dodała. — Zaszła w ciążę, więc on dostał urlop okolicznościowy i przyjechał, żeby się z nią ożenić.

— Moja droga panno — zaczął, nadając tym słowom ironiczne brzmienie. — To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Sprawiła wrażenie zaskoczonej. Zarumieniła się powoli.

— Cóż, skoro tak... — Chwyciła rower za kierownicę.

Miał stanowczy wyraz twarzy.

— Dowództwo musi być przyzwyczajone do skarg porzuconych dziewcząt... czy są uzasadnione, czy nie. Chyba zdaje sobie pani z tego sprawę.

Wydała się jeszcze bardziej urażona. Jej twarz przybrała barwę szkarłatu.

— Nie rozumiem, co ma pan na myśli — zaoponowała.

Nie odpowiedział, tylko popatrzył na nią z ironią. Ona wzruszyła ramionami i wsiadła na rower.

— Proszę poczekać — rzucił.

Zatrzymała się z nogą przerzuconą przez ramię roweru, popychając go tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Skrzywił się z irytacją.

— Nie musi pani od razu uciekać. Co zamierza pani zrobić?

Do oczu napłynęły jej łzy i odwróciła twarz.

— Najsmutniejsze jest to, że chciałam mieć dzieci z moimi poprzednimi dwoma mężami, w ogóle się nie zabezpieczaliśmy, ale się nie udało. A tym razem uważaliśmy z Binkiem, bo byliśmy tylko zaręczeni, nie mieliśmy ślubu, no i wpadłam. Takie jest życie — zakończyła bez złości, ale po policzkach spływały jej łzy.

— Ależ, moja droga panno, nie może pani mieć nieślubnego dziecka — stwierdził z oburzeniem w głosie.

Odparła zimno, słysząc fałsz w jego słowach:

— Nic takiego nie powiedziałam. Pytałam tylko, czy Binkie



nie mógłby przyjechać na urlop, żebyśmy wzięli ślub. Potem urodziłabym dziecko.

Popatrzył na nią przeciągle. Odpowiedziała spojrzeniem wilgotnych oczu. Jej twarz wyrażała niesmak.

— Będzie pani potrzebowała pieniędzy — zauważył na próbę.

— Pojadę do Joburga — wyjaśniła. — Znam dziewczynę, która to zrobiła. Kosztowało ją to siedemdziesiąt funtów. Pięćdziesiąt sam zabieg, a dwadzieścia podróż. Gdyby pożyczyl mi pan tyle, Binkie na pewno by panu oddał po powrocie.

— Proszę mi powiedzieć, ile dostaje pani jako wdowa po dwóch mężach?

Niechęć na jej twarzy była już tak wyraźna, że poczuł skruchę, ale ogarnęła go złość, bo wciąż nie widział powodu do przeprosin.

— Nie przyjąłm zasiłku, gdy zginął mój drugi mąż, bo miał owdowiałą matkę i chciałam, żeby ona go dostała. Nie wzięłam też pieniędzy po pierwszym mężu, bo nie podobało mi się, jak potraktowali mnie jego rodzice, kiedy się pobraliśmy.

Pan Maynard stwierdził: łatwo to będzie sprawdzić. Znam rodziców jej pierwszego męża. Ta myśl znalazła odzwierciedlenie w wyrazie jego twarzy i dziewczyna powiedziała porywczo:

— Nie ma potrzeby tego sprawdzać, bo mówię prawdę. Zresztą to nie ma z panem nic wspólnego — dodała.

Stali teraz naprzeciwko siebie, dwoje antagonistów; rozdzielał ich rower, tkwiący pod zieloną kopułą gęstego listowia.

— Czy to będzie wystarczająca suma, jeśli zaproponuję pani sto pięćdziesiąt funtów?

— Powiedziałam przecież, że aborcja kosztuje siedemdziesiąt.

— Niech pani posłucha, dam sto pięćdziesiąt i będziemy kwita. Ale muszę dostać wszystkie listy, które Binkie do pani napisał, i obietnicę, że nie będzie pani robić trudności.

Rumieniec znowu oblał jej białą odsłoniętą szyję i zagniewaną twarz, która płonęła teraz na tle jasnych błyszczących kosmyków. Nawet ramiona jej poczerwieniały.

— Nie rozumiem pana — stwierdziła. — Na co aż sto pięćdziesiąt funtów? Powiedziałam, że siedemdziesiąt wystarczy. Tyle to będzie kosztowało. I nie bardzo wiem, dlaczego robi pan z tego taki problem. Gdybym napisała do Binkiego, przysłałby mi te pieniądze. Jest uczciwy. I postępuje uczciwie, tak jak ja. Ale listy podczas wojny idą tak długo, a nie chcę do niego depeszować, żeby nie narobić mu kłopotów.

Szybko objął ją spojrzeniem, zatrzymując wzrok na brzuchu.

Na ten widok uśmiechnęła się sarkastycznie.

— Co pan sobie myśli? Wydaje się panu, że próbuję pana nabrać? Hm, otóż nie. I powiem panu coś jeszcze. Niech pan sobie nie wyobraża, że nie wiem, dlaczego prosił mnie pan, żebym nie wychodziła za Binkiego podczas jego urlopu. Uważa pan, że nie jestem dla niego dość dobra. Ale z mojej strony to wygląda tak: gdybym wyszła za Binkiego, miałabym was za teściów, a tego bym nie chciała. Nie podoba mi się wasz sposób myślenia. Źle myślicie o ludziach. Lubię Binkiego, to porządny chłopak, ale wy... to już byłoby dla mnie za dużo. Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest skończona na zawsze. Możecie mu znaleźć żonę o takich poglądach jak wasze i targować się o pieniądze, gdy dziewczyna wpadnie w kłopoty. I niech pan zachowa sobie te swoje zafajdane siedemdziesiąt funtów. Pożyczę je od kogoś innego. — Wsiadła na rower

i odjechała aleją, pedałując chwiejnie obok samochodów, zmierzających rano do biur.

Pan Maynard został pod jakarandą z zamętem w głowie. Pomyślał: kiepska z niej szantażystka. Ale chwilę potem, gdy obudził się w nim prawnik, skonstatował: ale przynajmniej groźba małżeństwa została zażegnana, a to już coś.

Był jednak przygnębiony i idąc pod szpalerem gęstych drzew do sądu, marszczył brwi i mruzczał pod nosem. Niezależnie od wszystkiego, zdaje się, że dziewczyna naprawdę jest w ciąży. To go poruszyło. Wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Może gdyby się jeszcze raz z nią spotkał... Ale wiedział, że nie ma sensu rozmawiać z nią ponownie. Przecież nie zaproponuje, że ściągnie Binkiego na ślub, co oczywiście bez trudu dałoby się zorganizować. Nie ma o tym mowy. Odsunął od siebie tę myśl. Może żona załatwiłaby sprawę lepiej? Doszedł do wniosku, że chyba nie, co jednak nie przyniosło mu pociechy. Uświadomił sobie, że mógłby mieć wnuczkę, ale nic z tego nie będzie.

Maisie ujechała już kilka przecznic; czuła jednak, że szedł za nią, śledził ją wzrokiem. Widziała drzewa, budynki, ludzi przez łązy. Skręciła za pomnikiem Cecila Rhodesa równocześnie z innym rowerem. Okazało się, że prowadziła go Martha Knowell, która uśmiechnęła się do niej, ale w taki sposób, że wystarczyło odpowiedzieć uśmiechem. Maisie nagle sobie przypomniała, że Martha należy do czerwonych, a czerwoni uznają wolną miłość.

— Hej, Matty! — zawołała. — Możesz poświęcić mi chwilę?

Martha zatrzymała się i oparła stopę o krawężnik. Maisie zrównała się z nią.

— Matty, chciałabym cię prosić o radę i mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, bo wpadłam w kłopoty.

Martha się uśmiechnęła. Maisie porównała ten uśmiech z innymi, które miała w pamięci, i zapytała:

— Co z tobą? Jesteś chora?

— Byłam. Dopiero dziś wstałam z łóżka.

— Kiepsko. Wszyscy mamy jakieś problemy.

— A jaki ty masz?

— Hm, Matty, chodzi o to, że... Wpadłam. — Z niepokojem przyjrzała się Marcie, wypatrując na jej twarzy oznak dezaprobaty. Jednak nic takiego nie dostrzegła, więc ciągnęła dalej: — O rany, mam ochotę umrzeć, naprawdę, bo nie wyszłam za Binkiego... jego rodzice prosili, żebyśmy się z tym wstrzymali do jego następnego urlopu. Chciałabym urodzić to dziecko, ale nie mogę, bo najwyraźniej Binkie nie dostanie urlopu okolicznościowego.

Martha zmarszczyła czoło i odparła, że to okropne: kobiety, nawet niezamężne, powinny móc mieć dzieci, jeśli chcą.

Maisie zauważyła ze smutkiem:

— Ojej, Matty, znam dziewczynę, która urodziła dziecko, chociaż nie miała męża, i potem wszyscy traktowali ją jak śmiecia.

— Wiem — odrzekła Martha — o to właśnie mi chodzi.

Jednak wyraźne przygnębienie, malujące się na twarzy Maisie, natychmiast sprowadziło ją na ziemię i powiedziała:

— Cóż, nie możesz urodzić nieślubnego dziecka w tej dziurze, ale nie idź do żadnej baby zielarki, bo dopiero napytasz sobie biedy.

— Tylko że to oznacza Joburg.

— Nie masz pieniędzy?

— Wyciągnę trochę od mamy.

— Będzie zła?

— Mama zawsze staje po mojej stronie — wyjaśniła ciepło

Maisie. — Wolałabym nic jej nie mówić, bo sama nie ma lekkiego życia. Nie, zdobędę je w inny sposób. Ale chodzi o to, że nie mam adresu tego miejsca w Joburgu, a koleżanka, która go znała, wyjechała. Może ty znasz?

— Nie, ale na pewno możemy go jakoś zdobyć.

— To okropna sprawa, Matty. Robi mi się niedobrze. Mówię sobie: cóż, jesteś kobietą i będziesz miała dziecko, to wszystko. Ale od razu czuję się jak śmieć, jeśli wiesz, co mam na myśli. Czy to nie głupie? Zresztą jest w tym coś śmiesznego: miałam dwóch mężów, poza Binkiem, i mimo to nie wiem, co mam zrobić. — Łzy ciekące jej po policzkach spadły na ziemię.

— Do diabła, Maisie, tylko nie płacz — rzuciła Martha. — Dlaczego nie wyślesz do Binkiego depeszy? On by coś wymyślił. Mężczyźni zawsze potrafią znaleźć rozwiązanie.

— Przecież nie wyślę do niego telegramu, że jestem w ciąży... ktoś mógłby go przeczytać i Binkie miałby problemy. Rozmawiałam z panem Maynardem, ale on jest bardzo dziwny, nie sądzisz?

— To przekłety stary reakcjonista.

Maisie zmarszczyła brwi, czekając, żeby Martha wyjaśniła, co ma na myśli, ale ponieważ się nie doczekała, relacjonowała dalej:

— Nie zrozumiałam nic z tego, co mówił, poza tym, że chyba podejrzewa mnie o jakiś szwindel, a z takimi ludźmi nie zamierzam mieć w ogóle do czynienia. Binkie też przestaje mi się podobać. Nie chcę za niego wyjść, jeśli miałabym się potem zadawać z takimi typami. Co więc mam zrobić?

— Zobaczę, czy uda mi się zdobyć adres tego miejsca w Joburgu.

— Chciałabym urodzić to dziecko, Matty. Miałam trzech

mężczyzn: dwóch mężów i Binkiego, i naprawdę zależy mi na dziecku.

Widząc, że tego problemu nie rozwiąże odszukanie adresu w Johannesburgu, Martha powiedziała:

— Posłuchaj, Maisie, może przyjdiesz do mnie i porozmawiamy jeszcze o tym?

— Dzięki, Matty, kiedy mogłybyśmy się spotkać?

Tu pojawiła się trudność. Martha, która tego rana pierwszy raz po chorobie wyszła z domu, nie miała w najbliższych dniach żadnej wolnej chwili. Zaproponowała więc:

— Jutro wieczorem jest zebranie Klubu Postępowców. Przyjdź na nie, to porozmawiamy. Do tego czasu wypytam koleżanki o ten adres.

— Ale, Matty, nie chciałabym, żeby potem ludzie o mnie gadali.

— To jak się mam tego dowiedzieć?

Za nimi rozległy się ciężkie kroki. Minął je pan Maynard, który skinął im sztywno głową, uśmiechnął się z rezerwą i rzucił Maisie ostre, przeciągłe spojrzenie.

Dziewczyna znowu zanosła się płaczem:

— O rany, Matty, ci ludzie mnie dobijają! Rodzice mojego pierwszego męża byli tacy sami, oni wszyscy źle myślą o innych, wydaje im się, że w życiu chodzi tylko o pieniądze.

— Spotkajmy się jutro, to coś wymyślimy.

— Dobra, dzięki, Matty, prawdziwa z ciebie przyjaciółka. Odjechały razem na rowerach, znowu minęły pana Maynarda, ale tym razem w ogóle na niego nie spojrzały.

Pan Maynard, owładnięty wyobrażeniem wnuczki i zbolący z powodu jej utraty, jak zbolali bywają starsi ludzie, zapatrzył się na jasne pulchne ciało, pedałujące przed nim leniwie, ciało, które nosiło jego potomka. Pomyślał: nie powinna

jeździć na rowerze, skoro jest w ciąży. I: Martha mówiła mi, że nie widuje się ostatnio z Maisie. Dlaczego kłamała? Obudził się w nim pełen irytacji niepokój. A jeśli to ona za tym stoi... Podążając tym tropem, stwierdził: to pewnie jakaś sztuczka komunistów. W normalnych okolicznościach taka myśl nie powstałaby mu w głowie dłużej niż sekundę, ale teraz nie mógł się od niej uwolnić. W jego mózgu zaczęło roić się od rozmaitych podejrzeń: Masie jest jedną z czerwonych i jej prośba o pieniądze musi mieć jakiś związek z komunizmem.

Uległ wizji spisku i zdrady, rozważając różne jej scenariusze, dopóki nie doszedł do budynku sądu pokoju. Był już spóźniony i wszyscy na niego czekali.

Zajął swoje miejsce za dużym stołem, obstawionym z obu stron przez urzędników. Czarny tłumacz, Elias Phiri, czekał przy małym pulpicie, do którego doprowadzano oskarżonych. Przy drzwiach tkwił czarny woźny i każdego wchodzącego delikwenta kierował na miejsce nadgorliwym szturchnięciem i ostrym słowem.

W ciągu trzydziestu minut pan Maynard dał ponad dwudzieście Murzynów do wyboru: albo zapłata dziesięciu szylingów grzywny, albo miesiąc więzienia za przebywanie poprzedniego wieczoru w białej części miasteczka bez którejś z obowiązujących przepustek. Większość z nich wybrała więzienie.

Jakiś kolorowy stanął przed sądem za opóźnienie w spłacie rat za meble: zajęto mu pensję.

Biała kobieta miała dostać od sądu upomnienie. Zobowiązała się spłacać dług w wysokości stu trzydziestu funtów po pięć miesięcznie, ale nie wywiązywała się z tego. Oświadczyła teraz, że ma pięcioro dzieci i męża pijaka. Pan Maynard

stwierdził, że to nie jest sprawa sądu: musi spłacić zaległości w trybie dwudziestu funtów tygodniowo, a na przyszłość dotrzymywać warunków pożyczki. Była to niewiasta w średnim wieku, o szczupłej, pobrużdżonej i spalonej słońcem twarzy i zaciśniętych z niechęci czy rozgoryczenia ustach.

— A skąd mam wziąć te dwadzieścia funtów? — zapytała ostro. — Mój mąż nie pracuje.

— To pani powinna pójść do pracy.

— Ale moje najmłodsze dziecko ma dopiero sześć miesięcy.

— Są przecież żłobki, prawda? Niech pani odda dzieci do żłobka i znajdzie sobie pracę.

— Ale, panie sędzio, jeśli nawet ją znajdę, nie zarobię więcej niż piętnaście funtów miesięcznie i to wszystko pójdzie na opłacenie żłobka.

— Ależ, droga pani, trzeba było pomyśleć o tym, zanim wpędziła się pani w długi.

— Dziękuję bardzo — odparła — dziękuję. — I wyszła z sali szybkim krokiem, nie patrząc na nikogo i mamrocząc: „Przemądrzały dziad, przemądrzały dziad”, podczas gdy pan Maynard spojrzął na miejsce, gdzie miał stanąć następny podsądny.

Był to biały młodzieniec, oskarżony o przekroczenie dozwolonej prędkości podczas jazdy. Jego pensja wynosiła pięćdziesiąt funtów miesięcznie i został ukarany grzywną w wysokości dwóch funtów.

Potem przyszła kolej na czarnego kierowcę ciężarówki, któremu zarzucano to samo: też otrzymał grzywnę wynoszącą dwa flinty, ale poprosił o zamianę na karę więzienia, bo zarabiał cztery funty miesięcznie.



— A co pocznie twoja rodzina, gdy ty będziesz siedział w więzieniu?

— Nie mam rodziny, proszę wysokiego sądu — odparł kierowca ciężarówki z szerokim uśmiechem.

— Bardzo mądrze — zauważył pan Maynard. — Zgoda. Miesiąc więzienia. Następna sprawa.

Nie było więcej spraw. Sędzia wstał. Wszyscy urzędnicy wyszli, na sali został tylko pan Maynard i Elias Phiri.

— Elias, podejdź do mnie.

— Tak, panie sędzio. — Elias, uśmiechnięty, stanął przy stole.

— Ten kierowca... Naprawdę nie ma rodziny?

— Nie wiem, proszę pana.

Pan Maynard uniósł brwi i Elias dodał:

— To znaczy, panie sędzio, chyba ma kobietę.

— Żonę? Pewnie nie.

— Kochankę, panie sędzio.

— A dzieci?

— Dwoje.

— To dlaczego chciał pójść do więzienia?

— Bo jego żona wraca w tym tygodniu z Niasy. On wie, że między obiema kobietami będą niesnaski. I chyba wolał dać nogę, panie sędzio.

Pan Maynard kiedy indziej by się roześmiał, ale tym razem powiedział ostro:

— Uwieszenie powinno być powodem do wstydu. Po co skazywać na nie ludzi, jeśli nie traktują tego jako kary?

Elias odparł tępo:

— Ale, panie sędzio, my jesteśmy jeszcze nieucywilizowani, to pewnie dlatego.

Wbrew jego oczekiwaniom pana Maynarda to nie rozbawiło.

— Nie widzę żadnego powodu, żebyśmy mieli dawać schronienie twoim przyjaciółom na czas konfliktów rodzinnych.

— Tak, panie sędzio.

— Elias.

— Słucham, panie sędzio.

— Czy na te zebrania, zebrania komunistów, przychodzi taka młoda dama, biała panienka, która ma na imię Maisie?

— Nie, panie sędzio.

— Jesteś pewien?

— Tak, panie sędzio.

— A czy bywa na innych, to znaczy na innych zebraniach publicznych?

— Nie, panie sędzio.

— Wciąż notujesz nazwiska?

— O tak, panie sędzio.

— I co? Coś nowego?

— Och, same kłopoty. Dużo kłótni.

— Doprawdy? A o co?

— Ci z bazy, z RAF-u, panie sędzio, chcą rewolucji, z udziałem naszych, to znaczy czarnych, ale inni się sprzeciwiają, bo mówią, że jeszcze nie pora.

— Ach tak. A ci z RAF-u podburzają do rewolucji?

— Nie, panie sędzio. Tylko mówią, że czas na nią, i tyle.

— A cóż to słyszę o jakimś białym, który w zeszłym tygodniu sprzedawał w dzielnicy czarnych tego komunistycznego szmatławca?

— Nic o tym nie wiem, panie sędzio.

— To lepiej się dowiedz, Elias. Za to ci płacę.

Elias opuścił wzrok i powiedział cicho:

— Oczywiście wielu z RAF-u i kilku panów z miasteczka

wystaje w nocy pod bramami dzielnicy i czeka na nasze dziewczęta.

— Tak. Wiadomo mi o tym — przyznał pan Maynard. — Ale dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi.

— Tak, panie sędzio.

— Porozmawiamy jutro, Elias. — Pchnął pięć szylingów po stole w stronę Eliasza, który szybko schował je do kieszeni i równie szybko wyszedł.

Pan Maynard zaczekał chwilę i zawołał:

— Sześciopensówka!

Wszedł czarny woźny.

— Tak, baas?

— Widziałeś jakichś białych w dzielnicy czarnych?

— Nie, panie sędzio.

— A słyszałeś o takich?

Sześciopensówka, znany inaczej jako Tabwinga Mieli z rejonu na północ od doliny Zambezi, uśmiechał się grzecznie.

— Słyszałem tylko o policjantach, panie sędzio.

— Ty idioto, wiem, że są tam policjanci. Pytam o białych, z RAF-u, którzy sprzedają gazety w dzielnicy czarnych.

— Nie, panie sędzio.

Pan Maynard wyjął z kieszeni banknot wartości dziesięciu szylingów i potarł go w palcach, patrząc jednocześnie na woźnego.

— Nic nie wiem, panie sędzio.

— Dobrze. — Pan Maynard schował banknot, co widząc, Tabwinga, który zarabiał jedynie dwa funty miesięcznie, mimowolnie westchnął głęboko. — Przyślij mi Mathew.

— Tak, panie sędzio.

Chwilę później z pokorą wszedł Mathew, starszy człowiek, pracujący w sądzie od wielu lat.

— Mathew, wiesz coś o białych, którzy sprzedają komunistyczne gazety w dzielnicy czarnych?

Mathew z namysłem ściągnął swoją starą pomarszczoną twarz; w palcach pana Maynarda znowu pojawiła się przynęta w postaci dziesięciu szylingów.

— Zawsze jacyś biali panowie uganiają się za dziewczętami, panie sędzio.

— Tak, do cholery, wiem o tym.

— Ale słyszałem — zaczął stary Mathew, nie odrywając wzroku od banknotu — że u Eliasa był w zeszłym tygodniu biały baas.

— U Eliasa? Jesteś pewien?

— Tylko o tym słyszałem. Może się myłę.

Pan Maynard rzucił banknot na podłogę. Mathew odwrócił zbolałą twarz, jakby zamierzał odejść. Ale potem schylił się i powoli podniósł pieniądze. Powiedział z urazą do pana Maynarda:

— Tyle lat dla pana pracuję, panie sędzio.

— Owszem, ty stary draniu, wiem o tym. Dobra, idź sobie. Staruszek podreptał do drzwi jak pogonione stare ptaszysko.

Pan Maynard oddał się na pół godziny głębokim rozmyśleniom, analizując fakty w sposób następujący: ta Maisie nie próbuje go szantażować, naprawdę jest w ciąży. Niewykluczone, że to dziecko Binkiego, choć oczywiście po ludziach tego pokroju można spodziewać się wszystkiego. Dziewczyna jest prosta, ale czego można spodziewać się po Binkiem? Jeśli nie zrobię czegoś szybko, dokona aborcji i zostawi Binkiego. (Intuicja, bo nie rozum, podpowiadała panu Maynardowi, że tak będzie: do tego stopnia nie liczył się z synem, że nie zastanawiał się nawet, jak oceniłby postępowanie rodziców). Muszę powstrzymać ją przed usunięciem ciąży. Nie ma sensu,

żeby któreś z nas, ja albo żona, spotkało się z nią. Powiniennem zwrócić się do Marthy. Gdy Martha już przemówi jej do rozumu, przekonam dziewczynę, żeby ze względu na Binkiego nie zadawała się już więcej z komunistycznym elementem w tym miasteczku. W końcu Binkie jest urzędnikiem państwowym.

Zadzwoił więc do biura Marthy i poprosił, żeby poszła z nim na lunch.

Tego rana pan Robinson zwrócił Marcie uwagę, że odbiera w pracy zbyt wiele prywatnych telefonów. Niecierpliwie stał przy jej biurku z dokumentami do przepisania w ręce.

— Przypuszczam, że chodzi o Maisie — powiedziała Martha do pana Maynarda.

— Zdaje się, że obraziłem tę kobietę w jakiś sposób — odparł niewinnie, głosem pełnym dobrej woli.

Martha nic na to nie odpowiedziała. Pan Robinson zajrzał jej przez ramię. Palce pani Buss przy sąsiednim stoliku śmigały jak jaskółki po klawiaturze maszyny do pisania.

— Panie Maynard — zaczęła Martha i zauważyła, że niezadowolenie pana Robinsona wyparowało na dźwięk tego nazwiska. — Nie będę sobie za pana brudziła rąk. Już to panu mówiłam.

Pan Robinson prychnął: „Proszę, proszę!” i spojrzał uważnie na Marthę.

— Nie rozumiem, dlaczego od razu zakłada pani, że to coś niegodziwego — odparł pan Maynard.

Martha odłożyła słuchawkę.

Pan Robinson zauważył:

— Przybiera pani zbyt obcesowy ton w stosunku do starszych i wyżej postawionych od pani.

Martha poczuła, że robi jej się niedobrze z niechęci do obu,

szeffa i sędziego pokoju. Była jeszcze słaba po chorobie. Pan Robinson, nie doczekawszy się reakcji ze strony Marthy, przyjrzał się swojej maszynistce. Martha wiedziała, że musi być błada, bo jej chłodne policzki były jakby odrętwiałe. Jej szef wybrnął z sytuacji, mówiąc:

— Na pani miejscu, pani Knowell, nie przemęczałbym się pierwszego dnia pracy. Nie wygląda pani za dobrze. — Zmusił się do uśmiechu i dodał: — I mogłaby pani mieć na względzie, że jako przedstawiciel zawodu prawniczego chciałbym, aby moi pracownicy okazywali nieco szacunku osobom publicznym... przynajmniej wtedy, kiedy rozmawiają z nimi z mojego telefonu.

Wrócił do swojego gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Martha chętnie poszłaby do domu i położyła się do łóżka. Myślała jednak o wieczornym zebraniu. Opuściła już trzy i pragnęła wrócić na łono grupy.

## Rozdział trzeci

Siódma wieczorem w Black Ally's; woń gorącego tłuszczu; dochodzące z kuchni skwierczenie mięsa na patelni i na rożnie; stoliki jak zwykle zajęte przez chłopców z RAF-u, rozluźnionych, hałaśliwych, w porozpinanych bluzach — gęsty tłum mężczyzn pośród szarych oparów dymu, papierosowego i tego z kuchni. Anton siedział w tym samym kącie co zwykle i jadł spokojnie, czekając na Marthę. Ona weszła do środka rażnym krokiem, uśmiechnięta, choć speszona, i przyjrzała mu się badawczo, żeby skonfrontować to, czego się o nim dowiedziała w ostatnich trzech tygodniach, z tym, jak postrzegała go wcześniej. Pospiesznie wstał, przyciągnął dla niej krzesło i podsunął jej; ten opiekuńczy gest i niemal troskliwość były cechami oddanego pielęgniarza, w którego przeistoczył się niedawno. Martha pomyślała: wcześniej by tak się nie zachował. Robi to, bo byłam chora czy dlatego, że stałam się dla niego kimś innym?

W pobliskim rogu grupa chłopców z RAF-u, Andrew, Jimmy, Murdoch i Bill Bluett, jadła spokojnie jajka na bekonie z podsmażanymi ziemniakami. Jimmy zauważył Marthę,

rumieńce na jego wydatnych kościach policzkowych pociemniały, i sztywno skinał jej głowę. Trzej pozostali przywitali ją z żartobliwą rezerwą, którą okazywali wszystkim kobietom, koleżankom z partii czy innym, poznanym w towarzystwie kumpli z RAF-u. Martha zauważyła, że rzucili Antonowi niechętnie spojrzenia, i przypomniała sobie, że podczas jej nieobecności doszło do konfliktów ideowych w grupie. Nawet Andrew, ponieważ nie był sam, pozwolił sobie drwiącym uśmiechem wyrazić swój nieprzyjazny stosunek do niego, choć trzeźwym głosem towarzysza powstrzymywał resztę przed krytycznymi uwagami pod jego adresem. Martha spojrzała na Antona, ciekawa, jak to przyjmuje, ale on sprawiał wrażenie, jakby niczego nie zauważył. Pomyślała: to niemożliwe, żeby nie zdawał sobie sprawy z ich wrogości; musiał zatem uznać, że to nie ma żadnego znaczenia. To podniosło Marthę na duchu. Zapytała jednak:

- Anton, dlaczego nie usiadłeś koło nich?
- Przyszedłem tu przed nimi.
- Ale mogłeś się do nich przy siać.
- Czekałem na ciebie. — Zachowywał się z dziwną galanterią; było to coś zupełnie nowego w porównaniu z jego zachowaniem sprzed choroby Marthy, wyraźny dysonans wobec dobroci, jaką jej wtedy okazywał.

Pomyślała: stałam się dla niego kimś bliższym; i to wzbudziło w niej skrupowanie oraz niechęć. Znowu poczuła się schwytna w pułapkę i osaczona: wyczuwała w nim jakąś zaborczość, zawziętość i chłód.

Zostałam wzięta do niewoli na całe życie; ale określenie „na całe życie” ją uspokoiło. Wszyscy z grupy postrzegali przyszłość jako coś mrocznego i niepewnego. Gdzieś przed nimi znajdowała się ciemna rozpadlina czy przepaść, w której



musieli zniknąć, co do jednego. Komunista to już zmarły, któremu tylko odroczone wyrok śmierci, pomyślała. I to jest ważne, a nie moje odczucia wobec Antona. A zresztą, jeśli nie będziemy z sobą szczęśliwi, to się rozejdziemy, nie ma sprawy.

Te wszystkie myśli przemknęły jej przez głowę; uśmiechnęła się do Antona i wyznała:

— Ja też oczywiście chciałam spotkać się tylko z tobą.

Później zjedli razem kolację. Martha była wciąż świadoma obecności chłopców z RAF-u i zazdrościła im solidarności, choć mówiła sobie jednocześnie, że taka zazdrość to przejaw sentymentalizmu: owa solidarność była przypisana do munduru, to wszystko, i nie miała nic wspólnego z nimi jako pojedynczymi osobami. Mimo to owładnęło nią znajome poczucie, że jest pozbawiona jakiejś ciepłej więzi, jakiegoś pięknego rodzaju przyjaźni. Patrzyła, jak Anton je, i opowiedziała mu o Maisie. Chciała, by przyznał, że dziewczyna wbrew całemu światu powinna urodzić dziecko, ale on, uważnie urywając kawałek chleba swoimi długimi, szczupłymi palcami, orzekł:

— Nie ma nic złego w aborcji, jeśli właściwie się ją przeprowadzi.

W tym momencie czwórka lotników wstała od stolika i podeszła do nich. Nastąpiły śmiechy, w których Martha poczuła wyraźną dezaprobatę wobec Antona, co z kolei wzbudziło jej niepokój. Czy ta niechęć wynikała z poczucia żołnierskiej solidarności? Bo zorientowali się, że wybrała Antona zamiast któregoś z nich? Intuicja podpowiadała jej jednak, że tak nie jest.

Andrew zagaił wprost:

— O czym gruchacie, gołąbeczki?

Martha skrzywiła się na dźwięk określenia „gołąbeczki”,

ale ponieważ miała zaufanie do Andrew, opowiedziała mu o Maisie: była zawiedziona reakcją Antona na sprawę dziecka, oczekiwała cieplejszej.

Trzej mężczyźni słuchali z powagą, tak jak Andrew; była im za to wdzięczna — ponieważ miała problem, stała się znowu towarzyszką, koleżanką z partii, jedną z nich.

Jimmy zauważył zapalczywie:

— Ludzie powinni się wstydić, ot co.

Bill Bluett stwierdził:

— Biedna kobitka, ma za swoje, że nie zaczekała z tym, gdy będzie już miała obrączkę ślubną na palcu.

Andrew orzekł:

— Nie ma się co przejmować, po rewolucji wszystko się zmieni.

— Rewolucja tej sprawy nie załatwi — odcięła się Martha. — Chyba że przeprowadzimy ją w ciągu następnych dwóch, trzech dni.

Odezwał się Anton:

— Powinna była pomyśleć o tym wszystkim wcześniej, zamiast zająć się ciężko i użalać się nad sobą.

To zmroziło atmosferę. Czterej mężczyźni zeszytnieli w swoich mundurach i wymienili lodowate spojrzenia. Murdoch wypalił szyderczo:

— Powinna była pomyśleć o tym wcześniej, tak?!

— Krótko mówiąc, tak, chłopie — skomentował Jimmy z całą powagą. — Patrz, gdzie idziesz, nie czekaj, aż będzie za późno, a dziewczyna powinna się szanować, bo jak wpadnie, to po niej.

Bill Bluett zwrócił się do Marthy, ignorując Antona:

— Do zobaczenia na górze. — Trzej pozostali, wezwani przez niego ruchem głowy, ruszyli za nim do drzwi.

Martha wstała.

— Spóźnimy się — powiedziała.

Anton odparł:

— Mamy jeszcze pięć minut. — Z uporem opuścił brodę, wyprostował plecy i siedział w milczeniu. Potem specjalnie sięgnął po talerz z serami i zaczął jeść. Martha, przycupnąwszy na brzegu krzesła, patrzyła na niego, myśląc, że zaraz zacznie się zebranie, że nigdy nie widziała, aby spóźnił się choć o pół minuty, i że zabrał się do jedzenia, aby wyrazić swój opór wobec niej i chłopców z RAF-u.

Mdliło ją od zapachu gotowanej kapusty i tłuszczu, ale zapanowała nad tym. Po upływie pięciu minut Anton wstał i oświadczył: — No to możemy iść.

Na górze byli już wszyscy. Anton zajął miejsce przy Jasmine, która czekała na niego z rozłożonymi na stole papierami. Martha usiadła obok Andrew McGrew i poczuła przepojone poczuciem nielojalności zadowolenie z tego, że chłopcy z RAF-u przyjęli ją w swoje szeregi, jakby chroniąc przed Antonem. Spojrzała na Antona, żeby zobaczyć jego reakcję: miał minę człowieka wystawionego na próbę i wrażenie to potwierdził wyraz satysfakcji malujący się na twarzach lotników. Jimmy szepnął nawet do niej:

— Nie martw się, dziewczyno, my się wszystkim zajmujemy.

To przechyliło szalę na korzyść Antona: czyżby powzięli jakieś postanowienie, żeby go „załatwić”? Hm, nie mieli prawa; tak jak nie mieli prawa oczekiwać, że ona się temu podporządkuje.

Zanosilo się na kryzys i Anton był tego świadomy, a także pewny, że potrafi sobie z tym poradzić.

— Towarzyszka Jasmine — zaczął — odczyta teraz protokół z ostatniego zebrania.

Jasmine przystąpiła do czytania swoim cichym głosem, usuwając się w cień, jak przystało na dobrą sekretarkę, i to tak wyraźnie, że Anton wcale nie musiał siedzieć przy niej i patrzeć surowo na kartkę, z której czytała, by przypomnieć wszystkim, że protokół to nie żadna formalność, ale coś, co wymaga uwagi wszystkich.

Martha tymczasem błędziła myślami gdzie indziej. Wyrzucała sobie, że nie potrafi się skupić. Zamierzała wsłuchać się w oficjalny tekst, żeby wyłapać sens tego, co naprawdę wydarzyło się na poprzednim spotkaniu. Myślała: w przyszłym tygodniu też zostanie odczytany protokół, suchy protokół z ostatniego zebrania, to wszystko, zwykła formalność, choć wyraźnie działo się coś niepokojącego.

Ryzykując karcące spojrzenie Antona, przesunęła wzrokiem po twarzach zebranych. Elias Phiri, siedzący na końcu ławki, patrzył w podłogę. Gładka gruba skóra na jego czole marszczyła się i wygładzała, marszczyła i wygładzała — jak powodowane przez ciepły wiatr zmarszczki na gładkiej powierzchni wody. Martha pomyślała: gdy niepiśmienni tubylcy — to znaczy Afrykańczycy — słuchają czegoś, czego nie rozumieją, właśnie tak marszczą czoła, ale przecież Elias nie jest niepiśmienny. A więc coś go martwi. Jedna z jego stóp się poruszyła. Zaczęła podrygiwać rytmicznie. Wsłuchując się w ten rytm, Martha usłyszała dźwięki perkusji dochodzące z ulicy: u McGratha odbywały się tańce. Elias z poczuciem winy zasłonił dużą dłońią ziewnięcie. Cóż, on także nie słuchał protokołu.

Marie i Piet siedzieli obok siebie. Ona trzymała rękę na jego kolanie. Oboje patrzyli w przestrzeń. Trudno było powiedzieć, czy słuchali.

Carrie Jones, zajmująca miejsce obok Tommy'ego, przy-

glądała się paznokciom obu swoich dłoni, które rozpostarła na kolanach. Ubrana była w żółtą lnianą sukienkę, gładką jak masło, i miała układną minę bardzo ładnej dziewczyny, która wie, że męskie spojrzenia przesuwają się po niej jak promienie słońca. Martha pomyślała: jest taka jak zawsze, patrzy w lustro i widzi, że jej twarz i ciało tworzą coś w rodzaju malowanej muszli, uwielbia siebie, a jednak czeka na parę oczu, które przeniknęłyby przez fasadę i zajrzały w głąb, do jej wnętrza — cóż, poczeka sobie...! Martha pod wpływem zmiany nastroju zastanowiła się nad tą wizją, po czym odsunęła ją od siebie. Znowu przepełniało ją przemożne niezadowolenie z siebie. Połowa moich refleksji, stwierdziła, jest wydumana i stanowi efekt użalania się nad sobą — wystarczy, żebym była zmęczona albo chora i zaraz ogarnia mnie nostalgia, choć Bóg tylko wie za czym! — a w moim umyśle rodzą się przejawione, głupie wizje.

Ziewnęła, wciąż przyglądając się Carrie. Hm, właściwie co ona tu robi? Taka ładna dziewczyna, nie czyta, w gruncie rzeczy nic nie wie o polityce. Nie ma tu mężczyzny, którym mogłaby być zainteresowana. A w tej chwili się nudzi, bo siedzi obok Tommy'ego — nudzi się i jednocześnie wstydzi się tego znudzenia.

Carrie, czując na sobie wzrok Marthy, odpowiedziała jej sympatycznym, choć trochę zmęczonym uśmiechem. Ten wyraz zmęczenia sprawił, że Marcie wrócił nastrój sprzed pięciu minut. Pomyślała że tamta ma już dość wszystkiego. Nienawidzi tej swojej malowanej muszli i gardzi mężczyznami za miny, które robią na jej widok. Przystała do komunistów, bo chce być kimś innym. Niebawem nas zostawi — tak, oczywiście. Bo wszyscy zebrani tu faceci myślą: Carrie to taka ładna dziewczyna. Wszyscy mają taki sam, pełen rezerwy,

skrępowany wyraz twarzy, a gdy o niej mówią, zmienia im się głos, tylko dlatego, że jest taka ładna.

Tu Jasmine zamilkła i Bill Bluett pochylił się, żeby zabrać głos. Najwyraźniej słuchał uważnie każdego słowa odczytanego protokołu, bo zakwestionował trzy punkty, jeśli chodzi o sformułowania. Były to punkty zupełnie nieważne. Jasmine odczytała przestawiony szyk wyrazów i wszyscy zaakceptowali go bez dyskusji. W protokole wprowadzono poprawki. Zgromadzeni wiedzieli, że Billa w gruncie rzeczy nie obchodziły te szczegóły, chciał tylko przeciwstawić się Antonowi; Anton też był tego świadom. Zaparafował zmiany i zapytał:

— Jeszcze coś równie ważnego, towarzyszu Bill?

Bill pokręcił głową, ale wciąż siedział pochylony, czujny. Martha spojrzała na jego ręce, które spoczywały swobodnie na kolanach. Miał smukłe białe dłonie, ale ubrudzone olejem. Był mechanikiem. Nawet pachniał olejem. Martha przyjrzała się rękom pozostałych chłopców z RAF-u i pomyślała: oni nie mają na sobie takiego stempla. Bill tak, bo pochodzi z klasy średniej. Nie miała czasu na rozwinięcie tej myśli, bo odezwał się Jimmy:

— Towarzyszu przewodniczący, chciałbym przedstawić na tym zebraniu rezolucję.

— Na jaki temat? — zapytał Anton. — To obejmuje drugi punkt programu. Instrukcje polityczne. Będzie mówić towarzysza Jasmine.

— Nie obchodzi mnie drugi punkt — odparł Jimmy. Twarz mu płonęła, a duże usta wyrzucały z siebie kolejne słowa: — Chcę, żebyśmy wreszcie się czymś zajęli. Chcę coś robić, a nie tylko gadać i gadać.

— Spokojnie, chłopie — cicho rzucił do niego Bill. Wi-

docznie lotnicy uknuli jakiś plan i Jimmy go zniweczył, odzywając się nie w porę.

Andrew, siedzący po drugiej stronie Marthy, nerwowo poruszył się na miejscu. Nie podoba mu się to wszystko, pomyślała, i spojrzała na niego pytająco. On skrzywił się, jakby chciał powiedzieć: Ja też nic z tego nie rozumiem.

— Chcę zapytać zgromadzonych, czy mogę przedstawić rezolucję — oświadczył Jimmy, spoglądając na wszystkich, łącznie z kolegami z RAF-u.

— Trzymajmy się programu — odezwała się Marie Du Preez prostodusznie. — Bo inaczej znowu cały wieczór zejdzie nam na pyskówkach.

Jimmy spojrzał na nią spode łba. Marie uśmiechnęła się do niego, po matczynemu, z lekkim zdziwieniem. On zarumienił się jeszcze bardziej i powiedział, wciąż gniewnie, ale już spokojniejszym głosem:

— No dobra. Wstrzymam się, bo to się wiąże z edukacją polityczną. Wtedy upomnę się o prawo przedstawienia rezolucji. Upomnę się, rozumiecie?

Anton, nie zwracając uwagi na Jimmy'ego, odezwał się do Jasmine:

— Towarzyszko, możecie zaczynać.

Jasmine mówiła przez piętnaście minut, patrząc na leżący przed nią zegarek, o nienawiści rasowej i narodowościowej. Ta — stwierdziła — wraz ze wszystkimi innymi formami nienawiści między jedną grupą albo podgrupą ludzi a drugą jest produktem kapitalizmu i zniknie z nadejściem socjalizmu. Kiedy skończyła, Anton ogłosił:

— Mamy dziesięć minut na dyskusję. Kto zabierze głos jako pierwszy?

— Ja chcę przedstawić swoją rezolucję — odezwał się znowu Jimmy.

— Ale to czas na dyskusję.

— Nie możesz tak po prostu burzyć porządku zebrania — zauważyła z podnieceniem Marjorie.

— Niczego nie burzę — sprzeciwił się Jimmy. — Chcę tylko przedstawić rezolucję. Dotyczy ona tego, o czym właśnie mówiła Jasmine.

— Proponuję, żebyśmy odstąpili od programu i pozwolili Jimmy'emu przedstawić tę rezolucję — odezwał się Andrew żartobliwym tonem, który przybierał w chwilach napięcia.

Martha zerknęła na uśmiechającego się złośliwie Billa; był wyraźnie zadowolony z biegu wydarzeń.

— Zgadza się? — zapytał krótko Anton.

— Zgadza się, tak, zgadzamy — rozległy się różne głosy, jedne zrezygnowane, inne rozbawione, jeszcze inne zniecierpliwione.

Jimmy wyjął kartkę z kieszeni na piersi, rozłożył ją i wyciągnął przed sobą.

— Proponuję przyjąć na zebraniu następującą rezolucję. Po pierwsze: wszelkie formy uprzedzeń rasowych są sztuczne, sprzeczne z naturą, to wymysł kapitalistów, żeby dzielić i rządzić...

Tu odezwał się Elias Phiri:

— Chwileczkę, chcę zadać pytanie.

— Tak, towarzyszu Elias? — zwrócił się do niego Anton.

— Mówiłaś, że uprzedzenia rasowe zrodził kapitalizm — zaczął Murzyn, patrząc na Jasmine. — Zgadza się?

Nastąpiła chwila milczenia. Jasmine odpowiedziała stanowczo, choć z pewnym zdziwieniem:

— Tak, towarzyszu, temu poświęcone było moje wystąpienie.



— Rozumiem — rzucił. — Rozumiem. — Znowu popatrzył na podłogę. Wciąż uderzał o nią stopą, raz po raz, w rytm ledwie słyszalnych dźwięków tanecznych dobiegających z hotelu.

— O czym mówi towarzysz Elias? — zapytała Marjorie. — Bo ja nie mogę się zorientować.

— Chciałem się tylko upewnić: komuniści mówią, że uprzedzenia rasowe są wytworem kapitalizmu... chciałem to wiedzieć — wyjaśnił Elias Marjorie.

Zapanowała jeszcze dłuższa cisza. Elias uściślił:

— Tak mówią komuniści. — Jakby sam do nich nie należał. Wyrwało mu się to niechcący, co jeszcze pogorszyło sprawę. Wszyscy poczuli się niezręcznie.

— Mogę kontynuować? — zapytał Jimmy ze złością.

— Proszę — odparł Anton.

— Po drugie: antysemityzm jest kapitalistyczną propagandą.

— No jasne — wyrwało się natychmiast Marjorie.

— Po trzecie: nie ma czegoś takiego jak różnice narodowościowe. To bzdury, całe to gadanie o mentalności Anglików, mentalności Niemców, mentalności Japończyków... wszyscy jesteśmy tacy sami.

Opuścił trochę kartkę i potoczył wokół wojowniczym wzrokiem.

— Wszyscy jesteśmy tacy sami — powtórzył.

— Dalej, dalej — rzucił Anton spokojnie. Wszyscy sprawiali wrażenie zdezorientowanych.

— Hm. — Jimmy zmarszczył brwi, patrząc na kartkę, nagle zagubiony, jakby spodziewał się sprzeciwu z ich strony. — To nie wszystko. O nie.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz — odezwała się

znowu Marjorie. — Wszyscy zgadzamy się co do tego, więc po co przyjmować rezolucję?

— Bo mam już dość tego gadania — odparł Jimmy. — Chciałem, żebyśmy coś wreszcie ustalili, raz na zawsze.

Marjorie wzruszyła ramionami i zamilkła.

— Po czwarte — ciągnął Jimmy — wszyscy ludzie są równi i problem leży tylko w edukacji. To najważniejsze... edukacja.

— Nie rozumiem — głos zabrała Marie. — To oczywiste, że wszyscy powinni mieć takie samo prawo do edukacji.

— Nie wystarczy powiedzieć „to oczywiste”. To tylko gołosłowne deklaracje. Lenin mówił, że państwem powinna umieć rządzić każda kucharka. Ale jak przychodzi co do czego, wy się zupełnie z tym nie liczyacie!

— Ale po co to wszystko mówisz? — zapytała Marjorie. Była bardzo podekscytowana i zła. Colin, siedzący obok niej spokojnie, władczy gestem młodego małżonka położył jej na ramieniu swoją dużą bladą rękę. Niemal ją strząsnęła, a potem opadła na oparcie, uśmiechając się z rozdrażnieniem.

— Nie ma czegoś takiego jak talent — kontynuował Jimmy. — To tylko wymysł, mający na celu zastraszenie robotników, żeby nie wychodzili przed szereg. Talent to edukacja. Do tej pory mogli go mieć tylko ludzie wykształceni. Ci, którzy piszą książki i takie tam. Ale tylko dlatego, że zdobyli wykształcenie.

Jasmine spojrzała na Antona, jakby oczekując, że położy temu kres. Ale on wciąż milczał i tylko bazgrał coś na kartce.

Marie odezwała się w swój bezpośredni, szczery sposób:

— Nie rozumiem, czemu to wszystko ma służyć, towarzyszu. Chcecie powiedzieć, że każdy z nas jest taki sam jak inni?

Tu Piet pocziwie parsknął śmiechem i powiedział:

— Jeśli przyjmijemy rezolucję o konieczności zniesienia różnic między mężczyznami i kobietami, to ja wracam w szeregi reakcjonistów.

— Och! — wykrzyknęła jego żona z pobłażliwym zniecierpliwieniem. — Pomyślałby kto! — Wymienili szybkie, porozumiewawcze, żartobliwie antagonistyczne spojrzenia dobranej pary. — Nie zwracajcie uwagi na mojego męża. Ale, Jimmy, jak możesz tak mówić? Ludzie różnią się między sobą już od kołyski.

Jimmy osunął się na ławkę w swoim grubym szarym mundurze przypominającym pancerz, jak stos potężnych kości wrzuconych do worka. Jego duża twarz przybrała odcień szkarłatu, oczy miały ponuro-smutny wyraz.

— No właśnie! — wykrzyknął. — Wiedziałem, że tak będzie.

— Ależ, Jimmy, chcesz powiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak talent?

Tu znowu włączył się Andrew, mówiąc swoim „żartobliwym” głosem:

— Wydaje mi się, że towarzysz Jimmy dość nieprecyzyjnie sformułował niektóre punkty. Może by tak to ująć: po czwarte, brak dostępu do edukacji jak dotąd uniemożliwia robotnikom wykorzystanie swoich talentów.

— Bardzo dobrze — agresywnie potwierdził Jimmy. — W porządku. Akceptuję to.

— Ale wciąż nie rozumiem, po co w ogóle mamy podjąć tę rezolucję — powiedziała Marjorie. Znowu jednak umilkła pod naciskiem dłoni męża.

— Chcę, żeby wszystko było jasne — upierał się Jimmy. — I żeby nasze zgromadzenie powzięło tę rezolucję.

— Ależ nie możemy powziąć rezolucji w sprawie, co do której wszyscy jesteśmy zgodni — zauważyła Jasmine.

— Ja w to nie wierzę — odezwał się Tommy, który jak zwykle skulił się ze wstydu, że zabiera głos w obecności wszystkich. — Bo według mnie to nieprawda. Weźmy tę książkę, którą Jasmine dała mi do przeczytania, *Wojnę i pokój*. Nie wydaje mi się, że mógłbym coś takiego napisać nawet za tysiąc lat, gdybym nie miał wykształcenia.

— Owszem, mógłbyś — oświadczył Jimmy, patrząc na niego. Podniósł głos i wykrzyknął: — Tylko pomyśl! To wszystko byli arystokraci! Burżuje. Po co w ogóle miałbyś siadać do pisania czegoś takiego?

— Ojej, nie wiem, o co tu chodzi — zauważyła Marjorie — ale skoro Jimmy'emu tak zależy, żebyśmy podjęli tę rezolucję, to chyba powinniśmy ją podjąć. A potem przejść do następnych punktów programu.

Jimmy stwierdził:

— To oburzające. Zupełnie się ze mną nie zgadzacie, ale mówicie: „Przyjmijmy tę rezolucję”, żeby zamknąć mi usta.

— Głosuję za przyjęciem rezolucji — odezwał się Bill. Anton jakby czekał, żeby ten się włączył, bo przerwał pisanie i zapytał:

— Jeszcze jakieś głosy w dyskusji? Kto popiera wniosek?

— Ja — odparł Bill.

Rezolucja została poddana pod głosowanie i przeszła jednomyślnie. Wszyscy uśmiechali się ze skrzępowaniem, bo czuli się głupio.

Jimmy jednak był wręcz bliski łez. Wybuchnął:

— Ale to nie zostało przeprowadzone właściwie! Mam co do tego wątpliwości.

— Daj spokój — rzucił Piet szorstko i nieprzyjemnie. — Daj już spokój. Masz swoją rezolucję, więc zamknij się i pozwól nam robić swoje.

Jimmy wydawał się tak przygnębiony, tak zaskoczony, że pozostali poczuli się, jakby go zawiedli.

Bill powiedział do niego cicho, wychylając się zza Marthy:

— Jimmy, daruj sobie. Nie uleczymy całego zła na tym świecie, przyjmując rezolucje, no nie?

Jimmy uśmiechnął się w odpowiedzi, ale wzrok miał nieprzyjazny, wobec niego i innych. Zepchnął tę niechęć gdzieś w zakamarki swojej zranionej duszy, w jakieś głęboko ukryte miejsce. Wszyscy to czuli i mieli świadomość, jak bardzo jest urażony. I po raz pierwszy przyszło im na myśl, że coś dzieje się z jego głową, że jest chory i dlatego niezrównoważony.

Przeszli więc szybko do następnych punktów programu. Anton przyspieszał procedurę jak tylko mógł. Wciąż obawiał się jakiegoś starcia, to było oczywiste.

Za pięć dziesiąta zapytał:

— Jeszcze jakieś sprawy? Zostało pięć minut. Proponuję formalnie zamknąć zebranie.

Martha poczuła, że Bill wyprostował się i wciągnął powietrze w płuca. No, teraz to nastąpi, pomyślała.

Rzucił niemal zdawkowo:

— Towarzyszu przewodniczący, po raz trzeci pominęliśmy jeden z punktów programu po formalnej decyzji o jego wprowadzeniu.

— Podjęliśmy też formalną decyzję, że nie będziemy kończyć zebrań później niż o dziesiątej — oświadczył Anton. — To była twoja propozycja, jeśli pamiętasz.

— Ale także podjęliśmy formalną decyzję, że będziemy przeprowadzać samokrytykę i krytykę.

— Nie możemy przeprowadzić krytyki piętnastu osób w ciągu pięciu minut.

— Autobus do bazy odjeżdża dziś wieczorem dopiero o jedenastej.

— Zdaje się, że w pewnych sytuacjach towarzysze z RAF-u nie tylko mogą przyjść wszyscy na zebranie, ale także załatwić, żeby autobus odjeżdżał godzinę później — zauważył Anton.

Bill zapytał nieprzyjemnie:

— Czy to formalna krytyka towarzyszy z RAF-u? Bo jeśli tak, może przedstawisz ją jak należy, w formie, którą można potraktować poważnie?

— Mamy przedłużyć zebranie, żeby przeprowadzić krytykę? Ktoś jest przeciwko?

Marie Du Preez spojrzała na męża i skrzywiła się; Colin próbował wymienić zrezygnowane spojrzenie z Marjorie; ona jednak odezwała się z przyganą:

— Oczywiście, że powinniśmy przeprowadzić krytykę. Wszystkie poważne grupy komunistyczne ją przeprowadzają.

— Świetnie — orzekł Anton. — Proponuję następujący przebieg krytyki: najpierw samokrytyka, potem krytyka wzajemna. I wreszcie krytyka pracy grupy jako całości. Jakież uwagi?

— Zgoda — szybko przytaknął Bill.

— Myślę, że lepiej by było najpierw przeprowadzić wzajemną krytykę, bo wtedy samokrytyka będzie głębsza — zauważyła poważnie Jasmine.

— Niech będzie — powiedział Anton z największym zniecierpliwieniem, na jakie sobie pozwalał. — Od kogo zaczynamy?

Były dwie oczywiste kandydatury — osób siedzących na brzegach półkola: jedną z nich była Jasmine, a drugą Jimmy. Niepewnie odezwały się różne głosy:

— Od Jasmine, zresztą jest sekretarzem.

Jasmine wstała. Wydawała się opanowana, ale drżały jej ręce. Martha, patrząc na tę niską, drobną dziewczynę w obcisłej kwiecistej sukience, z upiętymi krętymi ciemnymi włosami, bladą i pełną determinacji w swoich wysiłkach, żeby sprawić wrażenie spokojnej, poczuła, że budzi się w niej instykt opiekuńczy. Rozejrzała się i zobaczyła, że inni reagują podobnie. Piet wydawał się wręcz komicznie zgorszony. Marie pierwsza doszła do siebie. Syknęła do męża:

— Przestań, stary baranie, ona jest tak samo człowiekiem jak inni, no nie?

Poza tym nikt przez chwilę się nie odzywał.

— No, towarzysze? — zagadnął Anton. — Proszę o krytykę towarzyszki Jasmine. — Urwał na chwilę. — Wiadomo przecież, że każdy z nas ma jakąś wadę czy słabość, z której nie zdaje sobie sprawy i która, jeśli nie zostanie wykorzeniona, może zdyskwalifikować go jako komunistę i człowieka.

Bill Bluett zaśmiał się głośno. Wszyscy mu zawtórowali.

Andrew zwrócił się do Antona:

— Chciałbym wprowadzić spóźnioną poprawkę do przyjętej rezolucji, mianowicie, że cechy narodowe są niezwykle ważne. — Zabrzmiało to wręcz tkliwie. Anton uniósł głowę i spojrzał badawczo na Andrew, żeby sprawdzić, czy ten mówi poważnie, i zapytał:

— Chodzi ci o to, że jestem Niemcem? Cóż, towarzysze, w odpowiedzi mogę stwierdzić, jeśli nawet jestem pedantyczny, to jest to pożyteczna i wręcz pożądana przeciwwaga dla brytyjskiej niefrasobliwości.

— O rany — mruknął Colin, błyskając szklami okularów.

— Tak, tak, tak — odparł Anton. — Jeśli główną wadą Niemców jest pedanteria, to waszą z kolei empiryzm i niechęć do wspierania idei poważną analizą.

— A co z rezolucją Jimmy'ego? — zapytał Piet żartobliwie.

— Nie wiem, co to znaczy „empiryzm” — odezwał się Jimmy takim tonem, że wszyscy oprzytomnieli. Policzki miał rozpalone, a oczy błyszczące.

Jasmine tymczasem stała wyprostowana za stołem i czekała.

— Chyba nikt nie chce poddać towarzyski Jasmine krytyce — zauważył Anton.

— Ja chcę — zgłosił się Andrew. Jasmine zwróciła ku niemu twarz. On kontynuował delikatnie: — Towarzyszko Jasmine, bierzecie na siebie za dużo obowiązków. Podejmujecie się różnych zadań i wykonujecie je w pośpiechu, zamiast powierzyć część pracy innym. To wada bardzo sprawnie działających osób — dodał, uśmiechając się do niej.

— Tak, wiem, że to prawda — odparła Jasmine. Wydawała się zmartwiona, wszyscy więc poczuli się zakłopotani. Woleliby, żeby już mogła usiąść.

— Coś jeszcze? — zapytał Anton. Ponieważ nikt się nie odezwał, stwierdził: — W porządku, towarzyszko Jasmine. Możecie usiąść.

Zabrał głos Murdoch:

— Ale to nie jest jakaś wielka wada, no nie? Mówiliśmy to Jasmine już wcześniej, prawda? — Jasmine mimowolnie znowu wstała, patrząc na Murdocha, który na ten widok zaczął krygować się na wpół żartobliwie, jak zawsze gdy był w centrum uwagi.

— Jeśli chcesz jeszcze powiedzieć coś krytycznego pod adresem towarzyski Jasmine, to mów — popędził go Anton.

— Ale ja wcale nie chcę! — zawołał Murdoch i Jasmine ponownie usiadła.

Jimmy zaczął zapalczywie:

— Ja chcę coś powiedzieć. Nie tylko o Jasmine, ale



też o wszystkich innych towarzyszkach. — Spojrzał na Marthę, a potem na Carrie Jones. Ta leniwie uniosła głowę i popatrzyła na niego swoimi ciemnymi oczami, a wtedy on wykrzyknął: — Wszystkie z was... tylko szminki, czerwone paznokcie i pisma o modzie! Co z was za komunistki! Kobiety powinny się szanować, a nie zachowywać jak... nawet nie powiem jak kto.

Carrie, która już miała zmarszczyć czoło, zauważyła uśmiechy na wszystkich twarzach poza Jimmy'ego, i też się uśmiechnęła, świadoma wrażenia, jakie wywołuje. I ten jej uśmiech najwyraźniej jeszcze bardziej wytrącił go z równowagi, bo zaczął wrzeszczeć:

— No widzicie?! Wydaje wam się, że wystarczy się uśmiechnąć i pomalować usta szminką. Ale powiem wam coś. Szkoda mi czasu na dziewczynę, która się pacykuje.

— Jeśli tak — zauważyła Marjorie z oburzeniem — to dlaczego spotykasz się z tą dziewczyną z McGratha, która tleni włosy?

Bill Bluett parsknął śmiechem. Teraz wszyscy się zaśmiali, z wyjątkiem Jimmy'ego i Antona, który wydawał się zły.

— Przypominam wam — powiedział — że to zebranie grupy komunistycznej, a nie przedstawienie rewiowe. Towarzyszu Jimmy, nie możecie w tym trybie podnosić tak ważnej kwestii. Bo podnosicie kwestię pozycji kobiety w ogóle. Proponowałbym, żebyśmy przeznaczili cały wieczór na dyskusję o tym zagadnieniu.

Martha przyglądała mu się z rezerwą i ze zdziwieniem, bo jego postawa była sprzeczna z tym, co na jego temat mówił jej instynkt, sprzeczna z tym, co czuła, gdy przypominała sobie tę Austriaczkę, z budzącym się w niej zaufaniem i ulgą,

jakby słowa Antona wzniosły filar, na którym mogła się wesprzeć. Uczepić się jak jakieś głupie pnącze czegoś, co wydawało się mocne, pomyślała z niesmakiem.

— Towarzyszu Anton — wtrącił Andrew — zachowujecie się jak kapitalistyczny rząd, gdy zadaje mu się trudne pytanie... który zawsze powołuje specjalny komitet, licząc, że sprawa przycichnie, zanim ukaże się raport.

— Ale to naprawdę kwestia pozycji kobiet — odezwała się Martha.

— To ty tak mówisz! — zarzucił jej Jimmy z wściekłością i wszyscy zorientowali się, że jego atak od początku był wymierzony w nią. — Ty tak mówisz. Jesteś najgorsza ze wszystkich.

Włączyła się Jasmine:

— Moim zdaniem podejście towarzysza Jimmy'ego jest sekciarskie. Nie widzę powodu, dla którego towarzyszki miałyby wyglądać brzydko.

— Nie powiedziałem, że brzydko.

Jasmine, rumieniąc się, oznajmiła wyzywająco:

— Jeśli głos większości zdecyduje, że powinniśmy zrezygnować z kosmetyków, uznam to za przejaw męskiej dominacji: was jest dziewięciu, a nas pięć. Osobiście uważam, że wśród wszystkich mężczyzn, komunistów czy nie, pokutują jeszcze burżuazyjne przesady na temat kobiet. Nawet Lenin je miał. Nawet on mówił o brudnych szklankach.

— Słuchajcie, słuchajcie! — zawołała Marjorie. — Ja też mam już dość mężczyzn.

Martha poparła je:

— Zgadzam się.

Roześmiała się jednak, a wtedy Jimmy zwrócił się do niej:

— I chciałbym poddać krytyce także was, towarzyszeko

Matty. Jesteście bezczelna. Brak wam powagi. Wszystkie towarzyski z klasy średniej są takie same.

— Ale nie zajmujemy się teraz Matty — zauważył Bill Bluett.

— Ja się zajmuję.

— Jimmy ma rację — dołączył się Tommy. Był spocony i choć spojrzął przepraszająco na Marthę, całą swoją postawą domagał się prawa powiedzenia tego, co wydawało mu się ważne. — Zastanawiałem się nad tym. Towarzyszka Matty jest niepoważna. To znaczy jej zachowanie jest poważne, ale to, co mówi, nie. Czytam tę książkę... no wiecie, hrabiego Tołstoja. No i myślę, że Matty zachowuje się jak ludzie z klasy średniej. Oni też mówią o poważnych sprawach w sposób niepoważny. Wszystkie to robią, Matty, Jasmine i Marjorie, ale Matty jest z nich najgorsza. Tak nie powinno być. Mówią coś i potem trzeba się zastanawiać, czy naprawdę tak myślały, czy nie.

— Protestuję — odezwał się Andrew. — Protestuję przeciwko dwom sprawom. Po pierwsze, robotnicy wcale nie są tacy ponurzy, jak sądzi Tommy, który, zdaje się, sugeruje, że tylko klasa średnia ma monopol na poczucie humoru...

— Nie chodzi o to, że coś jest śmieszne — wyjaśnił z przejściem Tommy. — Nie o to. Ale o mówienie w taki sposób, jakby człowiek z czegoś kpił. To zarozumiałstwo.

— ...a po drugie — mówił dalej Andrew — w tej chwili nie przeprowadzamy krytyki Matty. Następnym towarzyszem na liście osób, które należy poddać krytyce, jest Anton.

— Właśnie — poparł go Bill. — I dziwię się, że nasz przewodniczący jeszcze nie przerwał tej dyskusji. Jest taka nieregulaminowa i żadnego słowa ze strony towarzysza Antona. — A do Marthy rzucił szyderczo: — Twoim niepoważnym zachowaniem zajmiemy się później.

— Towarzyszu Anton — odezwał się Andrew. — Towarzyszu Anton, wstańcie łaskawie i poddajcie się krytyce.

Martha zorientowała się, że Bill i Andrew ją osłaniają. A także że Andrew zamierza osłaniać Antona przed Billem.

Anton podniósł się powoli. Ręce, które opuścił po bokach, nie drżały.

— No to teraz dostaniecie za swoje — powiedział do niego Andrew swoim ponuro-żartobliwym tonem. — Jesteście aroganckim, upartym, apodyktycznym sukinsynem. Pedantem, który dzieli włos na czworo...

Anton także uśmiechał się lekko. Wiedział, że Andrew go ochrania przed Billem, i miał mu to za złe. Bruzdy wokół jego ust drgnęły, tak że cała twarz wydała się nagle zmięta jak zużyta serwetka.

— Jesteście biurokrata, towarzyszu Anton. Jesteście ucieleśnieniem biurokraty. Gdybyście chodzili co wieczór do pubu, popili sobie i powyglupiali się, to może byłby z was dobry towarzysz. Bo w tej chwili jesteście nie do zniesienia.

Wszyscy się śmiali. Elias Phiri skręcał się ze śmiechu na ławce. Anton, wciąż z lekkim uśmiechem na twarzy, kiwnął głową, patrząc na Andrew.

— Czy ktoś nie zgadza się z tą krytyką? — zapytał.

— Nie, wszyscy się zgadzamy — uprzejmie stwierdziła Marie. — Jesteście zbyt nieskazitelni, towarzyszu. Wolałabym, żebyście trochę się rozluźnili.

Elias Phiri, wciąż pokładając się ze śmiechu, rzucił: „Ho, ho, ho” i machnął nogami. Potem, ponieważ zobaczył, że wszyscy patrzą na niego z rozbawieniem, stłumił śmiech i przybrał poważną minę, choć jego potężną postacią wciąż wstrząsały drgawki.

— Chodzi o to — rzucił Bill do Antona — czy ty zgadzasz się z tą krytyką.

Anton odparł sztywno:

— Tak, towarzysze, dobrze zdaję sobie sprawę, że mam tendencje biurokratyczne... — Wydawało się, że zamierza powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymał.

— To dobrze — oświadczył Andrew. — Możecie usiąść, towarzyszu Anton. Albo się poprawicie, albo wybierzemy sobie nowego przewodniczącego.

Anton usiadł. Jednocześnie spojrzął na Billa; Andrew też zerknął na niego z pewną obawą. Bill tymczasem rozparł się na swoim miejscu i założył ręce przed sobą. Powiedział:

— Towarzysz Andrew wyjął mi te słowa z ust. Później wystąpię z inną krytyką.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem wstała Carrie Jones, na którą przyszła kolej. Ale zapanował już lekko żartobliwy nastrój. Carrie wysłuchiwała więc pogodnie zarzutów, że „zbyt- nio dba o wygląd”, i usiadła, kiwając głową. Zanim podniósł się Tommy, Anton zwrócił wszystkim uwagę, że dyskusja miała być poważna. Ale dalsza część krytyki przebiegła równie szybko i wciąż wśród śmiechów. Gdy doszli do Marthy, Anton znowu zauważył, że są „zupełnie nieodpowiedzialni”, ale nadal bez skutku: Martha, Andrew, Jimmy i Murdoch zostali skrytykowani pospiesznie, pod gradem wesołych uwag rzuconych z całej sali. Potem Anton oświadczył:

— Dobrze, towarzysze. Jest wpół do jedenastej, więc proponuję, żebyśmy odłożyli krytykę grupy i samokrytykę na przyszły tydzień.

Bill Bluett jednym szybkim ruchem wyprostował swoje długie ciało na ławce, pochylił się do przodu i oznajmił:

— O nie, o nie, nie. Teraz będziemy już poważni.

Anton odłożył ołówek i usiadł prosto, nastawiony obronnie.

— Miałem wrażenie, że jesteśmy poważni.

— Doskonale wiesz, że to była farsa. Nie tak wygląda krytyka w poważnej grupie komunistycznej.

— Sugerujesz, że powinniśmy zacząć od nowa?

— Nie, ale ponieważ najwyraźniej nie można przeprowadzić w tej grupie krytyki jak należy... przynajmniej w obecnym jej składzie... proponuję przejść do krytyki grupy.

Andrew odparł, powoli nabijając tytoniem fajkę:

— Towarzyszu Bill, czy krytyka, jakiej poddaliśmy towarzysza Antona, nie spełniła swojej funkcji?

— Wasza krytyka — czym prędzej zauważył Anton; wszyscy widzieli, że na to czekał. — Czy dobrze rozumiem? Chcesz powiedzieć, że towarzysze z RAF-u krytykują całą grupę jako podgrupa?

— Owszem — odparł Andrew — i oczywiście masz rację, jeśli sugerujesz, że to rozbitcie na frakcje, ale sytuacja jest szczególna. Oczywiście, że to rozłam. I chciałbym od razu zauważyć, że nie we wszystkim zgadzam się z towarzyszami lotnikami. — Zwrócił się do Billa i zapytał z naciskiem: — Towarzyszu, nie uważacie, że to, co zamierzaliśmy powiedzieć, już zostało powiedziane?

— Nie, wcale nie.

— Nie przyjmuję krytyki ze strony żadnej frakcji — oświadczył Anton. — To sprzeczne z wszelkimi zasadami.

— Jeśli to ma ułatwić sprawę — rzucił Bill — niech to będzie tylko krytyka z mojej strony.

— Ale ja zgadzam się z towarzyszem Billem — włączył się przejęty Murdoch.

— Ja też — dodał Jimmy.

— Jako przewodniczący nie będę tolerował rozłamu w grupie — nie ustępował Anton.

— Och, daj spokój, Anton — odezwała się Marie, jakby mówiła do jednego ze swoich dzieci. — Daj spokój, naprawdę. Bill ciagnał:

— Muszę powiedzieć jedno: działalność całej grupy to kompletna strata czasu.

— Naprawdę? — zapytał Anton. — Proponujesz więc, jak rozumiem, żebyśmy przeprowadzili od nowa analizę naszej działalności? W takim razie umieszczę ten wniosek w programie na przyszły tydzień. Zanotuj to, Jasmine.

Bill się sprzeciwił:

— O nie, nie ma mowy. W przyszłym tygodniu mamy, zdaje się, przedyskutować pozycję kobiet w społeczeństwie kapitalistycznym, żeby nasze panie towarzyszki wiedziały, czy mogą używać szminki, czy nie. Jezu!

Anton odrzekł na to:

— Jeśli przeprowadzisz konkretną, szczegółową krytykę, zamiast rzucać uogólnienia, możemy poddać pod dyskusję twój punkt widzenia.

Zanim jednak Bill zdążył cokolwiek powiedzieć, Murdoch wykrzyknął w wesoło-obronnym tonie, za który został przed pięcioma minutami skrytykowany:

— Ale on ma rację. I według mnie to wszystko twoja wina, towarzyszu Anton. To wina twojego nastawienia.

— Towarzysz Anton już został poddany krytyce i zgodził się z nią — stwierdził Andrew.

— Może byś wyrażał się konkretnie — powiedział Anton. Był już wściekły; twarz drgała mu z gniewu.

— Do licha, człowieku... każdy to widzi. Dobra... weźmy choćby twój stosunek do koleżanki tu obecnej Matty, tej,

która wpadła w kłopoty... Jesteś nieludzki. — Powiedział, przedrzeźniając Antona: — „Powinna była pomyśleć o tym wcześniej”. Do diabła, to tak mówi komunista?

Marie zapytała:

— O co tu chodzi, Matty? Co się stało?

Martha wyjaśniła:

— Moja znajoma zaszła w ciążę. Rozmawialiśmy o niej. To wszystko.

Anton spytał:

— Mam więc rozumieć, towarzysze, że grupa, grupa komunistyczna, proponuje poddać pod dyskusję, co należy zrobić z dziewczyną, która musi usunąć ciążę?

— Ale ona wcale nie chce usunąć tej ciąży — sprzeciwiła się Martha.

— Że to grupa zamierza wziąć na siebie odpowiedzialność za znalezienie osób, które dokonają aborcji albo zechcą ożenić się z wszystkimi dziewczętami z kolonii, które zaszły w ciążę?

— No właśnie! — wykrzyknął Jimmy. — To właśnie miałem na myśli. Zawsze mówisz w taki sposób.

— Krytykujesz ton mojego głosu? — zapytał ostro Anton.

Andrew powiedział:

— Zgadzam się z Antonem, że to wbrew regulaminowi, ale nie ma nic złego w tym, że próbujemy pomóc komuś, kto ma problemy. Pamiętam, że gdy jedna z naszych dziewcząt w kraju wpadła w kłopoty, znaleźliśmy jej męża.

Anton odparł:

— W takim razie, towarzyszu Andrew, skoro macie doświadczenie w tego rodzaju ważnej pracy partyjnej, może sprawę tej dziewczyny powierzymy wam, tobie i towarzysze Matty? I teraz, po ustaleniu tego, przejdziemy do kolejnego punktu zebrania?



Andrew rzucił do Marthy:

— Przyjadę jutro do miasta na lunch. Spotkamy się i porozmawiamy.

— Dzięki — odparła Martha z wdzięcznością i przysunęła się do niego. On otoczył ją ramieniem i oświadczył: — Towarzyszka Matty i ja ustanawiamy podkomitet do rozwiązywania problemów osobistych.

Anton popatrzył na nich z lodowatą cierpliwością.

Bill zauważył:

— Całą naszą energię poświęcamy sprawom białej mniejszości w tym kraju.

Anton przybrał ironicznie zdziwioną minę.

— Ty znowu? — zapytał. — Występujesz z tym na każdym zebraniu od sześciu tygodni. Wciąż jedno i to samo. Czy naprawdę musimy przechodzić przez to od nowa?

Bill odrzekł:

— A tak.

Anton i Bill patrzyli na siebie gotowi do walki, której unikali przez cały wieczór, ale włączył się Jimmy.

— Mówicie, że nie możemy kontaktować się z Murzynami — powiedział. — Ale ja to robię. Gdy wy, mieszczychy, siedzicie na tyłkach i gadacie o rewolucji albo trujecie tym białym osadnikom o chwale Armii Czerwonej, ja sprzedaję „Watchdoga” w dzielnicy czarnych. Zapytajcie Eliasa.

Elias poruszył się na ławce zakłopotany. I znowu brązowa skóra na jego czole zaczęła się marszczyć. Powiedział, wdychając:

— Tak, towarzysze, ale to niełatwe.

— Grupa zdecydowała, że chłopcy z RAF-u nie będą zapuszczać się do dzielnicy czarnych — zauważył ostro Anton. — I teraz ja was poddam krytyce: nie przestrzegacie

dyscypliny, przychodźcie sobie na zebrania albo nie, jak wam się chce, wykonujecie zadania partyjne albo nie, zależnie od nastroju, i jesteście wszyscy zupełnie nieodpowiedzialni.

— To prawda — szorstko przyznał Jimmy. — I łamiemy święte zasady obowiązujące w kolonii, utrzymując przyjacielskie stosunki z kolorowymi dziewczętami.

Marie zauważyła ze zniecierpliwieniem:

— Dyskutowaliśmy o tym w zeszłym tygodniu. Wiesz, dlaczego podjęliśmy taką decyzję, jaką podjęliśmy.

Tu Tommy zaczął wiercić się na ławie, a na jego twarzy pojawił się żałosny uśmiech, który wszyscy już znali i traktowali z sympatią ze względu na absolutną szczerłość chłopaka.

— Chciałbym coś powiedzieć — zaczął. — Czyli to. Coś tu jest nie tak. Mówimy, że nie uznajemy nierówności, uprzedzeń rasowych i tak dalej. Ale jak przychodzi co do czego, postępujemy jak wszyscy inni. Żeby nie drażnić ludzi. — Zwrócił się przepaszająco do Eliasa: — Muszę powiedzieć szczerze, towarzyszu, że według mnie czarni nie powinni żenić się z białymi, ale wiem, że mam taki pogląd, bo wychowałem się w tym kraju... Próbuję tylko powiedzieć, co myślę...

Elias pokiwał głową i opuścił wzrok.

— Jednak mówimy, że takie mamy zasady. Ale kiedy obecny tu towarzysz Jimmy zakochuje się... — Zawahał się i poprawił: — ...to znaczy nawiązuje przyjacielskie stosunki z dziewczyną z dzielnicy kolorowych, to jesteśmy przeciw. Bo ludzie źle by gadali o komunistach. Ale wydaje mi się, że w tym wszystkim coś jest nie w porządku.

— Mnie to mówisz — rzucił Jimmy wprost do niego.

— Towarzysze — zabrał głos Anton, zmęczony i zniecierpliwiony. — Jeśli w tej chwili uszylibyśmy sobie czerwone

flagi i wyszli z tego pokoju na ulice dzielnicy czarnych, krzycząc: „Powstańcie, głodujący, obudźcie się z letargu!”, to co by się stało? Mnie zamknięto by w obozie dla internowanych. Każdy, kto służy w RAF-ie, dostałby przeniesienie. Urzędnicy służby cywilnej, Marjorie i Colin, zostaliby zwolnieni. Piet musiałyby zrezygnować z działalności w związku zawodowym. A wszystkich innych by deportowano. Czy o to wam chodzi? Tak czy nie? Bo to logiczna konsekwencja tego, co mówicie. Jeśli chcecie, żeby ta grupa głosiła hasła równości płci, to jest to tylko sposób, żeby narazić się wszystkim. Czy to by coś zmieniło, gdyby każdy tutejszy wolny mężczyzna ożenił się jutro z kolorową dziewczyną, choć to oczywiście niemożliwe? Albo gdybyśmy sobie wzięli kolorowe kochanki? To żadna nowość, biali zawsze sypiali z kolorowymi i czarnymi. Mam rację? Problem jest natury ekonomicznej, a nie społecznej. Pomyslcie o tym, towarzysze.

— Dlaczego musisz robić z każdego zwykłego, ludzkiego problemu wielką sprawę ideologiczną? — zapytał nagle Bill.

— Jesteśmy komunistami czy nie?

Jasmine zwróciła się z przejęciem do Jimmy'ego:

— Wasze podejście, towarzyszu, jest bardzo złe. W zeszłym tygodniu wszystko sobie wyjaśniliśmy i podjęliśmy decyzje. Ale wy nie respektujecie tych decyzji... zawsze robicie to, co wam się podoba. Nie rozumiem, dlaczego w ogóle się tu fatygujecie... jeśli jesteście członkiem grupy, musicie przestrzegać dyscypliny.

Jimmy wstał, obciągnął bluzę mundurową i nasadził czapkę na swoje gęste włosy.

— Słusznie — stwierdził — nie wiem, dlaczego zadaję sobie tyle trudu i w ogóle tu przychodzę. — Murdoch,

uśmiechając się słabo, stanął u jego boku i poprawił czapkę na głowie. Bill Bluett też się podniósł i przyłączył do nich.

Jimmy rozejrzał się powoli po wszystkich, twarz i oczy miał rozpalone.

— Możecie mnie wykluczyć — oświadczył do ściany nad głową Marthy. — Znalazłem sobie porządną, pracującą dziewczynę, taką jak ja, i znam towarzyszy w dzielnicy czarnych, z którymi mogę pogadać jak człowiek z człowiekiem. Nie będę dłużej członkiem tego kółka dyskusyjnego.

I wypadł z pokoju; Murdoch wyszedł za nim, pospiesznie rzucając całkiem przyjaznym głosem: — Na razie.

Bill spokojnie skinął wszystkim głową i ruszył za nimi.

Andrew szybko schował fajkę i powiedział:

— Cóż, towarzysze, przykro mi z powodu tego, co się stało, ale zobaczę, co da się zrobić. — On też wyszedł szybkim krokiem.

Elias, który patrzył na pozostałych z ukosa, ściągnął brwi i oznajmił:

— Ja też muszę już iść. Nie mam przepustki, żeby szwendać się po nocy. — I opuścił pokój, żegnany padającymi z różnych stron „dobranoc”, „dobranoc”, „dobranoc”.

— Proponuję zakończyć zebranie — odezwał się Anton, jakby nic szczególnego się nie zdarzyło.

— Tak po prostu? — zapytała Marjorie.

— Towarzysz Andrew robi, co będzie mógł. A jeśli to nic nie da, podejmiemy działalność bez towarzyszy z RAF-u. Coś jeszcze? W takim razie uznaję zebranie za zamknięte. — Pozbierał książki i notatki i wyszedł równie szybko jak poprzedni uczestnicy zebrania.

Jasmine była bliska łez. Marjorie sprawiała wrażenie oszłamionej.

— Ale co się stało? — zapytała, zwracając się do wszystkich. — Nie rozumiem. Co się stało?

Colin poklepał ją po ramieniu, ale to ją tylko zirytowało.

Carrie wzruszyła ramionami, narzucając na siebie miękki biały wełniany płaszcz, i podeszła do drzwi.

— Może komunizm nie sprawdza się w tym kraju? — zapytała. — Cóż, dobrej nocy, muszę się wyspać, bo będę źle wyglądać. — I też się oddaliła.

Państwo Du Preez, którzy stali obok siebie, spojrzeli ze smutkiem na miejsce, które przed chwilą zajmował Anton, jakby mógł się nagle zmaterializować i rozwiązać te wszystkie problemy. W końcu Marie westchnęła i zauważyła:

— Temu chłopakowi, Jimmy'emu, przydałby się dobry lekarz, jeśli chcecie znać moje zdanie. Umiera na gruźlicę... to widać na pierwszy rzut oka.

Piet dodał z szerokim uśmiechem:

— Kobiety! Przyjmijmy zasadę, że nie przychodzi się na zebrania grupy, jeśli się ma choćby lekko podwyższoną temperaturę.

Odezwał się Tommy:

— Ale to nie przez Jimmy'ego, tylko Billa, no nie? To znaczy Jimmy zaczął, ale to była robota Billa.

Piet z sympatią poklepał chłopaka po głowie i powiedział do niego:

— Skończ już z tym gadaniem i idź spać. Podwieziemy cię do domu. Kogo jeszcze podrzucić?

„Mieszczuchy” wyszły na ulicę i zobaczyły, że Jimmy stoi pod latarnią na rogu; otaczali go koledzy z RAF-u. Krzyczał i żywo gestykulował; tamci najwyraźniej usiłowali odwieść go od jakiegoś zamiaru.

Potem zauważyli Andrew, który widocznie zagniewany, oddalał się od kumpli. Pozostali trzej, Bill, Murdoch i Jimmy, objęli się ramionami i ruszyli chodnikiem, jeden przy drugim, tak że mieszkańcy miasteczka, nadchodząc z naprzeciwka po wyjściu z kina, musieli schodzić im z drogi.

— Cholerny RAF — rzucił Piet ze złością — pora, żeby wrócili do siebie, tam, gdzie ich miejsce.

## Rozdział czwarty

Gdy Andrew odwrócił się do nich swoimi szerokimi plecami, Murdoch stwierdził:

— Cholerny lizus.

Bill dodał:

— Racja. Cały Andrew.

Mężczyźni wyszli z zebrania grupy zjednoczeni we wspólnej wrogości do „tych z miasteczka”. Andrew przyłączył się do nich, rzucając w drodze po schodach pogardliwe komentarze. Potem jednak wyraźnie zdystansował się od kolegów; oświadczył Jimmy’emu:

— Zawaliłeś sprawę, stary.

Bill zareagował natychmiast zaczepnie: — Jesteśmy guuupi, co?

Na to Andrew odparł swoim zrędliwym kumplowskim tonem: — Nie mieliśmy rozwalać wszystkiego, tylko zmienić politykę.

Wtedy Jimmy zawołał:

— A ja bym chciał to rozwalić, rozwalić całe to przekłete miasteczko razem ze wszystkim! — Wydał krótki okrzyk

wściekłości i zacisnął pięści; pozostali zaczęli poklepywać go uspokajająco, ale odtrącił ich, burcząc na nich i na przechodzących obok ludzi. Kiedy się już opanował, Andrew oznajmił: — Cóż, nie wiem, jak wy, ale ja zamierzam zdążyć na autobus. — I odszedł.

Na stwierdzenie Billa: „Cały Andrew” pozostali dwaj energicznie skinęli głowami, wyrażając swoje gorące poparcie. Jednak niemal zaraz po tym poczuli pretensje także do Billa: zachowywał się zbyt zaczepnie. Jimmy i Murdoch byli tym wszystkim, co się stało, wyprowadzeni z równowagi, rozłoszczeni i jednocześnie przygnębieni. Bill przeciwnie; zauważyli w jego czujnych szarych oczach jedynie ciekawość, jak to się dalej potoczy. Reagował inaczej niż oni. Zapytał teraz:

— Zdążymy na autobus? Boja nie mam przepustki na noc.

— Do diabła z autobusem — stwierdził Murdoch, ale koledzy zorientowali się po jego tonie, że postara się go jednak złapać.

Znowu objęli się ramionami i powędrowali ulicą. Main Street o jedenastej w nocy; kina pustoszały, hotele się zapełniały. Trzej młodzi mężczyźni, w rozpiętych niedbale mundurach, maszerowali szpalerem, kątem oka zauważając, jak mieszkańcy miasteczka usuwają się na bok, żeby ich przepuścić. Na wypadek gdyby ktoś ich potrącił albo powiedział coś zaczepnego, zaciskali pięści, gotowi do walki. Mężczyźni jednak, którym przeważnie towarzyszyły kobiety, rzucali na nich tylko poważne, surowe spojrzenia i schodzili z chodnika kilkadziesiąt kroków przed nimi. Jeden z nich mruknął, gdy minęli go trzej lotnicy:

— Którego dnia im dołożę...

W połowie drogi, naprzeciwko nich ukazała się Carrie



Jones, której towarzyszyła koleżanka. Gdy ich zobaczyły, obie odruchowo zeszywniały i zeszły na brzeg chodnika. Pół godziny wcześniej Carrie siedziała z nimi w jednym pokoju, ale teraz stali się „tymi z RAF-u”, więc starała się na nich nie patrzeć. Murdoch gwizdnął prowokacyjnie, gdy znalazł się cztery jardy przed nimi. Dziewczyny zarumieniły się jeszcze bardziej i wyglądały na wystraszone. Bill skarcił go ostro:

— Hej, stary, daj im spokój!

Ale Murdoch, z twarzą płonąca złością i rozczochranymi włosami, gwizdnął ponownie. Gdy mijali obie dziewczyny, Bill rzucił z uśmiechem:

— Towarzyszko Carrie!

Ta odwróciła się szybko, zobaczyła, kto to mówi, i skinęła głową, całą swoją postawą wyrażając niechęć i urazę.

— Jak traktujesz nasze dziewczyny? — zapytał Bill Murdocha. Znowu powiedział to zaczepnie, w formie przygany. Murdoch zatrzymał się, a Jimmy za nim. — O co ci chodzi? — warknął. — Masz coś przeciwko? Ona nawet na nas nie spojrzała. Towarzysze.

Bill odparł w podobny sposób, jakby na próbę.

— Przestraszyłeś ją. To było guuupie.

Jimmy odrzekł jak zwykle ze śmiertelną powagą:

— Po czyjej stoisz stronie? Nie jestem za tym, żeby gwizdać na nasze dziewczyny, ale ona właśnie potraktowała nas jak śmiecie.

Bill odsunął się od pozostałych dwóch; można by odnieść wrażenie, że przestali go interesować.

— Nie zdążymy na autobus — zauważył i odszedł. Jimmy i Murdoch splekli ramiona i rzucili za nim: „To idź se do łóżka” i „Śpij dobrze”.

Bill ruszył w drogę powrotną do autobusu, świadom, jak wcześniej Andrew, ich krytycznych spojrzeń za jego plecami.

Jimmy i Murdoch, z których jakby uszło powietrze, a wraz z nim cała agresja, oparli się o słup przed sklepem. Murdoch zapalił papierosa, kuląc się przed wiatrem i osłaniając obiema dłońmi płomień zapałki — była zimna, spokojna noc, gwiazdy świeciły wysoko nad małą barwną łuną otaczającą miasteczko.

Zaproponował:

— Dobra... wracajmy do bazy.

Jimmy nic na to nie powiedział.

Oddychał ciężko, chrypliwie i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Miał przepustkę na całą noc, ale z jakiegoś powodu stracił energię. Szturchnięty przez Murdocha, automatycznie ruszył za nim po chodniku, nic nie mówiąc. Na ulicy nie było już prawie nikogo z miejscowych, ale co jakiś czas pojawiały się dziwne ich grupki i teraz to dwaj lotnicy ustępowali im z drogi, unikając kontaktu wzrokowego. Kiedy dotarli do przystanku, autobus już zawracał w ich stronę, więc wskoczyli do niego. Andrew siedział na samym przedzie i coś czytał. Bill leżał wyciągnięty na podwójnym siedzeniu, najwyraźniej spał. Jimmy i Murdoch wybrali miejsca z tyłu, obok siebie.

— Iz powrotem do obozu koncentracyjnego — zauważył Murdoch.

— No — ponuro przytaknął Jimmy. Ale w tych uwagach było jakieś zadowolenie, masochistyczna duma z własnego losu.

— Jutro mecz przeciwko Guineafowl — rzucił Murdoch. Uśmiechał się już i był odprężony. — Wygramy go — dodał. — Nie przegraliśmy jeszcze ani razu.

Jimmy nie odpowiedział. Na w pół żartobliwa wzmianka

o „obozie koncentracyjnym” przywiodła mu na myśl potężne ryglowane bramy i wysokie ogrodzenie z drutem kolczastym. Poruszył ramionami w grubym, ciasnym mundurze. Miał całonocną przepustkę. Co wobec tego tu robił? Gdyby wysiadł przed bramą i wrócił do głównej drogi, mógłby złapać okazję do miasteczka — oczywiście jeśli któryś z tych drani chciałby się zatrzymać i zabrać lotnika! W obozie bowiem nieustanna gorycz budził fakt, że mieszkańcy miasteczka nie chcieli podwozić żołnierzy. Pozostał jednak z resztą towarzyszy. Mężczyźni wysiedli z autobusu i gdy znaleźli się za drutem kolczastym, który także jakby ograniczał ich umysły, pokonali wspólnie kilkanaście stopni, a potem skierowali się pojedynczo albo po dwóch do swoich baraków. Bill i Andrew rozeszli się w przeciwne strony; Jimmy i Murdoch nie patrzyli za nimi; obaj byli w przyjemnym, sentymentalnym nastroju, który wykluczał wszystkich innych. Szli wolnym krokiem ramię przy ramieniu do prymitywnego baraku, który od dwóch lat był ich domem, tak jak osiemnastu innych tu zakwaterowanych żołnierzy. Wydawał się płaski, jakby przycupnięty pod bezkresnym niebem; otaczały go dziesiątki podobnych konstrukcji. Murdoch odezwał się zwyczajnie, tonem, którego rzadko używał i który, ku jego własnemu zaskoczeniu, nie wydał się ani smutny, ani zabarwiony wesołością, lecz spokojny i pełen przejęcia; jak głos chłopca, który komentuje coś dziwnego:

— Wiesz, Jimmy, bracie, co przypomina mi to dziadowskie miejsce?

Do tej pory szedł wzruszająco niezgrabnym krokiem patyczaka, ale w tej chwili zatrzymał się czujnie. Jimmy przystanął obok niego. Byli tak blisko siebie, że czuli nawzajem ciepło swoich ciał.

— Co? — zapytał Jimmy, gdy oddech Murdocha zamienił

się w obłok pary w rozświetlonym blaskiem księżyca powietrzu.

— Pomyśl o ławie dla obsługi. Rozumiesz, co mam na myśli?

Obaj byli mechanikami, pracowali przy długich, zatłuszczonych, błyszczących stołach, zasłanych, pozornie bez ładu, dziesiątkami małych, twardych, kanciastych kawałków metalu

Jimmy, który spojrzął przed siebie z otwartymi ustami, ujrzał baraki obozowe i magazyny zmniejszone do skali ich wspólnego miejsca pracy, jakby to były precyzyjnie dopasowane części maszyn. Poczuci się w nich uwięziony podobnie jak Murdoch, ale jego ciepłe, pełne życia ciało zbuntowało się przeciwko takiej wizji. Odczuł jako coś bolesnego zestawienie szpetnej regularności zabudowań obozu, która kojarzyła się uparcie z obrazem metalowych części i narzędzi, z własnym gorącym, oddychającym ciałem, które tu nie pasowało.

Odparł powoli:

— Rzeczywiście. Masz rację. Wszędzie dookoła same maszyny. — Ale gdy to powiedział i zobaczył, że zawód wywołany poprzednim brakiem porozumienia przemienił się na twarzy Murdocha w pełen wdzięczności braterski uśmiech, poczuł, jakby trzymał w dłoniach części silników, którymi zajmował się przez cały dzień. Jego duże kościste palce poruszyły się odruchowo, przywykłe do metalu. Czuł pod palcami bezwładną, leniwą stal, martwą, dopóki jej nie dotknął i nie przywrócił do życia. Wtedy jego uszy, które z przyzwyczajenia odcinały się od otaczającego go hałasu, pochwytyły ryk silnika: w odległości kilkuset jardów na pasie startowym stał samolot, który drgał w świetle łuku elektrycznego, i teraz, słysząc jego warkot, Jimmy rozpoznał w nim maszynę, którą zajmował się tego rana. Wsunął we właściwe

miejsce mały, gładki, metalowy element i martwa część maszyny znowu ożyła.

Murdoch natarczywie zapytał znowu, ściskając go za ramię:

— Już wiesz, co mam na myśli?

— Gdy wojna się skończy, pewnie nadal będę się trzymał lotnictwa.

Murdoch opuścił rękę; miał wrażenie, jakby Jimmy odwrócił się i odszedł. Sam marzył o czymś innym po zakończeniu wojny. Jeszcze nie bardzo wiedział o czym, ale jego stryj miał mały bar w Edynburgu, w którym serwował ryby z frytkami, i zamierzał do niego napisać. Myślał: jeśli tak dalej pójdzie, Jimmy wyląduje w szpitalu dla obłąkanych, jeszcze zanim wojna się skończy, głupi gnojek, ale nikt nie może mu powiedzieć, że jest chory, nikt nie może mu nic powiedzieć.

Oświadczył: — Jestem głodny.

Pomyślał o zapachu ciepłego jedzenia, który unosił się w barze stryja.

Drzwi baraku, od których dzieliło ich kilka kroków, otworzyły się — padł przez nie prostokąt światła. Ich prycze stały pod przeciwległymi ścianami. Ci dwaj mężczyźni dotąd właściwie nie czuli się sobie bliscy; obaj mieli innych kumpli, z którymi pracowali i wybierali się do miasteczka, kiedy grupa dawała im wolne.

Jimmy przypomniał sobie, że z poprzedniego tygodnia zostało jeszcze kilkadziesiąt niesprzedanych egzemplarzy „Watchdoga”. Powiedział z mocą:

— Chciałbym zobaczyć jedną z tych towarzyszek, jak o sobie mówią, w roli pracującej kobiety... wyzionęłaby ducha w jeden dzień.

— Masz rację — poparł go Murdoch. — Nie wiedzą, co to ciężka praca, to fakt.

Znowu zbliżyli się do siebie, myśląc z goryczą o dziewczętach z grupy, które nimi wzgardziły, które potraktowały ich z góry — bo takie odnieśli wrażenie.

Weszli razem do baraku. Pozostali leżeli albo siedzieli na łózkach. Grało radio. Pomieszczenie tchnęło nostalgią. Vera Lynn śpiewała *When You Come Home Again*\*.

Prycza Jimmy'ego znajdowała się tuż przy drzwiach. Murdoch nie miał ochoty rozstać się z kolegą, ulokował się więc w jednym jej końcu. Młody chłopak, który leżał po sąsiedzku, uniósł głowę i rzucił przyjaźnie: — Joe na króla!

Jimmy i Murdoch byli jedynymi komunistami w baraku. Powszechnie wiadano, że należą do tajnej grupy w miasteczku. Co tydzień sprzedawali po kilkadziesiąt egzemplarzy „Watchdoga”. Lotnicy kupowali go chętnie, ale rzadko czytali. Chcieli w ten sposób przyłączyć się do panującego obecnie zapału, który odczuwali, choć nie potrafiliby go nazwać. Rosja dobrze sobie radziła; byli dobrze nastawieni do Armii Czerwonej, bo wydawało im się, że jej sukcesy w jakiś przedziwny sposób ukazują niekompetencję ich własnego rządu. Każdy z tych mężczyzn myślał o tych, którzy stali w hierarchii wyżej od niego, począwszy od kaprała w górę, jako o niekompetentnych, niesumiennych i w ogóle do niczego. Nienawidzili kadry oficerskiej, która budziła w nich beznamiętną, bezosobową gorycz.

Zdawało im się, że po wojnie musi się coś zmienić. Drwili z Karty atlantyckiej, a patriotyczne przemówienia oficjeli, zapowiadające nadejście lepszych czasów po wojnie, przyjmowali z lekceważeniem jako wabik dla frajerów, choć sami byli tymi frajerami. Mimo to... nie mogło przecież być tak

\* *When You Come Home Again* (ang.) — Kiedy wrócisz do domu.

dalej; i zwycięstwa Armii Czerwonej w pewnym sensie to potwierdzały.

Jednakże ten sceptycyzm miał ich ustrzec przed rozczarowaniem. W całym obozie witano się okrzykiem: „Joe na króla!”, ale to był żart, a towarzyszące mu uniesienie pięści stanowiło parodię rewolucyjnego zapału. Kupowali „Watch-doga”, płacili za niego trzy razy tyle, ile było trzeba, ale już nie zadawali sobie trudu, żeby go przeczytać. Zostawiali go w kantynie, w czytelniach albo wtykali prowokacyjnie do kieszeni, żeby drażnić jego widokiem oficerów. W obozie było też kilka czerwonych flag domowej roboty; czasami je wyjmowali i machali nimi, wygłaszając gwałtowne, buntownicze, ale zawsze zaprawione kpina przemówienia.

Nad pryzkami mężczyzn w tym baraku wisiały zdjęcia dziewcząt i fotografie rodzinne, ale zdarzały się też portrety Stalina z podpisami: „Joe na króla!” albo „Wujek Joe”.

Jimmy i Murdoch też mieli jego duże zdjęcia wycięte z gazet, ale podpisane poważnie: „Towarzysz Stalin”.

Jimmy odpowiedział na pozdrowienia sąsiada, usiadł obok Murdocha i nagle ogarnęła go złość na samego siebie, że w ogóle tu jest. Powiedział:

— Zastanawiam się, czyby nie wrócić do miasta.

Murdoch odparł na to:

— Spokojnie, Jimmy, bracie.

— Poważnie.

— Nie uda ci się o tej porze stąd wydostać.

— Znam sposób. Ty też możesz się zabrać.

— Nie mam przepustki.

— Wróciłbyś tą samą drogą.

Murdoch się zaniepokoił. Znał to podniecenie na twarzy Jimmy'ego, błysk w jego oczach. Osobiście uważał, że Jimmy

jest nie tyle chory, ile szalony. Sam, mimo opinii podżegacza, którą się szczyił, był młodzieńcem lubiącym porządek i nie czuł się dobrze, gdy łamał przepisy.

Jimmy zapytał:

— To idziesz czy nie?

Murdoch nie spodziewał się tak natychmiastowego wyzwania. Jimmy już wstał i zapinał pas.

— Och, stary. — Zaśmiał się słabo. — Muszę się kimnąć. Też podniósł się z łóżka.

Głos Very Lynn był tak donośny, mocny i słodki, że duszne powietrze w baraku aż od niego pulsowało. Wtórowała jej grupka mężczyzn zebranych wokół radia i Murdoch miał ochotę się do nich przyłączyć.

Jimmy wykrzyknął:

— Masz stracha, i tyle! — Całym sobą pragnął teraz, żeby Murdoch poszedł z nim. Spojrzał na kolegę z nienawiścią.

— Stracha, tak? — zapytał obrażony Murdoch. Potem, uświadomiwszy sobie, dokąd to może go zaprowadzić, przybrał typowy dla siebie wesoło-żałosny ton: — Padam ze zmęczenia, taka jest prawda. — Nie patrzył na Jimmy'ego, na tę jego zaciśniętą agresywnie szczękę; dorzucił natomiast: — Idę do łóżka. — I czym prędzej odszedł.

Jimmy poczuł się zdradzony. Murdoch go zostawił. Przez cały wieczór kolejno opuszczali go przyjaciele. Jeszcze niedawno był jednym z piętnastki towarzyszy — na potrzeby swojej wizji zapomniał o napięciu i tarciach między nimi, pamiętając tylko dobre chwile. Potem należał do czteroosobowej grupy chłopców z RAF-u — z których wszyscy po kolei odchodzili, przed chwilą nawet Murdoch. Pomyślał: W miasteczku jest tylko jedna osoba, którą lubię, to Elias. Pojadę i spotkam się z nim.



Teraz już bez trudu podjął decyzję, co zrobić z czasem. Automatycznym ruchem włożył czapkę na głowę i wyszedł z baraku, czując, że Murdoch odprowadza go wzrokiem. W reakcji na to spojrzenie wyprostował plecy.

Na zewnątrz było niewielu ludzi; lotnicy przeważnie wrócili już do swoich baraków. Środek bazy był jasno oświetlony. Jimmy przez chwilę zastanawiał się, czy nie pójść pod bramę i nie spróbować prześlizgnąć się obok wartowników, gdy z kantyny oficerskiej wyszła grupa żołnierzy. Robił już tak wcześniej, ale gdyby się na to zdecydował, musiałyby jeszcze pokręcić się po okolicy. A może by tak zabrać się z kimś samochodem? Podszedł ostrożnie pod kantynę i rozejrzał się wśród wozów. W większości z nich siedziały obściskujące się pary. Pewnie by go zabrali, zwłaszcza że byli podpici, ale to też by oznaczało czekanie i przede wszystkim konieczność rozmowy. A nie miał na to ochoty.

Przeszedł szybko przez bazę do miejsca, gdzie przy ogrodzeniu pozostawiono kilka drzew, stanął pod jednym z nich i w świetle księżyca, które na niego spływało, wsłuchał się w dźwięki muzyki tanecznej, dochodzące z kantyny oficerskiej. W odległości stu jardów widział połyskujący drut kolczasty. Przed kilkoma dniami zauważył pod nim niewielkie zagłębienie w ziemi. Wzdłuż ogrodzenia szedł jeden z murzyńskich wartowników. Jimmy wyszedł z mroku i ruszył ku niemu. Tamten rozpoznał go i zapytał:

— Pan towarzysz?

Jimmy dostarczał mu kolejne numery „Watchdoga”, a także broszury z południa, poświęcone równości rasowej. Mimo to uparcie nazywał Jimmy’ego i pozostałych lotników, którzy jako „czerwoni” odnosili się do niego życzliwie, „panami towarzyszami”.

Jimmy zażądał:

— Przytrzymaj te druty przez chwilę, żebym mógł pod nimi przejść.

Wartownik wyraźnie się przestraszył.

— Ależ, panie towarzyszu, narobi pan sobie kłopotów. — Chciał przez to powiedzieć: „narobisz mi kłopotów”.

Jimmy odparł gniewnie:

— To idź i chrzań się, jeśli się boisz. — Potem jednak, gdy zobaczył napięcie i lęk na twarzy tamtego, poczuł dla niego serdeczną litość. Powiedział więc tym samym przyjacielskim tonem, jakim wcześniej rozmawiał z Murdokiem: — No, stary, pomóż mi, nikt nas nie zobaczy. — Podeszedł do ogrodzenia. Murzyn się zawahał, a potem też się do niego zbliżył. Pierwszy z drutów znajdował się sześć cali nad ziemią, a Jimmy był potężnym mężczyzną. Wartownik po raz ostatni ze strachem rozejrzał się dookoła, zobaczył, że nikogo nie ma w pobliżu, pochwycił twardy wzrok Jimmy'ego, pochylił się i z całej siły pociągnął napięty, śliski drut.

— Nie, nie tutaj — zwrócił mu uwagę Jimmy, przykucnąwszy kilka jardów dalej, w miejscu, gdzie znajdowało się zagłębienie.

Murzyn znowu potoczył wzrokiem wokół siebie, naprawdę przestraszony. Byli widoczni ze wszystkich stron. Świecił księżyc, między nimi zaś a pierwszymi barakami rośło tylko kilka karłowatych drzew. W tej chwili z kantyny wyszła grupa oficerów w towarzystwie kilku dziewcząt i gdyby obrócili głowy, z łatwością mogli ich zobaczyć.

— Spokojnie — rzucił ponownie Jimmy. Leżał na ziemi tuż przy ogrodzeniu. Murzyn schylił się i uniósł dolny drut, ciągnąc go z całej siły. Jimmy przetoczył się pod spodem, ale zawadził ramionami.

— Wyżej — sapnął.

Tamten użył całej siły, zapierając się nogami; drut napiął się wraz z jego drżącym z wysiłku ciałem i zabrzączał. Jimmy przeczołgał się pod nim: najpierw ramionami, a potem resztą ciała. Leżał na ziemi po drugiej stronie ogrodzenia, po czym przetoczył się jak butelka w cień wysokiej trawy.

— Dzięki, stary — usłyszał Murzyn.

Odparł: — Dobranoc, panie towarzyszu — i sam czym prędzej umknął, rzucając we wszystkie strony zaleźnione spojrzenia. Najwyraźniej jednak nikt ich nie zauważył.

Jimmy doczołgał się do gęstej kępy traw, a następnie odwrócił do niej i do bazy plecami. Leżał podparty na łokciu i odpoczywał. Gdyby nie dudniąca muzyka, która dobiegała z kantyny oficerskiej, mógłby pomyśleć, że znajduje się całę mile od innych ludzi. W obozie, za wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, żyło kilka tysięcy mężczyzn; to on trzymał ich razem, ściśniętych, na ograniczonej przestrzeni. Jimmy pomyślał, że przez te wszystkie miesiące funkcjonował w kręgu powtarzających się, prostych czynności: spał w baraku, pracował przy pasie startowym, wyjeżdżał do miasta autobusem obozowym przez groźnie wyglądającą bramę przy głównej drodze. A jednak dziesięć jardów od bazy, w blasku księżyca, stały dziewicze drzewa, trawa była bujna, niezgnieciona. Nagle opuściła go chęć, by dokąds pójść. Pragnął jedynie wydostać się za druty, pokonać ich nieustający nacisk, jakby to była stalowa pajęczyna, krępująca go, wrzynająca mu się w ciało za każdym razem, gdy próbował wyłamać się z szeregu. Pomyślał: Zostanę tu do rana, a potem pod osłoną drzew obejdę bazę, wyjdę na drogę i z przepustką stawię się pod bramą. Nikt się niczego nie dowie. Nic się nie stanie, jeśli prześlpię się poza bazę. Usadowił się wygodnie, z odchyłoną

do tyłu głową, i znieruchomiał, przesuając jedynie wzrok, żeby spojrzeć na księżyc, drzewa, trawę i połyskujące śmiecie, które walały się po ziemi. Chłopak z miasta, z ciemnych, zimnych ulic, wdychał w skażone płuca świeże, ostre powietrze wysoko położonego weldu, przesypywał w palcach grudki tłustej ziemi, która lepiła mu się do rąk, mrużył oczy przed blaskiem świecącego w górze księżycy i myślał: to jest coś, w domu nie widziałem takiego nieba. Trawa, która osiągnęła lipcową pełnię rozkwitu, tworzyła za nim niemal jednolitą powierzchnię, nie krążyły już w niej soki, każde jej źdźbło było napięte i gładkie jak szlachetna stal, a wszystkie razem tworzyły sprężystą przeciwwagę dla jego pleców. Uniósł się trochę i opadł na nią znowu, a potem nagle zaśmiał się głośno, dając wyraz głębokiemu, dziwnemu zadowoleniu, jakie sprawiała mu jej twardość i opór. Ale ten własny śmiech go przestraszył. Wydał mu się hałaśliwy, niespodziewany, jakby nie jego. Otworzył się na dźwięki i poprzez odległy ryk i wycie silników na pasie startowym w obozie pochwycił ciche odgłosy otaczającej go nocy. Trawa, liście, ziemia nie milkły ani na chwilę. Z zarośli dobiegały nieustające szmery i śpiewy. Ptaki? — zastanowił się, marszcząc czoło. Żaby? Wsłuchał się lepiej i uświadomił sobie, że trawa pachnie słodko. Nad jego głową wznosiły się jej smukłe, pierzaste wiechy, przypominające owies. Uniósł spojrzenie, zobaczył wyraźnie ich pojedyncze, ciemne zarysy na tle gwiaździstego, srebrnego nieba i pomyślał: za moimi plecami są twarde jak... metal. A nad głową gną się, każde z osobna. Takie miękkie. Podatne na każdy powiew wiatru. I znowu jego nozdrza napełniły się słodkim, przenikliwym tchnieniem przyrody. Otworzył usta i zapatrzył się przed siebie, tak że oczy lekko mu się zaszkliły; napiął się cały, usiłując pochwycić wszystkie

dźwięki, wonie. Myślał: nasycę się tym i zasnę. Obudzi mnie słońce. Wезде szybko, zaczniesz palić i obudzi mnie... Zamrugał oczami, szeroko otwartymi pod sylwetkami czarnych wiechci nad nim, a potem jeszcze raz — coś mu wpadło do oka. Ale chyba nie, po prostu za długo patrzył na ciemny, szlachetny rysunek, bo stracił ostrość widzenia i na delikatnym piórku pojawił się czarny gruzeł. Zamrugał ponownie, mocno i szybko, słysząc nagle, tuż nad sobą, hałas, jakby serię z karabinu maszynowego. Poruszył się niespokojnie, krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach, nerwy się napięły. Rozejrzał się i czekał. Nagle uświadomił sobie, że ten czarny gruzeł to owad i że to on powoduje ten hałas. Poczul też coś pod sobą. Stoczył się szybko z kępy trawy i przyjrzał jej uważnie. Wszystkie grube, błyszczące źdźbła pokryte były czarnymi gruzłami. Niektóre z nich się poruszały. Znowu zapadła cisza, strzały karabinu maszynowego się urwały. Mój Boże, pomyślał, to one tak hałasują, te robaki. Przeniknął go strach. Przykucnął w trawie i przyjrzał się sobie, zobaczył, że na nogach i całym ciele ma ciemne punkty. Mój Boże, oblażył go, wielkie żukowate owady z różkami, niezręcznie poruszające czułkami i wędrujące po nim. Wrzasnął z przerażenia i zaczął się gorączkowo otrząpywać. One jednak się trzymały, a gdy już odpadły, lądowały ciężko w trawie i leżały, przebierając odnóżami — jak jakieś potwory, pomyślał szaleńczo, wzdrygając się całym ciałem z obrzydzenia. Pięć takich, sześć, dziesięć — gdy sobie tam leżał, na ziemi, oblażyło go i nawet zaczęło wydawać te swoje odgłosy, jakby go w ogóle nie było. Teraz, gdy się podniósł, choć wciąż na wół przykucnięty, i ze strachem rozejrzał się wokół siebie, zobaczył je w całej trawie, kilka kroków od niego wciąż cykały i śpiewały, jakby w ogóle nie istniał. Były wszędzie! Wydał kolejny okrzyk przerażenia i ruszył biegiem między

drzewa, z dala od bazy, bijąc się po nogach i reszcie ciała, jakby cały płonął i chciał ugasić płomień.

Biegł niezgrabnie, z trudem łapiąc oddech i mrużąc pod nosem: ohyda, świństwo, obrzydlistwo... i stale spoglądał na siebie, jakby był brudny, czymś skalany. Dotarł do prześwitu między drzewami, nieporośniętego trawą, na który padały głębokie cienie. Tu się zatrzymał. Dokąd biegł? Wied opadał przed nim łagodnie. Trzy mile dalej nocne niebo jarzyło się fioletozoróżowym blaskiem, były to światła miasta. Ku nim biegł. Ale przecież chciał zobaczyć się z Eliaszem; a tam, gdzie on mieszkał, nieliczne punkty światła nie rzucały blasku na niebo. Gdyby kierował się ku łunie, dotarłby do białej części miasteczka. Ruszył w lewo, zastanawiając się: Ale jak mam przebyć rzekę?

Rzeką był brudny, niewielki strumień i oficerowie służb medycznych stale wbijali im do głów, żeby nie zamoczyli nawet palca w tej wodzie ani w żadnej innej, spoza ujęcia. W wodzie żyją zarazki, które mogą sprawić, że będą musieli leczyć się potem miesiącami.

Jimmy zjechał do rowu, zobaczył błysk wody i pomyślał: przeskoczę nad nią. Brzegi były strome. Przykucnął, odbił się i wylądował po kolana w wodzie, chwytając się śliskiej trawy. W przyrodzie panowała cisza, ale znowu zaczęło świerzbic go całe ciało. Pomyślał: te małe dranie czają się na mnie w trawie. Wciąż stojąc w wodzie i czując, że jej powolny nurt obmywa mu nogi w mokrych, ciężkich spodniach, uniósł głowę i spojrzął na trawiasty brzeg przed sobą; wahał się przez chwilę, bo nie chciał wyjść z wody w obawie przed owadami. W końcu wygramolił się z niej i wspiął po trawie na górę, zgięty wpół, obejmując się na wszelki wypadek ramionami. Wreszcie wyszedł na drugą stronę rowu, gdzie

trawa była niska, sięgała mu tylko do kostek. Księżyc stał na niebie już niżej, rzucając długie cienie. W odległości pół mili widniały mury białej części miasteczka, ściany willi jaśniały w blasku. Po lewej stronie widać było skupisko ciemnych, dość wysokich chałup albo szop, które przypominały budki strażnicze albo wychodki i rzucały wydłużone, jakby poszarpane cienie. Przyjrzał się sobie ze wstrętem, szukając owadów, znalazł jednego, strącił go, przeklinając, i ruszył w stronę ciemnych bud. Towarzyszyła mu ohydna woń; obracał głowę z boku na bok, żeby jej nie czuć. Uświadomił sobie, że zapach ten dochodzi z trawy, przez którą szedł, a nie z bud, i wędrował dalej na palcach, zdjęty przerażeniem. Wokół ceglanych zabudowań znajdowała się płaska pusta przestrzeń, bez trawy. Pachniało tu zbożem, była to ulotna słodka woń. Drzwi chałup otaczały smużki światła. Z wnętrza jednej z nich dobiegały dźwięki bandzo. Gdy Jimmy do niej zapukał, bandzo natychmiast ucichło. Zapukał jeszcze raz. Drzwi się uchyliły, wyjrzała zza nich ciemna twarz, której na widok białego opadła szczęka.

Jimmy rzucił:

— Hej, stary, wpuść mnie. — Urwał, bo ciemna twarz gapiła się na niego z przestachem. Białka jej oczu błyskały w świetle księżyca. — Posłuchaj, stary — powtórzył — chcę tylko o coś zapytać, to wszystko.

Drzwi chałupy się zamknęły. Światło zgasło. W pozostałych kilkunastu chatach, które wyłaniały się w blasku księżyca, także zapanowały ciemności. Jakby wszystkie nagle zostały opuszczone.

Jimmy pomyślał nagle z niedowierzaniem: on się mnie przestraszył! Mnie! A potem — biedacy! A jeszcze potem — chrzanić ich, chrzanić ich wszystkich, chrzanić tych wszystkich białych drani.

Odezwała się w nim nagle istota społeczna. Stał zgarbiony, ze zmarszczonym czołem, przed drzwiami, które zatrzaśnięto mu przed nosem, i myślał: muszę mieć źle w głowie, żeby nachodzić kogoś w tej cholernej faszystowskiej dziurze — mógłbym tylko napytać im biedy. Gdybym zjawił się tak u Eliasa, jemu też narobiłbym kłopotów.

Zdjął kurtkę. Ale nawet bez niej, w koszuli i spodniach, wyglądał jak ktoś z bazy. Zresztą drżał. Zrobiło się zimno. Chłód kładł się ciężko po całej trawie wokół niego w postaci lekkiej, unoszonej przez wiatr mgły. Włożył znowu kurtkę i ruszył ku dzielnicy czarnych, myśląc: jak będę uważał, to nic się nie stanie.

Znowu wkroczył w cuchnącą trawę, trafił na wydeptaną, wijącą się ścieżkę i podążył nią dalej. Przeszedł milę i znalazł się na obrzeżach dzielnicy czarnych. Otaczała ją drut kolczasty, ale tysiące jej mieszkańców, którzy także tłoczyli się na wyznaczonej im przestrzeni, wylęgały poza ogrodzenie w setkach brzydkich bud i szop. Wszyscy byli ciemnoskórzy i milczący. Szedł i czuł się jak Guliwer wśród Liliputów, bo przewyższał wzrostem niektóre z ich domów. Wiedział, że wewnątrz śpi po kilkanaście osób; była to jedna z dzielnic nędzy, o których słyszał od Eliasa. Doszedł do ogrodzenia. Było niskie i porzewiałe. Pomyślał ironicznie: my, z RAF-u, zasługujemy na wyższe, takie, które ma z dziesięć stóp. Tak to jest, panie towarzyszu, wy macie porządne ogrodzenie. Zasalutował samemu sobie, panu towarzyszowi. Druty kolczaste, wszędzie druty kolczaste, tylko obozy, ogrodzenia i mury. Pomyślał o obozach koncentracyjnych w Europie jak o czymś dobrze mu znanym. Identyfikował się z zamkniętymi w nich ludźmi i z tymi, którzy spali tu wokół niego w swoich małych budach i szopach. Gdybyśmy polecieci na księżyc,



pomyślał, tam też zbudowalibyśmy ogrodzenia z drutu kolczastego i powsadzali za nie innych. Spojrzał na mały srebrny krążek, teraz znajdujący się na wysokości jego wzroku. Wszedłszy za druty, zasalutował także jemu i pomyślał szyderczo: I co, stary? Zanim się zorientujesz i ciebie urządzimy na cacy.

Za drutami panował porządek, w pewnym sensie. Nie było tam żadnych ulic, tylko ubite, wyboiste, zakurzone drogi biegnące pomiędzy szeregami domów. Wokół niego wznosiły się maleńkie budynki, jak domki dla lalek. Szedł między nimi, podświadomie się kuląc, żeby wyglądać na niższego, bo czuł się jak olbrzym podczas tej jasnej nocy. Już wiedział, dokąd zmierza. Gdy ostatnim razem wkroczył do dzielnicy czarnych, żeby sprzedawać „Watchdoga”, spotkał się z życzliwym, braterskim przyjęciem w pewnym budynku, który musiał być niedaleko. Chłopak z miasta o schludnie wytoczonych, ponumerowanych ulicach, szedł teraz, poruszając mięśniami swojej szerokiej twarzy jak wężący pies, pewien, dokąd idzie, zagłębił się w tę część dzielnicy, która składała się z równoległych ceglanych linii, przylegających do siebie izb pod jednym długim blaszanym dachem. Nigdzie nie było światła. Na własnym ciele odczuł ciasnotę ludzi śpiących jeden przy drugim za tymi ceglаныmi ścianami. Dołączyły się do tego wspomnienia własnych przeżyć z przeszłości. Doszedł właśnie do budynku, który przypominał mniejsze czynszówki w dzielnicy kolorowych, zabudowane na planie kwadratu z podwórkiem od frontu, które przywodziło na myśl szczerbę między zębami. W każdym skrzydle mieściło się po kilkanaście izb. Wkroczył na podwórko, na którym zalatywało ze psutymi warzywami i zbożem, bo za dnia odbywał się tu targ. Spod drzwi izby, której szukał, dobywało się słabe światło.

Usłyszał bardzo ciche bicie w bębny. Zapukał. Bębnienie ustało. Drzwi uchyliły się i na znajomej twarzy pojawił się strach, który zaraz zniknął.

— Wpuść mnie, stary — poprosił żarliwie Jimmy. Drzwi otworzyły się szerzej i został wpuszczony do środka.

Pokój mierzył jakieś dwanaście stóp kwadratowych. Miał niski strop, a ściany i sufit, choć pobielone, były już brudne, podłogę stanowiły surowe czerwone cegły. Siedziało na niej kilku młodych mężczyzn, opartych plecami o ściany. Mieli organki, bandzo, gitarę i prawdziwy tam-tam. Jeden z nich zajmował samotne krzesło. Miał przed sobą kilka bębnów, starych i podniszczonych, były to jednak oryginalne bębny, i uderzał w nie cicho, spoglądając na Jimmy'ego; inny trzymał trąbkę i też na niej grał, z czułością przebierając palcami po przyciskach. Czasami unosił ją, żeby wydać przeciągły, choć ściszony dźwięk, ale i tak był zbyt donośny, aby można było go wygrywać bezpiecznie. Jimmy stał w miejscu i się uśmiechał; poczuł wreszcie cieplejsze uczucia, bo te drzwi się przed nim otworzyły i wpuszczono go do środka; i przyglądał im się wciąż, a mężczyźni wyszczerzyli do niego białe zęby w ciemnych błyszczących twarzach i znowu zaczęli grać, cicho, cichutko, ledwie wydobywając dźwięki, bo było już bardzo późno, dawno po godzinie, o której według przepisów należało zgasić światła, skończyć z muzyką i położyć się spać, żeby rano być wypoczętym i gotowym do pracy dla białego człowieka.

Jimmy oparł się o chropawą ścianę i zsuwając się po niej, usiadł na podłodze jak ci Murzyni, w kucki, z rękami luźno opartymi na kolanach. Słuchał; nie znał tej muzyki i nie wiedział, co ci ludzie grają.

Białe zespoły muzyczne w mieście miały w repertuarze

wszelkie odmiany jazzu, grały z życiem, ale w stylu chicagowskim, prezentując biały jazz — bo w zespołach z miasteczek nie było miejsca dla Murzynów. Ci tutaj też grali żywo, jednak odtwarzali muzykę, którą słyszeli na zewnątrz, za oknami, podczas gdy biali tańczyli w salach w rytm jazzu zrodzonego w Chicago, w mieście nad rzeką na północ od Nowego Orleanu. Czasami, gdy trąbka miała chwilę na solówkę, grała powoli, jeszcze smutniej; a bębni wygrywały nie ten rytm, który ich kuzyni grali na tańcach u białych w miasteczku, lecz powtarzając dźwięki z dzieciństwa tych wszystkich czarnych chłopców, teraz chłopców z miasta, ale przecież wychowanych w wioskach po całym kraju, gdzie bębny milkły rzadko. W tym małym, nędznym pomieszczeniu, jednym z kilkudziesięciu identycznych w tej okolicy, znajdował się też obciążony skórą drewniany bęben ze wsi, który sąsiedował z błyszczącymi metalowymi bębnami kupionymi z drugiej ręki, od zespołu białych muzyków, i często późną nocą te dwa instrumenty odzywały się na przemian, jakby prowadziły z sobą głośną kłótnię.

Od czasu do czasu, głęboko w nocy, bo dawno skończyła się pora na muzykę i była pora na sen, sen, który sprzyja sumiennej, porządnej pracy — od czasu do czasu, z powodu potrzeby zachowania ostrożności, rozlegała się ta cicha muzyka, śpiewna, pełna pytań i wątpliwości, muzyka zrodzona z tajemnicy, z gadania na boku, z braterstwa w ucisku.

Jimmy siedział rozluźniony pod ścianą, oddychał z łatwością i nasłuchując, jak inni, ciężkich kroków na zewnątrz, chłonoł ciche rytmy muzyki. Myślał: czuję się tu jak w domu; to jedyne miejsce w tym przeklętym kraju, gdzie czuję się jak u siebie.

Organki i gitara zamilkły. Bębny przez chwilę rywalizowały z sobą. Trębacz uniósł swój instrument i wydał niepokojąco wysoką, wyzywającą nutę, a potem przyłożył dłoń do ust, jakby chciał je zamknąć, zamknąć się samemu. Zapadła cisza i młody człowiek, który wpuścił Jimmy'ego do środka, zaśpiewał, jakby kontynuując muzykę:

— *Towarzyszu Jimmy, Jimmy nasz, co tu robisz tak późno, Jimmy nasz, oj, napytasz ty nam biedy, człeku.*

Jimmy wybuchnął, przerywając mu:

— Miałem już dość bazy!

— Dostaniesz za swoje, człowieku, jak cię złapią — powiedział trębacz.

Jimmy zrozumiał, że nie wystarczy powiedzieć, tak po prostu, iż miał ochotę tu przyjść; zauważył, teraz, gdy przestali grać, że mieli taki wyraz oczu, jakby oczekiwali, iż się wytłumaczy.

Rzucił nerwowo:

— Chciałem pogadać z Eliaszem. — I dodał szybko, gdy zobaczył, że wymienili ukradkiem spojrzenia: — Muszę go **o** coś zapytać.

— Z Eliaszem Phirim? — zapytał trębacz; uderzył kilka razy w tam-tam, wydobywając z niego dudniące dźwięki, i zakończył podwójnym uderzeniem w czynel, który następnie uciszył dotknięciem ręki. — Tym tłumaczem sądownym?

— To swój człowiek — zauważył Jimmy.

— Taaa, każdy urzędnik państwowy to swój człowiek — odezwał się chłopak z organkami. Wydał na nich ostrą nutę i pozwolił, żeby przebrzmiała jękliwie, szyderczo.

— O co chodzi? — zapytał Jimmy, zapalczywie patrząc na nich kolejno. — To on nie jest w porządku?

— W porządku, jest w porządku — odparł ten, który go wpuścił. Miał na sobie jaskrawożółtą koszulę i purpurowy krawat. Wstał i narzucił na ramiona kurtkę z watowanymi ramionami. Trębacz też się podniósł i schował swój instrument pod kapotą, którą trzymał złożoną na ręce. Ten, który grał na tam-tamie, owinał bęben w brązowy papier, jak paczkę.

Jimmy wstał, powtarzając:

— Co się stało? O co chodzi?

Mężczyzna, który siedział przy bębnach, zapakował je do dużej skrzyni i opuścił klapę. Na skrzyni widniał napis z szablonu, wymalowany czarną farbą: „Fasola konserwowa i sos pomidorowy Heinza”. Rzucił śpiewnie, po cichu, uśmiechając się porozumiewawczo do kolegów:

— Nieobliczalna, oj, nieobliczalna z nas, kafirów, banda, człowieku, tak, tak.

Dwaj młodzi ludzie gwałtownie otworzyli drzwi, stanęli w nich, nasłuchując przez dłuższą chwilę, rozglądając się szybko po pustym, pełnym cieni podwórku, a potem przebiegli przez nie na palcach. I zniknęli z pola widzenia. Trębacz i grający na tam-tamie też przez moment stali w progu jak nurkowie na brzegu basenu, następnie wykonali skok w światło księżycy i również przepadli. Jimmy powiedział do pozostałych:

— Nie rozumiem, co zrobiłem nie tak.

— Nic, chłopie, nic takiego — odparł chłopak, który go wpuścił. Uśmiechał się szeroko. Położył Jimmy'emu rękę na ramieniu i przez chwilę nim zakołysał. — Nic, chłopie — powtórzył. Potem znacząco spojrział na drzwi. Jimmy wyszedł. Trzej mężczyźni zamknęli za nim i za sobą izbę na klucz. Wreszcie, nie patrząc na Jimmy'ego, przebiegli szybko przez podwórko i rozplynęli się w ciemnościach.

Jimmy ruszył za nimi, potykając się o głąby kapusty i kolby kukurydzy. Wyszedłszy na drogę, nie zobaczył nigdzie żywej duszy. Stał pod ścianą, w cieniu głębokim na sześć cali, i czekał. Na końcu drogi pojawili się dwaj czarni policjanci, którzy machali pałkami. Szli przez zalaną blaskiem księżycą przestrzeń między szeregami ceglanych budynków, nie widząc go. Kiedy go minęli, Jimmy skierował się do domu Eliasa; jego serce przemieniło się w gorącą, bijącą wściekle pięść i zdawało się rozsadać mu pierś. Poczucie niesprawiedliwości zatruwało jego myśli: przestraszyli się mnie. Nie mają do mnie zaufania. Bali się.

Zabolało go to tak mocno, że miał ochotę się rozpłakać, wytłumaczyć przed nimi. Ale ta uraza była zbyt silna, żeby mógł ją dłużej nosić w sobie, więc gorący gniew wkrótce wyparło równie gorące współczucie; obudził się w nim instynkt opiekuńczy, potrzeba chronienia tych ludzi. Pomyślał: pójde do Eliasa i razem coś wymyślimy. Chciał niszczyć i karać; chronić i ratować.

Elias mieszkał w lepszej okolicy, ponieważ był na posadzie państwowej. Jego dom stał w szeregu podobnych przy krótkiej alei. Wszystkie mieściły dwa małe pokoje i miały na tyłach wychodek przypominający budkę strażniczą. I we wszystkich panował mrok. Było około trzeciej nad ranem.

Jimmy znalazł dom i stał przez chwilę pod mangowcem obok drewnianych schodów. Próbował złapać oddech. Potem wszedł cicho na werandę i zapukał w ciemne okno.

Pojakimś czasie za szybą pojawiła się twarz Eliasa, jeszcze czarniejsza w ciemnościach, przestraszona, gotowa zniknąć.

Jimmy zaczął: — Elias, to ja.

Elias jęknął: — Ale baas, ale baas...

— To ja — powtórzył Jimmy błagalnie, w odpowiedzi na to „baas”.

— Poczekaj — rzucił Elias po chwili milczenia.

Odszedł od okna i drzwi się otworzyły. Elias był tylko w koszuli, długie nogi miał gołe. Stał za progiem i wciągał spodnie.

— Chciałem z tobą porozmawiać — powiedział Jimmy.

Elias odparł:

— Baas, nie powinieneś tu przychodzić. Mówiłem ci, że nie powinieneś tu przychodzić. — W małym dusznym pokoju unosił się jakiś silny zapach. W sąsiednim pokoju zapaliło się światło. Dał się słyszeć kobiecy głos, a potem płacz dziecka. Oczywiście, że Elias ma dzieci, przypomniał sobie. Kiedy ostatnio tu był, wczesnym wieczorem, widział mnóstwo maluchów.

Powtórzył: — Elias, muszę z tobą porozmawiać. — Znowu wciągnął w nozdrza ten ostry zapach. Dotarło do niego, że to od Eliasa tak zalatuje, że to woń potu. Powoli uzmysłowił sobie, że ten spocił się ze strachu.

Myśl, że Elias się go boi, jego, Jimmy'ego, wzbudziła w nim gniew, choć nie na niego.

— Posłuchaj, stary — powiedział cicho, z naciskiem. — Nie zrobię ci krzywdy. Muszę z tobą pogadać. Po to przyszedłem. — Elias, już całkiem ubrany, stanął przy drzwiach i czekał z ręką na kłamce.

— O co chodzi? — zapytał z niechęcią, wciąż zerkając w kwadrat okna.

— Chcę porozmawiać o planach.

— Planach?

— Jesteśmy socjalistami, Elias. Towarzyszami. Chcę porozmawiać z tobą o przyszłości. Mam przepustkę na całą noc. Pomyślałem, że możemy pogadać do rana.

Na dźwięk słowa „towarzysze” Elias wzdrygnął się cały ze strachu.

— Nie powinno cię tu być — powiedział jeszcze raz, ostro i gniewnie.

W pokoju obok zgasło światło, ale za drzwiami ktoś się poruszył. Jimmy pomyślał: jego żona nas podsłuchuje. Po raz pierwszy dotarło do niego, że źle zrobił, przychodząc tu: w końcu, pomyślał, żona nie zawsze zgadza się z poglądami męża. A ta może w ogóle o niczym nie wie.

— Ale, towarzyszu Elias, chcę dyskutować z tobą o tym, jak wspólnie wybawić twoich rodaków z niewoli.

Elias milczał. Jimmy uświadomił sobie, że użył określenia „wybawić z niewoli”. Wydało mu się nietrafne, brzmiało niepolitycznie. Ale przepełniło go ciepłem i uczuciami opiekuńczymi. Położył więc dłoń na ramieniu Eliasa i oświadczył:

— Musimy pomagać sobie wzajemnie, towarzyszu.

Elias powtórzył jękliwie, z nutą strachu i wściekłości:

— Musisz stąd iść, baas, nie możesz tu zostać. Idź już. — Strzasnął z ramienia rękę Jimmy'ego, otworzył drzwi i wypchnął go na zewnątrz. — Idź już, baas. Proszę, idź. — Jego głos osiągnął piskliwy ton przy słowie „proszę”.

Jimmy powiedział:

— Mam jutro wolne po południu. Mogę przyjść, żebyśmy pogadali?

— Nie — odparł Elias. — Nie. Idź już sobie, proszę, baas.

Zamknął drzwi. Jimmy stał w progu, czując, że do twarzy napływa mu krew. Zadrzał pod wpływem fali gorąca, suchego, pulsującego gorąca, które wstrząsnęło nim, jakby ktoś nim szarpnął. Wreszcie sam oblał się potem i poczuł chłód. Odwrócił się powoli od drzwi i minął mangowiec, o grubych i lśniących liściach, niemal zielonych, rozmiaru księżycy. Nie dbając o to, czy zobaczy go policja, ruszył głęboką, pełną pyłu koleiną w drodze. Nie zważał na zmęczenie i smutek.



Ostre światło księżyca, które odbijało się w liściach, kamieniach, oknach, było jak szyderczy wzrok. Znalazł się na pustym, zrytym koleinami placu, na którym stały stragany i kilkadziesiąt małych wozów z okiennicami, które można było opuścić, żeby zrobić z nich lady. Oparł się o jeden z nich. Z boku widniał niedbale wymalowany napis: „Hot dogi pani Smart. Najlepsze hot dogi. Najlepsze ciastka z lukrem. Najlepsza herbata w miasteczku. U nas wszystko, co najlepsze na świecie! Coca-cola. Smażone ryby. Kluski i pierogi”.

Jimmy pomyślał: jeśli wrócę do bazy na przełaj, będę musiał przejść przez tę obrzydliwą trawę, a potem wśród tych chrząszczy czy co to jest. No i przez rzekę — spodnie wciąż jeszcze miał mokre, kleiły mu się do kostek. Milę dalej była dzielnica kolorowych. Pójdzie tam i prześpi się na podłodze u Rona.

Wyszedł z dzielnicy czarnych na główną drogę, biegnącą na południe, i tu trafił na wąski pas asfaltu, od którego odbijało się szare, zimne światło. Niebawem minął biały cmentarz, gdzie drzewa i pomniki połyskiwały bladą zielenią wśród czarnych postrzępionych cieni. Potem pojawiły się tory kolejowe, dwie równoległe szyny z białawej stali. Przystanął. Za nimi, na stoku wzgórza, stała elektrownia z dwoma kominami. Te białe wieże w wytwornych pozach skłaniały się ku sobie pod chmurami ciemnego dymu, który tężał w czystym, zimnym, białym świetle. Po drugiej stronie torów, w zdeptanej brudnej trawie, wśród podkładów kolejowych i starych zużytych puszek, rosło małe drzewo o białych gałęziach, chmara jego delikatnych liści wznosiła się ku księżycowi jak fontanna. Bolesna rana w duszy Jimmy'ego powoli przestała pulsować i zaczęła się zasklepiać. Ogarnęło go uczucie pustki. Popatrzył na dumne młode drzewo, przysa-

dziste kominy, kłęby ciemnego dymu jak chmury burzowe, wydobywane z mroku przez światło gwiazd i księżyca, i zrozumiał, że przez cały wieczór i noc miota się, podejmuje kolejne działania, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest po prostu nieodpowiedzialny.

Głupi sukinsyn ze mnie, powiedział głośno, stojąc sam przy torach, po stronie dzielnicy czarnych, i drżąc z zimna. Jednak nie wystarczyło mu, że wyrzucił to z siebie; wciąż bolało go to, co zdarzyło się między nim a czarnymi muzykami, między nim a Eliaszem.

Rano zobaczy wszystko w zupełnie innym świetle, pomyślał, odrzucając możliwość, że Elias mu nie ufa i że został tak naprawdę odrzucony przez jazzmanów. Postanowił iść dalej, w głąb dzielnicy kolorowych. Doszedłszy do kamienicy, w której mieszkał Ronald, zobaczył, że w oknach panują ciemności. Wszedł cicho na werandę i zapukał. Musiał powtórzyć to kilka razy. Spodziewał się, że otworzy mu Ron — który ostatnio lepiej się czuł, najwyraźniej minęła mu gorączka, mógł chodzić i rozmawiać z zachodzącymi do niego chłopakami z RAF-u. Ale przypomniał sobie o matce Ronalda. To dziwne, że o niej zapomniał, bo kiedy mówił Marcie, że „znalazł sobie porządną kobietę, ciężko pracującą z tej samej klasy co on”, miał właśnie na myśli panią Spikes, matkę Ronalda. Jak na razie jednak rozmawiał z nią tylko przy nim i snuł marzenia, że zaprosi ją do Anglii, gdy skończy się wojna.

Po długim oczekiwaniu oraz ponawianym, cichym pukaniu drzwi się otworzyły i stanęła w nich pani Spikes. Na halkę, w której spała, narzuciła stary płaszcz. Patrząc na niego, sennie zamrugała powiekami — była zbyt zaspana, żeby się przestraszyć.

— Pani Spikes — zaczął Jimmy cichym, poufnym to-

nem — przyszedłem zapytać Rona, czy mógłbym przespać się na podłodze do rana.

Kobieta dla równowagi przytrzymała się framugi, tak była zamroczona snem, i poinformowała: — Ron po południu został zabrany karetką do szpitala. Źle z nim i dlatego po niego przyjechali. Umrze, tak mówi doktor.

W pokoju zapłakało dziecko. Zapomniał też o tej małej, siostrze Ronalda.

Pani Spikes krzyknęła w głąb ciemnego pomieszczenia:

— Cicho tam! Cicho, żadnych płaczów!

Zamknęła drzwi i oparła się o nie, ziewając. Na werandzie było całkiem jasno, bo na budynek spływał blask księżycy. Jimmy spojrział na półnagą kobietę i pomyślał, że wygląda młodo i żałośnie. Cienki kosmyk jej ciemnych włosów odłączył się od reszty i opadł na smukłą szyję. Jimmy utkwiał spojrzenie w ocienionym miejscu pod nim i zapragnął zanurzyć się w nie i zniknąć, tak żeby o nim zapomniano. Kobieta wciąż słaśniała się na nogach z niewyspania. Nie patrzyła na Jimmy'ego, ale na drzwi po przeciwnej stronie kamienicy. Z grzeczności jednak skierowała na niego wzrok i powiedziała:

— W takim miejscu jak to wszyscy wiedzą, co się dzieje u innych.

Zobaczył, że jest skrępowana. Nie mógł tu zostać, gdy Ronalda nie było. Pomyślał gorzko, że choć pragnie ją chronić, choć pragnie znaleźć pocieszenie w cieniu jej włosów i w jej ramionach, wprawia ją w zakłopotanie i sprawia kłopot. Ta świadomość zrodziła się w przytomnej części jego umysłu, która doszła do głosu, gdy ochłódł z emocji przy torach kolejowych.

Powiedział już innym, poważnym głosem:

— Przepraszam, pani Spikes. Pójdę już. I proszę się nie martwić o Rona. Ci lekarze nic nie wiedzą.

— On umrze — powtórzyła ostrym, gniewnym głosem. — Nie masz gdzie się przespać? W miasteczku jest hotel.

— Tak, pójdę do hotelu. — Zawahał się. Już miał powiedzieć: „Pani Spikes, podoba mi się pani. Niech pani za mnie wyjdzie”. Opanował się jednak i powiedział sobie: ty głupi sukinsynu, jesteś stuknięty. — Do zobaczenia wkrótce — rzucił. Słyszając ton jego głosu, uniosła szczupłą dłoń i zaczęła kręcić w palcach luźny kosmyk włosów. Spojrzała na niego uważnie, pełnym niepokoju wzrokiem. Uświadomił sobie, że gdy dotarło do niej, iż podoba się mężczyźnie, pomyślała przede wszystkim o kłopotach, jakie to z sobą niesie. To wprawiło go w gniew; ale wtedy zrozumiał, że kłopoty, których się spodziewała, były zupełnie naturalne; zapomniał, że jest białym na zakazanym terenie. Tymczasem jej postawa się zmieniła; nagle kobieta wydała mu się nieufna i niechętnie do niego nastawiona. Czekala, żeby już sobie poszedł.

— Dobranoc — powiedział.

— Dobranoc — odparła z przelotnym uśmiechem.

Ponieważ mogła już wrócić do środka, zniknąć z oczu sąsiadów, zniknąć z oczu jemu samemu, w jej uśmiechu pojawił się cień porozumienia, zobaczyła w Jimmym mężczyznę. Gdy drzwi cicho zamknęły się przed nim, poczuł do niej nienawiść za ten uśmiech i przypomniał sobie, że naokoło podwórka chłopcy z bazy leżą właśnie obok jej sąsiadek. Pewnie miała dość propozycji, pomyślał gorzko, a może jeszcze więcej. Z wielkim wysiłkiem zwalczył tę gorycz i pomyślał: To przyzwoita kobieta, nie z tych...

Stał cicho na werandzie i zastanawiał się, dokąd pójść. Wtedy drzwi naprzeciwko się otworzyły i zobaczył w nich postać mężczyzny. Był to jeden z żołnierzy z bazy. Jimmy pomyślał: zatrzymam go i zapytam, co z sobą zrobić o tej

porze nocy — jest za późno, żeby iść do hotelu, już prawie rano. Zmienił jednak zamiar, bo przypomniał sobie dziewczynę z tego pokoju, którą często widywał, gdy odwiedzał RONALDA. Była ładna, sprawiała wrażenie sprytnej i niechętnie nastawionej do mężczyzn.

Odczekał, aż kolega z bazy zniknie. Potem przeszedł przez podwórko i zapukał do tamtych drzwi. Myślał sobie: wytłumaczę jej, powiem, że... bo znowu przepełniło go wielkie współczucie dla kobiet i pogarda dla mężczyzny, który właśnie wyszedł. Przebiegały mu przez głowę hasła: „życie, które wieiecie”, „ofiary systemu gospodarczego”, „mężczyźni, kobiety”...

Zapukał jeszcze raz i drzwi uchyliły się o cal.

— Czego chcesz?

Zanim zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się szeroko. Stała w nich prawie naga dziewczyna w niedbale wciągniętym na ramiona szlafroku. Bił od niej tak silny zapach seksu i potu, że JIMMY odwrócił głowę.

— Ile? — spytała; stanęła przed nim i uniosła masę długich czarnych włosów.

— Nie o to mi chodzi — wyjaśnił. Kiedy się zaśmiała, dodał: — Nie pamiętasz mnie? Widzieliśmy się już.

— Tak, pamiętam — odparła. Zlustrowała go od góry do dołu i rzuciła przez ramię coś w języku afrikaans. Z tyłu pojawiła się stara kobieta, która przeszła pod nagim ramieniem córki, wspartym o framugę. Trzymając w ręce pudełko po świecach, nasadziła na głowę stary kapelusz i umocowała go na miejscu połamanymi drutami do dziergania. Minęła JIMMY'EGO, mamrocząc przekleństwa, ale nie pod jego adresem, bo jednocześnie spojrzała mu w twarz z ciekawością. Potem postawiła pudełko przy werandzie, usadowiła się na nim

i zaczęła kiwać, a druty do robótek ręcznych w jej zgniecionym kapeluszu błyskały w pełnym blasku księżyca.

— Wejdz — powiedziała dziewczyna.

Jimmy, przepełniony na wpół pożądaniem, a na wpół ochotą, żeby się rozpłakać, próbował jej wytłumaczyć:

— Ale posłuchaj, ja tylko chciałym...

— Wchodzisz czy nie?

Za nią rozbłysnął płomień, który najpierw unosił się w ciemnościach, jak światło na wodzie. Potem z mroku wyłoniły się świeca i zarys butelki, a następnie nagie ramię. Jimmy ujrzał słabo oświetloną izbę. Łóżko, rozkopane, z którego niedawno wstali dziewczyna i mężczyzna, ten, który właśnie wyszedł. Skotłowane koce na podłodze, gdzie prawdopodobnie leżała stara kobieta, zanim jej spoczynek zakłóciło przyjście nowego klienta. Drugie wąskie łóżko, pod ścianą, na którym leżała jeszcze jedna dziewczyna, z ostrym, wystającym podbródkiem opartym o poduszkę, i patrzyła na niego. Za nią spał mężczyzna.

Jimmy rzucił:

— Przepraszam, to pomyłka.

Odwrócił się i przebiegł przez podwórko. Usłyszał za sobą ostre, zagniewane głosy i trzaśnięcie drzwiami.

Stanął cicho na ulicy i odczekał, aż serce przestanie mu bić tak szybko. Niebo poszarzało, gwiazdy powoli gasły.

W ciągu tych kilku minut, które spędził na podwórku, minęła noc. Na ulicy zaczął się ruch. Przejechała para rowerzystów — mężczyzn pochylonych nad kierownicami. Nadeszła grupa ludzi, zaspanych, z motykami na ramionach, potem nadjechały na rowerach dwie młode kobiety, pedałując powoli i nie zwracając na nic uwagi; były tak senne, że maszyny chwiały się pod nimi niezgrabnie. Nagle na ulicy zrobiło się

tłoczno, ludzie zmierzali do pracy albo na piechotę, albo na rowerach.

Jimmy kręcił się po chodniku, patrzył i myślał: gdy wrócę do domu, przyłączę się do nich, stanę się jednym z nich, ale teraz, ponieważ mam białą skórę... Przypomniał sobie o mundurze — był od nich podwójnie odseparowany.

Musiał coś z sobą zrobić jeszcze przez kilka godzin. Była dopiero czwarta. Mógł też na piechotę wrócić do bazy, tak by stawić się pod bramą w porze śniadania. Postanowił przejść te pięć mil, myśląc: po południu znajdę tego pacana, Eliasa, i przemówię mu do rozumu.

Tymczasem Elias był już w drodze do pana Maynarda — po gwałtownej kłótni z żoną. Mniej więcej w czasie, gdy Jimmy dochodził do centrum miasteczka, cichego o szarym świecie, Elias walił do frontowych drzwi domu sędziego pokoju.

Pan Maynard położył się do łóżka bardzo późno w nocy i to walenie go zirytowało. Złorzeczając pod nosem, spojrzął przez ramię na zamknięte drzwi sypialni żony i wyszedł w piżamie na werandę. Stał tam Elias, popielaty ze strachu.

Bełkotał coś o powstaniu, o komunizmie, o RAF-ie podżegającym Murzynów do buntu.

Pan Maynard polecił mu zostać na miejscu i wrócił do środka, żeby narzucić na siebie szlafrok i pociągnąć łyk whisky. Potem, stanąwszy przez Eliasem jak urzędnik, przesłuchiwał go, dopóki nie ustalili, o co chodzi.

Zorientował się, że Elias jest przerażony; bał się, że ktoś, najprawdopodobniej stary Mathew, woźny sądowy, który mieszkał naprzeciwko niego w dzielnicy czarnych, doniesie, że w nocy odwiedzają go biali. Gdyby nie ten strach, Elias nie stałby tu teraz.

Pan Maynard zadał mu jeszcze kilka pytań, dopóki nie nabrał pewności, że jego kłamstwa i mętne tłumaczenia są efektem lęku, a nie jakichś knowań, i pełen pogardy dla tego człowieka oraz całej jego rasy, zaczął się z niego śmiać i robić sobie żarty.

— Więc lotnicy z RAF-u wszczynają rewolucję, mówisz?

— Ale, panie sędzio, on był u mnie w domu, od trzeciej nad ranem do pół minuty po trzeciej. Niech pan zapyta moją żonę, zanotowała godzinę.

— I należy się spodziewać, że lada dzień w dzielnicy czarnych zawiśnie czerwona flaga, tak?

— Ale, panie sędzio, to prawda. Przysięgam, że to prawda.

— Och, idź do domu — rozkazał pan Maynard i wrócił do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Elias powędrował do budynku sądu, tam położył się na ławce i zasnął.

Pan Maynard też się jeszcze przespał. Przy śniadaniu powiedział żonie, że byłoby dobrze, gdyby skontaktowała się z kuzynem z dowództwa RAF-u i przekazała mu pewne nazwiska. Ci ludzie powinni zostać jak najszybciej przeniesieni. Byli to: James Jones, William Bluett i Murdoch Mathews. Andrew McGrew nie znalazł się wśród nich, bo Elias ze strachu zupełnie o nim zapomniał.

Pan Maynard ruszył do sądu, żałując, że tak surowo obszedł się z Eliaszem. Nie chciał przecież, żeby źródło jego informacji wyschło. Wynagrodzi go suto — da mu z dziesięć szylingów czy coś takiego.



# Część trzecia

*Moja przyjaźń z nim zaczęła się od tego, że poruszyło mnie jego stanowisko w pewnych kwestiach politycznych.*

Z listów Olive Schreiner

## Rozdział pierwszy

Przez kilka tygodni w małym pomieszczeniu nad Black Ally's, stanowiącym miejsce spotkań grupy, zbierali się tylko cywile: szaroniebieskie mundury zniknęły. Potem, bez zapowiedzi, na zebranie przyszedł Bill Bluett, poprosił, żeby w ramach dodatkowego punktu programu obrad pozwolono mu zabrać głos, stanął pośrodku i przeczytał rezolucję podjętą przez komunistów z bazy wojskowej. Był to dokument długości dwóch stron papieru kancelaryjnego i zaczynał się od słowa: „Towarzysze!”.

Stwierdzano w nim, że grupa z miasteczka to drobnomieszczańscy socjaldemokraci, zarażeni trockizmem oraz prawicowym odchyleniem od partyjnej linii ideologicznej, i dlatego członkowie RAF-u zamierzają zerwać z nią wszelkie stosunki.

Przeczytawszy rezolucję, Bill wsadził ją do kieszeni i czekał na komentarze. Ponieważ żadnych nie było, zaczął od nowa, już innym tonem:

— Towarzysze, naprawdę tak jest znacznie prościej. Będziemy prowadzić działalność we własnej grupie i współpracować z wami.

Na twarzach kilku osób pojawiły się krzywe uśmieszki, ale wszystko wskazywało na to, że Bill nie rozumie ich przyczyny.

— Potrzebujemy was, bo dostarczacie broszury i „Watch-doga”. Wpadnę któregoś dnia i umówię się z Matty... to znaczy, jeśli działa jeszcze sekcja propagandowa i nie ma za dużo roboty związanej z opieką społeczną.

Rzucił Marcie porozumiewawczy uśmiech, który miał znaczyć, że pochwała tego rodzaju działalność, spojrzął na zegarek, zaskakująco przyjaźnie skinął głową na pożegnanie i wyszedł. Więcej go nie widzieli; w tym samym tygodniu on, Jimmy i Murdoch dostali przeniesienie i wyjechali z kolonii.

Andrew wrócił na swoje miejsce na ławce przy półce z literaturą, jak gdyby nigdy nic. Ten człowiek, choć żywił równie wielki szacunek dla dyscypliny jak Anton, wydawał się kompletnie nieświadomy, że jego zachowanie było ze wszech miar niestosowne. A Anton nic na ten temat nie powiedział. Co więcej, od tej pory na zebrania grupy wpadali i inni wojskowi, deklarujący się jako komuniści z tej czy innej części świata, którzy przychodzili późno, wychodzili wcześniej, jakby to był jakiś klub. I Anton w dalszym ciągu nic nie mówił. Można by pomyśleć, że dla tych z bazy wojskowej coś takiego jak dyscyplina w ogóle nie istnieje. Tymczasem dla miejscowych stała się tak ważna, że jeśli jakiś towarzysz spóźnił się choćby dwie minuty, ubolewali nad nim zbiorowo, zdeterminowani pomagać mu i wspierać go w pracy nad sobą, mającej na celu lepszą organizację czasu.

Ten dwutorowy proces, jednoczesne rozluźnienie dyscypliny i jej zaostrzenie, przejawiał się w różnych formach.

Była na przykład kwestia krytyki. Co tydzień ludzie ci stawali przed resztą towarzyszy i przeprowadzali samokrytykę, szczerze i po głębokiej autoanalizie. Nie wracali już jednak

do krytyki wzajemnej, nawet o niej nie wspominali. Wzajemna krytyka została usunięta z programu bez żadnej formalnej decyzji; najwyżej kiwali głowami, nie wyrażając opinii, gdy jedno z nich przyznawało się do jakichś słabości czy błędów.

Nie było też mowy o żadnych sojuszach; jeszcze więcej czasu niż dotychczas poświęcano na analizy stopnia nielejalności takich odszczepieńców jak Kruegerowie, a mimo to Jasmine na przykład odnowiła z nimi stosunki. Jeśli chodzi o państwa Du Preez, w życiu towarzyskim stykali się wyłącznie z ludźmi, którzy, jak przyznawali przynajmniej raz w tygodniu, byli w taki czy inny sposób wrogami socjalizmu.

I wreszcie, o ile wcześniej grupa sterowała wszelkimi swoimi działaniami z małego zakurzonego pokoiku nad restauracją, o tyle teraz jej kwaterą główną stał się dom państwa Du Preez. Po pierwsze był on położony centralnie, nie w sensie dosłownym, bo znajdował się na obrzeżach miasteczka, ale w sensie organizacyjnym, gdyż stał na przedmieściach — rozszerzających się wokół vlei, której trawiaste brzegi miały niebawem zniknąć pod nową zabudową — w odległości mili od dzielnicy czarnych i nieopodal dzielnicy kolorowych. Ponieważ grupa zamierzała nawiązać kontakty z murzyńskim proletariatem, wydawało się, że łatwiej im będzie prowadzić tę działalność z punktu położonego kilka minut marszu od czarnego getta. Zespół bowiem nadal odczuwał, i to bardziej niż kiedykolwiek, ból i wstyd z powodu sytuacji Murzynów.

Ten ból spotęgowało odejście Eliasa Phiriego; zniknął on z życia grupy po zebraniu, na którym byli także chłopcy z RAF-u. Jasmine udała się do sądu pokoju, żeby wywieść się o niego. Kiedy przyszedł na następne zebranie, był pijany, przesiedział dwa punkty programu w milczeniu, z ponurym wyrazem twarzy, a potem nagle wystąpił z długim przemó-

wieniem — które wygłosił na stojąco, jak na wiecu publicznym — wymierzonym przeciwko, jak powiedział, wszystkim zacofanym dzikusom, nienadającym się do niczego, tylko do życia w niewoli. Opuścił ich, rzucając na koniec: — Mówię wam, to wszystko świnię i kafirskie psy!

Jasmine znowu wybrała się do sądu i wytłumaczyła mu, na licznych przykładach historycznych, że jego podejście jest niewłaściwe. Zrobiło to na nim jednak niewielkie wrażenie.

Wkrótce zaczęli mówić, że Elias jest nie zrównoważony. Krótko mówiąc, konkluzja brzmiała jak w przypadku Kruegerów czy chłopców z RAF-u: — Nigdy nie był prawdziwym komunistą. Bo gdyby był, toby nie odszedł.

Tymczasem pozostali członkowie grupy pracowali z sobą w całkowitej zgodzie, choć być może mniej efektywnie, z powodu konieczności przerzucania protokołów, dokumentów i materiałów propagandowych z domu państwa Du Preez do biura i z powrotem.

W ich życiu prywatnym zaszły zmiany.

Marjorie, po czterech miesiącach małżeństwa, zaszła w ciążę. Martha zwróciła uwagę, że dziewczyna bardziej się stara, i zauważyła w jej zachowaniu emocjonalne rozchwianie; dostrzegła też charakterystyczny układ pulchnych ramion Colina, wyrażający zadowolenie i jednocześnie niepewność, i pomyślała: Hm, nie wmówią mi, że...

Pewnego popołudnia na werandzie u państwa Du Preez te dwie młode kobiety adresowały koperty dla Klubu Postępowców i rozprawiły o kształcie powojennej Europy. We Włoszech na pewno zapanuje komunizm, podobnie jak we Francji. Za pięć lat cały kontynent będzie komunistyczny. Widziały w tym początek wolności, nastanie ery rozkwitu, który prowadzi do powszechnego dobrobytu i sprawiedliwości. Już czuły się tego częścią.

— Ja bym chyba wolała Włochy — stwierdziła Marjorie. — Tak, kiedyś byłam tam na wakacjach. Lubię Włochów, bo mają zupełnie inny temperament niż ja... ja niepotrzebnie się martwię i denerwuję. Kiedy wojna się skończy, pojedę do Włoch, tam towarzysze znajdą mi pracę na rok czy dwa.

Zapomniała o Colinie i dziecku. Jednakże niemal natychmiast wyraz jej twarzy się zmienił; pojawił się na niej ironiczny uśmiech, który zastąpił urocze rozemocjonowanie, tak charakterystyczne dla niej jeszcze przed kilkoma tygodniami.

— Łatwo zapomnieć, że nie jest się wolnym — powiedziała. — To śmieszne, co, Matty? Przez... to dziecko nigdy już nie będę wolna. — Zamierzała powiedzieć: „Przez Colina”. — Ale nie zostanę w tym kraju, o nie! — zakończyła kategorycznie, patrząc z nienawiścią na szeregi identycznych domków z ogródkami, wśród których stała willa państwa Du Prez. — Ale ty jesteś wolna — dodała i uśmiechnęła się pokrzepiająco do Marthy.

— Dzięki macierzyństwu życie powinno być pełniejsze, a nie bardziej ograniczone — zauważyła Martha. I w naturalny sposób przechodząc do następnej kwestii, co Marjorie zrozumiała bez trudu, kontynuowała: — W Związku Radzieckim, ze żłobkami i przedszkolami, wszystko musi być inaczej, relacje między mężczyznami a kobietami muszą być zupełnie inne, tam na pewno istnieje prawdziwa równość. — Przez jakiś czas rozmawiały o życiu kobiet w Kraju Rad. Potem zamilkły z uśmiechami na twarzach, snując te same marzenia: że są w ZSRR, pracują w jakiejś fabryce czy zakładzie przemysłowym, na czele którego stoi kobieta, w ich wieku, no, może trochę starsza, kompetentna, rzeczowa, sympatyczna.

Nie będzie trzeba dużo mówić, wystarczy uśmiech, uścisk dłoni i ta kobieta od razu zrozumie, dlaczego trzeba im dać pracę, w której będą mogły się wykazać, dlaczego potrzebują czasu na naukę. „W kapitalizmie — mogłaby powiedzieć, choć nie będzie to konieczne — kobiety musiały się ograniczać. Ale wy, kobiety należące już do przyszłości, bo potraficie sobie wyobrazić, jak inni staną się wówczas ludzie, macie prawo spędzić rok czy dwa w świecie socjalistycznym, żeby utwierdzić się w słuszności swojej wizji i po powrocie do domu przekazać ją reszcie”.

Otrząsając się z tych myśli, Martha przypomniała sobie natychmiast słowa Marjorie: „Ty jesteś wolna...”.

Zdarzyło się bowiem coś, co sprawiło, że wcale nie czuła się wolna.

Ona i Anton, uchodzący już za parę i sami tak siebie traktujący, przez kilka pierwszych tygodni wcale nie poszli z sobą do łóżka. Martha przypisała to jego naturalnej delikatności, która nakazywała mu poczekać, aż ich związek dojrzeje. Trzymała się tej wersji z uczuciem bliskim miłości.

Ale przed tygodniem Anton zaproponował, żeby poszli do kina. Nigdy dotąd nie robili razem niczego, co by nie wiązało się z działalnością grupy. Anton jednak oznajmił:

— Nawet dobrzy działacze potrzebują czasami odpoczynku.

W jego uśmiechu była jakaś dwuznaczność i Martha pomyślała: chyba nie jest aż tak prymitywny, żeby zaprosić mnie do kina, a potem zaciągnąć do łóżka?

Po filmie poszła z nim do jego pokoju hotelowego. Nigdy wcześniej tam nie była. Właśnie myślała o tej Austriaczce, mieszkającej w tym samym hotelu, gdy Anton zdecydowanie wstał z łóżka, gdzie siedział, wziął ją za rękę i pociągnął

z krzesła w stronę łóżka jednym płynnym ruchem; wyczuła w tym gościu mieszaninę galanterii, jeszcze dla niej do zniesienia, choć do niego niepodobnej, oraz niepewnej prośby, która ją rozczuliła, ale także zadowolenia, które było już nie do zniesienia.

Akt seksualny był krótki i gwałtowny, tak krótki, że nie zdążyła w nim współuczestniczyć. Pomyślała, że może jest zdenerwowany. Nic jednak na to nie wskazywało. Nie zdradziła swoich odczuć i słuchała, jak opowiadał o ruchu rewolucyjnym w Niemczech i swoim w nim udziale.

Martwiła się tą sprawą i dochodziła do sprzecznych wniosków. Istniał jakiś zasadniczy zgrzyt pomiędzy obrazem Antona jako rewolucjonisty, z istoty rzeczy męskiego, silnego i odważnego, a jego zachowaniem w łóżku. Jednakże tkwiąca w niej potrzeba podziwiania i bycia instruowaną była tak wielka, że zaczęła sobie wmawiać: to musi być moja wina, a nie jego. Gdy już osiągnęła taki stopień rezygnacji z siebie, doświadczenie podpowiedziało jej z kolei, że to z Antonem jest coś nie tak. Mimo to nie ulegało wątpliwości, że przy każdym mężczyźnie, z którym była, Martha stawała się kimś innym. Chociaż rozmaite, całkowicie godne potępienia, bo nieuczciwe motywy nakazywały jej wmawiać sobie, że nigdy nie przepadała za Douglasem, nigdy nie odczuwała przyjemności z Williamem — bo obaj ci mężczyźni od chwili, gdy zaczęła spotykać się z Antonem, wydawali jej się nawet wstrętni i bardzo dalecy — wiedziała, że to nieprawda. Czyżby więc oznaczało to, że musi poczekać, aż Anton zmieni ją w nową osobę? Ale po kilku razach bezstronny głos tkwiącej w niej kobiety stwierdził ostatecznie, że „Anton jest beznadziejny”. Albo, żeby nie przekreślać go jako mężczyzny: „Jesteśmy niedobrani pod względem seksualnym”.



W czasie rozmowy z Marjorie na werandzie u państwa Du Preez Martha postanowiła więc powiedzieć Antonowi, że do siebie nie pasują, oczywiście, bardziej dyplomatycznie, aby nie urazić jego dumy, że ona do niego nie pasuje. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak ta Austriaczka wpada do pokoju i urządza scenę, żeby odzyskać Antona. Ona, Martha, powie wtedy: „Ależ, Anton, tak będzie sprawiedliwie, ona zna cię o wiele dłużej niż ja”.

Jednakże Austriaczka zniknęła z pola widzenia. Kiedy Martha o nią zapytała, Anton wyjaśnił:

— Ależ, maleńka, to rozsądna dziewczyna, wierz mi.

Uśmiechnął się przy tym z czułością, opiekuńczo.

Owo „maleńka” wzruszyło Marthę, przepełniło ją spokojem, mimo że nie znosiła tego uczucia. Z kolei stwierdzenie „to rozsądna dziewczyna” wydało jej się odrażające z powodu brzmiącego w nim zadowolenia. Czyżby Anton postanowił być rozsądny i nie zostawił Toni Mandel wyboru, tak że też musiała zachować rozsądek? Prawdopodobnie. Była przecież kobietą w średnim wieku, i to bardzo zmęczoną życiem. Ale czy byłby równie rozsądny, gdyby ona, Martha, postanowiła zachować się rozsądnie? Intuicja podpowiadała jej, że nie. Wyobraziła sobie, że mówi: Anton, przykro mi, popełniliśmy błąd. Jak by zareagował? Mężczyzna, który w porze lunchu specjalnie szedł kupić bilety do kina na wieczór i zarezerwować stolik dla dwóch osób, pełen determinacji, żeby postępować tak, jak uważał za właściwe, który przyjeżdżał po nią do domu i sadowił ją na przednim fotelu pożyczanego na te okazje samochodu, a to wszystko z wyrazem dobroci w oczach, jakiej nie okazywał jej nigdy jako członkini grupy — mężczyzna, który, jak sądziła, miał skłonność do nieładnej próżności? Bała się go.

Ale nie tak jak mężczyzny, który by zeszytniał z urazy i powiedział zimnym tonem, jak w przypadkach, gdy próbował ukryć dumę: Cóż, oczywiście, jeśli tak uważasz...

Jednakże wszystko to było nieważne: po wojnie i tak rozjadą się na fronty rewolucji w Europie. Może szczęście osobiste jest nieważne. Mimo wszystko pomówi z Antonem o ich niedopasowaniu jeszcze tego wieczoru... no, może nie tego, ale w jakiejś odpowiedniej chwili, gdy żadne z nich nie będzie zmęczone, gdy oboje będą rozsądni.

Tymczasem było mnóstwo spraw, którymi musiała się zająć, takich jak: organizacja zebrań, grup samokształceniowych, adresowanie kopert. No i pozostawał problem Maisie.

Nie rozmawiała o niej z Antonem, bo nadal z dezaprobatą zaliczał jej sprawę do „działalności dobroczynnej”. Martha była obecna na pierwszym spotkaniu Andrew i Maisie. Nie trwało ono długo. Andrew, energiczny i pełen życzliwości, oświadczył dziewczynie, że jest gotów ożenić się z nią — potem, gdy dziecko się urodzi, będzie mogła się z nim rozwieść. Sądził, że uda mu się uzyskać od dowództwa pozwolenie na ślub. Gdyby trzeba było, powie, że to on wpędził ją w kłopoty. Powiedział to z uśmiechem, ciepłym wyrazem oczu, patrząc na spokojną, ale smutną buzię Maisie. Ta poprosiła o czas do namysłu. Zapewnił, że zrobi, co będzie chciała, i nalegał, żeby przesłała mu przez Marthę wiadomość. Potem zostawił dziewczyny razem. Siedziały w Black Ally's po obu stronach stołu, nakrytego obrusem z plamami po soku pomidorowym. Maisie piła mocną herbatę w milczeniu, zamyślona, aż w końcu zapytała:

— Ale, Matty, nie rozumiem. Dlaczego on to robi? Bo jest komunistą? Przecież nic z tego nie będzie miał, tylko problem z rozwodem.

— Naszym zdaniem nie powinno się zabijać dzieci jedynie

dlatego, że są nieślubne — wyjaśniła Martha. I dodała, bo czuła, że nie jest w pełni szczerą: — Nie wiem, dlaczego robi to akurat Andrew... ale dobry z niego człowiek.

— O tak — przyznała natychmiast Maisie.

Martha przez tydzień nie miała od niej żadnych wiadomości. Potem dziewczyna przyszła do niej do pracy i zaprosiła ją na lunch.

Była w wyraźnie innym nastroju. Po raz pierwszy od czasu, gdy się poznały, Martha zobaczyła, że Maisie się niepokoi.

— Sprawa wygląda tak — zaczęła. — Boję się. Przypuśćmy, że polubię Andrew i nie będę chciała się z nim rozwieść, a on przeciwnie... i będę nieszczęśliwa. Nie chcę być nieszczęśliwa. Mam dość problemów.

Na to oświadczenie Martha poczuła ukłucie, które z niezadowolaniem rozpoznała jako oznakę zazdrości. Bo dobroć, jaką Andrew okazał Maisie, u niej samej wywołała serdeczne uczucia wobec niego i nawet zaczęła myśleć: głupia byłam, że związałam się z Antonem zamiast z Andrew. Zauważyła, że spodobał się on Maisie.

— On po wojnie wróci do Anglii — odparła.

— Wiem. I na pewno Anglia by mi się nie spodobała. Ale czy nie widzisz, Matty, że w tym jest coś nie tak? To byłoby z mojej strony wyrachowanie.

Martha skontaktowała się z Andrew. Tego popołudnia przyjechał do miasteczka, więc postanowiła sama przekazać mu wiadomość, nie mówiąc dosłownie, że zastrzeżenia Maisie wobec jego praktycznej propozycji budzi właśnie ten praktycyzm. I zobaczyła, że samozadowolenie na twarzy Andrew przechodzi w wyraz wdzięczności. Wyznał:

— Hm, sam poczułem słabość do tej dziewczyny. Gdzie ona mieszka?

W grupie przez kilka dni panowało dyskretne milczenie wokół sprawy Maisie i Andrew. Oznaki radości na twarzy chłopaka stały się jednak tak widoczne, że wręcz nie można ich było nie zauważyć. Potem oznajmił, że żeni się z Maisie, i to z dumą człowieka zakochanego. Szukał teraz dla niej mieszkania. Powiedział nawet, że jest przeciwny temu, aby kobiety pracowały w okresie ciąży, i dodał, patrząc chłodno na Antona, że nie obchodzi go, co myślą na ten temat w Związku Radzieckim — on jest staroświecki pod tym względem. Nikt nie powiedział słowa krytyki.

Byli zachwyceni. W grupie zapanował serdeczny nastrój; jakby ktoś podarował im coś pięknego, choć zabarwionego goryczą. To znaczy zachwyceni byli wszyscy z wyjątkiem Antona, który zwrócił im uwagę, że powinni zastanowić się nad konsekwencjami.

Marjorie zauważyła, uśmiechając się chłodno:

— Grupa będzie miała dziecko... ale nie moje dziecko!

Tymczasem podjęto nowe decyzje w sprawie działalności grupy. W życie weszła „fundamentalnie nowa linia polityczna”, bynajmniej niebędąca, o dziwo, rezultatem fundamentalnej analizy, której domagał się Anton, ale uwagi rzuconej przez Jasmine.

Wszyscy zebrali się bowiem w salonie państwa Du Preez i omawiali sprawy kilku organizacji, którymi kierowali, gdy Jasmine rzuciła:

— Spotkałam dziś na ulicy panią Van der Bylt, która chciała wiedzieć, dlaczego zrezygnowałam z działalności w Partii Pracy. Hm, oczywiście nie mogłam jej powiedzieć, że nie byłam już w stanie znieść tej bandy socjaldemokratów.

— Ależ, Jasmine — odezwała się Marie Du Preez — ja

wciąż należę do tej partii. Chyba jesteś w błędzie? Nie wiedziałam, że mamy się z niej wycofać. Bo niby dlaczego?

Była to zasadnicza kwestia ideowa, ale nie wnikano w nią; Anton potwierdził spokojnie, że rzeczywiście, Jasmine nie ma racji.

Jasmine wobec tego wybrała się na zebranie komitetu Partii Pracy, na które została zaproszona jako obserwator, i po powrocie oświadczyła, że bez trudu można by wprowadzić czworo albo pięcioro członków grupy do tegoż grona. Pani Van der Bylt, która była naprawdę postępową osobą na tle całej reszty komitetu, powiedziała, że z przyjemnością ich w nim powita. Sama zresztą wpadła na ten pomysł.

Martha, Marjorie, Colin, Marie i Piet dostali więc polecenie, żeby pójść na następne zebranie komitetu. Carrie Jones, której też to zaproponowano, odmówiła. Przy okazji oświadczyła, że życzy im szczęścia, ale nie wydaje jej się, żeby kiedykolwiek mogła zostać komunistką. Następnego dnia podała do wiadomości w „News”, że zareczyła się z kierownikiem firmy, w której pracowała jako sekretarka.

Grupa, czując, że to było nieuniknione, pogratulowała jej i życzyła szczęścia, a później podsumowała ją krótko jako drobnomieszczankę. Jednakże Carrie Jones, która zawsze była mniej zaangażowana w sprawę komunizmu niż którekolwiek z nich, spotkała się z mniejszą krytyką z ich strony niż inni renegaci. Nadal z nią rozmawiali, gdy gdzieś się na nią natknęli, i mówili o niej z łagodną pogardą.

W ciągu miesiąca zmienił się punkt ciężkości, jeśli chodzi o działalność grupy. Organizacje takie jak Klub Postępowców czy Sympatycy Rosji funkcjonowały już niemal samodzielnie. Skład ich komitetów był właściwie wymienny, choć do każdego z nich, dla pozorów, należała jedna czy dwie osoby

z zewnątrz. „Watchdog”, rozprawdzany przez kilkoro agentów, rozchodził się świetnie, bez żadnych kłopotów, i Martha nie mogła pozbyć się wrażenia, że musi być coś nie tak z aktywnością polityczną, która wymaga tak niewiele wysiłku.

Gdy cała piątka weszła do komitetu Partii Pracy, u państwa Du Preez odbyło się zebranie, na którym Anton, po długiej analizie, stwierdził, że teraz ich zadaniem jest zmiana linii tej partii.

Na tymże zebraniu pojawiły się dwie nowe twarze.

Przyszła Maisie i słuchała leniwie, patrząc z czułością na Andrew, który był już jej mężem.

Przybył też nowy człowiek z bazy wojskowej, Grek, niedawno walczący z Niemcami w partyzantce komunistycznej. Obecnie szkolił się na pilota. Był niskim, ciemnym, szczupłym mężczyzną o poważnych płonących oczach i podziwu godnej skłonności do milczenia.

Nie wypowiedział się na temat decyzji politycznych podjętych tego wieczoru, tłumacząc to faktem, że nie znajeszce warunków panujących w kolonii.

Andrew i Maisie wyszli wcześniej. Anton zauważył, że jego zdaniem Andrew nie powinien był przyprowadzać Maisie bez konsultacji z nimi. Grek zapytał, kim ona jest, więc opowiedzieli mu historię tej pary.

Ten słuchał z powagą. W końcu kiwnął głową i stwierdził:

— To dobrze. Przyjemnie słyszeć. — Pochylił się, trzymając szczupłe dłonie między kolanami, i popatrzył im w twarze. — Towarzysze, żyjemy w okropnych, nie za ładnych czasach, gdy kapitalizm morduje nas jak bestia, głodzi, pozbawia radości życia. Jako komuniści musimy starać się żyć, jakby tej brzydoty już nie było. Musimy starać się żyć jak socjaliści, którym zależy na sobie wzajemnie i na innych

ludziach, nawet jeśli jeszcze cały czas daje nam się we znaki okrutny kapitalizm. Cieszę się więc, słysząc o tej dwójce towarzyszy. To świadczy, że w tym pokoju zebrali się prawdziwi komuniści. Jestem szczęśliwy i dumny, że znalazłem się tu z wami. — Po tym wstał, poważnie skinął im wszystkim głową i oświadczył, że będzie przychodził na zebrania grupy, jak się tylko da.

Anton nic nie powiedział. Athen, nowo przybyły partyzant z greckich gór, miał większe prawo do ocen niż on. Wszyscy to czuli i dobrze o tym wiedział.

## Rozdział drugi

Jasmine, Martha, Marjorie, Colin i państwo Du Preez poszli w szóstkę na swoje pierwsze zebranie komitetu Partii Pracy i spóźnili się pięć minut. Znali lokal, w którym się odbywało, bo sami wynajmowali go na swoje spotkania. Był to duży, ciemny, zakurzony pokój, z rodzaju tych, w których, jak im się wydawało, spędzili większą część swojego życia, ale od ich siedziby różniły go dwa wiszące na ścianach zdjęcia: Ramsaya MacDonalda\* i Keira Hardiego\*\*. Razem z nimi obecnych było dwadzieścia osób. Przy stole prezydialnym siedzieli pani Van der Bylt i starszy duchowny, wysoki, przypominający charta mężczyzna o szczupłej, sympatycznej twarzy, który przyjrzał się im wszystkim obojętnie, pełen dobrej woli. Pani Van der Bylt była potężną kobietą, Holenderką z pochodzenia, spokojną, rzeczową, opanowaną. Wokół pogodnej twarzy wiły się krótkie, przyklepnięte, siwe kosmyki włosów.

\* James Ramsay MacDonald (1866—1937) — polityk szkocki, premier Wielkiej Brytanii w latach 1924 oraz 1929—1935. Przewodził mniejszościowemu rządowi Partii Pracy, który upadł wobec wielkiego kryzysu gospodarczego.

\*\* James Keir Hardie (1856—1915), znany jako Keir — szkocki socjalista i przywódca ruchu laburzystowskiego.



Gdy zajmowali miejsca, właśnie przemawiał wysoki, niechlujnie wyglądający Szkot. Martha rozpoznała go. Był to pan McFarline, o którego istnieniu całkiem zapomniała, ponieważ należał do świata jej dzieciństwa, spędzonego na farmie, świata sprzed trzech wcieleń. Jego pięść rytmicznie młóciła powietrze, gdy z widocznym przejściem głosił frazesy socjalistycznego credo. Marthę wprawiło to w zdumienie, choć mogła się spodziewać, że spotka się z taką hipokryzją w łonie Partii Pracy. Pan McFarline był najbogatszym człowiekiem „w okręgu”. Jak mówiono, jednym z najbogatszych w kolonii, zwłaszcza gdy zakupił dużą część należącej do miasta ziemi, którą przeznaczono pod zabudowę. Był powszechnie znany ze złego traktowania murzyńskich robotników i pewnie nie potrafiłby wyliczyć dzieci mieszanej krwi podobnych do niego rysach, mieszkających na terenie kopalń, których był właścicielem, ale których nie prowadził.

Gdy ten człowiek mówił o braterstwie wszystkich ludzi, sześcioro przybyłych słuchało, starając się powściągnąć wyraz ironii na twarzach. Postanowili bowiem zrobić dobre wrażenie. Dla tych doświadczonych działaczy politycznych nie było tajemnicą, że pod pozorami spokoju, który z powodzeniem starała się zachować pani Van der Bylt, wiele się dzieje.

Było coś jeszcze w sposobie przemawiania ludzi, którzy zabierali tu głos: poczucie wagi i konsekwencji wygłaszanych słów. Cała szóstka uświadomiła sobie, że na zebraniach własnej grupy być może reprezentują światowy komunizm, ale podejmowane przez nich decyzje nie mają znaczenia dla innych. A tu zebrało się kierownictwo partii socjaldemokratycznej, która miała siedmiu przedstawicieli w parlamencie i stanowiła opozycję rządową. To, o czym decydowano w tym pomieszczeniu, na pewno wpływało na życie i bieg wydarzeń

w kolonii. I choć brakowało tu atmosfery poświęcenia, którą zazwyczaj się upijali, to niespodziewanie wyczuli coś innego, panujące na sali poczucie władzy. Po co w ogóle ich tu zaproszono?

Niebawem zebranie dotarło do punktu, w którym ta sprawa się wyjaśniła. Pani Van der Bylt zauważyła, że sześć nowo utworzonych sekcji partii zwróciło się do komitetu wykonawczego z prośbą o wyznaczenie delegatów, którzy reprezentowaliby je na zebraniach; sekcje te znajdowały się daleko, trzy z nich — w odległości kilkuset mil, i nie mogły sobie pozwolić na delegowanie ludzi. Pani Van der Bylt przypomniała, że na ostatnim zebraniu przedstawiła już nazwiska tych sześciu delegatów, które zostały zaaprobowane. Potem urwała i czekała na uwagi.

Pan McFarline szepnął coś siedzącemu obok niego mężczyźnie, który energicznie kiwnął głową. Dały się słyszeć słowa: „ostatnio ledwie kworum”. Wszystko wskazywało więc na to, że pani Van der Bylt wysunęła te kandydatury arbitralnie i że przeciwna była temu frakcja reprezentowana przez członków parlamentu, którzy nie ukrywali swoich odczuć i rzucali przeciągłe, nieprzyjazne spojrzenia na szóstkę komunistów.

Pani Van der Bylt, mówiąc w skrócie, pokonała szybko oponentów, którzy źle przyjęli porażkę. Mimo to w nieprzyjaznych uśmieszkach, jakie otwarcie kierowali pod adresem siedzących za stołem prezydyjnym przewodniczącego i sekretarza, można było zobaczyć także podziw. I pani Van der Bylt, choć wciąż spokojna i panująca nad sobą, nie mogła się powstrzymać i rzuciła im przeciągłe triumfalne spojrzenie. To było tak, jakby zaśmiała się im w twarz.

Ich szóstka, jak doszli do wniosku, odgrywała tu tylko rolę pionków w jakiejś wewnętrznej rozgrywce, której jeszcze nie

rozumieli. Czyżby pani Van der Bylt, znana z niechęci do komunizmu, szanowana dama (od wielu lat radna w miasteczku), była w coś tak zaangażowana emocjonalnie, że zamierzała wsadzić na kark kolegom z partii sześciu komunistów? Zebranie trwało. Przebiegało tak regulaminowo, że mogli tylko podziwiać panią sekretarz, bo wszystko wskazywało, że to ona wpoiła zebranych tę dyscyplinę. Przewodniczący, ujmująco sympatyczny mężczyzna, prawdopodobnie sprawował swoją funkcję nie ze względu na znajomość procedury, ale na pozycję społeczną. Gubił się bowiem w programie zebrania, stale mylił rezolucje z poprawkami, po czym przyznawał się do błędów z autoironicznym wdziękiem, kiedy pani Van der Bylt zwracała mu uwagę, co czyniła zresztą nieustannie, stanowczo, choć po matczynemu.

Tymczasem siedmiu członków parlamentu siedziało sobie wygodnie i paliło, z założonymi rękami, wyciągniętymi przed siebie nogami, w pozach ludzi, którzy już za dużo czasu spędzili na twardych ławkach.

Dopiero pod koniec zebrania cała szóstka zrozumiała, jaką odgrywają tutaj rolę. Przyszła bowiem pora na punkt zebrania pod hasłem „Członkostwo murzyńskie” i członkowie parlamentu nagle się ożywili, co świadczyło, że i oni znaleźli się tutaj z tego powodu.

Wstał pan McFarline i oświadczył, że choć nie ma w kolonii nikogo bardziej oddanego sprawie czarnych niż on, to jego zdaniem wprowadzenie do partii Murzynów jest niefortunnym pomysłem, ponieważ... Ale nie zdążył dokończyć, bo pani Van der Bylt zwróciła mu uwagę, że decyzja o dopuszczeniu do członkostwa Afrykańczyków została podjęta podczas ostatniego zebrania i teraz kwestią było tylko to, jaką formę powinno ono przybrać. Dodała, że gdyby parlamentarzyści

przychodzili na zebrania kierownictwa częściej albo przynajmniej czytali protokoły, byłiby zaznajomieni z jego działaniami.

Na to sąsiad pana McFarline'a, ciemny, szczupły mężczyzna, z wyraźną nienawiścią w głosie i ze wzrokiem kogoś, kto nie lubi samego siebie, rzucił kilka uwag o sympatykach kafirów i ludziach uszczęśliwiających innych na siłę.

Został jednak pozbawiony prawa głosu z tą samą matczyną surowością.

Następnie Pani Van der Bylt oświadczyła uprzejmie, że ze względu na późną porę i gorące nastroje ten punkt programu należy przełożyć na następne zebranie.

— Ale był już przekładany dwa razy — sprzeciwił się pan Playfair.

— Był przekładany — zwróciła mu uwagę pani Van der Bylt — ponieważ nie mogli przybyć niektórzy członkowie parlamentu, ale jestem gotowa przełożyć go znowu, jeśli wszyscy się zgadzają.

Wśród przeciwników zawrzało; mimo zgiełku można było usłyszeć, że pan McFarline krzyczy do swojego śniadego popiecznika: — Na następnym zebraniu ci będą mieli prawo głosu; dziś go nie mieli! — I ruchem głowy wskazał z niechęcią sześcioro komunistów.

— Możemy przedyskutować to teraz albo na następnym zebraniu, jak państwo wolą — stwierdził pan Playfair po tym, jak pani Van der Bylt coś mu szepnęła.

Ciemny mężczyzna zbliżył usta do ucha pana McFarline'a. Ten odparł z szerokim uśmiechem:

— Zgadzam się na przełożenie dyskusji. — Po czym dodał: — Wiele frakcji partii straciło morale i trzeba je wzmocnić.

Krótko mówiąc, zamierzał zebrać popleczników, tak jak pani Van der Bylt. Spojrzał na nią triumfalnie. Ona jednak pokiwała głową z lekkim uśmiechem w kącikach ust; już wyraźniej nie mogła dać mu do zrozumienia: wydaje ci się, że mnie pokonałeś, ale jeszcze zobaczymy.

Pan McFarline się zawahał; pewnie zastanawiał się, kto zyska na przełożeniu dyskusji, żeby „wzmocnić morale”.

Można było zauważyć, że obrzucił spojrzeniem obecnych na zebraniu, licząc swoich zwolenników. Pani Van der Bylt zrobiła to samo.

Po chwili oświadczył: — Myślę, że oszczędzimy czas, jeśli zagłosujemy teraz.

Pani Van der Bylt się zgodziła. Wszyscy się zgodzili. Na co pani Van der Bylt zauważyła beznamiętnie, że szóstka nowo dokooptowanych członków ma prawo głosować w tej sprawie, zgodnie z... tu wyjęła statut i odczytała stosowny punkt.

Pan McFarline zmarszczył czoło, ale musiał przyznać jej rację.

Przeprowadzono więc głosowanie i szóstka komunistów poparła frakcję pani Van der Bylt; czarni uzyskali wstęp do partii, a ich głosy w sprawie jej działalności miały liczyć się tak samo jak białych członków. Kwestię, czy mają utworzyć specjalną frakcję, zamierzano poddać pod dyskusję za dwa tygodnie.

Zebranie dobiegło końca. Sześcioro komunistów pozostało na miejscach i obserwowało, jak reszta usiłuje się zorientować, kto z kim trzyma. Sami też czekali na jakieś wyjaśnienia ze strony pani Van der Bylt.

Martha przyglądała się panu McFarline'owi. Niemal chciała, żeby ją sobie przypomniął. Podczas spotkania patrzył na nią, czasami nieprzyjaznym wzrokiem, ponieważ należała do

frakcji komunistycznej, a czasami jawnie taksująco, jak kobieciarz, i to budziło w niej niechęć, z tych samych powodów co przed laty — był starszym panem, który nie miał prawa tak na nią spoglądać!

Teraz podszedł do niej, potężny, uśmiechnięty mężczyzna, pełen swobody, jaką daje władza.

— Panienko, czy my się nie znamy? — zagadnął.

Mimowolnie się zmieszała; pan McFarline, wielbiciel kobiet, emanował ciepłem i życzliwością, jego brązowe oczy miały bardzo bystry, a jednocześnie łagodny wyraz. Przytąpała się na tym, że odruchowo kokieteryjnym gestem podnosi rękę do włosów. Opuściła ją czym prędzej i wyjaśniła:

— Jestem Martha Quest.

Pan McFarline kiwnął głową, przywołując wspomnienia. Rzucił na próbę, zachęcająco:

— To teraz będziemy towarzyszami broni?

Martha zawołała:

— Towarzyszami to chyba nie, panie McFarline!

Skinął głową, zaśmiał się i odwrócił. Jego odrażający przyboczny, który obserwował go podczas starcia z frakcją komunistyczną, podszedł do niego z twarzą napiętą i zimną. Potem dołączyli do nich trzej parlamentarzyści.

Piet Du Preez zwrócił Marcie uwagę:

— Lepiej na niego uważaj. To stary świntuch. Chwali się, że gdyby położyć obok siebie te wszystkie kobiety, z którymi spał, przykryłyby linię kolejową między Zambezi a Limpopo... tylko nie wyraża się tak elegancko! — Z zadowoleniem zauważył zmieszanie Marthy. Był to jeden z tych momentów, w których postanowiła zastanowić się nad sobą; mężczyźni z grupy przyglądali jej się i poczuła się, jakby była naga.

Marie przyszła jej na ratunek; pociągnęła męża za rękę i zawołała:

— Wystarczy tego... gdybym nie trzymała cię w ryzach, byłbyś taki sam!

Colin i Marjorie stali z boku i przysłuchiwali się. On trzymał dłoń na jej łokciu, a jej ręka zwisała luźno, zwinięta w pięść.

— Co was tak śmieszy? — zapytała Marjorie i podeszła krok bliżej, ale zatrzymał ją Colin. Martha, wciąż zirytowana, że wdała się w rozmowę z panem McFarline'em, zauważyła ten gest posiadacza i sztywną, opierającą mu się dłoń i pomyślała z niechęcią pod adresem Marjorie: dlaczego za niego wyszła? Po co? Nie kocha go przecież... Powiem dziś Antonowi, że nie możemy się dłużej spotykać, bo to nie ma sensu.

W tym momencie podeszła do nich pani Van der Bylt. W pokoju pozostali pan Playfair i jeden z członków parlamentu, niski, wojowniczy Szkot, Jack Dobie; a także wysoki, szczupły, piegowaty mężczyzna o siwych włosach, z przejętą miną — był to Johnny Lindsay, stary górnik z Rand.

Pani Van der Bylt powitała ich z uśmiechem:

— Cieszę się, że widzę was tu wszystkich.

Jasmine i Piet, jej starzy znajomi, wystąpili naprzód jak oficjalni przedstawiciele grupy.

Pani Van der Bylt się zaśmiała, ciepło, dziewczęco, i stwierdziła:

— Hm, wygraliśmy tę rundę... ci starzy tacy owacy dostali za to, że nie przychodzą na zebrania.

Grupa przyjęła to ze śmiechem, ale nieszczerym; przymierze z panią Van der Bylt było dość kłopotliwe, ponieważ, według ich definicji, ona i jej przyjaciele należeli do reakcjonistów.

Johnny Lindsay zauważył pogodnie:

— Pod tym jednym względem zawsze można liczyć na was, komunistów... zachowujecie się przyzwoicie, jeśli chodzi o kwestie rasowe.

Tu pani Van der Bylt, Jack Dobie, pan Playfair i Johnny Lindsay pokiwali głowami i uśmiechnęli się zgodnie, i członkowie grupy zrozumieli ostatecznie, dlaczego dokooptowano ich w szeregi komitetu wykonawczego.

— Wielu ludzi was nie cierpi — włączył się Jack. Uniósł drobną bojową twarz i wysunął brodę charakterystycznym, agresywnym ruchem, jakby stawał naprzeciwko wroga z przekonaniem, że silny argument odeprze nawet najsilniejszą pięść. — Szczerze was nienawidzi — dodał, ale tym razem z udawaną pogroźką w głosie, która przypominała warknięcie. — I coś wam powiem, towarzysze... jestem z Clyde, długo pracowałem z czerwonymi, więc lepiej darujcie sobie te swoje sztuczki. Ostrzegam was, z nami wam się nie uda.

I znowu wszyscy zaśmiali się z ulgą, pełni sympatii dla siebie nawzajem.

Jasmine odparła jak zwykle skromnie:

— Ależ, Jack, komuniści są zawsze gotowi współpracować z laburzystami na pewnych polach.

Burknął w tym samym tonie co poprzednio:

— Jesteście więc gotowi z nami współpracować, tak? Cóż, kiedyś sam należałem do partii komunistycznej, więc poznałem was na wylot... miejcie się na baczności.

Pani Van der Bylt rzuciła poważnie, a nawet surowo:

— Możecie być komunistami poza tą salą, ale tu jesteście członkami naszej partii i pamiętajcie o tym, proszę. — Pokiwała energicznie głową. — Mamy zwyczaj równie serio traktować zasady i przepisy jak wy!

Na co Johnny zauważył:



— Pani Van der Bylt opanowała te zasady i przepisy po mistrzowsku... i teraz tamci tego żałują!

W ogólnym śmiechu wybił się głośny, perlisty głos pani Van der Bylt, głos dziewczyny, która wciąż tkwiła gdzieś w tym dużym ciele łagodnej matrony.

— Chodźcie, napijemy się herbaty w moim gabinecie — zaproponowała. — Musimy trochę pospiskować.

Gabinet pani Van der Bylt znajdował się w tym samym budynku, po drugiej stronie podwórka — brudnego placu o ubitej ziemi, otoczonego werandą, z której wchodziło się do pokoiów.

Sześcioro członków grupy, z panem Playfairem, Johnnym Lindsayem i Jackiem Dobiem, rozsiadło się w pokoju pełnym segregatorów ze starannie poukładanymi dokumentami; zauważyli, że nad głową pani Van der Bylt wiszą dwa portrety: Nehru i Gandhiego. Pili herbatę i wcale nie spiskowali, nie było potrzeby, bo panowała między nimi całkowita zgodność. Sprawa była jasna. Każdemu z nich leżała na sercu poprawa sytuacji Murzynów w kolonii; nie musieli utwierdzać się wzajemnie w przekonaniu, że Murzyni, choć pozbawieni prawa wyborczego, powinni być wciągani do polityki na rozmaite sposoby i jeśli możliwość wstąpienia do tej szczególnej partii politycznej stanowiła jeden z takich sposobów, to było to lepsze niż nic. Frakcja pani Van der Bylt pragnęła, aby czarni członkowie utworzyli oddzielną komórkę, bo to pomogłoby im poznać zasady działania demokracji. Reakcyjniści, pod przewodnictwem członków parlamentu, w ogóle nie chcieli widzieć czarnych w partii. Jack Dobie, poseł I zdrajca w oczach swoich, ponieważ nie wspierał ich w tej kwestii, nazwał ich karierowiczami i porównał do białych związkowców.

Sam jednak był białym związkowcem, wybranym przez białych pracowników kolei.

Piet, również biały związkowiec, sprzeciwił mu się, mówiąc, że nie wszyscy z nich są przeciwko czarnym.

— Czyżby? — zapytał ostro Jack. — Mnie to mówisz?

— Ale przecież siedzisz tu z nami, prawda? — zauważyła Jasmine.

— Nie z powodu moich poglądów w sprawie tubylców.

Wszyscy z nich wiedzieli, że ma on jedną cechę, dzięki której został wybrany, niezależnie od tego, jak bardzo jego poglądy byłyby sprzeczne z poglądami głosujących na niego ludzi, i której brakowało pozostałym członkom grupy parlamentarzystów. Jack był bowiem uczciwy, zwyczajnie, bezwzględnie uczciwy. Pozostali byli politykami. Tę różnicę dało się wyczuć już po pięciu minutach przebywania z nim w jednym pomieszczeniu.

Tamci grali na nastrojach panujących wśród białych związkowców. On stawał na podwyższeniu przed kilkuset pracownikami kolei, którzy nienawidzili kafirów, rywalizujących z białymi o płace, i tłumaczył im, że powinni się wstydzić, jeśli nie widzą w Murzynach braci robotników!

— Głosują na ciebie — stwierdziła pani Van der Bylt — bo mimo wszystko mają sumienie.

— Naprawdę? Chciałbym, żeby tak było. — I dodał ponuro: — Głosują na mnie, bo mają z tego podwójną korzyść: czują satysfakcję, jaką daje świadomość, że wybierają kogoś z zasadami, których sami nie mają... a jednocześnie wiedzą, że ponieważ jestem sam, nie wpłynie to na politykę frakcji parlamentarnej... i dlatego ty wyleciałeś na pysk, bracie Piet, nie miej złudzeń! — Po tych słowach skinął im energicznie głową, poklepał Pieta po ramieniu i wyszedł, żeby wrócić do swoich obowiązków w parlamencie.

Pan Playfair również się oddalił; spieszył się na nabożeństwo w kościele. Pani Van der Bylt i Johnny Lindsay siedzieli obok siebie i rozmawiali.

Sześcioro towarzyszy patrzyło na nich przez chwilę, a potem wymieniło między sobą uśmiechy. Pani Van der Bylt i Johnny dyskutowali o tym, jak wykorzystać procedury regulaminowe, żeby przeprowadzić swoje w sprawie frakcji murzyńskiej. Rozmawiali jak starzy przyjaciele, którymi byli, ale dało się między nimi zauważyć coś jeszcze: siwowłosa mężczyzna z opaloną chłopięcą twarzą i zaskakująco młodzieńczymi niebieskimi oczami oraz pulchna matrona, spokojna i opanowana, pochyleni głowa przy głowie nad czterema stronami drukowanego statutu partii, darzyli się nawzajem taką sympatią i zaufaniem, że niejeden członek grupy mimowolnie westchnął z zazdrości.

Marthę ogarnęło znajome przykre poczucie, że jest pozbawiona czegoś szlachetnego, jakiejś serdeczności, której sama w życiu nie zaznała. Pomyślała: sąjak kochankowie — choć nigdy nimi nie byli.

Pani Van der Bylt, zatrzymując palec wskazujący w połowie strony, uniosła siwą głowę, przybrała triumfującą minę i powiedziała:

— Tu, widzisz? Tu ich mamy.

A Johnny, podniecony tą intrygą, pokiwał głową z ożywieniem i potwierdził:

— Świetnie! Załatwimy ich!

Przypominali parę spiskujących dzieci i członkowie grupy, widząc, że są już niepotrzebni, pożegnali się i wyszli. Państwo Du Preez udali się do siebie, mówiąc, że muszą położyć dzieci do łóżek; było zrozumiałe samo przez się, że później ich dom będzie do dyspozycji grupy.

Marjorie i Colin odeszli razem. Martha zauważyła, że dziewczyna tym razem wzięła męża pod ramię. Był to pełen skruchy, czuły gest i Martha pomyślała: ona czuje się winna, bo go nie lubi... Naprawdę muszę wieczorem rozmówić się z Antonem.

Jasmine i Martha stały przez chwilę na chodniku. Obie patrzyły, jak Colin i Marjorie się oddalają, a uśmiechom, które potem wymieniły, towarzyszyło ironiczne uniesienie brwi.

— Nigdy nie wyjdę za mąż — oświadczyła nagle Jasmine, co zaskoczyło Marthę, bo ta skryta dziewczyna niezwykle rzadko mówiła o „prywatnych sprawach”.

Zapadał zmierzch; samochody przemykały obok nich w snopach światła; na niebie pojawiały się gwiazdy.

Jasmine ciągnęła:

— Była ta sprawa z Jackiem... chyba musiałam zwariować. To znaczy... nie żeby mieć romans, ale żeby myśleć o ślubie. — Mówiła bez emocji, spokojnie, prostolinijnie. — Kochałam innego... nie znałaś go, zginął w Hiszpanii, podczas wojny domowej. — Urwała, marszcząc czoło, i westchnęła. — Jest coś takiego w małżeństwie, że za każdym razem mam wrażenie... ale ty byłaś mężatką, a ja nie. — W mroku wydawała się bardzo drobna; mimo tego, jaka była i co robiła w życiu, zawsze sprawiała wrażenie drobnej, samotnej, walczącej odważnie w pojedynkę. — Nigdy nie wyjdę za mąż — powtórzyła. Nieśmiało ucisnęła Marthę za rękę i powiedziała: — Ty też nie wychodź więcej za mąż, Matty. Nie ma sensu zrywać jednego małżeństwa, żeby łądować się w nowe, no nie? — Pokiwała głową i podeszła do miejsca, gdzie stał jej samochód, zostawiając Marthę z myślą: ona wie, że mam dylemat, jeśli chodzi o Antona, i ostrzega mnie. Mimo że podziwia Antona.

To tak jakby ktoś spoza strefy zagrożenia ostrzegał drugiego będącego w jej obrębie. Gdybyśmy zamieniły się miejscami, zrobiłabym to samo, też bym jej poradziła, żeby nie wychodziła jeszcze za mąż — gdyby mi na to pozwoliła, co byłoby raczej niemożliwe, bo jest zbyt zamknięta w sobie.

Martha była za godzinę umówiona z Antonem na kolację. Wiedziała, że powinna się przez tę godzinę zastanowić, ale mimowolnie szła ulicą w stronę mieszkania Maisie, od którego dzieliło ją pięć minut drogi. Wszyscy członkowie grupy wmawiali sobie i innym, że na ile to możliwe, należy zostawić Maisie i Andrew samym sobie z powodu delikatnej sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Martha usprawiedliwiła siebie w myślach: hm, to tylko na godzinę. Tymczasem drzwi otworzył jej Tommy, a za nim zobaczyła jeszcze Athena z Grecji, który siedział rozpostarty swobodnie na kanapie i uśmiechał się z zadowoleniem, prawdopodobnie do Maisie. Martha weszła do środka. Było to dwupokojowe mieszkanie, urządzone tanio i prowizorycznie. W pokoju od frontu stały dwa krzesła, kupione na wyprzedaży, i sofa w rogu, nakryta wojskowym kocem. Maisie siedziała prosto na jednym z krzeseł, z rękami złożonymi na brzuchu. Miała na sobie niebieską ciężową sukienkę, a pod fałdami materiału łagodnie, ale wyraźnie rysowała się już jej ciąża. Błyszczące włosy pewnie przed chwilą wyszczotkowała, bo nie były jak zwykle potargane, ale się nie umalowała. Wyglądała młodo i uroczo i uśmiechała się, patrząc ze spokojną uwagą na Athena. Tommy, z niesfornie sterczącymi we wszystkie strony włosami, nalewał herbatę, którą właśnie dla nich zaparzył. Podał Maisie filiżankę, jakby to był prezent. W ogóle ta ładna, powolna dziewczyna sprawiała wrażenie rozpieszczanej i uwielbianej.

Powitała Marthę wesołym „O, cześć!” i uśmiechnęła się, ale nie wstała. Martha poczuła, że opada z niej napięcie. Usiadła na kanapie obok Greka Athena i pomyślała: cała Maisie, jest w takiej skomplikowanej sytuacji, a wygląda na zupełnie spokojną i zadowoloną... ja nigdy tego nie umiałam. Nic nie robię jak trzeba. Powinnam była czuć się w czasie ciąży szczęśliwa, a tak się miotalam.

Athen opowiadał Maisie o partyzantce w górach. Krzywił pociągłą ożywioną twarz, szukając właściwych słów, bo nie znał dobrze angielskiego, ale jego oczy uśmiechały się łagodnie do Maisie. Ta jednak go nie słuchała, jak domyślała się Martha: słowa „partyzanci”, „wojna”, „walki”, „komuniści”, „faszyści” przepływały obok niej, nie wywołując żadnych obrazów przed oczami. Po prostu darzyła Athena sympatią i podobało jej się to, jak się do niej odnosił.

Athen również to sobie uświadomił, bo urwał i powiedział:

— Musisz poprosić męża, żeby ci to wszystko wytłumaczył.

Odparła na to:

— Andrew stale mi o tym opowiada. — I wzruszyła ramionami.

Martha zauważyła, że przy tym geście ramiona dziewczyny uniosły się i opadły spokojnie, jakby nawykłe do tego ruchu, podczas gdy jej biodra nawet nie drgnęły na krześle; dolna część jej ciała żyła własnym życiem.

Marthę ukłuła zazdrość. Pomyślała: Boże, ratuj, jeszcze zachce mi się drugiego dziecka tylko dlatego, że Maisie jest w ciąży. Przestań, przestań natychmiast — za niecałą godzinę masz spotkać się z Antonem.

Przyszedł Andrew, który rozpiął kurtkę i ściągnął czapkę. Maisie obróciła ku niemu twarz i jej niebieskie oczy rozjaśniły się w uśmiechu.

Każdy z grupy oczywiście zastanawiał się w duchu, jakie tych dwoje łączą relacje. Czuli się tym zawstydzeni — albo raczej uważali, że powinni być zawstydzeni.

Andrew rzucił:

— Jak się masz, Maisie? — I nalał sobie herbaty do filiżanki. Maisie patrzyła na niego; przypominała teraz młodziankę dziewczynę, której właśnie przedstawiono mężczyznę, wybranego jej przez rodziców na męża i mimo to pociągającego ją.

Zewnętrzne formy świadczyłyby, że ci dwoje są z sobą na próbę.

Dwa pokoje urządzone były jak oddzielne mieszkania. Ten w głębi, w którym spała Maisie, wyglądał jak pokój dziewczęcy. Było w nim pojedyncze łóżko, nakryte grubą, błyszczącą niebieską kołdrą, a na toaletce stały rozmaite ozdóbki i bibelotki: laleczki, figurki z porcelany i tak dalej. Na półce widniały dwie fotografie jej nieżyjących mężów, choć brakowało zdjęcia Binkiego, ojca dziecka, które nosiła.

Jeśli chodzi o Andrew, oczywiście łóżko przykryte kocem wojskowym należało do niego; nocował w pokoju od frontu, gdy dostawał przepustkę na noc albo na weekend.

Andrew odwrócił się teraz z filiżanką herbaty w ręce i otwarcie przyjrzał Maisie; nie widział jej od trzech dni. Od ślubu zmienił się znacznie. Przedtem gderliwie sympatyczny, praktyczny, odpowiedzialny, był człowiekiem, który nie wyglądał na uczuciowego. No, może w niewielkim stopniu: konwencjonalnie żartował z miłości i odnosił się do sfery uczuć jak ktoś, kto nie ma na to czasu. Teraz jednak jego szeroka twarz złagodniała, a oczy przybrały nowy wyraz, jakby mówiły: Ojej! Tego się nie spodziewałem...

W tej samej chwili trójka gości uświadomiła sobie, że Andrew wolałby, aby sobie poszli. Zrobił dwa kroki ku Maisie,

ale zatrzymał się, aby zachować formy, i stanął przy Athenie. Wymienił z nim kilka krążących po bazie żartów, dla czystej formalności, bo jego wzrok stale wracał do Maisie.

Tommy, zmieszany, zerwał się z miejsca, oznajmiając nerwowo, że musi iść na kolację.

Athen, który przyglądał się zakochanym z pełną powagą aprobatą, także wstał.

— Pójdę z tobą, Tommy — powiedziała.

Martha ruszyła z nimi do drzwi.

Maisie i Andrew skinęli gościom na do widzenia i natychmiast zwrócili na siebie oczy, wymieniając długie, poważne, pełne szacunku spojrzenia, które członkowie grupy już wcześniej zauważyli i które budziły ich zazdrość.

Gdy wychodzili, usłyszeli jeszcze głos Andrew:

— I co, moja panno? Jak się sprawuje mały drań, odkąd widzieliśmy się ostatnio?

Maisie odpowiedziała łagodnie, jak królowa:

— Nie powinienes używać takich słów jak „drań”, to nieładne, nie uważasz?

Potem zaśmiali się razem, ciepłym, radosnym śmiechem.

Tommy szepnął ze zdziwieniem:

— To ma być śmieszne? Nie wydaje mi się.

Athen położył dłoń na ramieniu chłopaka i uspokoił go:

— Wszystko w porządku... wszystko w jak najlepszym porządku, towarzyszu.

We trójkę przystanęli na chodniku i spojrzeli na niezastłonięte okna kilka stóp nad nimi; mieli wrażenie, jakby źródłem widocznego w nich światła było szczęście Maisie i Andrew. Athen i Martha spojrzeli na siebie, nieświadomi tęsknoty, jaką kryły ich uśmiechy. Tommy, wciąż czerwony, rozdrażniony, bo nic z tego nie rozumiał, zauważył gniewnie:



— Nie mogę się w tym połąpać. To nawet nie jego dziecko. Tylko kogoś innego.

Raz po raz uderzał stopą o krawędź chodnika, przenosząc wzrok z rozświetlonych okien na grupę karłowatych eukaliptusów, które rosły na pustej przestrzeni kilka jardów dalej.

Athen łagodnie zwrócił mu uwagę:

— Ależ, towarzyszu Tommy, nie widzicie, jaki to przejaw egoizmu: moje dziecko, mój syn, moja córka... nie rozumiecie, że to już się skończyło? I niebawem skończy się na całym świecie. Najważniejsze, że urodzi się dziecko. Nowy człowiek. I tyle, towarzyszu.

Tommy mimowolnie wykrzywił twarz.

Athen się uśmiechnął; ten uśmiech na jego szczupłej, surowej twarzy południowca był niezwykle czuły.

— Jeśli rodzi się dziecko, to rodzi się ono wszystkim... nie rozumiesz? — dodał. — To moje dziecko, twoje i Marthy.

Tommy zauważył:

— Mam wrażenie, że nie dlatego Andrew jest z siebie taki zadowolony. Jest zadowolony, bo podoba mu się Maisie. Nie sądzę, żeby dziecko miało z tym coś wspólnego.

Martha westchnęła i Athen to usłyszał. Zobaczyła, że ten poważny mały mężczyzna patrzy na nią domyślnie. Odniosła wrażenie, że w jego spojrzeniu kryje się dezaprobatą.

— Maisie to szczęściara — stwierdził. — Ma dar.

— Jaki dar? Dlaczego to szczęściara? — zaczął dopytywać się Tommy niemal z rozpaczaj wciąż gniewnie postukiwał czubkiem buta o chodnik.

Athen wyjaśnił, nie patrząc na Marthę:

— Od dłuższego czasu wydaje mi się... że to trudny okres dla kobiet. Niektóre z nich zdają sobie z tego sprawę i walczą. Inne, jak Maisie, nie.

— Wszystko jedno — odparł Tommy. — Wszystko jedno... to nie jest dziecko Andrew.

— Andrew to dobry człowiek — oświadczył Athen. — Dobry towarzysz. Mimo wszystko są jeszcze na świecie porządni ludzie.

Ty też jesteś dobrym człowiekiem, pomyślała Martha, dodając mimowolnie: czułabym się przy tobie całkiem bezpieczna. Jednakże słowo „bezpieczna” natychmiast wprawiło ją w zmieszanie. O co mi chodzi z tym bezpieczeństwem? Co znaczy bezpieczeństwo? I czy Anton wobec tego też jest dobrym człowiekiem? Ale czuła się jeszcze bardziej zdezorientowana.

Athen powiedział do Tommy'ego:

— A teraz, przed zebraniem, pójdziemy coś zjeść, towarzyszu. — Znowu uśmiechnął się do uparcie nadąsanego chłopaka z powagą, ale łagodnie. — Z ciebie też jest dobry dzieciak, Tommy. Powinieneś podchodzić do wszystkiego zwyczajnie. Życie jest proste, towarzyszu. Wszystko, co najważniejsze, jest bardzo proste. Dlaczego ty to komplikujesz? Pytasz, o co tu chodzi? Dziecko jest w drodze, a kobieta potrzebuje mężczyzny, który by się nią zaopiekował. I tyle, i tyle, towarzyszu Tommy. To porządny facet i dobra kobieta, mogą sobie pomóc. Ot i wszystko, nic więcej.

Martha rzuciła:

— Do zobaczenia na zebraniu. — I odeszła. Zachciało jej się płakać i przestraszyła się, kiedy do oczu napłynęły jej łzy. Na rogu, pod zakurzonymi eukaliptusami, odwróciła się, żeby spojrzeć na dwóch mężczyzn, którzy zaraz mieli zniknąć z pola widzenia: na niewysokiego, zgrabnego Greka, który trzymał rękę na ramieniu dużego, niezgrabnego młodzieńca i skłaniał ku niemu głowę, coś mu wyjaśniając. Pomyślała:

szkoda, że gdy miałam osiemnaście lat, nie było w pobliżu kogoś takiego jak Athen, kto by mi wszystko wytłumaczył. A potem: I znowu to uczucie, że jestem pozbawiona czegoś pięknego, a zarazem prostego. Ale to tylko sentymentalizm.

Tak naprawdę jednak nie sądziła, że to przejaw sentymentalizmu; w stosunkach Athena i Tommy'ego, tak jak pani Van der Bylt i Johnny'ego Lindsaya, starego górnika, było coś bardzo szlachetnego.

Nozdrza wypełnił jej zapach suchego kurzu; od ciemniejącego eukaliptusa nad nią dochodziła woń wyschniętych, spalonych słońcem liści. Martha pomyślała, i była to chwila objawienia: jeszcze nie mam o niczym pojęcia. Muszę postarać się być otwarta i wolna od uprzedzeń, więcej myśleć, nie skupiać się na nieważnych sprawach.

Bicie ciężkich dzwonów kościoła katolickiego przetoczyło się ulicą, przypominając o czasie: była siódma i Martha ruszyła szybko w kierunku Black Ally's. Ogarnęła ją znajoma niecierpliwość i chwila objawienia przeminęła.

Dlaczego tak się boję spotkać z Antonem? To absurd, żeby czuć się jak w klatce. Na jego miejscu mógłby być każdy z tych mężczyzn, którykolwiek, to tylko kwestia przypadku albo pewnego rodzaju wyboru, którego sama nie rozumiem. Ale nie mojego wyboru. Gdyby to Jasmine zachorowała, Anton... pocałowałby w czoło ją i to ja myślałabym o niej teraz, tak jak ona myśli o mnie: Nie bądź głupia.

Była w stanie rozgorączkowanego, pełnego irytacji zdumienia. Już w progu Black Ally's przypomniała sobie, że umówiła się z Antonem nie tutaj, ale w grill-barze przy tej samej ulicy, tylko dalej.

Lubiła atmosferę Black Ally's, choć jedzenie było tam kiepskie. Grill-bar był drogi i umawiano się w nim przy

specjalnych okazjach. Martha pomyślała, że ponieważ Anton „pocałował ją w czoło”, teraz poczuwał się do obowiązku, żeby zabierać ją tam oficjalnie raz czy dwa w tygodniu. I przy tych okazjach zachowywał się wobec niej inaczej.

Dlaczego tak robi? Nie podoba mi się to, pomyślała jednocześnie z poczuciem, że jest niesprawiedliwa, ale zbyt poirytowana, żeby się nad tym zastanawiać. Taki już jest — wszystko robi starannie, przewidująco, jakby mówił: wieczorem pójdę z tobą do łóżka, a to jest do tego wstęp. Przez większość tygodnia jestem towarzyszką, koleżanką, a potem zmieniam się dla niego w kogoś innego. Nie podoba mi się to wszystko, i już.

Dotarła do grill baru, czyli małej sali z białymi obrusami, wypolerowanymi sztućcami i elegancko ubranymi kelnerami. Anton siedział w rogu. Na jej widok podniósł się i stał, lekko pochylony, dopóki nie usiadła. Utwierdziła się w decyzji, że powinna to zakończyć; ten wysoki, sztywny, bladego mężczyzna, który patrzy na mnie swoimi jasnymi oczami — dobry Boże, on nie ma ze mną nic wspólnego, nigdy nie miał. Dobra, powiem coś pod koniec kolacji.

Tymczasem Anton składał zamówienie. Lubił traktować ją, jakby wciąż jeszcze dochodziła do zdrowia, i powiedział po ojcowsku, z przyciężką żartobliwością:

— Powinnaś zjeść krwisty stek, tak, tak.

I uśmiechnął się do niej, jakby sam był zaskoczony, że tak łatwo i przyjemnie jest się uśmiechać.

Oparła łokcie na stole i opowiedziała mu o popołudniowym zebraniu w sposób, który go irytował, wiedziała o tym. Przekazywała mu wszystkie ważne informacje, ale strojąc sobie żarty, także z ich szóstki.

— Wydawało nam się, że pójdziemy tam i przeżyjemy

ster, a okazało się, że jesteśmy tylko narzędziem w rękach pani Van der Bylt... — Zauważyła, że starał się zachować cierpliwość wobec jej niefrasobliwości, której nie akceptował, ale którą mógł jej wybaczyć, ze względu na okazję.

Ostatnio stał się przy niej bardziej swobodny, odprężony, **0** czym świadczył układ ramion i nachylenie głowy. Tego wieczoru był jednak jak dawniej czujny i pełen rezerwy — co ujęło ją za serce, bo wiedziała, że to rodzaj obrony przed cierpieniem, którego się obawiał.

— O co chodzi? — zapytała, bo poczuła, że coś się dzieje i że powinna była zauważyć to wcześniej.

— Jest pewna sprawa, owszem — przyznał — ale najpierw skończmy jeść.

Jedli teraz w milczeniu.

Martha myślała: może chce ze mną zerwać? I jakby na przekór ogarnęły ją żal i niepokój. Odnotowała to z niesmakiem: gotowa byłabym przekonywać go, żebyśmy dalej byli razem, tylko dlatego, że to on chce odejść ode mnie! Cóż, jeśli tak, wstrzymam się jeszcze, żeby nie ranić jego uczuć, a potem wyrażę zgodę.

Podjąwszy tę decyzję, opowiedziała mu o Maisie i Andrew, chociaż wiedziała, że on nie aprobeuje tego związku. Próbowала nawet przeprowadzić pewien test: jeśli Anton powie o nich coś miłego, życzliwego, będzie to znaczyć, że jeszcze może być z nim szczęśliwa.

Zauważyła jednak, że nie słuchał uważnie. Oznajmił:

— Matty, coś się stało i musimy podjąć w związku z tym decyzję.

Mówił powoli, ważył każde słowo. Otóż jego pracodawca wziął go tego rana na stronę i powiedział, że złożyli mu nieoficjalną wizytę ludzie z wydziału kryminalnego, którzy

poinformowali go, iż Anton Hesse, obywatel wrogiego państwa, ma romans z Brytyjką. Takie związki były źle widziane. Wspomnieli, choć nie brzmiało to jak realna groźba, że w przeszłości cudzoziemców, których zachowanie budziło zastrzeżenia, wysyłano z powrotem do obozu dla internowanych. Jego pracodawca był podobno tym „bardzo zmartwiony”. Nie powiedział wyraźnie, że życzy sobie, aby Anton zakończył ten związek, ale — podenerwowany i niemiły z powodu poczucia winy, pełen skruchy za swoje niegrzeczne zachowanie i rozgadany — perorował przez dwie godziny, aby w końcu zrzec się wszelkiej odpowiedzialności i przerzucić ją na ludzi z wydziału kryminalnego, nad którego istnieniem oczywiście ubolewał. Taki tryb postępowania miał swoją tradycję w historii brytyjskiej: nikt nikomu nie groził ani nie wywierał bezpośredniego nacisku; nie tylko pracodawca, ale i ludzie z wydziału kryminalnego czuli się bardzo niezręcznie; nie było w tym niczyjej winy; niemniej jednak w efekcie Anton musiał się podporządkować, bo inaczej mógłby stracić pracę albo nawet wrócić do obozu dla internowanych.

Martha zauważyła, że niechęć w chłodnym głosie Antona miała tylko jedną przyczynę, tę, co zwykle: był antyfaszystą i przeciwnikiem Hitlera, a mimo to traktowano go jak wroga.

Nie próbował jednak w żaden sposób na nią wpływać. Przedstawił sytuację tak prosto, jak potrafił.

Kiedy chciała mu przerwać, poprosił:

— Poczekaj, Matty, poczekaj. Pozwól mi wszystko powiedzieć.

I zakończył:

— Jeśli więc przeanalizujemy wszystko, sprawa wygląda tak: albo musimy z sobą zerwać, albo się pobrać, żeby nas szanowano. A to nie najłatwiejsza decyzja.

I zamilkł, zdając się na nią.

Martha nic nie mówiła. Wiedziała, że Anton, jak to określała, znowu schował się do swojej skorupy. Zauważyła też, że zacisnął usta w wyrazie spokojnej rezygnacji. Sądził, że będzie chciała z tym skończyć.

— Musisz się zastanowić — dodał. — Nie odpowiadaj teraz, przemyśl to w samotności.

Jemu naprawdę na mnie zależy, doszła do wniosku; ciekawe, że po raz pierwszy o tym pomyślała.

— Przypuśćmy, że się rozstaniemy — zaczęła. — Czy wciąż będzie na ciebie rzutowało, że miałeś romans z Brytyjką?

Odparł z wahaniem:

— Tak, tak, tak. — I dodał: — No i oczywiście angażowanie się w działalność komunistyczną też nie jest rozsądne... to więcej niż prawdopodobne, że ci panowie po prostu ostrzegają mnie przed uczestnictwem w tych wszystkich zebraniach.

Pod wpływem tej uwagi Martha podjęła decyzję. Pomyślała: Andrew mógł ożenić się z Maisie, żeby jej pomóc... postąpił szlachetnie, każdy tak uważa. (Zapomniała, że nie każdy: Anton bowiem był innego zdania). Jeśli więc wyjdę za Antona, to będzie zwykła formalność, a jemu wiele spraw ułatwi.

Uległa jego żądaniom, żeby nie podejmowała decyzji od razu, ale później, po wieczornym zebraniu, już na chodniku, szybko wzięła go za rękę, gdy odwracał się od niej, mówiąc spokojnie, cierpliwie: „Dobranoc, Matty”, i powiedziała:

— Nie martw się o nic, Anton. Weźmiemy ślub.

Jego twarz rozjaśniła się wdzięcznością i ulgą, i to tak nagle, że Martha zaniemówiła. Pomyślała znowu: jemu naprawdę na mnie zależy.

Pocałowali się pospiesznie i rozstali na noc, bo mieli poczucie, że pójście teraz dokądś razem byłoby niebezpieczne. Martha, wracając samotnie do domu, przypomniała sobie wyraz twarzy Antona, gdy powiedziała mu, że za niego wyjdzie, i dostrzegła w nim coś jeszcze: zależność, niemal jak u dziecka. To wzbudziło jej niepokój.

Jednakże, pod presją narastającej niecierpliwości, czuła potrzebę, aby posuwać się do przodu, jakby małżeństwo z Antonem i to, kim miała się stać w jego wyniku, było już faktem, czymś dokonany. Można było pomyśleć, że całe jej jestestwo skupiło się na tym, aby to sobie uzmysłowić, pojąć, jakby połknąć coś w całości i pospiesznie iść dalej.

Gdy tej nocy położyła się spać, myślała: może właśnie Andrew tak się czuł, gdy zaproponował, że ożeni się z Maisie; a dopiero później stwierdził, i to ze zdumieniem, że jest szczęśliwy. Zasnęła dziwnie przygnębiona i śniło jej się, że jest z ciężarną Maisie, że chodzą razem od domu do domu, próbując znaleźć lokum dla dziewczyny. Ale wszystkie drzwi były przed nimi zamknięte.



## Rozdział trzeci

W sobotę rano, tego dnia, w którym miała drugi raz wyjść za mąż, Martha obudziła się późno; miała tylko pół godziny, żeby się ubrać i dotrzeć do sądu pokoju. Wszyscy jednak położyli się spać dopiero przed trzecią. Andrew i Anton, którzy tworzyli dwuosobowy podkomitet do spraw politycznych Komunistycznej Partii Zambezji, w końcu zdołali opracować stu pięćdziesięciostronicowy dokument, prezentujący program rządu kraju, w razie gdyby komuniści przejęli władzę. Ten podziwu godny program zaczynał się od jednostronicowego oświadczenia, że dyskryminacja rasowa zostanie zniesiona i wszelkie jej przejawy, bezpośrednie i pośrednie, będą karane; następnie przedstawiał szczegółową analizę przemysłowej, gospodarczej i kulturalnej sytuacji kolonii, z uwzględnieniem możliwego biegu wydarzeń, jak wojna, którą mogły wypowiedzieć Zambezji inne kraje afrykańskie, rządzone przez białych, wspierane przez brytyjski i amerykański kapitał podczas bojkotu gospodarczego, a kończył się (styl tej części różnił się od pozostałych, napisanych sucho i rzeczowo) gorącym apelem skierowanym do mas, żeby poparły rząd ludowy.

Wszyscy mieli przestudiować ten dokument szczegółowo, ale byli zbyt zajęci, żeby zrobić coś poza przeczytaniem go. Został więc przegłosowany, punkt po punkcie, i przyjęty. Odbyło się to w salonie domu państwa Du Preez, dużym i wygodnym pokoju z kredensem zastawionym butelkami piwa. Piet oznajmił, że nie przeżyje wieczoru z jego ciągłymi sporami i dyskusjami bez piwa — nie byłby w stanie zrobić tego dla swojego związku zawodowego, a już na pewno nie zamierzał poświęcać się dla partii. Anton tego nie pochwalał; mimo to ostatnio, siedząc na podłodze, popijali piwo w przyjacielskiej, swobodnej atmosferze, zupełnie innej niż podczas pierwszych spotkań w siedzibie partii nad Black Ally's.

Pod koniec, zadowoleni z kształtu dokumentu, już mieli się rozejść i położyć spać, gdy po raz pierwszy głos zabrała Maisie, która wstąpiła do grupy, jak wyjaśniła, „żeby uniknąć kłótni z Andrew”. Oświadczyła:

— Chcę się czegoś dowiedzieć. Bo nie rozumiem: o co tu właściwie chodzi? Wy... to znaczy my... nawet nie stajemy do wyborów, nie mamy więc szansy żadnego z tych postulatów wprowadzić w życie. A Andrew tłumaczył mi wczoraj, że obecna sytuacja nie dojrzała jeszcze do rewolucji, więc nawet nie ma co myśleć o przejęciu władzy. To po co zadawać sobie cały ten trud?

Odezwał się Anton:

— Ależ, towarzyszeko Maisie, naszym zadaniem jest przedstawić linię polityczną, żeby ludzie wiedzieli, co reprezentujemy.

— Ale jesteście grupą tajną, więc i tak nikt nie wie o waszym istnieniu, no nie?

Tu włączył się Athen, który zwrócił się wprost do Maisie, jak miał w zwyczaju — bo nigdy nie przemawiał do grupy:

— Maisie, postaraj się to zrozumieć. Być może jest nas tu tylko kilkoro. Ale reprezentujemy znacznie większe grono. Stanowimy wzorzec komunistyczny. Przywódcy ELAS\* w górach też przemawiali jak przedstawiciele rządu, z powagą rządu, żeby zdobyć szacunek wśród ludzi. Bo jeśli dwaj komuniści nagle znajdują się gdzieś... powiedzmy, że w obcym mieście... i będą wiedzieli, że jest ich tylko dwóch, to powinni mieć świadomość, że reprezentują światowy komunizm. I muszą zachowywać się godnie, bo są przedstawicielami idei. Jeżeli więc, przypuścimy, jedno z nas znajdzie się gdzieś samo, nawet w więzieniu, skazane na śmierć, nie powinno czuć się osamotnione... chyba że jako człowiek, bo człowiek zawsze jest samotny, i dobrze. Jeśli jest się komunistą, to nigdy nie będzie się samemu. — Uśmiechnął się do Maisie, a ona, po chwili pełnego namysłu milczenia, odpowiedziała uśmiechem, po czym znowu przeniosła wzrok, tym razem poważny, pytający, na męża, a on wyjął fajkę z ust i pokiwał głową, jakby potwierdzał: tak, to prawda.

Piet odezwał się żartobliwie:

— Cóż, możemy przejąć władzę lada dzień. Musimy tylko przekonać naszych białych współobywateli, że nadajemy się do tej roboty. W końcu nie ma w naszych szeregach żadnych Murzynów, no nie? — Anton zmarszczył czoło, ale nic nie powiedział. Od jakiegoś czasu Piet pozwalał sobie na takie uwagi; stał się klaunem w grupie, kimś uprzywilejowanym, kto może mówić to, czego innym nie wolno.

Mimo że obiekcje Maisie stanowiły nieprzyjemny zgrzyt i poruszyły wszystkich, wrócili do domu zadowoleni i po-

\* ELAS — z gr.: Elinikos Laikos Apeletherotikos Stratos, Grecka Ludowa Armia Wyzwoleńcza, siła zbrojna utworzona do walki z okupantami podczas drugiej wojny światowej. Składała się przeważnie ze zwolenników komunizmu.

krzepieni świadomością istnienia długoterminowego i kompleksowego programu politycznego, który, gdyby go wdrożyć, za pięć lat mógł pchnąć cały kraj na drogę do socjalizmu.

Martha obudziła się i zaczęła rozmyślać o tym dokumencie — miała wrażenie dziwnej niejasności: ten program opracowali Anton i Andrew, tak różni ludzie, którzy w dodatku się nie lubili. (Ciekawa była, czy są tego świadomi). Jednakże uzgodnili go bez trudu, właściwie przygotowali jego zarys w dwa wieczory. Anton powiedział kiedyś: jeśli dwaj komuniści po przeciwnych stronach świata będą mieli przed sobą te same fakty, powinni dojść do tych samych wniosków — na tym polega siła marksizmu. Przypomniała sobie surowy, dumny wyraz jego twarzy, gdy to mówił. Mimo to, gdyby poprzedniego wieczoru znalazł się wśród nich ktoś tak nieprzejednany jak Bill Bluett czy Jackie Bolton, zgłaszałyby sprzeciw przy każdym punkcie i reszta grupy nie wiedziałaby, co myśleć. (Teraz zaniepokoiło ją to, że grupa tak łatwo, a nawet radośnie zaakceptowała program). Co to więc znaczy? Że działają zgodnie, gdy dwóch przywódców zgadza się co do czegoś, przedstawiając to „maluczkiem”? Tak, chyba tak właśnie jest. Gdyby robił to tylko jeden przywódca, nie byłibyśmy już tacy pewni. Ale dwie silne osobowości wspierają się wzajemnie i wszyscy są spokojni. Nie znaczy to, że nie zachęcali nas do dyskusji i krytyki; obaj wciąż powtarzają, gdy cytujemy Stalina: „Zamiast powoływać się na niego, zróbcie mu tę uprzejmość i myślcie samodzielnie”. A jednak przyjmujemy program punkt po punkcie, jakby głosowanie nad nim było tylko formalnością. Coś tu jest nie tak, coś, co powinnam rozumieć; czyżby grupa potrafiła działać jak należy tylko wtedy, gdy dwóch dominujących jej członków zgadza się z sobą? Muszę się nad tym zastanowić. Ale jak? Za mało

wiem, nie mam o niczym pojęcia. A jednak głosuję za programem, który może mieć wpływ na sytuację w całym kraju...

Powiedziała sobie surowo, pod wpływem zmiany nastroju: na szczęście nie grozi nam podjęcie takiej odpowiedzialności. Zatrzymała się przy sformułowaniu „na szczęście”, zauważyła, że pozostali towarzysze mieli rację, zarzucając jej nonszalan-  
cję, stwierdziła, że jest rzeczywiście przygnębiona, i zaczęła szukać powodu: no, oczywiście, tego dnia miała przecież wyjść za męż.

Pospiesznie zerwała się z łóżka, wyjęła sukienki z szafy i odrzuciła je. Powinna była wyprasować którąś z nich poprzedniego wieczoru, wszystkie były pogniecione i tak naprawdę tylko dwie z nich nadawały się do włożenia. Ale po co w ogóle się tym przejmować, pomyślała; to tylko formalność, dla nas obojga. Mimo to, włożywszy jedną, natychmiast ją zdjęła i wciągnęła drugą, po czym spojrzała na siebie w lustrze ze znajomym uczuciem niepewnego wyczekiwania. Odnosiła wrażenie, że od miesięcy nie miała czasu przyjrzeć się sobie — i w kilku miejscach odprysł jej lakier od paznokci, a włosy wymagały ułożenia. Spojrzała na nią blada twarz z mocno podkrążonymi oczami. Ogarnął ją gorączkowy niepokój, znajoma, pełna napięcia irytacja, jakby żonglowała kilkoma rekwizytami jednocześnie, wiedząc, że zaraz jeden z nich upuści. Przyjrzała się uważnie swojej surowej młodej twarzy i pomyślała: gdybym nie znała samej siebie, co bym o sobie pomyślała? Hm, na pewno nie domyśliłabym się, że tyle zdarzyło się tej kobiecie w ostatnim roku: rozwód, zapisanie się do partii komunistycznej, powtórne małżeństwo, wszystkie te komplikacje i ciągły brak snu. Nie, czytanie z twarzy to bzdury. Twarze niczego nie mówią — tak, twarz niczego nie zdradza.

Martha, jeszcze bardziej zniechęcona, odsunęła się od lustra i przeciągnęła dłońmi po swoim ciele. Znowu jestem szczupła, pomyślała. Hm, to już coś. Ale przecież nie mogę pójść na własny ślub bez pończoch — choć właściwie dlaczego nie? Nikt nawet nie zauważy. Pospiesznie przeszukała szufladę, żeby znaleźć jakąś porządną parę, ale wszystkie miały oczka.

W tym momencie weszła Jasmine i Martha zawołała z rozpaczą:

— Nie mam pończoch!

— Nie wpadaj w panikę — odparła Jasmine spokojnie; od razu usiadła na łóżku i zaczęła zdejmować własne. Gdy ukazały się jej opalone nogi, zerknęła na nie z zadowoleniem i rzuciła pończochy Marcie, która włożyła je pospiesznie. — Zapal sobie — poradziła Jasmine; zapaliła papierosa i włożyła Marcie do ust. Jednocześnie spojrzała na nią chłodno, domyślnie i uśmiechnęła się słabo. Martha dobrze rozumiała jej ironiczny, współczujący wyraz twarzy. Odpowiedziała nawet uśmiechem, z taką samą ironią, ale prawie natychmiast westchnęła i powiedziała:

— Chodźmy już i załatwmy to.

— Spokojnie, nie denerwuj się — odparła Jasmine; wskazała ruchem głowy krzesło, i Martha usiadła na nim posłusznie. — Spotkałam na ulicy panią Van der Bylt, która zaproponowała, żebyśmy obie wpadły do jej gabinetu przed lunchem. Gdy więc tylko podpiszesz co trzeba, pójdziemy do niej. — Powiedziała to tak, jakby rzucała jej koło ratunkowe, i Martha się zaśmiała. Jasmine podeszła do niej ze skrzepowaniem, objęła ją niepewnie i rzuciła szybko: — Wszystko w porządku, nie martw się. — Kiwnęła głową z nieśmiałym uśmiechem, zaraz potem spoważniała i rzuciła: — No to chodźmy.

Jechały w milczeniu do budynku sądu pokoju. Anton czekał już przed wejściem. Miał kwiatek w butonierce i Martha popadła w przygnębienie, kiedy to zobaczyła, bo pomyślała, że gdyby sama miała kwiat przy sukience, to byłaby nieuczciwość.

Jednakże powitała go promiennym uśmiechem i zauważyła, że on z kolei uśmiecha się do niej z czułością. Ale przecież na to nie liczyłam, w ogóle na to nie liczyłam, pomyślała; groziło jej, że się rozpłaczę. We troje weszli do budynku. Pan Maynard już na nich czekał. Martha nie pamiętała, że to on udzielał jej pierwszego ślubu; bała się, że o tym wspomni, i Anton będzie niezadowolony. Ale dlaczego Anton miałby być niezadowolony — to byłoby nielogiczne! Z ulgą jednak stwierdziła, że pan Maynard wcale nie próbuje pochwycić jej spojrzenia i wszedłszy w rolę urzędnika, zadaje tylko konieczne pytania. W ciągu dwóch minut było po wszystkim i Martha zobaczyła, że pan Maynard odchodzi z czwartą osobą, nieznanym jej młodym mężczyzną, poproszonym na świadka, pytając: — Jeszcze ktoś chce skoczyć dziś na główkę?

Po nieprzyjemnym uśmieszku na twarzy młodego urzędnika Martha domyśliła się, że ten ślub był od rana przedmiotem złośliwych plotek. Cóż, oczywiście, pomyślała, przełykając tę myśl — przecież muszą o czymś mówić. Nie mogą aprobować mojego małżeństwa z Antonem; jest obywatelem wrogiego państwa, w dodatku bez pieniędzy. A niech sobie myślą, co chcą... dzięki tej dezaprobacie społecznej poczuła się lepiej, choć wiedziała, że to dziecinna reakcja. Anton wziął ją pod ramię. Powiedział w sposób, który zrodził się w momencie, gdy Martha oświadczyła, że wyjdzie za niego — po ojcowsku, a jednocześnie z pewnym szacunkiem:

— Chodźmy gdzieś i napijmy się czegoś, żeby to uczcić.

Martha odparła szybko:

— Ale obie musimy pójść do pani Van der Bylt, ona chce się z nami zobaczyć.

Jasmine potwierdziła z poważną miną:

— Tak, Matty ma obowiązki, czy bierze ślub, czy nie.

Martha usłyszała jakiś władczy ton w jej głosie. Ujęła rękę Antona w dłoń i powiedziała:

— Spotkamy się w grill-barze, gdy tylko ja i Jasmine skończymy. — W ten sposób wyraziła solidarność z nim, a nie z nią.

Anton odparł z ulgą:

— Oczywiście, że musisz pójść do pani Van der Bylt. Będę czekał.

Uśmiechnął się do Marthy z nietypową dla niego wdzięcznością i odszedł, a dwie kobiety ruszyły do pani Van der Bylt, w której gabinecie, jak się okazało, panował taki tłok, że ledwie znalazły dla siebie miejsce. Byli tam wszyscy członkowie parlamentu, a także pan Playfair, Johnny Lindsay, Jack Dobie, Marie i Piet Du Preez oraz Murzyn, pan Matushi.

Wszystko wskazywało na to, że nastąpił jakiś kryzys, do którego doszło w sposób następujący.

Do gabinetu pani Van der Bylt — przez wiele lat radnej w miasteczku i przewodniczącej kilku organizacji dobroczynnych — zawsze przychodziło mnóstwo ludzi, którzy prosili o radę i pomoc. Ostatnio było wśród nich znacznie więcej czarnych i kolorowych niż zwykle. W tym czasie powstało kilka murzyńskich zrzeszeń, pod względem formy i ducha podobnych do stowarzyszeń wzajemnej pomocy, charakterystycznych dla wczesnego brytyjskiego ruchu związkowego, jednak z tą szczególną aurą, typową dla murzyńskiej świadomości z tego okresu: smutną, niepewną, pełną lęku. Przywódcy



tych nowych organizacji bardzo często zjawiali się u pani Van der Bylt. Taką funkcję pełnił w wielu przypadkach pan Matushi, który, podobnie jak ona sama, Jasmine i członkowie grupy, potrafił występować bez przygotowania w rozmaitym charakterze. W tym tygodniu, prosząc panią Van der Bylt o poradę jako przewodniczący Afrykańskiej Ligi Postępu, gładko wcielił się w rolę przywódcy afrykańskiej frakcji laburzystów, czyli Partii Pracy — jeśli w ogóle taka frakcja miała szansę powstać. Pani Van der Bylt entuzjastycznie stwierdziła, że dobrze by było, gdyby spośród parlamentarzystów jeden czy dwaj udali się do dzielnicy ludności kolorowej, aby wyjaśnić Murzynom pewne kwestie prawne. Pan Matushi zgodził się ochno. Pani Van der Bylt poprosiła więc superintendenta dzielnicy czarnych — dżentelmena podlegającego jej jako radnej — żeby udostępnił jej salę zebrań na sobotnie popołudnie. Popierając ten pomysł, pan Matushi wystąpił w imieniu czarnych członków partii socjaldemokratycznej.

Kiedy Jasmine i Martha zrozumiały, jak niezręczna wyniknęła sytuacja, mimowolnie wymieniły rozbawione spojrzenia — i pani Van der Bylt popatrzyła na nie surowo, jakby chciała zaznaczyć, że to nie pora na żarty. Wyjaśniło się więc, dlaczego pan McFarline, pan Thompson o zielonkawym odcieniu twarzy, a nawet pan Playfair są tak wzburzeni, a Jack Dobie, Johnny Lindsay i państwo Du Preez mają ironiczno-zadowolone miny. Krótko mówiąc, reakjoniści uważali, że pani Van der Bylt postawiła ich przed faktem dokonanym, choć prawda była taka, że potrzeba porady i wsparcia ze strony Murzynów stała się już tak silna, iż po prostu przyspieszyła bieg wydarzeń, pogłębiając rozłam wśród białych — rozłam, który bolał matczyne serce przewodniczącej i wywołał

kryzys, zanim jeszcze pani Van der Bylt zaczęła do niego dążyć.

Pan McFarline, wysłuchawszy pani Van der Bylt, oświadczył stanowczo, że żadna afrykańska frakcja nie istnieje, bo partia nie przeprowadziła jeszcze głosowania w sprawie powołania jej do życia. Dlatego też planowanego zebrania w dzielnicy czarnych nie można nazwać zebraniem frakcji afrykańskiej. A zatem, ponieważ już nie da się go odwołać, proponuje, aby określić je jako nieformalne spotkanie Murzynów pod przewodnictwem kilku Europejczyków.

Pan Thompson powiedział:

— Odpowiadam przed ludźmi, którzy na mnie głosowali, i wiem, że żaden z nich by się nie zgodził, aby biali agitowali w dzielnicy czarnych.

Pani Van der Bylt odparła na to gładko, że na zebraniu oczywiście powinni zabrać głos ludzie odpowiedzialni, i nalegała, żeby wśród nich znalazł się pan McFarline.

Pan McFarline oznajmił pospiesznie, że tego popołudnia odbywa się zebranie najwyższych władz partii. Pan Thompson też musiał się na nim stawić. Pięciu innych parlamentarzystów wracało tego popołudnia do swoich okręgów wyborczych. Z zebranych pozostał więc tylko jeden poseł, Jack Dobie, który, z nieznacznym uśmiechem, zapytał kolegów, czy nie mają nic przeciwko temu, aby reprezentował ich wobec Murzynów.

Pan McFarline odrzekł ponuro, że jeśli Jack Dobie zobowiąże się do czegoś w imieniu partii, to będzie miał kłopoty.

Na co Jack odparł, że z przyjemnością wystąpi w swoim imieniu, ponieważ nie ma zamiaru przedstawiać poglądów drogich kolegów w kwestii kolorowych — nie przeszłyby mu przez gardło.

A wtedy pan Thompson zauważył, że teraz bez dwóch zdań najważniejsze jest, aby prasa nie dowiedziała się o konflikcie w łonie partii, bo jeśli wiadomość o tym dostanie się do gazet, oni wszyscy stracą swoje mandaty.

Pani Van der Bylt przyznała mu rację i członkowie parlamentu wyszli razem, zostawiając Jacka, Johnny'ego, Jasmine, Marthę i państwa Du Preez.

Pani Van der Bylt poinstruowała ich wobec tego, co mają robić tego popołudnia. Pan Playfair i Jack zasiądą w prezydium razem z nią i panem Matushim — który przez cały ten czas siedział cicho i z czujnym, podejrzliwym uśmiechem obserwował pana McFarline'a oraz jego grupę — a Marie, Piet, Jasmine i Martha zajmą się sprzedażą literatury przy stoliku.

Literatura była już przygotowana. Pani Van der Bylt, jako wieloletnia działaczka organizacji dobroczynnych, wydrukowała na własny koszt kilka pożytecznych broszur i miała je w zanadrzu: *Jak utrzymać dziecko w czystości*, *Jak wyżywić rodzinę*, *Jak zabijać muchy*. Trzy inne natomiast wyrażały poglądy jej drugiego ja, być może tego prawdziwego: *Murzynko, nie jesteś niewolnicą!*, *Jak prowadzić zebrania*, *Zasady ruchu związkowego*.

Na koniec, wciąż siedząc za biurkiem, uśmiechnęła się dziarsko do czwórki komunistów, po czym stwierdziła:

— Tak, wiem, że wolelibyście sprzedawać materiały o Armii Czerwonej, ale proszę, dziś wstrzymajcie się od tego.

Jasmine i Martha ruszyły do grill-baru i w drodze rozmawiały o planowanym zebraniu. Przede wszystkim żadna z nich nigdy wcześniej nie była w dzielnicy czarnych; po drugie, nie miały pewności, czy jako rewolucjonistki powinny sprzedawać broszury poświęcone problemom społecznym. Jednakże Jasmine rozstrzygnęła ten problem, mówiąc:

— Na początku rewolucji rosyjskiej towarzysze jeździli w zacofane rejony, żeby walczyć z analfabetyzmem i uczyć higieny, więc chyba nie ma w tym nic złego, prawda?

Anton już na nie czekał. Przyszli też Maisie i Andrew. Pili we troje wino i byli już pod dobrą datą, więc Martha i Jasmine musiały sobie przypomnieć, że to w końcu przyjęcie weselne. Zamówili suty obiad. Martha jadła posłusznie, zauważając, że staje się tym weselsza, im większy ogarnia ją niepokój. Żartowała i gawędziła, a jednocześnie prowadziła wewnętrzny dialog sama z sobą. A gdyby tak Anton nie zorganizował nic specjalnego, czy nie byłoby mi przykro? Uznałabym, że brak mu wyobraźni? To dlaczego tak mnie to drażni? Wczoraj powiedział coś, co mi się spodobało: „Ależ, Matty, nie bój się, nie stracę zdrowego rozsądku. Nie doszłoby do tego małżeństwa, gdyby nie zaszły szczególne okoliczności, więc oboje musimy podchodzić do niego trzeźwo...”. Tylko wolałabym, żebyśmy zrobili jak Marjorie i Colin czy Andrew i Maisie — którzy wzięli ślub i dopiero później powiadomili o tym resztę. Nie znoszę, gdy Anton stara się na siłę być wesoły i robić, co należy...

Te smętne myśli towarzyszyły jej przez cały długi obiad w małej dusznej sali, pełnej biznesmenów zawierających umowy podczas lunchu.

Pod koniec Maisie zapytała Marthę, czy koniecznie musi iść na to zebranie: „Na pewno ten jeden raz obędą się bez ciebie?”. Ale ta, chociaż wiedziała dobrze, że to, czy się tam zjawi, czy nie, nie robi żadnej różnicy, stwierdziła, że oczekującej i musi pójść. I znowu poczuła na sobie domyślne spojrzenie Jasmine.

Rozstali się na chodniku, Anton pocałował Marthę przy wszystkich, dziwnie żartobliwie jak na niego.

Martha i Jasmine ponownie ruszyły w drogę, tym razem samochodem Jasmine, do którego goniec pani Van der Bylt zapakował broszury. Marthę ogarnęły wyrzuty sumienia: powinna była zostać z Antonem. Jasmine nic nie mówiła. Zająwszy miejsce w samochodzie, Martha przybrała więc nienaturalnie wesoły ton, który przypominał zachowanie Antona sprzed kilku chwil:

— Moim zdaniem cała ta instytucja małżeństwa powinna zostać zniesiona.

Jasmine, która postanowiła chronić Marthę przed nią sama, odparła szybko:

— Anton niewątpliwie sprawił nam przyjemność. — Przyjrzała się pełnej niepokoju twarzy Marthy i rzuciła przepraszając: — Wiesz, Matty, czytałam ostatnio coś takiego: bunt ludzi z klasy średniej polega na tym, że przechodzą oni do cyganerii artystycznej. Zbuntowana klasa robotnicza natomiast czuje potrzebę przestrzegania zasad.

Martha zorientowała się, że Jasmine mówi o nich obu, i zachciało jej się śmiać na myśl, że ta poważna, rozsądna dziewczyna uważa się za artystkę. A więc Anton dlatego z taką determinacją stara się zachowywać poprawnie, że pochodzi z klasy robotniczej? W takim razie ona sama jest snobką. Ale ta cała teoria wydała jej się nieprawdziwa i powiedziała to Jasmine, która odparła, że to „powszechnie znana prawidłowość”, i przez całą drogę do dzielnicy czarnych mówiła o zagrożeniach związanych z przynależnością do bohemy.

W pewnym momencie porządna droga ustąpiła zrytej koleinami czerwonej suchej ziemi i zorientowały się, że są już blisko celu. Samochód podskakiwał na wybojach i za pomocą klaksonu torował sobie drogę wśród krzyczących, śmiejących się, żywo gestykujących Murzynów na rowerach.

Sala zebrań, pełna pyłu nieduża stodoła, stojąca przy kępie zakurzonych drzew, wyróżniała się spośród otaczających ją zabudowań tym, że stało przy niej pięć eleganckich samochodów, które pojawiły się tu z powodu popołudniowego zebrania. Wóz Jasmine był szósty.

W środku na ławkach tłoczyli się ludzie w wytartych, połatanych, ale przyzwoicie wyglądających ubogich ubraniach; siedzieli w milczeniu, patrząc na podium, na którym zajmowała miejsce pani Van der Bylt. Ta niedbająca o stroje kobieta miała na sobie elegancką popołudniową sukienkę, którą wyjęłaby z szafy raczej na garden party albo na otwarcie kiermaszu dobroczynnego, poirytowana, że musi liczyć się z konwenansami; teraz jednak włożyła ją na tę okazję, aby okazać zebrany szacunek. Obok niej siedział Johnny Lindsay w koszuli z krótkimi rękawami, a jego szlachetna twarz o wyrazistych rysach na zmianę uśmiechała się zachęcająco do Murzynów i wyrażała dyskretną aprobatę dla pani Van der Bylt. Jack Dobie, reprezentujący parlament, zajmował miejsce po jej drugiej stronie; jego drobne, pełne wigoru ciało znajdowało się w pełnej gotowości, głowę przechylił na bok, jakby nasłuchiwał czegoś zza kulis, co zwiastowałoby jakąś komiczną katastrofę.

Stolik z literaturą stał przy drzwiach. Nie podchodził do niego żaden z czarnych. Wśród publiczności nie było ani jednej kobiety, sprzedający więc usunęli na bok broszury o charakterze poradnikowym, typu *Jak utrzymać dziecko w czystości*.

Kiedy pani Van der Bylt wstała, żeby zabrać głos, zebrani podnieśli się jednocześnie, zaczęli rytmicznie klaskać i nie chcieli przestać, dopóki gestem Kanuta nie dała im znaku, żeby usiedli. Potem oświadczyła, rozsądnie i ostrożnie, w du-

chu ustaleń podjętych podczas nieoficjalnego spotkania, które tego przedpołudnia odbyło się w jej gabinecie: to nie jest zebranie partii socjaldemokratycznej, znanej jako Partia Pracy, a zasiadających w prezydium nie należy uważać za jej przedstawicieli, wszyscy tu obecni przybyli jako osoby prywatne i jeśli zabiorą głos, będą przedstawiali własne poglądy. Słuchający pochylili się, marszcząc czoła raz po raz. Ale zanim pani Van der Bylt doszła do końca swego przemówienia, wstał pan Matushi, który oznajmił z pasją, że wszyscy tu obecni są pełnoprawnymi, płacącymi składki członkami Partii Pracy — to znaczy partii socjaldemokratycznej — a biali, którzy przybyli, należą do jej kierownictwa, więc w imieniu wszystkich chciałby otworzyć pierwsze zebranie polityczne tejże partii w dzielnicy czarnych. W tym momencie superintendent dzielnicy, który stał przy wejściu jak wartownik, z pełną dezaprobatą miną, opuścił salę, prawdopodobnie po to, żeby zatelefonować do kogoś z władz.

Na to wstał Johnny Lindsay i mimo burzliwych oklasków, które zagłuszały każde jego słowo, usiłował zaznaczyć, że wszyscy są tutaj tylko prywatnie.

Słuchacze znowu wstali i kilku mężczyzn zaczęło przekrzykiwać się nawzajem. Pani Van der Bylt ruchem głowy dała znak jednemu z nich, który zawołał z entuzjazmem na twarzy:

— Teraz przynajmniej wiemy, że jest kilku Europejczyków, którzy mają dla nas serce, teraz wiemy, że mamy wśród was przyjaciół!

Rozległ się pomruk aprobaty i trzy osoby siedzące na podwyższeniu spojrzały na siebie surowo, ale z zadowoleniem pokiwały głowami, rezygnując w tej chwili z wszelkich prób opanowania tej fali entuzjazmu.

Następnie wstał człowiek, który siedział sam na końcu szeregu. Był to Elias Phiri, który chciał wiedzieć, dobrze znając gładki język przemówień publicznych, czy to jest, czy nie jest oficjalne zebranie partii socjaldemokratycznej, i czy publiczność ma traktować wypowiedzi prezydium jako oficjalną linię polityczną. Zauważył obecność pana Dobiego, jak wszyscy wiedzieli, członka parlamentu, i z niecierpliwością czekał na jego wystąpienie. Po czym zamilkł i usiadł; a wszyscy Murzyni na sali popatrzyli na niego, niewątpliwie swojego rzecznika, z czymś w rodzaju nabożnego lęku. Rozległ się szmer przypominający syk — zebrani wstrzymali oddech. I ich oczy powoli zwróciły się na Jacka Dobiego, który właśnie wstał.

Na początku oświadczył, że wspiera awans społeczny czarnych... ale jakiś mężczyzna podniósł się i zawołał:

— Awans, panie Dobie?! Chyba równość... od wielu lat czytamy pańskie odważne przemówienia. Przemawiał pan za nami, chce pan dla nas równości!

Jack Dobie, z głową przekrzywioną na bok i powściągliwym uśmiechem, zawahał się przez chwilę, a potem rzucił w stronę skupionej i pełnej oczekiwania publiczności, że jest starym socjalistą, pochodzi z miasta w Szkocji, które słynie z radykalizmu i tradycji socjalistycznych, mianowicie z Clyde, i wierzy w braterstwo ludzi wszystkich ras... W tym punkcie zgromadzonych niczym pożar ogarnęło żywiołowe poczucie jedności z prezydium, które porzuciło wszelkie próby powściągnięcia swoich wypowiedzi, zapominając o wyborcach, białych obywatelach i gazetach.

Po kolei spośród zebranych wstawali teraz ludzie, ożywieni, przejęci, pełni pasji ludzie, trzymający w rękach małe kartki, na które nawet nie patrzyli, ponieważ gniew i nadzieja podsuwały im właściwe słowa, a te wywoływały śmiech



publiczności, oklaski, głosy aprobaty. Wszyscy oni domagali się sprawiedliwości, wolności, braterstwa, życzliwości, zrozumienia; dawali wyraz wszelkim krzywdom, jakie ich spotkały — posługując się oficjalnie brzmiącymi sformułowaniami z raportów rządowych czy gazet białych — podnosili sprawę edukacji dla swoich dzieci, konieczności posiadania przepustek, braku praw wyborczych, rekwirowania bydła dla rezerw wojskowych; i każda z tych cegieł w gmachu ich niewoli stawała się kolejnym stopniem w płomiennej oracji. Członkowie prezydium odpowiadali na pytania, korygowali nieścisłości w wypowiedziach prelegentów i uśmiechali się, podczas gdy komuniści siedzący przy stoliku z literaturą patrzyli i słuchali, ujęci tą determinacją, poczuciem jedności i braterstwa, bijącymi z sali i rozchodzącymi się wokół jak dźwięk bębnow, czując, że przynajmniej znaleźli się w pobliżu źródła, z którego zrodziła się potrzeba ich służby.

I niebawem zatarła się różnica między członkami prezydium a sprzedającymi literaturę; jeden z uczestników zebrania zapytał, dlaczego biali robotnicy — „bo skoro żyją z pracy rąk, to są robotnikami, tak siebie nazywają” — nie wspierają Murzynów, swoich towarzyszy, w walce o prawo do wykonywania prac wymagających kwalifikacji. Pani Van der Bylt dała znak Piętowi, członkowi komitetu wykonawczego związku zawodowego budowniczych, ten zerwał się na swoje długie nogi i niezgrabnie wszedł na podium, a następnie mówił przez pół godziny o zasadach ruchu związkowego. Był też taki moment, że pani Van der Bylt przerwała szczerłemu, zgarbionemu nauczycielowi w okularach, który żądał prawa do edukacji dla Murzynów — „bo jeśli jesteśmy dziećmi, jak mówią Europejczycy, to jako dzieci domagamy się dostępu do oświaty, żebyśmy mogli wyrosnąć na ludzi” — i zwróciła mu uwagę:

— Na mężczyzn i kobiety, proszę pana, jeśli mogę zauważyć, bo dziś nie ma tu żadnej kobiety. A dlaczegoż to? Czy żony mogą gotować i wychowywać wasze dzieci, a nie mogą stanąć z wami do walki?

Publiczność wydawała się speszona, ale raczej ze względu na szacunek dla pani Van der Bylt, a nie ze względu na siłę jej argumentów. Ta poprosiła więc Marie Du Preez, jako sekretarza organizacji kobiecej i eksperta w tej kwestii, żeby przedstawiła zebrany postępy w dziedzinie wyzwolenia kobiet. Marie odpowiedziała na uśmiezek ze strony męża dumnym uniesieniem głowy i weszła skromnie na podium. Podobnie jak pani Van der Bylt, tego dnia włożyła popołudniową sukienkę, z szacunku dla Murzynów, i gdy tak stała przed publicznością, ze swoją szeroką, lekko zarumienioną twarzą, w zwojach kwiecistego jedwabiu spowijającego jej energiczne ciało, ze stopami tkwiącymi w pantoflach na wysokich obcasach, które zaczęły ją obcierać (zrzuciła je pod stolikiem z literaturą), wyglądała jak wcielenie białej missus, całe życie dyrygującej czarną służbą.

— Kwestia praw kobiet — zaczęła poważnym głosem — jest bardzo skomplikowana...

Na co Piet, siedzący między Jasmine a Martha, które zresztą powiedziały mu, że powinien się wstydzić, rzucił głośno, wciąż uśmiechając się jak pan i władca: — Nie musisz mi mówić!

Marie urwała w połowie zdania i popatrzyła w jego stronę. Oparła ręce na biodrach, przyjęła postawę amazonki i obrzuciwszy męża przeciągłym, pełnym wyższości spojrzeniem, znowu powoli zwróciła spojrzenie na zebranych, po czym zmieniła ton:

— Wszyscy powinniście się wstydzić! Mężczyźni! Jeśli

coś mnie przekonuje, że kolor skóry nie ma znaczenia, to właśnie to, że mężczyźni zawsze będą mężczyznami, czy są czarni, czy biali. Nie wmówicie mi, że jest inaczej! Jest was tu około sześćdziesięciu, a wasze słabe kobiety krzątają się w domu, żeby było wam wygodnie i żebyście mieli co jeść. Dyskutujecie, podejmujecie decyzje jak wielcy panowie, a po powrocie mówicie tylko: „Obiad gotowy?!“.

Mężczyźni słuchali, nie bardzo wiedząc, co o niej myśleć; zobaczyli jednak, że jej mąż siedzi rozparty na krześle i obserwuje ją z pełną uznania ironią, i powoli zaczęli się uśmiechać, a potem śmiać, nie z niej, ale z nią. Marie, wyprostowana, pewna siebie, zjedną ręką na biodrze, kiwając palcem, upomniała ich zbiorowo i opowiedziała pokrótce o ruchu sufrażystek, którego historia, jak zauważyła, może im się jeszcze przydać, bo jeśli będą traktować swoje kobiety jak do tej pory, a przecież uważają się za czarną inteligencję, ona, Marie Du Prez, osobiście dopilnuje, żeby Murzynki z miasteczka przystąpiły do tego ruchu.

W tym momencie wrócił superintendent, równie nachmurzony jak wtedy, gdy wychodził. Stał w drzwiach dość zdziwiony; Marie bowiem perorowała podniesionym głosem, nazywając siedzących przed nią mężczyzn bezwzględными wyzyskiwaczami ludzkiej siły roboczej, aroganckimi nadzorcami niewolników, małymi domowymi dyktatorami. Potem, rezygnując ze słuchania, podszedł do prezydium i powiadomił panią Van der Bylt, że zebranie przekroczyło już o pół godziny wyznaczony czas i natychmiast musi je zamknąć.

Ponieważ wykład na temat praw kobiet został nagle przerwany, Marie wróciła do stolika, usiadła obok męża i zauważyła:

— Ty stary baranie, teraz wiesz, co myślę, ty i reszta z was, rzekomych komunistów!

Na co odparł, udając, że kuli się ze strachu:

— Czy dostanę dziś obiad?

A ona rzuciła z godnością:

— Poczekaj, to zobaczysz.

Ale nie mogła wytrwać w tej postawie. Nagle zarumieniła się i uśmiechnęła w odpowiedzi na jego szeroki uśmiech. I powiedziała już normalnym głosem:

— Wszystko jedno, jesteś nie do wytrzymania i taka jest prawda.

Ludzie już zaczęli wstawać i gdy trójka prowadząca zebranie opuściła prezydium, otoczyły ich grupki natarczywych, zaniepokojonych Murzynów, jakby osobisty kontakt mógł w jakimś stopniu zaspokoić ich zbiorowy głód akceptacji. Niektórzy z nich tłoczyli się też wokół stolika z literaturą. Po chwili zniknęły wszystkie egzemplarze *Zasad ruchu związkowego* i *Jak prowadzić zebranie*, choć broszury z zakresu problematyki społecznej pozostały nietknięte. Superintendent stał przy stoliku, patrzył i notował tytuły publikacji.

Gdy biali opuścili salę, podeszła do nich grupa kobiet, stojących przy kępie drzew. Wypchnęły naprzód kilkoro małych dzieci z bukietami kwiatów, a te, nie bez ponagleń, wręczyły kwiaty każdemu z nich. Nastąpiły uśmiechy, nieśmiałe ukłony, kiwania głowami.

Martha i Jasmine wsiadły do samochodu; na kolanach miały bukiety, ale były bardzo przygnębione. Jasmine zbierało się na płacz.

— Nie ma znaczenia, co się robi w tym przeklętym miejscu! — wybuchła. — Wszyscy uprawiamy tylko działalność charytatywną! I wiesz, Matty, co czułam cały czas? Nienawidziłam tych ludzi za to, że są tak cholernie wdzięczni, a jednocześnie byłam coraz bardziej zadowolona z siebie... —

Tu rozpłakała się i Martha objęła ją ramieniem. Czuła się tak samo i miała do siebie o to pretensje.

Niemal natychmiast Jasmine się opanowała i powiedziała:

— Przepraszam, Matty, zapomniałam, że to dla ciebie szczególny dzień. Nie proponuję, że pomogę ci przenieść rzeczy... pewnie wolisz to zrobić sama. A ja dla odmiany spędzę wieczór z rodzicami.

— Odzywają się już do ciebie?

— Próbują wydać mnie za mąż za kolegę ojca, jakiegoś biznesmena.

Usiłowała się roześmiać, ale bez powodzenia.

— Wiesz, Matty, tak sobie myślę... Nie wiem, jak to powiedzieć... ale pojedę do domu, dom to dom, nic się w nim nie zmienia, mama i tata są zawsze tacy sami, i kiedy tam jestem, prawie zapominam, jak bardzo świat się zmienia i jak to jest w grupie. I gdybym wyszła za mąż za tego człowieka, który, hm, jest całkiem miły, to za kilka lat byłabym taka jak oni, myślałabym tak jak oni... rozumiesz, Matty? Są takie chwile, gdy to wszystko mnie przeraża.

Tu nerwowym ruchem, mocno ucisnęła Marthę za ramiona i zawołała z pełną rozpaczą wesołością: — A tam, nie ma się czym przejmować, za sto lat i tak już nas dawno nie będzie!

Martha zastała Antona wśród spakowanych walizek i stosów książek; siedział na łóżku w swoim pokoju hotelowym i czekał na nią. Umowa na wynajem mieszkania nie została jeszcze podpisana i chciał, żeby Martha poszła do notariusza i załatwiła to. Martha tymczasem spodziewała się, że on się tym zajmie, zwłaszcza że znalazła już odpowiednie mieszkanie, spotkała się z notariuszem oraz właścicielem i ustaliła warunki.

— Byłam na zebraniu — zauważyła — myślałam, że ty tego dopilnujesz. — Zabrzmiało w tym rozdrażnienie, więc

czym prędzej zmieniła ton na żartobliwie utyskujący: — Ależ, Anton, wystarczyło tylko złożyć podpis na dokumencie.

Odparł szybko, z nutą w głosie, której do tej pory nie słyszała, zrzedliwą i pełną pretensji: — Matty, ty jesteś w tym lepsza ode mnie.

Martha zamilkła ze zdziwienia. Nigdy nie uważała się za szczególnie sprawną w załatwianiu takich rzeczy; to raczej on był organizatorem, czyż nie?

Obiecała jednak, że pójdzie do notariusza, zanim zamkna biuro, podpisze umowę, odbierze klucze i spotka się z nim przed drzwiami mieszkania.

— Ależ, Matty, jak się zabiorę z tymi wszystkimi bagażami? — Spojrzał na nią spokojnie, czekając, żeby rozwiązała i ten problem.

— Anton, na miłość boską! Wezwij taksówkę albo zadzwoń do Jasmine i pożycz od niej samochód.

W jego oczach pojawił się błysk niechęci. Była tym zaskoczona i przestraszona. Zażegnała konflikt, przybierając ton, którego nie znosiła, wesoły i perswadujący:

— Ależ, Anton, kochanie, jak możesz być takim głup-tasem?

Pocałowała go, on się rozjaśnił i powiedział gderliwie:

— Oczywiście, masz rację, Matty.

Zostawiła go więc, wybiegła na ulicę, bo było już późno, i na chodniku prawie wpadła na młodego mężczyznę, który zwrócił się do niej:

— Pani Knowell, chwileczkę. — Zatrzymała się. — Była pani po południu na wiecu w dzielnicy czarnych? Zechciałaby się pani na ten temat wypowiedzieć?

— Po co?

— Jestem z „News”.

Martha natychmiast oprzytomniała i rzuciła:

- Proszę pójść do pani Van der Bylt.
- Ale nie ma jej w biurze, w domu też jej nie zastałem.
- Cóż, przykro mi... bardzo się spieszę. — Martha odeszła szybkim krokiem, myśląc: kłopoty, kłopoty, kłopoty! Zapomniała jednak o tym, bo musiała podpisać umowę i doprowadzić mieszkanie do jako takiego stanu, żeby można było wprowadzić się do niego przed nocą, a jeszcze nie kupiła nic do jedzenia. Zrozumiała bowiem, że organizacja życia od tej pory spocznie na jej barkach. Jej obraz Antona tak się zmienił, że potrzebowała czasu na przemyślenie tego.

## Rozdział czwarty

Po powrocie do domu z „wiecu w dzielnicy czarnych” (najpierw użyli tego sformułowania dziennikarze i przyjęło się; później, gdy ktoś mówił o „wiecu w dzielnicy czarnych”, to równie dobrze mógłby powiedzieć: „w tym roku, w którym wybuchła wojna”), pani Van der Bylt stanęła w obliczu dobrze znanych, niecierpiących zwłoki problemów, które wyłącznie ona mogła rozwiązać. Gdy tylko weszła, jej mąż wytknął głowę zza drzwi swojego gabinetu i zapytał, gdzie służący położył jego okulary. Równocześnie pojawił się chłopiec do posług — właśnie ten służący — który oznajmił, że w salonie czeka na nią missus.

— Missus bardzo chce się z panią zobaczyć, missus — powtórzył ten młody człowiek w poufały, swobodny sposób zadowolonego służącego w porządnym, feudalnym domostwie.

- Kto to jest, Mutisi?
- Pani Maynard, missus.
- Powiedz jej, proszę, że przyjdę, jak tylko będę mogła, ale to może potrwać kilka minut.



Pani Van der Bylt wkroczyła do gabinetu męża, zapukawszy wcześniej i poczekawszy na zaproszenie do środka.

Pan Van der Bylt był jednym z kilku miasteczkowych prawników. Ten szczupły, siwowłosy, obdarzony kąśliwym poczuciem humoru i precyzyjnie wystawiający się džentelmen był równie popularny w swoich kręgach, jak jego żona w swoich. Kojarzono go z rodzajem spraw, które w małym miasteczku gorzej sytuowani obywatele śledzą niczym przedłużające się zawody sportowe, ze złośliwą satysfakcją. Specjalizował się w prawie o spółkach, górniczym i obrocie nieruchomościami, czyli miał do czynienia ze sporami dotyczącymi praw własności, lecz ostatniej instancji. Nigdy, z wyjątkiem początków swojej kariery, nie podejmował się spraw dotyczących morderstw, napadów, użycia przemocy czy ścigania długów. Nudziły go konflikty wynikające z ludzkich namiętności; wyraz jego twarzy, gdy jako młody prawnik wbrew swojej woli był w nie angażowany, zdradzał lekki niesmak. Gdy jednak dwie duże kopalnie wchodziły w spór, jedna grupa prasowa walczyła z drugą albo sieć sklepów rywalizowała o dusze mieszkańców miasteczka z konkurencją, był w swoim żywiole. Przy takich okazjach zamykał się w swoim gabinecie i tygodniami niczym szachista studiował kruczki prawne. Zapracowani prawnicy, którzy wprowadzali go w daną sprawę, robili to z ulgą, bo nie musieli wykonywać czarnej roboty, przygotowując się do niej, gdy on występował jako obrońca albo oskarżyciel. Dlaczego ktoś, kto miał temperament prawnika, przyjął tytuł radcy królewskiego, nie rozumiał tego nikt oprócz jego żony, która wiedziała, że zrobił to, aby nie być zmuszonym angażować się w te inne sprawy, bardziej przyziemne, brudne przypadki przestępstw z afektu. Kiedy pani Van der Bylt to pojęła, na samym

początku ich małżeństwa, zaczęła spoglądać na niego nie z ironią, bo na coś takiego by sobie nie pozwoliła, ale z pewnym spokojnym krytycyzmem.

Co ciekawe jednak, w odczuciu białych obywateli miasteczka pan Van der Bylt odgrywał taką samą rolę w swojej dziedzinie, jak jego żona w swojej. Ten drobnomieszczański naród potrafił obronić i usprawiedliwić na rozmaite sposoby teorię, którą wyrażają w języku potocznym stwierdzenia: „Jeśli człowiek ma w sobie odrobinę iskry bożej, jest w stanie czynić dobro”, „Człowiek musi polegać na sobie”, „Człowiek musi mieć inicjatywę”. Nienawidzili „wielkiego biznesu” bardziej niż diabła czy nawet czarnych z kolonii. Nienawidzili karteli, zarządów powierniczych i syndykatów, a nade wszystko „kompanii”, która niegdyś rządziła tym terytorium, potem została oficjalnie wywłaszczona przez zgromadzenia ustawodawcze, ale, żeby się tak wyrazić, zeszała do podziemia, przyjmując setki różnych nazw i form. Dlatego, gdy nazwisko pana Van der Bylta pojawiało się na stronach „News” dzień po dniu przez całe tygodnie, ci kochający niepodległość obywatele mieli wrażenie, że jego suchy, pozbawiony emocji ton, kiedy przemawia, w jakiś sposób wyraża ich nienawiść do kapitału finansowego lub zachwyty, gdy demaskował „brudne gierki na górze”. Nic bardziej by nie zdziwiło pana Van der Bylta niż taki jego obraz, ponieważ na żaden przypadek nie patrzył inaczej niż z prawnego punktu widzenia.

Ostatnio jednak przyjął nietypową dla niego sprawę. Dwaj drobni farmerzy z E., afrykanerzy, od lat toczyli spór o jakiś płot graniczny. W grę wchodziły setki jardów ziemi. Ich wzajemna nienawiść osiągnęła taki punkt, że jeden z nich wywołał pożar weldu na terenie należącym do drugiego (twierdził, że to jego ziemia i że miał prawo ją spalić),

niszcząc nie tylko jego, ale i własne pastwiska w tym sezonie. Pan Van der Bylt zagłębił się w tę sprawę z nieznaną mu dotąd przyjemnością. Pochodził z młodszej gałęzi starego, szanowanego rodu z Prowincji Przylądkowej, rodu, który czerpał korzyści z dóbr ziemskich. W tych tygodniach pani Van der Bylt krzątała się więc wokół męża z nowym dla niej, wręcz radosnym uznaniem. Pan Van der Bylt nie rozumiał powodu takiego jej zachowania; był nim zaniepokojony.

Był mężczyzną, który wymagał dużo uwagi ze strony żony. Będąc w domu, siedział w gabinecie w starym szlafroku i kapciach i stale wzywał żonę, żeby pograła z nim w karty, poczytała mu albo ułożyła poduszki i znalazła jego książki. Był inwalidą, a przynajmniej za takiego uchodził.

Tego wieczoru przez ponad godzinę odbierał telefony z „News”. Dziesięć razy powtarzał, że nie zajmuje się sprawami żony i nie wie nic, co mogłoby zainteresować prasę. Teraz więc, gdy pani Van der Bylt odnalazła jego okulary, zagadnął ją:

— Cóż, moja droga, miałaś udane popołudnie? — A jego suchy, uprzejmy głos, znany w miejskich sądach, zabrzmiał jak skrzypienie zamykanych drzwi.

— Właściwie było dość udane — odparła. Usiadła na krześle, prostując plecy. Od kilku miesięcy dokuczały jej bóle krzyża. To z przepracowania, pomyślała. Odpocznie później, „kiedy nie będzie tylu spraw”. Rozumiała przez to: „kiedy skończy się kryzys polityczny”; w pewien sposób cierpiała bowiem na czarnowidztwo. Sytuacja wygląda fatalnie, myślała, „problem tubylców” stał się już tak poważny, jest tylu nieszczęśliwych ludzi, że tak nie może trwać dłużej. Na pewno zwycięży zdrowy rozsądek i wtedy będzie mogła odpocząć. Tymczasem siedziała naprzeciwko męża i czekała,

świadoma, że pani Maynard dwa pokoje dalej już się niecierpliwi. Ale od początku małżeństwa rozumiało się samo przez się, że pani Van der Bylt ma przede wszystkim obowiązki wobec dzieci, potem wobec męża i dopiero na końcu wobec innych, związanych z jej pracą. Pani Maynard musiała więc zaczekać.

Pan Van der Bylt pracował tego wieczoru nad skomplikowanym transferem udziałów z kopalni złota do kopalni miedzi. Pakiet kontrolny obu z nich należał do tej samej kompanii, która pod inną nazwą była częścią grupy kapitałowej z Rand\*. Transfer stanowił przedmiot sporu, ale był to spór wręcz śmieszny (a przynajmniej tak patrzył na to pan Van der Bylt), ponieważ strona, która sprzeciwiała się mu, jednocześnie, pod inną nazwą, o niego zabiegała. Krótko mówiąc, były to jedne z tych ciemnych, podejrzanych negocjacji, które sprawiały zadowolenie panu Van der Byltowi, i już nie mógł się doczekać wieczoru, kiedy nastąpią analizy prawne. Od godziny jednak dzwonił telefon; i pan Van der Bylt wiedział, że zapowiada się kolejna afera prasowa, w której stale pojawiać się będzie jego nazwisko. A teraz siedziała przed nim żona, która opowiadała o jakimś zebraniu i, co prawda, patrzyła na niego, ale jej wzrok płonął pasją polityczną.

Relacje pomiędzy nimi dwojgiem układały się „harmonijnie”, jak powiadają, i choć pani Van der Bylt miała zwyczaj mawiać: „małżeństwo to kwestia kompromisu”, a pan Van der Bylt zgadzał się z nią, spokojnie, wyraźnie kiwając przy tym głową, ten stan rzeczy był efektem decyzji, które podjęła już przed bardzo wielu laty.

Ta kobieta doznała w życiu dwóch objawień o doniosłym

\* Rand, właśc. Witwatersrand — obszar wzniesień wysokości 1700—1800 m. n.p.m. w Afryce Południowej, gdzie wydobywano złoto.

znaczeniu. Pierwsze przeżyła, kiedy jako osiemnastoletnia dziewczyna, już zaręczona z obiecującym młodym prawnikiem, synem przyjaciela jej ojca, została przez ciotkę zabrana do Anglii i do Szwajcarii, żeby poszerzyć swoje horyzonty. Podobnie jak jej przyszyły mąż, wywodziła się ze starej rodziny z Prowincji Przylądkowej, dającej jej solidne zaplecze i oparcie, a wychowała w małej sennie wiosce w Afryce Południowej, stanowiącej główny ośrodek sadownictwa w prowincji. Ciotka była przyzwoitą, przedsiębiorczą kobietą, która lubiła powtarzać bratanicy: „Musisz pamiętać, moja droga, że w Europie zupełnie nie mają pojęcia o naszych problemach z kafirami, więc lepiej nie wdawać się z nimi w dyskusje na ten temat”. Podczas podróży dziewczyna przeczytała *Historię farmy południowoafrykańskiej*\* i dokonał się w niej przewrót ideowy. Nie znalazło to jednak odzwierciedlenia ani w wyrazie jej twarzy, ani w zachowaniu, bo nadal pozwalała się zabierać na tańce i na spacery po londyńskich parkach czy przedstawiać dalekim krewnym, bo tak wchodziła w życie młoda dziewczyna z dobrego domu. Był rok 1913. Po nocach czytała jednak zakazane lektury, zdobywała gazety wydawane przez sufrażystki oraz socjalistów i po roku doszła do jednego wniosku, mianowicie takiego, że wychowała się w zacofanej części kraju, zapóźnionego w rozwoju ideowym o dziesięciolecie, i choć na jej wykształcenie wydano kilkaset funtów, nie wiedziała o świecie. Drugi wniosek był taki, że choć sympatyzowała z ideałami sufrażystek i tą częścią ruchu socjalistycznego, którego hasła określała jako „pacyfistyczne”, nie miała złudzeń, że kiedykolwiek włączy się w te wszystkie

\* *The Story of an African Farm* — wydana w 1883 r. pod pseudonimem Ralph Iron pierwsza powieść Olive Schreiner, uznana za jedną z pierwszych powieści feministycznych.

ekscytujące nurty życia europejskiego. Co więcej, uznała, że dać się im ponieść, zanim je dobrze zrozumie, byłoby głupotą. Uzmysłowała to sobie wyraźnie przy pewnej okazji. Powiedziawszy ciotce w Bernie, że idzie do kościoła, wymknęła się na kilka godzin, aby pójść na międzynarodowy kongres socjalistów. Słuchała kolejnych mówców, nie otwierając ani razu ust, nie rozmawiając z żadnym z obecnych tam ludzi, po czym wróciła do hotelu, gdzie przez kilka godzin siedziała w swoim pokoju ze złożonymi przed sobą rękami i wpatrywała się swoimi chłodnymi niebieskimi oczami w ścianę. Przypomniała sobie, z jakim ferworem przemawiali socjaliści, i orzekła: — My, w Południowej Afryce, nie osiągnęliśmy jeszcze tego etapu. A poza tym niebawem wyjdę za Jana. Kiedy będę już mężatką i osobą niezależną, zacznę się kształcić i w końcu wpadnę na to, czym powinnam się zająć. Wyobraziła sobie, jak dyskutuje o swoich nowych ideałach z mężem. Wyobraziła sobie, jak będą działać razem.

Po powrocie do domu poważnie zastanowiła się nad Janem w świetle tego, czego dowiedziała się w Europie, i uznała, że rodzice wybrali jej odpowiedniego męża. Sarkastyczne poczucie humoru i powściągliwy sposób bycia narzeczonego jakby potwierdzały, że będzie podzielał jej idee. Wyszła za niego za mąż i w ciągu miesiąca zorientowała się, że popełniła błąd, że go przerasta. Jednakże nie zrobiła tego, co robią prawie wszystkie kobiety, kiedy się dowiadują, że dokonały złego wyboru — tworzą sobie jakiś obraz swojego życia i prowadzą, czasami latami, z góry skazaną na niepowodzenie walkę na ziemi niczyjej pomiędzy tą wizją a prawdą. Powiedziała sobie, że musi rozwijać się samodzielnie, własnymi sposobami, i powinno to pozostać tajemnicą.

Zrozumiała to pewnego wieczoru, gdy mąż późno położył

się do łóżka, bo długo pracował nad sprawą, i zastał ją czytającą Ingersolla. Brał ją już w ramiona, gdy zauważył tytuł książki leżącej przy jej poduszce. Na ten widok cofnął się i odwrócił; suchym głosem z nutą rozbawienia powiedział: — Widzę, że masz lepsze towarzystwo niż moje. Śpij dobrze, moja droga. Tej nocy leżała bezsennie, przepełniona uczuciami, które — uznała — muszą zniknąć z jej życia. Uczucia są niebezpieczne. Mogą ją zniszczyć.

Zaszła już w ciążę, ale jej pierwszym dzieckiem był mąż, dlatego postanowiła, że będzie postępować tak, aby nie mógł jej już zranić.

W ciągu następnych piętnastu lat urodziła siedmioro dzieci, była oddaną matką i dobrą żoną. Nocami czytała i studiowała; książki i gazety sprowadzała z Anglii i z Ameryki. W całkowitej samotności, bo w tej małej miejscowości nie było nikogo, kto podzielałby jej poglądy, stała się ateistką i socjalistką, a także zwolenniczką równości rasowej — to ostatnie przyszło jej najtrudniej, z racji wychowania.

Kiedy mąż postanowił przenieść się z rodziną na północ, z radością przyjęła tę zmianę: jechała do stolicy, choć była to stolica kraju jeszcze bardziej zacofanego niż jej własny. Gdy już ulokowała rodzinę, rozejrzała się wokół. Zaczęła działać na rzecz organizacji kobiecych i społecznych, została radną w miasteczku i członkinią załączkowej Partii Pracy, na etapie, gdy składała się ona z kilku białych działaczy związkowych, którzy wykorzystywali hasła socjalistyczne do obrony własnych interesów, czyli żeby chronić własne standardy życia przed czarnymi robotnikami. Wkrótce została jej sekretarzem. Cierpliwie przez siedem lat pracowała nad tym, aby ta socjalistyczna z ducha partia przyjęła deklarację, że kiedy dojdzie do władzy, zrationalizuje środki produkcji, dystrybucji

i wymiany. W dniu, w którym kongres się na to zgodził, pani Van der Bylt świętowała zwycięstwo — nie sama, jak przez wiele lat świętowała swoje prywatne osiągnięcia, robiąc sobie prezent w postaci nowej książki czy zapisania się do biblioteki, ale z dwójką przyjaciół, Jackiem Dobiem i Johnnym Lindsayem. Otworzyli butelkę wina w małym domku Johnny'ego, na skraju dzielnicy kolorowych, i wypili za zwycięstwo socjalizmu na świecie i za braterstwo wszystkich ludzi.

Od tej pory partia socjaldemokratyczna stała się oficjalnie opozycją rządową. Tymczasem dzieci pani Van der Bylt dorosły. Miała dziewięcioro wnuków. Była szczęśliwą kobietą, u szczytu swoich możliwości, liczyła na miejsce w parlamencie, a nawet — w cichości ducha — w rządzie, ponieważ wiedziała, że jest bardziej kompetentna niż cały obecny gabinet, z jednym wyjątkiem, samego premiera, i bardziej efektywna niż jakikolwiek z ewentualnych jego członków, może oprócz pana McFarline'a, którego znajomość finansów bardzo szanowała, choć gardziła jego poglądami.

Pan Van der Bylt obserwował pełne determinacji postępy żony, jakie czyniła, zmierzając do wyznaczonego celu, czasem tylko rzucał suche komentarze albo pozwalał sobie na sarkastyczne przytyki, ale wspierał ją publicznie, prywatnie zaś uważał za zimną, beznamietną kobietę. W duszy czuł ulgę. Być może nawet była to ulga wynikająca ze świadomości, że nie może już żony zranić. Jednakże na swój sposób odbijał to sobie. Od wczesnych lat małżeństwa pani Van der Bylt przyzwyczaiała się bowiem, że po ciężkim dniu spędzonym z małymi wówczas dziećmi i godzinach ślęczenia w nocy nad książkami (bo nigdy nie zakłócił tej jej pory lektury, jakby ustalili, że tego mu nie wolno) mąż budził ją, domagając się z jej strony uwagi. I nigdy go nie zawiodła. Nawet jeśli od



wielu tygodni spała w nocy zaledwie godzinę czy dwie, wstawała z niezmienną pogodą, rozcierała mu kark, parzyła herbatę, grała z nim w szachy i wspólnie rozważali, czy miał objawy rwy kulszowej, czy lumbago. Wyglądało to tak, jakby mówił: jeśli jestem jednym z twoich dzieci, domagam się takiej samej troski.

Teraz siedziała przed nim ze złożonymi na kolanach rękami, opowiadała o zebraniu, które go zupełnie nie interesowało, słuchała kolejnej skargi na wciąż ten sam temat, że być może traci wzrok w jednym oku, zgodziła się z nim, że pył tego roku jest szczególnie przykry i że wnuki mogą z tego powodu cierpieć na dolegliwości żołądkowe, i nie wstała, dopóki nie powiedział: — Hm, moja droga, myślę, że masz ciekawsze zajęcia niż rozmowa ze mną.

Wtedy podniosła się, ostrożnie, ponieważ bolały ją plecy, ucałowała go w policzek, powiedziała, że spotkają się przy kolacji za pół godziny, i poszła do salonu. W ciągu kilku sekund, jakie zajęło jej dotarcie do niego, zastanowiła się, co też może sprowadzać do niej panią Maynard, i uznała, że musi to być coś w związku z przeniesieniem osiedla kolorowych, czyli kwestią, co do której się zgadzały. Bo rzadko zdarzało im się zgadzać.

Jednakże gdy tylko zobaczyła panią Maynard — która na jej widok wstała szybko, tak że długi sznur pereł przesunął się po obciągniętym czarną koronką brzuchu — jej zarumienioną twarz, ciemne oczy, posępne i pełne wzburzenia, zorientowała się, że chodzi o coś innego, coś, czego nie brała pod uwagę. Zaproponowała pani Maynard drinka, a ta odparła pośpiesznie:

— O tak, poproszę o coś mocniejszego.

Pani Van der Bylt zadzwoniła po służącego, wydała polecenie, żeby przyniesiono drinki, i obie kobiety usiadły na-

przeciwko siebie, pytając wzajemnie o swoich mężów, dopóki służył nie wyszedł i mogli przejść do rzeczy.

Obie współdziałały z sobą w różnych komitetach miejskich od lat, szanowały wzajemnie swoje zdolności i bardzo się nie lubiły.

Ale było w tym coś więcej. Podczas niekończących się zebrań komitetów, kiedy prawie zawsze zajmowały przeciwne stanowiska, czasami patrzyły na siebie wzajemnie, snując w głębi ducha pełne niepokoju przypuszczenia.

Bo oto po jednej stronie siedziała pani Van der Bylt, radykalna w swoich poglądach, znana wszystkim jako „miłośniczka kafirów”, socjalistka i libertarianka. Ale z charakteru i z temperamentu musiała przecież być konserwatystką? Wskazywałoby na to jej życie, spokojne i uporządkowane, ze statecznymi dziećmi, bynajmniej nie radykałami, i gromadą dobrze wychowanych wnuków.

A po drugiej stronie spoczęła pani Maynard, konserwatystką z przekonania, przeciwniczka egalitaryzmu, arystokratka. A jednak wyczuwało się w niej coś romantycznie anarchistycznego, o czym świadczył jej gabinet pań pociągających za sznurki, skłonność do intryg, a nawet przystojny mąż z dyskretnymi, choć oczywiście komentowanymi w mieście powiązaniem — a zwłaszcza wieloletnim romansem z panią Talbot, która uchowała się pod jej skrzydłami, piękna, bezczelna i zwyciężka. W przeciwieństwie do pani Van der Bylt i jej wielodzietnej rodziny, miała tylko jednego syna, niespełniającego oczekiwania Binkiego. I żadnych wnuków. Kiedy pani Maynard przychodziła z wizytą do pani Van der Bylt, na werandzie domu albo w ogrodzie zawsze bawiły się dzieci, u niej natomiast można było zastać grające w brydża panie — samozwańczy komitet pilnujący porządku publicznego. Żadnych wnuków ani nic, co by je zapowiadało.

Pani Maynard w przeszłości czyniła liczne wysiłki, żeby zwerbować panią Van der Bylt na członkinię swojego „gabinetu”, częściowo ze względu na talenty rywalki, a częściowo z ciekawości, aby przeniknąć tę tajemniczą sprzeczność, która odpowiadała jej własnej, choć była jej odwrotnością.

Jednakże pani Van der Bylt, jako radykałka, nie chciała mieć nic wspólnego z potajemną działalnością jej prywatnego „rządu”. Wierzyła w mechanizmy demokratycznego sprawowania władzy: pracę w komitetach, równoważenie wpływów i wybory. Wolała parać się ciężką, żmudną pracą w partii przez siedem lat, aby ostatecznie dowieść, że zasługuje na głosy wyborców. Pani Van der Bylt, jako socjalistka, robiła bowiem wszystko tak, jak trzeba, zgodnie z zasadami, no i otwarcie.

Istniały więc między nimi zasadnicze różnice, dla których obserwowały się wzajemnie i snuły domysły. I teraz te różnice miały się uwidocznić. Obie to wiedziały i dawały do zrozumienia, że wiedzą, czekając, aż służący opuści pokój i zamknie za sobą drzwi.

— Tak, pani Maynard? — zapytała pani Van der Bylt i skinęła przy tym głową, jakby była przewodniczącą udzielającą prawa głosu.

— Proszę posłuchać, moja droga — zaczęła szorstko pani Maynard. — Muszę o coś panią zapytać. To poufna sprawa.

Pani Van der Bylt tylko dała znak, żeby kontynuowała.

— Zna pani niejaką Maisie Gale? Należy do komunistów. W każdym razie ją przekabacili. Coś w tym rodzaju.

Pani Van der Bylt przywołała na pamięć kilkanaście twarzy, ale pokręciła przecząco głową.

— Ależ musi ją pani znać. Kręci się wokół nich. Chodzi o to, że ta dziewczyna była zaręczona z moim synem Binkiem.

I wpadła. Ale zamiast przyjść z tym do nas, jak nakazywałyby rozsądek, podobno wydała się za jednego z tych lotników, chyba jakiegoś sierżanta czy kogoś takiego.

Pani Van der Bylt zauważyła, że pani Maynard ze złości ledwie mówi do rzeczy.

— Czy ta Maisie nie powiedziała pani synowi, że jest w ciąży?

— Ani słowem! — dramatycznie oświadczyła pani Maynard. — A kiedy mój mąż się z nią spotkał, była bardzo niegrzeczna.

— To jak się państwo dowiedzieli, że zaszła w ciążę?

Pani Maynard wyjaśniła szybko:

— Usłyszeliśmy o tym. Ale chodzi o to, że Binkie ma złamane serce. Dostał urlop okolicznościowy. Przyjedzie za miesiąc. A, oczywiście, nie da się dziewczynie przemówić do rozumu.

— Mówi pani, że wyszła za mąż za kogoś innego?

— Och, za jakiegoś śmiesznego figuranta, z RAF-u.

Pani Van der Bylt nic nie odpowiedziała. Napełniła pustą szklankę gościa i czekała na dalszy ciąg.

— Ma pani wpływy — stwierdziła pani Maynard. — Zna ich pani. No i jest ta dziewczyna od Questów. Przyjaźni się z Maisie.

— Tak, oczywiście znam panią Knowell.

— Już panią Hesse. Wyszła za tego Niemca.

Pani Van der Bylt zapytała ze zdziwieniem:

— Naprawdę? Kiedy?

— Mój mąż dziś rano udzielił im ślubu... absurd! Ale to nie należy do sprawy. Chodzi o dziecko Binkiego. Ta Maisie nie odpowiada na moje listy ani nie chce się spotkać z moim mężem.

Pani Van der Bylt pomyślała: przed południem wyszła za męża, a po południu była już na zebraniu. Ujęło ją to z tysiąca prywatnych powodów. A mimo to zachowanie Marthy wzbudziło jej dezaprobatę. Opuścić męża to było jeszcze do przyjęcia, choć, jak sama dowiodła, wcale niekonieczne. Ale opuścić dziecko — to niewybaczalne. Jednakże była wzruszona, i to głęboko, tam, gdzie nie chciała odczuwać żadnych wzruszeń.

Z zamyślenia wyrwały ją następne słowa pani Maynard:

— Byłabym więc bardzo wdzięczna, gdyby zgodziła się pani porozmawiać z tą Maisie albo przekonać córkę Questów, żeby to ona z nią porozmawiała.

Pani Van der Bylt odparła:

— Ależ, moja droga, naprawdę pani nie rozumiem. Dziewczyna jest pewnie pełnoletnia. Wyszła za tego człowieka z własnej, nieprzymuszonej woli. To jej sprawa. — I dodała, ponieważ pani Maynard okazała wyraźne niedowierzenie: — Nie moja. I nie pani. Jeśli wyszła za męża, to stało się, i już. Proponuje pani, żeby rozwiodła się z tym mężczyzną i wyszła za państwa syna?

— Ale to wszystko jest jakąś pomyłką. Straszna straszna pomyłką! — zawołała pani Maynard i do oczu napłynęły jej łzy. Spojrzała z nadzieją na swoją antagonistkę, zrozumiała, że nastąpił konflikt dwóch zupełnie przeciwstawnych postaw, i wstała, mówiąc: — Ci z RAF-u... nie powinno się ich było wpuszczać do tego kraju.

— Ależ, droga pani, są tu, bo mamy wojnę.

Pani Maynard rzuciła smętne spojrzenie na mały stolik, na którym stały w ramach fotografie kilkorga dzieci, i odparła: — Przepraszam, że zabrałam pani czas.

I wyszła energicznym krokiem, falując czarną koronką.

Pani Van der Bylt nie zdążyła zadzwonić, żeby podano kolację, bo służący zapowiedział kolejną missus i do pokoju pospiesznie wkroczyła nieznana jej kobieta, która powiedziała:

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale po prostu muszę panią zapytać...

Pani Van der Bylt poprosiła, żeby usiadła — lecz ta nie chciała; zaproponowała jej drinka, ale też odmówiła. Przedstawiła się jako pani Quest i po prostu musiała się dowiedzieć...

W swojej surowo skrojonej sukience i surowym ciemnym kapeluszu była po dziewczęcemu podniecona, jak przed chwilą pani Maynard. Pani Van der Bylt, która myślami powróciła już do sprawy osiedla mieszkaniowego dla kolorowych i zebrań publicznych, zorientowała się, że znowu chodzi o problemy osobiste, które sama, będąc równie stara, bo w wieku tej kobiety, miała już za sobą.

Pani Quest podniesionym głosem wyjaśniła, że jej córka wyszła za mąż za Niemca, nie powiedziała o tym nawet rodzicom, i może pani Van der Bylt by mogła... ale tu zalała się łzami, otarła je z rozdrażnieniem na twarzy i zakończyła z werwą:

— Może gdyby pani z nią pomówiła, odzyskałaby rozum.

Po raz drugi tego wieczoru pani Van der Bylt zauważyła:

— Ale już wyszła za mąż, prawda? — Jakby nic więcej nie można było w tej sytuacji powiedzieć.

Poczuła się rozdartą. Była matką i nie pochwałała zachowania dziewczyny. Ale jednocześnie ogarnęły ją melancholijne, wręcz smutne myśli z pogranicza obszaru, który oznaczony był w jej duszy napisem: „Uwaga, niebezpieczeństwo!”. Jako osoba rozsądna uspokoiła panią Quest, zrobiła jej drinka, wymamrotała, że młodzi ludzie obecnie nie mają zasad, ale to wina wojny i niespokojnych czasów, w jakich żyjemy. Ale myślała: rano wzięła ślub, a po południu przyszła

na zebranie, tak bardzo jest zaangażowana, że przedłożyła to ponad męża... coś tu jest nie tak.

Pani Quest w końcu wyszła, równie wzburzona jak wtedy, gdy przyszła, oświadczając, że nie zbliży się nawet do Marthy, dopóki dziewczyna nie przyjdzie do rodziców i nie przeprosi za swoje zachowanie. Pani Van der Bylt podała mężowi obiad, sama zjadła spokojnie, z rozsądku, bo nie była głodna, porozmawiała o cenach miedzi i wzroście notowań jej udziałów, a następnie dopilnowała, żeby pan Van der Bylt urządził się wygodnie na wieczór.

Później stanęła na werandzie i spojrzała na księżyc, który zalewał swoim blaskiem ogród. Ogrodnik nie wyłączył zraszacza. Na błyszczący od kropli wody trawnik padały snopy światła. Ciemne drzewa na skraju drogi stały nieporuszone. Raz po raz twarz owiewał jej chłodny, tajemniczy zapach ziemi; zwróciła się ku niemu. Dochodził z różanego ogrodu, który, spryskiwany wodą ze zraszacza, lśnił w oddali pod drzewami. Pani Van der Bylt wzięła sekator z półki na werandzie, poszła szybkim krokiem do ogrodu i ścięła bukiet kwiatów, z których, gdy ujęła je razem, spadły na trawę krople wody i lśniły jak małe klejnoty. Kłujące róże zaniosła do samochodu i pojechała do centrum miasteczka, gdzie według słów pani Quest znajdowało się mieszkanie, do którego tego dnia przeprowadziła się Martha. Prowadziła szybko, a nawet nerwowo, w szeregu samochodów zmierzających do kin. Towarzyszyło jej niepokojące uczucie, właściwie nieznanne, bo rzadko ją nawiedzające — były to wyrzuty sumienia. Gnębiły ją własne odczucia wobec tej dziewczyny, córki pani Quest; i teraz słodki, delikatny zapach róż, który to nasilał się w samochodzie, to słabł, zaczął ją tak drażnić, że opuściła szybę, aby wypuścić do środka świeże, chłodne powietrze.

Kiedy zapukała do drzwi mieszkania, dobiegł ją głośny śmiech i głosy i pomyślała: cieszę się, że odbywa się jakieś przyjęcie weselne, wręczę róże i zostanę z pięć minut.

W mieszkaniu było mnóstwo ludzi, których znała, za to niewiele mebli. Dwa wąskie łóżka, jeszcze niepościelone, zajmowali goście. Na jednym usadowili się jej starzy przyjaciele, Johnny Lindsay i Jack Dobie, a także Jasmine oraz Marie i Piet Du Preez. Na podłodze siedziała duża ładna dziewczyna, która trzymała za rękę mężczyznę w mundurze. Pani Van der Bylt obrzuciła tę parę długim spojrzeniem i wewnątrz pokiwała głową: w porządku, szanują się nawzajem. Nie pomyślała o nich: są zakochani. Kiedy jej córki przyprowadzały do domu swoich wybranków, stwierdzała: ona go szanuje. Albo: ona go nie szanuje, i dostosowywała do tego swoje zachowanie. Dostrzegła teraz ciepłe, ufne spojrzenie na twarzy ciężarnej dziewczyny, spodobał jej się Andrew i pomyślała: mam nadzieję, że ta Maynard zostawi ich w spokoju. Chciałabym mieć kogoś takiego za zięcia.

Obok Maisie siedział Tommy. Pani Van der Bylt powitała tego młodzieńca szczególnym uśmiechem; poprzedniego dnia przyszedł do jej gabinetu tak rozemocjonowany, że z trudem wydobył z siebie głos, i poprosił o radę, czy ma „rzucić to wszystko” i „dostać się jakoś... już ja znajdę sposób, zobaczy pani” — do Chin, gdzie chciał walczyć w szeregach Chińskiej Armii Czerwonej. Pani Van der Bylt odradziła mu to, podsunęła różne książki do przeczytania, a zwłaszcza historię brytyjskiego ruchu laburzystowskiego. Teraz, zmieszany i przejęty, odpowiedział na jej uśmiech rumieńcem.

Na drugim łóżku siedzieli Anton Hesse, Martha i kilku lotników. Na odwróconej walizce, ustawionej na podłodze, usadowił się młody południowoafrykański dziennikarz



„News”. Pani Van der Bylt nie protestowała, gdy wstał i ustąpił jej miejsca na walizce, na której usiadła, rozkładając szeroka spódnicę. On oparł się o ścianę i wyjaśnił:

— Pani Van der Bylt, usiłujemy się z panią skontaktować przez cały wieczór. Mąż mówił, że pani nie ma.

— Bo mnie nie było. A potem miałam różne sprawy — odparła, wciąż trzymając w rękach róże, których jakoś nikt nie zauważył. Czuła się wytracona z równowagi, bo znowu wróciła do swojej zwykłej roli; zauważyła, że nawet jej drodzy przyjaciele i sprzymierzeńcy, Jack i Johnny, siedzą spokojnie i czekają, aż podejmie walkę za nich. — A teraz — dodała, uśmiechając się do państwa Hesse — jestem tu, na przyjęciu weselnym. Prywatnie.

— O nie, nie wyłga się pani! — wykrzyknął dziennikarz. — Bo jutro, jeśli zniekształcimy fakty, będzie pani miała do nas pretensje.

Na to wszyscy wybuchli głośnym, spontanicznym śmiechem, a dziennikarz zmarszczył czoło i zachmurzył się.

Atmosfera była jednak przyjacielska. Wszyscy go znali. Przychodził na ich spotkania od niedawna. Później brał ich na stronę, mówił, że sympatyzuje z ich poglądami, i prosił, żeby nie mieli mu za złe, jeśli wydawca każe mu czasami zmienić jakieś sformułowania w artykule.

Pani Van der Bylt odpowiedziała z uśmiechem:

— Ależ, panie Roberts, po południu wysłałam redaktorowi naczelnemu sprawozdanie z zebrania. Nie dostał go?

— Kazał mi spotkać się z panią — wyjaśnił pan Roberts, zakłopotany i jednocześnie napastliwie nastawiony. — Zadzwonił do nas pan Dankwertz, czyli superintendent dzielnicy czarnych, który powiedział, że to była poważna sprawa.

— W takim razie będę musiała porozmawiać z panem Dankwertzem — odparła jako radna miejska. — To nie on ma przekazywać raporty prasie.

— Chodź, stary, napij się! — zawołał Jack Dobie; jego skrzywiona, drobna twarz wyrażała niesmak i rozbawienie, jak zwykle, gdy miał do czynienia z przedstawicielem prasy kapitalistycznej, bo zawsze tak ją nazywał.

Na gołej podłodze stały dwie otwarte butelki wina. Anton Hesse podniósł się z miejsca w kącie, nalał czerwonego wina do taniej szklanki i podał ją dziennikarzowi. Pani Van der Bylt pomyślała: wygląda na zadowolonego z siebie. Spojrzała na Marthę i orzekła: nie, ona go nie szanuje.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Wszedł kolejny młody człowiek, który po koleżeńsku skinął głową panu Robertsowi i od razu wyjął notatnik. Zebrani wymienili między sobą spojrzenia i stali się czujni. Był to zastępca redaktora naczelnego, twardy, ambitny młody człowiek, ktoś zupełnie inny niż wciąż niezaprawiony w bojach pan Roberts. Pani Van der Bylt zwróciła się do niego:

— Panie Du Plessis, jeśli szuka pan mnie, jestem tu jako osoba prywatna i nie mam zamiaru udzielać wywiadów.

Pan Du Plessis zeszywniał. Był chudy i żyłasty, miał twardy, nieustępliwy wyraz twarzy i ostre spojrzenie wroga, który stale ma się na baczności.

— Pani Van der Bylt, chciałbym porozmawiać z panią o akcji, jaką pani partia przeprowadziła dzisiejszego popołudnia w dzielnicy czarnych. Mam pół godziny, zanim gazeta pójdzie na maszyny.

— Wysłałam do redakcji oświadczenie.

— Chciałbym jednak zadać pani kilka pytań. Ścigam panią od piątej po południu — dodał z jawną wrogością.

— Ci ludzie są na przyjęciu — wymówiła się. — Mógł pan skontaktować się ze mną wcześniej.

— Czy wszyscy tu zebrani byli dziś po południu w dzielnicy czarnych?

— Pełna lista obecnych tam osób została przekazana redaktorowi naczelnemu.

Pan Du Plessis przyjrzał się kolejno wszystkim wokół i zatrzymał wzrok na Piecie Du Preez.

— Rozumiem, że wystąpienia dotyczyły ruchu związkowego — zauważył. — Ruchu związkowego i struktury politycznej.

— I praw kobiet — rzuciła Martha, nagle parszcząc śmiechem. Pani Van der Bylt zwróciła na nią wzrok i odniosła wrażenie, że ten śmiech dzieli twarz młodej kobiety na pół: dolnej część wyrażała wesołość, ale ciemne oczy pozostały poważne i czujne. Pani Van der Bylt odruchowo spojrzała na wciąż zroszone wodą róże. Ale szkarłatne płatki już zaczęły opadać na deski podłogowe obok jej solidnych brązowych butów.

Z powodu ogólnej wesołości, która nastąpiła po słowach Marthy, pan Du Plessis przystąpił do otwartej walki wcześniej, niż zamierzał.

— Pani Van der Bylt, jeśli nie odpowie mi pani na pytania, poniesie pani tego konsekwencje — oświadczył.

— Jeżeli w jutrzejszym wydaniu gazety pojawią się jakiegokolwiek nieścistości, prawnicy partii się tym zajmą— odparła z emfazą i odwróciła się do niego plecami.

Pan Du Plessis zamknął notatnik i stanowczo skinął głową na Robertsa, zawstydzonego zachowaniem kolegi; stał pod ścianą w milczeniu, z uśmiechem zażenowania, i zerkał na młodych ludzi, którzy siedzieli na łózkach, jakby chciał

powiedzieć: To nie moja wina! Rozejrzał się dookoła jeszcze raz, rzucił: — Na razie! — i wyszedł za Du Plessisem.

Pani Van der Bylt stwierdziła z matczynym politowaniem: — Biedny chłopak.

Jack odrzekł natychmiast: — Biedny chłopak, rzeczywiście! Jest niewiele lepszy od Du Plessisa. Nie współczuj tej gromadzie sępów.

Znowu wszyscy się zaśmiali; i pani Van der Bylt uśmiechnęła się cierpliwie, a potem zauważyła:

— Nie jest taki zły, naprawdę. Może jeszcze niewiele wie, ale się uczy.

— A czegoż to? — zapytał Jack. — Nie odchodzi, mimo że redaktor naczelny zmienia mu tekst, i to już mi wystarczy.

Na to pani Van der Bylt i Johnny wymienili wyrozumiałe uśmiechy ludzi wykazujących tolerancję wobec nieprzejednanego zapaleńca, choć w przeszłości nieraz odgrywali rolę tych nietolerancyjnych, gdy inni się uśmiechali.

Wzrok pani Van der Bylt znowu spoczął na różach i zastanowiła się, jak ma je wręczyć. Zauważyła, że Martha, siedząca pod ścianą z rękami wokół kolan, jest blada i milcząca. Anton patrzył na nią z czułością i dumą. Pani Van der Bylt zauważyła, że dziewczyna, w odpowiedzi na szept Antona, najpierw stężała i mimowolnie się odsunęła, a potem zwróciła do niego z uśmiechem. Wzięła go za rękę i uściśnęła ją-

Mimo wszystko, pomyślała pani Van der Bylt, naprawdę coś tu jest nie tak. Nagle bardzo zmęczona i dziwnie smutna, postanowiła: wyciągnę stąd Johnny'ego i Jacka, możemy napić się razem gdzieś indziej.

Johnny zapytał głośno:

— Co myślisz o tych dwojgu? Wzięli rano ślub i nikomu

nic nie powiedzieli. Jack i ja dowiedzieliśmy się przypadkiem i wpadliśmy tu, żeby złożyć im gratulacje.

Był to kolejny sygnał do śmiechu i żartów i pani Van der Bylt, potwierdzając skinieniem głowy, że ci młodzi ludzie zbyt poważnie podchodzą do życia, zauważyła, że Martha ożywiła się w odpowiedzi na tę zaczepkę, pożartowała chwilę ze starym Johnnym, powiedziała Jackowi (ale z pewną powściągliwą autoironią), że „my, komuniści, nie mamy czasu na te wszystkie zabawy klasy średniej”, podczas gdy koledzy z grupy powiedzieli, żeby mówiła za siebie; następnie śmiała się, flirtowała i odgrywała rolę rozpieszczonej panny młodej dopóty, dopóki znajdowała się w centrum uwagi, a potem znowu popadła w apatię i zamknęła się w sobie. Jednakże cały czas, co starsza kobieta odnotowała z lżejszym sercem, trzymała Antona za rękę, jakby to była kamizelka ratunkowa.

Pani Van der Bylt próbowała porozumieć się wzrokiem z Johnnym i Jackiem; domyśliła się bowiem, że wpadając tu pod wpływem impulsu jak ona, przerwali zebranie komunistyczne i że ci młodzi ludzie pragną, aby już wyszli. Obaj odpowiedzieli na jej spojrzenie z lekką niefrasobliwością, która świadczyła, że choć nie znosili samego komunizmu, lubili jego młodych przedstawicieli, przyznawali, że mają oni prawo organizować zebrania, jeśli tak im się podoba, ale absolutnie się nie zgadzali z poglądem, który pozwalał, żeby młoda kobieta spędziła noc poślubną na zebraniu politycznym.

Ci dwaj mężczyźni podnieśli się jednak, gdy pani Van der Bylt wstała z walizki, żartując ze swoich zeszytniałych pleców.

— Zostawiamy was samych, żebyście mogli naradzić się we własnym gronie — oznajmiła pani Van der Bylt specjalnie oficjalnym tonem, dając grupie do zrozumienia, że wie, iż mieli zebranie. Wciąż trzymała w rękach róże.

Zwróciła się do Marthy:

— Jest tu kuchnia? Mogę je gdzieś wstawić? — Martha zauważyła kwiaty; aż do tej chwili nie przyszło jej do głowy, że są dla niej, i poczuła się z tego powodu niezręcznie. Zwlokła się z łóżka i zaprowadziła panią Van der Bylt do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie znajdowała się mała kuchenka.

Pani Van der Bylt usprawiedliwiła się:

— Cóż, moja droga, to skromny prezent ślubny, ale nie miałam czasu pomyśleć o innym.

Martha zaróżowiła się, do oczu napłynęły jej łzy i zmarszczyła czoło.

Pani Van der Bylt, widząc jej wzruszenie, skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: O tak, płacz, płacz; na ten widok oczy Marthy rozszerzyły się z niedowierzania, jakby umyślnie zadano jej ból.

Pani Van der Bylt pomyślała nagle: Niech płacze, to dobrze. Jest zbyt — hm, harda. Ale jednocześnie wiedziała, że czuje coś, czego czuć nie powinna.

Martha wzięła bukiet kłujących róż, których czerwone płatki opadały powoli na jasny drewniany stół, i pomyślała: Daje mi kwiaty, to miłe z jej strony, dlaczego więc tak bardzo jej nie lubię? Zresztą po co to robi, przecież prawie się nie znamy? Jack i Johnny też wpadli z życzeniami nie wiadomo dlaczego. Chyba dlatego, że wzięliśmy ślub. Ale co to ma wspólnego ze mną?

Wydało jej się, że uśmiech na twarzy pani Van der Bylt wyraża zadowolenie, i pomyślała ze zmieszaniem: oto ona, z tym swoim kostycznym starym mężem, mnóstwem dzieci, z których każde stanowi filar społeczeństwa, i gromadą wnuków, z tym całym swoim uporządkowanym, bezpiecznym

życiem, pozbawionym jakichkolwiek problemów. Skąd więc te różce? Ból powodowany przez kolce, które raniły dłonie Marthy, był niemal jak ostrzeżenie. Doszła do wniosku: jej życie nie może mieć z moim nic wspólnego, ona nigdy nie zrozumie tego wszystkiego, nawet za milion lat. („To wszystko” oznaczało dla Marthy coś mrocznego, przykrego, na co nie ma się wpływu, coś ze swojej istoty sprzecznego z tym, co reprezentowała pani Van der Bylt i co miała kiedykolwiek reprezentować). Ona mnie nie rozumie, daje więc te różce nie mnie, lecz komuś innemu.

Pani Van der Bylt powiedziała łagodnie:

— Moja droga, tak się wzruszyłam, gdy usłyszałam, że przyszedł na nasze zebranie zaraz po ślubie. — Urwała. Martha zbladła. Pani Van der Bylt rzuciła jej surowe, ale spokojne spojrzenie. Zrozumiała, że pragnie, aby Martha się załamała i rozpłakała; mówiła sobie, że jeśli dziewczyna się rozpłaczę, zwróci do niej w poszukiwaniu pocieszenia i wsparcia, to dobrze zrobi jej i jej małżeństwu.

W tej chwili powróciło do niej pewne wspomnienie, wspomnienie „tamtej nocy”, jak zawsze to nazywała. Nie pamiętała, co wtedy czuła, było to jak daleki obraz, jak kadr z filmu: młoda dziewczyna, leżąca bezsennie w małej ciemnej sypialni obok męża. Ta dziewczyna płakała, ale bezgłośnie; zimne łzy ciekły jej po policzkach przez całą noc. Jej chłodne ramię spoczywało obok muskularnego ramienia męża. Ale nie odsunęła się; leżała i drżała z wysiłku, żeby się nie poruszyć, myśląc jednocześnie: on chce, żebym dotknęła go ramieniem, ale jeśli to zrobię, potraktuje to jako coś w rodzaju przeprosin, obietnicę. Przebaczy mi.

Teraz, po tych wszystkich latach, pani Van der Bylt przypominała sobie wizję, którą tamta dziewczyna miała przed

oczami przez te drugie godziny, gdy leżała obok mężczyzny, który także nie spał, czekając, żeby odwróciła się do niego. Wizja przedstawiała coś miękkiego, ciemnego i delikatnego, spoczywającego gdzieś głęboko, co przeszywał raz po raz bardzo ostry sztylet. Nie drgnęła i nie rozluźniła ramienia, tak by zetknęło się z ramieniem męża, więc ten sztylet jej nie zranił, już nie, i miękkie, ciemne, bolesne miejsce, które musiało znajdować się gdzieś pod jej sercem, pozostało nietknięte. Pozostała sobą.

Przez sekundę pani Van der Bylt poczuła tamten ból i ów wyraźny, niegroźny już obraz znowu ożył. Gwałtownie odwróciła się więc od Marthy. Powiedziała szorstko:

— Moja droga, wiem, że te sprawy są bardzo trudne, naprawdę bardzo trudne... — Głos jej zadrżał i dodała pośpiesznie: — Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwa.

Ta konwencjonalna uwaga przyniosła Marcie ulgę. Podeszła do niej i podziękowała z uśmiechem, kładąc róże na stole.

Pani Van der Bylt zauważyła nagle:

- Twoja matka odwiedziła mnie dziś wieczorem.
- Nie wiedziałam, że pani ją zna.
- Chyba powinnaś była ją uprzedzić, że wychodzisz za męża.

Martha uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: a co to panią obchodzi?

Pani Van der Bylt, żałując, że w ogóle wspomniała o pani Quest, stwierdziło surowo:

- Mimo wszystko powinnaś była jej powiedzieć.

Martha wykrzyknęła:

- Miałabym jeszcze pogarszać całą tę cholerną farsę?!

Pani Van der Bylt naprawdę się przestraszyła. Wyszła z kuchni, wykonując gest, który zniechęcił Marthę zupełnie.



W dużym pokoju panowała cisza, bo pojawiła się nowa osoba. Była nią pani Quest, właśnie weszła i stanęła przy drzwiach; cokolwiek miała do powiedzenia, uwięzło jej w gardle, bo zaskoczył ją widok tyłu ludzi. Nie zauważyła Marthy i gdy ta wyłoniła się zza pleców pani Van der Bylt, powiedziała życzliwym, a nawet dziarskim głosem:

— O, tu jesteś.

Pani Quest, która zarzekała się, że więcej nie odezwie się do córki, po wyjściu od pani Van der Bylt wpadła we wściekłość. W wyobraźni przeżywała rozmaite sceny: wyrzutów, wzajemnych oskarżeń i wreszcie pojednania. Gdy jej gniew osiągnął apogeum, podszedł do niej pan Roberts, poszukujący pani Van der Bylt, i zapytał, gdzie może znaleźć Marthę, a przy okazji wspomniał, że ta po południu podzegała czarnych do rewolucji.

Martha zapytała więc bezradnie: — Tak, mam? — I przystąpiła do prezentacji. Ale po chwili poddała się.

Pani Quest zapytała ostro:

— Gdzie mój zięć?

Pięć minut wcześniej wyobrażała sobie, jak mu oznajmia, że przy pomocy władz doprowadzi do jego deportacji z kolonii, ale teraz w jej głosie słychać było już tylko żartobliwy wyrzut.

Anton wydostał się z gromady ludzi siedzących na łóżku, wyciągnął rękę i został ucałowany przez starszą Angielkę, której nigdy wcześniej nie widział, sztywno, ze skrępowaniem skinął jej głową, oznajmił, że jest mu bardzo miło ją poznać, a potem, czując, że oczekuje się od niego czegoś więcej, pochylił się i cmoknął ją w rękę.

— *Gnadige Fraul* — mruknął.

Pani Quest zarumieniła się i głośno powiedziała do Marthy, że jeśli urządza przyjęcie weselne, to przynajmniej mogła

zaprosić ojca, któremu będzie bardzo przykro, kiedy się o tym dowie.

Martha wciąż stała bezradnie pośrodku pokoju. Patrzyła z obawą na plik kartek w ręce pani Quest. Wszyscy przyglądali się tej scenie, powściągając uśmieški na twarzach. Pani Van der Bylt miała surową, pełną dezaprobaty minę.

— Ale to nie jest przyjęcie, to zebranie — sprostowała Martha, a jej głos zabrzmiał ostro z powodu wymuszonej wesołości. Miała wrażenie, że ta farsa, poczucie absurdu, który krył się za wszystkim, cokolwiek robiła, już zupełnie ją przytłacza.

— Zebranie! — wykrzyknęła pani Quest. To tylko podsycało jej gniew. Rozejrzała się dookoła, szukając powodu, aby dać mu ujście, i jej wzrok spoczął na papierach, które trzymała w dłoniach. Energicznie wcisnęła je do rąk ludziom, którzy siedzieli najbliżej niej. Przez chwilę głowy wszystkich w pokoju nachyliły się nad wycinkami z „Zambesia News”.

Pani Quest miała zwyczaj wycinać z gazety wszystkie listy podpisane „Biały Osadnik”, „Stary Wiarus” czy „Czysta Gra”, z których większość zaczynała się mniej więcej tak: *Po czterdziestu latach zarządzania tubylcami...* i tak dalej.

Jack Dobie przeczytał głośno, bardzo poważnie, z dziwną mieszaniną rozbawienia i gniewu na twarzy:

— *Moim zdaniem za tupet i bezczelność kafirów odpowiedzialność ponosi propaganda pewnych liberałów z tego miasta, a Wielka Brytania popełnia ogromny błąd, wierząc w równość: niech uprawia działalność dobroczynną u siebie, a od naszych tubylców trzyma się z daleka.*

Oddał z powrotem wycinki pani Quest, mówiąc grzecznie:

— Dziękuję.

Pani Quest wręczyła je z kolei Marcie.

— Widzisz — powiedziała — kafiry wymykają się nam z rąk.

Ale mówiła to z uśmiechem. Jej gniew, skupiony na listach z gazety, rozproszył się i chciała teraz, żeby zaproszono ją do zabawy. Spojrzała na butelki z winem, stojące na podłodze. Martha wzięła od niej wycinki i nalała jej do szklanki wina. Ale nie było miejsca, gdzie matka mogłaby usiąść.

Poza tym zebranie, które miało rozpocząć się o ósmej, było już o dwie godziny opóźnione. „Grupa” przekazywała sobie wycinki z gazety, nie kryjąc przy tym złośliwych uśmiechów.

Pani Van der Bylt, której instynktowna potrzeba ratowania sytuacji była silniejsza niż wszystko inne, powiedziała:

— Te wycinki przydadzą mi się do kolekcji. — Miała teczkę podpisaną: „Idiotyzmy białych osadników”; wkładała do niej artykuły i listy w podobnym tonie, które później przesyłała do redakcji gazet i czasopism w Anglii, na potwierdzenie żalostnego stanu świadomości w Zambezji.

Pani Quest, zachwycona, że wreszcie znalazła sojuszniczkę w kobiecie, która podobno wspierała kafirów, i że ta radna miejska, uchodząca powszechnie za niebezpieczną, jest w gruncie rzeczy całkiem rozsądna, chwyciła panią Van der Bylt za rękę i wyznała:

— Moja droga, tak się cieszę, że zgadza się pani ze mną. To naprawdę okropne, nieprawdaż, ci wszyscy agitatorzy powinni zostać rozstrzelani. — Wciąż trzymała dłoń na ramieniu pani Van der Bylt, gdy zwróciła się do pozostałych: — Widzicie, ta wasza działalność jest naprawdę bardzo groźna. Zawsze to mówiłam.

Pani Van der Bylt odparła:

— Wracam do domu. Może panią podwieźć?

Pani Quest, nie bardzo wiedząc, co zrobić z kieliszkiem wina, rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby go odstawić, zobaczyła tylko gołą podłogę, więc pospiesznie je wypita i powiedziała:

— Dziękuję pani, moja droga! Chciałabym podyskutować z panią o tym problemie z tubylcami... uważam, że odpowiedzialni ludzie, tacy jak my, powinni się porozumieć i utworzyć jakieś komitety straży obywatelskiej, bo rząd nic nie robi, a my musimy się bronić.

— To bardzo dobry pomysł — zauważyła pani Van der Bylt. Odwróciła się i rzuciła do Marthy przyciszonym głosem, energicznie i ze złością kiwając głową: — Nie byłoby takich sytuacji, gdyby się postępowało normalnie!

Martha zapytała:

— Normalnie? Nie ma nic normalnego w tym, co się tu dzieje. Nie widzi pani, że to wszystko farsa, wszystko... — Odwróciła się od pani Van der Bylt i zajęła swoje poprzednie miejsce na łóżku.

Pani Van der Bylt z rozdrażnieniem wzruszyła ramionami i dała znak swoim sprzymierzeńcom, Jackowi i Johnny'emu, którzy ruszyli za nią do drzwi, wyraźnie rozbawieni sytuacją. Pani Quest upomniała Marthę:

— Połóż się wcześniej do łóżka, ty niedobra dziewczyno, i prześpij się trochę. — Uzmysłowiła sobie, że córka właśnie wyszła za mąż, zmarszczyła brwi, oświadczyła pospiesznie, że zobaczą się za kilka dni, po czym uśmiechnęła się do towarzystwa i wyszła.

Pozostali mieli ochotę wybuchnąć śmiechem, ale Martha wydawała się przybita i zdenerwowana, więc woleli milczeć, dopóki Anton nie zapytał poważnie:

— Nie rozumiem tej kobiety, towarzysko Matty. To wasza matka?

Martha wzruszyła ramionami.

— Co miałaś zrobić z tymi reakcyjnymi listami z gazety?

— Mieliśmy je przeczytać i zmienić pogląd na życie.

— Nie rozumiem cię, towarzysko Matty.

Martha ponownie wzruszyła ramionami. Grek przyglądał jej się przez chwilę w surowym milczeniu, a potem zwrócił się wprost do niej, jakby byli sami:

— Czuję, że powinienem coś powiedzieć. Jest taki zły rodzaj śmiechu. Szydzący z prawdy.

— Hm, tak, chyba tak.

Na to odezwała się Maisie:

— Myślę, że Matty jest przygnębiona, i rozumiem ją. Chyba nie powinniśmy organizować zebrania, gdy Matty i Anton jeszcze się nie urządzili w nowym mieszkaniu.

Ale Tommy, który już od jakiegoś czasu czekał niecierpliwie, nie rozumiejąc zupełnie podskórnych prądów, niezadowolony i niepochwalaający małżeństwa, które wydawało mu się jeszcze dziwniejsze niż małżeństwo Maisie i Andrew, wybuchnął:

— Nie, towarzysze, musimy o czymś podyskutować, chcę się w czymś rozeznać.

Wobec gniewnego żądania Tommy'ego rozpoczęło zebranie i po raz pierwszy odbyło się bez formalności, udziału przewodniczącego, sekretarza i tak dalej.

— Sprawa wygląda tak: z tego, co widzę, w partii socjaldemokratycznej... to znaczy w Partii Pracy... toczy się jakaś walka i chciałbym coś powiedzieć. Wszystkie te nazwy, cały czas te nazwy, za każdym razem oznaczają co innego: kiedyś, jeśli się nie mylę, gdy ktoś był socjaldemokratą, to

znaczyło, że ma rewolucyjne poglądy, a teraz oni tak się nazywają, żeby zasłużyć na szacunek... — Uderzył się pięścią w czubek głowy. — Ale nie o to chodzi. Niepokoi mnie ta afrykańska frakcja. Z tego, co widzę, jest reakcyjna. To demokratyczne mieć tubylców, to znaczy Afrykańczyków, w partii laburzystowskiej, tak jak wszystkich innych, żeby chodzili na zebrania jak reszta członków. Tylko że taka murzyńska frakcja to chyba dowód segregacji. No nie? Ale pani Van der Bylt, Johnny i Jack to dobrzy ludzie, nie mają nic przeciwko kolorowym i wspierają murzyńską frakcję, chociaż to reakcyjniści wspierają tę całą demokrację. Nie mogę się w tym połąpać. Po prostu nie mogę się połąpać.

Grek Athen zwrócił swoją stanowczą, poważną, pełną współczucia twarz ku Tommy'emu i powiedział:

— Dobry z ciebie chłopak, towarzyszu, zawsze mów, co czujesz.

Piet Du Preez odezwał się z komiczną rozpaczą, jak klaun:

— Powinniśmy oczywiście skorygować naszą linię w tym drobnym punkcie. Wciąż powinniśmy korygować naszą linię.

Anton, który pozwolił sobie na chwilę nieodpowiedzialności i uczucia osobiste, oprzytomniał, usiadł teraz prosto, przerzucił nogi na podłogę i powiedział:

— Towarzysze, wynika z tego, że musimy przeanalizować sytuację.

Zebranie skończyło się o czwartej nad ranem i wszyscy zasnęli tam, gdzie siedzieli, na podłodze, wśród innych bezwładnych ciał na łóżkach. O szóstej obudził ich służący Maisie, który traktował swoich pracodawców jak przyjaciół, jak swoich. Przyniósł im poranne wydanie „News”, gdzie na

pierwszej stronie widniał duży nagłówek: „Agitatorzy podburzają Murzynów do buntu”.

— Baas! Baas! — zawołał przez na wpół otwarte drzwi do Andrew, nerwowo odwracając wzrok od rozmemłanych ciał w całym pokoju. — Baas, baas! To gazeta. Piszą w niej złe rzeczy o panu, baas. Och, to podłe. Piszą podłe rzeczy.

# Część czwarta

*Początki państwowości giną w micie, w który  
można wierzyć, ale o którym trudno dyskutować.*

Karol Marks



## Rozdział pierwszy

Ściany i kolumny werandy u państwa Du Preez, nasłonecznione przez cały dzień, o ósmej wieczorem wciąż wydzielały ciepło. Członkowie grupy, którzy myśleli, że na dworze, w ciężkim wieczornym powietrzu może być chłodniej, zmienili zdanie i wrócili do dużego dusznego salonu. Poprzedniego dnia Anton zapowiedział:

— Następne zebranie grupy jutro o ósmej.

Jednakże oprócz niego zjawili się tylko Marjorie, Andrew i Marie.

— Gdzie Piet? — zapytał Anton, zanim jeszcze usiadł. Był zły, ale inaczej niż dotąd, przepełniała go zimna złość, jakby każde naruszenie dyscypliny odnotowywał w myśli kiwnięciem głowy i stwierdzeniem: Tak, można się było tego spodziewać.

Marie odparła:

— Jest na zebraniu związku. Tommy poszedł z nim. — Uzgodniono, że zebrania związku zawodowego i laburzystów mają pierwszeństwo przed zebraniem grupy; czy raczej nie uzgodniono, bo wymagałoby to dyskusji na temat założeń

politycznych, ale po prostu tak przyjęto. Od czasu „wiecu w dzielnicy czarnych” grupa była zaniepokojona, jej członkowie odczuwali presję różnorodnych ograniczeń z powodu reperkusji owego doniosłego zdarzenia. W związku zawodowym Pieta wybuchła wojna. Mowa na temat ruchu związkowego, jaką Piet wygłosił przed kafirami, wywołała bowiem dyskusję o pryncypiach i na zebraniach pojawiali się teraz ludzie, którym nigdy wcześniej nawet nie przyszło to do głowy.

Krzęsta w salonie ustawione były w okręgu. Pomiędzy dziecięcymi zabawkami stały stosy literatury dotyczącej Rosji. W pokoju panowała pogodna, swobodna, rodzinna atmosfera. Marie zaproponowała:

— Może się czegoś napijemy na poprawę humoru...? I tak musimy czekać.

Anton zauważył:

— To zebranie grupy komunistycznej.

Andrew rzucił:

— Ja tam mam ochotę na piwo.

Marjorie go poparła:

— Ja też.

Byli jak dzieci, które robią na złość nauczycielowi. Anton nic na to nie powiedział. Na kolanach trzymał już szkic wykładu o walkach na froncie wschodnim.

Marie przyniosła oszronione butelki. Do pokoju wpadł gorący powiew i po niebie przetoczył się grzmot.

— Mam wrażenie, że poczekamy sobie jeszcze — stwierdził Andrew. — Matty i Colin poszli na wykład Jacka Dobiego o Indiach.

— Kto im kazał?

— Jack wpadł do nas i poprosił Colina, żeby przyszedł...

Colin interesuje się Indiami. Akurat była tam Matty i powiedziała, że chętnie pójdzie z Colinem.

Na wzmiankę o żonie Anton znowu przybrał beznamiętny wyraz twarzy.

— Och, napij się piwa, człowieku — rzuciła Marie i wcisnęła Antonowi szklanę piwa do ręki. On odstawił ją, nawet na nią nie spojrzawszy. — Czy Athen jest na służbie? Jeśli nie, to dlaczego go tu nie ma?

— Mnie nie pytaj — odrzekł Andrew. — A Maisie nie przyszła, bo kiepsko się czuje. — Anton nigdy nie pytał o Maisie. W ten sposób dawał do zrozumienia, że nie uważa jej za członka grupy. Napięcie między tymi dwoma mężczyznami od razu wzrosło.

Marie zawołała:

— Na litość boską, za chwilę skoczmy sobie do gardeł z powodu tego upału!

Usiadła, ziewnęła i rozstawiła szeroko nogi.

— Może jeszcze powinniśmy podjąć uchwałę, że na zebraniach będziemy popijać koktajle — zauważył Anton z goryczą. To prawda, że scena w salonie przypominała przyjęcie koktajlowe.

— Och, daj spokój — odrzekł Andrew. — Daj spokój. Jeśli coś dziś schrzanimy, będziemy to mogli naprawić następnym razem.

— Tak, tak — odparł Anton. — Siedzimy tu sobie, popijamy piwo, a tymczasem towarzysze umierają za naszą sprawę.

Wziął gazetę, która leżała na podłodze. Widniały tam nagłówki: *Załamanie frontu niemieckiego, Generał Mróz pokonuje najwyższe dowództwo niemieckie, Armia niemiecka zamarza.*

Przez całą zimę wojska rosyjskie i niemieckie zmagaly się

z sobą, w walce ginęły miliony ludzi, którzy utknęli w śniegu na froncie ciągnącym się setki mil przez skute lodem, wietrzne równiny, północne równiny, zimne i mroczne, bo pozbawione słońca. Nagłówki gazet, doniesienia z frontów, kroniki filmowe mówiły o heroizmie i cierpieniach, ale te głosy dochodziły ze straszliwego zimna, były jak dalekie krzyki ludzi przedzierających się przez burzę śnieżną.

Marjorie spojrzała na duże czarne tytuły w gazecie, w których powtarzały się słowa: mróz, śnieg, zamieć, śmierć, i zauważyła:

— Przydałoby nam się trochę chłodu. — Jej twarz pokryta była kropelkami potu, a duże ciało stale zmieniało pozycję na wygodniejszą. Miał to być żart.

Anton skomentował:

— Towarzyszko Marjorie, was to śmiesz?

Od czasu, gdy wyszła za męża, mówił do niej tak, jakby jej nie lubił, a ona przyjmowała to z typową dla siebie oschłą wyrozumiałością. Teraz głośno westchnęła i Marie zawtórowała jej demonstracyjnie.

Andrew powiedział pospiesznie:

— Dlaczego nie wygłosicie tego wykładu, towarzyszu Anton? Jest nas mało, ale przynajmniej się nie zmarnuje.

Anton spojrzał na niego swoimi zimnymi oczami, zerknął na zegarek, zebrał notatki i zaczął wykład. Była to analiza aktualnego etapu wojny ze szczególnym uwzględnieniem powodów, dla których nie utworzono drugiego frontu. Zwykle mówił przez pół godziny. Tym razem zajęło mu to dziesięć minut.

Marjorie stwierdziła:

— Te masy ludzi umierających z zimna to jak za Napoleona.

Anton odparł:

— Towarzyszko Marjorie, historyczne paralele są czasami przydatne, ale nie wydaje wam się, że ta jest trochę naciągana?

Marjorie odpowiedziała ze znużeniem:

— Nie, dlaczego? Oczywiście, tym razem to socjalizm walczy o życie. Ale ludzie tak samo umierają z zimna.

— Biedaczyska — zauważyła Marie, dolewając sobie piwa i jeszcze szerzej rozstawiając nogi. — Biedaczyska. Chciałabym, żeby już wybawiła ich wiosna.

— Mówisz, jak rozumiem, o Armii Czerwonej? — zapytał Anton.

— Miałam też na myśli Niemców.

— Zdaje się, że towarzysz Erenburg postawił tę sprawę jasno. Niemcy okazali się barbarzyńcami i faszystami, więc nie ma co się nad nimi litować. Lepiej współczuj Rosjanom.

Marie odparła:

— To, że Rosjanie z całej duszy nienawidzą wszystkich Niemców, jest naturalne. Ale jeśli mam być szczerą, czasami niedobrze mi się robi, gdy słyszę, co powiedział towarzysz Erenburg. Nie rozumiem, co to całe nacjonalistyczne bicie w bębny ma wspólnego z socjalizmem, taka jest prawda. — Powiedziała to wyzywająco, jakby odjakiegoś czasu miała na to ochotę. Dodała: — I myślę o tych młodych Niemcach, biednych chłopcach, czy są faszystami, czy nie. To przecież też ludzie.

Anton wstał. Marie siedziała na swoim miejscu, zupełnie wyczerpana i zupełnie obojętna. Twarz miała czerwoną z upału, a ramiona i ręce pokryte wysypką od potu. Znowu rozległ się grzmot.

— Boże, chciałbym, żeby już spadł deszcz — zauważył Andrew swobodnie, pojednawczym tonem, który świadczył,

że jest znowu sobą. Klepnął Antona w plecy i dodał: — Daruj sobie, bądź człowiekiem. Uzgodnimy stanowiska polityczne, gdy wreszcie zaczniesz padać.

Anton stwierdził:

— Ponieważ nie ma tu całej grupy, uważam, że powinniśmy wesprzeć Matty i Colina na spotkaniu poświęconym Indiom.

— Powinniśmy czy nie powinniśmy — odezwała się Marie, wachlując się z zamkniętymi oczami — ja czekam na deszcz.

Marjorie, Andrew i Anton opuścili ją więc i stanęli razem na werandzie. Niebo pociemniało groźnie, burzowo, między jedną a drugą chmurą przebiegła błyskawica. Panowała susza. Chmury zbierały się na horyzoncie już od tygodnia, nawarstwiały się i rosły, ale deszcz nie nadchodził. Tego wieczoru powietrze aż drgało i dźwięczało od upału, a z ziemi unosił się pył, poruszany niewielkimi, nerwowymi porywami wiatru.

— Idziesz na zebranie? — Anton zapytał Andrew.

Ten odparł po chwili wahania:

— Chyba tak. — Ale zrobiło mu się wstyd i dodał z zapałem: — Jack Dobie wie, co mówi, i powinniśmy być z nim.

Kiedy przejeżdżali obok kamienicy, w której mieszkała Marjorie, dziewczyna powiedziała przepraszająco:

— Nie czuję się za dobrze. Dziecko już daje mi znać o sobie.

Wysadzili ją zatem i pojechali pod salę, w której odbywało się zebranie. Była pełna. Andrew zauważył:

— Nieźle, trzystu ludzi na zebraniu dotyczącym Indii w taką pogodę! Ale proszę was — dodał — nie mówcie nic o bohaterstwie Rosjan, bo was zostawię i pójdę do kina.

Anton pozwolił sobie na uśmiech. Znaleźli miejsce pod

ścianą, podczas gdy Jack Dobie, energiczna samotna postać na podium, przemawiał z rosnącym podnieceniem:

— Ponieważ przez setki lat wysysaliśmy z Indii krew, mamy moralny obowiązek...

Tymczasem z tłumu wyskoczył niski, rudy mężczyzna o skórze w kolorze brandy z Prowincji Przylądkowej i zawołał:

— Wracaj do Clyde! Nie chcemy cię tutaj!

Kilkunastu miejscowych Hindusów, sklepikarzy i nauczycieli ze szkoły hinduskiej, podlegającej segregacji, stało razem w rogu, patrzyło na przemawiającego i od czasu do czasu pomrukiwało: „Wstyd! Wstyd!”, kręcąc ze smutkiem głowami. Reszta obywateli słuchała w milczeniu prezentowanych im wywrotowych tez z minami ludzi otwartych na wszelkie poglądy. To zebranie — mówiąc w skrócie — przypominało wszystkie inne zebrania z tej krótkiej epoki między 1942 a 1945 rokiem. Na ścianach wisiały plakaty z zebrania, które odbyło się tu poprzedniego wieczoru; była to burza mózgów Sympatyków Rosji na temat *Człowiek radziecki: nowy gatunek?*; ponad głowami zebranych spoglądali Lenin, Stalin i rozmaici radzieccy generałowie. Padały takie słowa jak „wolność”, „niezależność”, „demokracja”, „rewolucja” i każde kolejne zdanie było odważniejsze od poprzedniego. Gdyby przed tymi drobnomieszczanami o jasnej skórze pojawił się teraz sam Lenin i kazał ich wyrzucić na śmietnik historii, wzywając nad ich głowami do buntu masy Murzynów (tego wieczoru żaden z nich nie był obecny, wszyscy spali spokojnie w dzielnicy czarnych), nic by mu nie zrobili, chroniłby go bowiem duch czasu i wizerunek chłopa z czerwonymi gwiazdami na pagonach, z sierpem i młotem, zmarzniętego teraz, wyczerpanego i zakrwawionego. Na liczącym setki mil froncie wojennym, przecinającym ciemne, zmarznięte połącze Związ-

ku Radzieckiego, Armia Czerwona walczyła w śniegu i lodzie, i powiew tego mroźnego powietrza wpadł do gorącej, dusznej sali, gdzie mężczyźni pocili się w koszulkach z krótkimi rękawami, a kobiety wachlowały się programami z nagłówkiem: *Dajcie Indiom wolność!* Jack Dobie zaś przechadzał się po podium, od jednego jego końca do drugiego, z błyszczącym wzrokiem wojowniczego Szkota, potrząsał pięścią, wyzywał ich od imperialistycznych krwiopijców i zapowiadał nieuchronne nadejście wolności.

Anton przesunął spojrzeniem po wzniesionych ku podium twarzach w poszukiwaniu Marthy. Nie było jej tutaj, pewnie poszła do domu. Andrew myślał o Maisie; miał powody, żeby być z nią tego wieczoru. Jednakże obaj mężczyźni wiedzieli, że ze względu na wzajemną rywalizację zostaną do końca zebrania, a później jeszcze zabiorą Jacka Dobiego na kawę. Oficjalne stanowisko grupy było takie, że to „człowiek szczerzy, ale zbyt indywidualista, który potrzebuje przewodnictwa marksistów”. Chociaż nad blaszanym dachem zabrzmiał następny grzmot, który zagłuszył słowa Jacka, nic nie zapowiadało deszczu, który dałby im pretekst, żeby pójść do domu.

Pięćset jardów dalej w małym, jasnym, gorącym pokoju Maisie Gale, przez krótki czas Maisie York, następnie Maisie Denham, a obecnie Maisie McGrew, dwudziestoczteroletnia dziewczyna w zaawansowanej ciąży, dotykając brzuchem spoconych ud, siedziała na łożku, które za dnia pełniło funkcję kanapy, i trzymała dłonie na małym kolorowym globusie, patrząc na obszar piaskowej barwy, oznaczający Sudan. Krzesło naprzeciwko niej zajmował Athen, z brązowymi, masywnymi rękami złożonymi na kolanach, w mundurze khaki, i patrzył na nią z braterską, wyrozumiałą troską. O ósmej, sądząc, że zebranie ma się odbyć w mieszkaniu państwa



Hesse piętro wyżej, zapukał do drzwi i stwierdziwszy, że nikogo nie ma, zszedł na dół, żeby zapytać, gdzie zebrała się grupa, i zastał Maisie krążącą szybko, niezgrabnie po małym pokoju i osłaniającą brzuch przed ostrymi kantami krzesła i stołu; jasne miękkie włosy przyklejały się jej do głowy, tak że wyzierająca spod nich twarz wyglądała jak obrzmiała, żółtawa, nieruchoma maska wyrażająca nieszczęście. Dziewczyna zaproponowała mu herbatę, kawę, piwo, powiedziała, żeby ugotował sobie coś na kolację, jeśli jest głodny, usiadła, wstała, westchnęła, wyrzała przez okno w ciemność przesywaną błyskawicami i w końcu z wyraźną niechęcią wyznała, że Andrew poszedł na zebranie, ale ma nadzieję, że wkrótce wróci.

Tego rana pani Maynard zjawiła się w progu jej mieszkania, weszła, nie pukając, i powiadomiła ją krótko, choć łagodnie, że Binkie dostał urlop okolicznościowy i jutro przyjedzie do miasteczka. Ponieważ Maisie nic nie odpowiedziała, kobieta wyszła z godnością, świadczącą, że gotowa jest cierpliwie znosić spotykającą ją niesprawiedliwość.

Wtedy Maisie się załamała. Do tej pory ignorowała listy, telefony, a nawet telegramy od państwa Maynard, ale widząc apodyktyczną matronę o ciemnych brwiach we własnej osobie, matkę Binkiego, który był zresztą bardzo do niej podobny, musiała zmierzyć się z faktem, że Binkie przyjeżdża. Że przyjeżdża ojciec jej dziecka. Ma być tu następnego dnia.

Teraz więc, siedząc na łóżku, trzymała jeden pulchny brudnawy palec na różowej plamie, która oznaczała Włochy, a drugi na małej czarnej kropce, symbolizującej miasto, w którym mieszkała. Przesunęła wzrokiem po niebieskiej połaci Morza Śródziemnego, gdzie w tej chwili toczyła się bitwa morska, po żółtym terenie Egiptu i piaskach Sudanu,

a następnie niżej, po Abisynii, ogromnej szczelinie w ziemi, czyli Wielkim Rowie Afrykańskim, po jeziorach i lasach Niasy, a następnie po suchych pustkowiach Rodezji Północnej, która produkowała miedź, niewykorzystywaną podczas wojny, aż na sam dół, do miejsca, gdzie właśnie siedziała, w małym, niskim, dusznym pokoju. Potem jej zachmurzony wzrok spoczął znowu na Włoszech. Może Binkie jeszcze nie wyjechał? Ale prawdopodobnie był już w powietrzu, gdzieś nad Egiptem, Sudanem czy Abisynią, leciał po łuku nad ziemią, oddalając się od zimnych terenów walk we Włoszech, spowitych mrokiem drugiej półkuli, ponad brzuchem Afryki, wystawionym do słońca, w samym środku lata, gdzie tkwiła spocona Maisie i czekała. Widziała, jak maleńki niczym mucha samolot przemieszcza się w dół po krzywej nad ziemią, w coraz jaśniejszym słońcu, odbijającym się od skrzydeł; uniosła wzrok, żeby spojrzeć na Athena, i powiedziała żałośnie:

— Nie wiem, co mam zrobić. Nie wiem, co jest słuszne, a co niesłuszne.

Athen powtórzył już dziesiąty raz tego wieczoru:

— Ależ, Maisie, przecież od jakiegoś czasu wiedziałaś, że on przyjedzie. Wiedziałaś to.

— Nie spodziewałam się, że będę miała takie wyrzuty sumienia, gdy go zobaczę.

— Jeszcze go nie widziałaś — zwrócił jej uwagę, uśmiechając się łagodnie.

— A kiedy powiedziałam Andrew, że Binkie przyjeżdża, stwierdził tylko: cóż, zobaczysz się z nim, powiesz mu, co i jak, i będzie po sprawie.

— To bardzo rozsądne — zauważył Athen; dostrzegł niechęć na jej twarzy, gdy wspomniała o mężu. Za każdym

razem, gdy padało jego imię, wyglądała na zranioną i pełną gniewnej niechęci. — Przecież kochasz Andrew — rzucił poważnie, z przyganą.

— Miałam już dwóch mężów.

— Ale teraz jesteś żoną Andrew.

— I obaj zginęli.

Athen pochylił się, ujmując kolana opalonymi, muskularnymi, szczupłymi rękami. Maisie patrzyła na nie tym samym zachmurzonym wzrokiem.

— Maisie, kochałaś ich, zginęli, ale nie z twojej winy.

— Miłość — rzuciła ze smutkiem. — Czasami zastanawiam się, co to znaczy.

— Często o nich myślisz?

Wzruszyła ramionami ze zniecierpliwieniem.

— To przecież nie jest niełojalne wobec Andrew. Nie ma nic złego w tym, że myśli się o nieżyjących ludziach, których się kochało.

— Dlaczego o tym mówisz? Nie rozumiem.

— Wielu moich towarzyszy zginęło — ciągnął, wciąż pochylony, wciąż patrząc jej w twarz. — I często o nich myślę. Widzisz, Maisie, jeśli ktoś cię kocha, to kocha cię za to, jaka jesteś. Dlatego masz prawo myśleć o tych dwóch mężczyznach, jeśli ich kochałaś i byli dobrymi ludźmi.

Cała stężała.

— Ty ciągle o nich? Mnie chodzi o Binkiego. Chciałabym, żeby to Andrew był ojcem mojego dziecka. Wiesz, nad czym zastanawiałam się po południu? Myślałam, że gdyby Binkie zginął, wszystko byłoby prostsze. — Spojrzała na niego wyzywająco.

— To bardzo źle — oświadczył stanowczo, a ona jakby na to czekała: skuliła się i westchnęła.

— Wiem. A później przyszło mi do głowy: gdyby zginął Andrew, zostałabym wdową po raz trzeci.

— Maisie, dlaczego uśmiercasz ich wszystkich? Musisz tylko zdecydować, czego chcesz, i już.

— Tak się zastanawiałam. Kiedy Andrew opowiada o życiu w Anglii, to nie widzę tam siebie.

— Oczekuje, że po wojnie wyjedziesz z nim do Anglii?

— Po wojnie! Mogą jeszcze minąć całe lata! Czasami mam wrażenie, że to będzie wojna stuletnia, jak ta w przeszłości. Często się mówi: „Kiedy będziemy w Londynie...”, ale to tylko takie gadanie.

— On mówi poważnie, Maisie.

— Nie — odparła z nieoczekiwaną pewnością. — Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek myślał o tym poważnie. To wszystko stało się tak nagle. Był miły, ożenił się ze mną, żeby dać dziecku nazwisko, a potem... zakochaliśmy się w sobie. — Powiedziała to z pewnym smutkiem, którego się spodziewała.

— Maisie, ty nie wybierasz między tymi dwoma mężczyznami, wybierasz między dwiema różnymi drogami życia. Jeśli wrócisz do ojca dziecka, będziesz żoną bogatego człowieka...

— Bogatego?

— Dla mnie to byłoby bogactwo — stwierdził z lekkim uśmiechem. — Maisie, białym ludziom w tym kraju żyje się jak mało komu na świecie. Nie wiesz tego? Możesz mi wierzyć. Miałabyś wygodne życie, ze służbą. Ale jeśli wyjedziesz z Andrew, to jako żona komunisty będziesz wiodła życie ciężkie, choć uczciwe.

— Komunizm — powiedziała. — Jest w tym coś głupiego. Och, wiem, że nie powinnam mówić tego przy tobie. Jesteś

ubogim człowiekiem, mówiłeś, że sprzedawałeś gazety na ulicach Aten. Ty możesz być komunistą, jest w tym sens. Ale czasami śmiać mi się chce, gdy widzę Matty, Marjorie i całą resztę... a poza tym komunizm nie jest dla czarnych, mów co chcesz.

Uśmiechnął się znowu, z powagą, na ten frazes pochodzący jeszcze z czasów, zanim wstąpiła do grupy.

Odpowiedziała cierpkim, ale zdecydowanym uśmiechem.

— Och, wiem, myślisz, że tego nie pojmuję i nie powinnam się wypowiadać na ten temat. Tylko nie o to chodzi, nie rozumiesz? Bo myślę sobie tak: gdybym pozostała żoną Andrew, byłabym komunistką. A gdybym wróciła do Binkiego, musiałabym z tym skończyć. I wtedy czuję się, jakbym ja sama była nikim.

— Ależ, Maisie, jak to „nikim”? Jesteś sobą. Nie tylko czyjąś żoną.

Odparła z niechęcią:

— Andrew mówi do mnie tak... no, wiesz... jak do dziecka.

— To nieprawda, Maisie.

— Tak, i zawsze musi mieć rację, on jeden.

Athen stwierdził z przekonaniem:

— Maisie, wiesz, co robisz? Szukasz czegoś przeciwko niemu, chcesz go zniechęcić, wynajdujesz sobie różne powody.

Podjęła nerwową wędrówkę po pokoju. Wydawała się niegrabna i wytrącona z równowagi. Od ramion po udajej ciało wyglądało jak ciało każdej ciężarnej kobiety. Ale ręce i opalone nogi należały do młodej dziewczyny; a jej niebieskie oczy były niewinne i poważne; tak poważne jak jego oczy, ciemne, surowe, krytyczne. Podeszła do kanapy, usiadła na niej, położyła dłonie na globusie, wsparła na nich czoło i zaczęła płakać.

Athen delikatnie położył ją na łóżku, tak że rozciągnęła się na wojskowych kocach Andrew, wziął poduszkę, uniósł jej kolana i wsunął ją pod nie, a następnie usiadł obok.

— To samo robiłem dla siostry, gdy była chora i spodziewała się dziecka. Wygodnie ci?

— Tak.

Położył swoją szczupłą ciemną dłoń na jej wystającym brzuchu. Napięła się, ale zaraz potem rozluźniła.

— Spokojnie — powiedział. — Tak dobrze. Czuję ruchy dziecka. Podoba mi się to.

Leżała bez ruchu i patrzyła w sufit, marszcząc czoło, czując dłoń tego niewysokiego mężczyzny na swoim ciele. Z jej twarzy powoli zniknęło napięcie.

— Może należysz do kobiet, dla których mężczyzna nie jest najważniejszy. Nie ma w tym nic złego. Jeśli tak, musisz przede wszystkim myśleć o dziecku, o tym, co będzie dla niego dobre. Musisz wychować je na dobrego człowieka, który będzie rozumiał świat, walczył o sprawiedliwość i pokój.

— Jeśli będzie mężczyzną!

— A ma być dziewczynką?

— Która wyrośnie na kobietę!

— Więc wolałabyś dziewczynkę, żeby mieć towarzyszkę w cierpieniach?

Zaśmiała się głośno i jakby tym zawstydzona, wsadziła brzeg dłoni do ust i zagryzła ją.

— Nie jesteś sobą dziś wieczorem, Maisie. — Zaczął delikatnie głaskać ją wydatnym brzuchu. Twarz miał niezwykle łagodną, a oczy pełne radości. — Zadaj więc sobie pytanie: kto, Andrew czy Binkie, wychowa twojego syna albo córkę na dobrego człowieka, takiego, który będzie rozumiał świat i starał się, żeby lepiej się na nim żyło? To musisz rozstrzygnąć.

— Mów dalej — zachęciła go Maisie. — Już lepiej się czuję. — Po chwili dodała: — Gdybyś to był ty... bo to ty mogłeś ożenić się ze mną, żeby mi pomóc, a wtedy byśmy się pokochali... i byłoby nam dobrze.

— Pokochali — powtórzył za nią Athen. — Nie mów, że nie kochałaś Andrew. Jeśli się kogoś kochało, nawet przez krótki czas, to jest to coś bardzo pozytywnego. Powinnaś to wiedzieć i nie wmawiać sobie, że go nie kochałaś.

— Miłość — rzuciła Maisie leniwie, już swoim normalnym, spokojnym głosem. — Miłość. Czasami myślę, że coś takiego nie istnieje. — Uniosła pulchną, dziecięcą dłoń z leżącej obok poduszki i ziewnęła, zasłaniając usta. Athen wyłączył górne światło; w pokoju zapanował mrok.

— Spróbuj się teraz uspokoić, może zasnąć, i pamiętaj, że jesteś sobą, musisz zorientować się, czego chcesz, a nie zwałać winę za swoją słabość na innych.

Maisie ziewnęła znowu, opuściła rękę i położyła ją przy policzku, uśmiechnęła się do niego i przyknęła oczy. Athen wciąż siedział przy niej i gładził **japo** dużym brzuchu, dopóki nie zaczęła wolniej oddychać. Potem wyszedł po cichu, gasząc wszystkie światła.

Pół godziny później zjawił się Andrew, włączył górne światło, zobaczył, że Maisie śpi, wyłączył światło, niezgrabnie, na palcach podszedł do łóżka i zapalił małą lampkę. Usiadł tam, gdzie wcześniej siedział Athen, obok śpiącej dziewczyny. Był zaniepokojony. Rano Maisie powiedziała mu, że przyszła do niej pani Maynard i że Binkie wraca. Przez całe popołudnie, gdy wreszcie udało mu się wyrwać z bazy, miał wrażenie, że jest zdenerwowana, małomówna, pełna wyrzutów sumienia i wątpliwości. Wieczorem, na zebraniu i później przy kawie z Antonem i Jackiem Dobiem, jednocześnie bał się i czekał na

moment, kiedy, jak sobie mówił, znowu „będzie” z Maisie. Po południu bowiem wydało mu się, że nagle stała się obca. Teraz otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego, i zrobiło mu się ciepłej na sercu, które — jak się zorientował — dotąd biło mu szybko z niepokoju. Potem jej twarz się zmieniła; dziewczyna ziewnęła i obróciła się na drugi bok.

— Jak się ma dziś wieczorem mały drań? — zapytał zręczliwie wesołym głosem, którym zawsze ją o to pytał.

— W porządku — odparła krótko i zapytała uprzejmie: — A jak było na zebraniu?

— Nie najgorzej.

Zapatrzyła się w dal nad łukiem poduszki. Przyjrzał jej się i zauważył ze zdziwieniem, że jej zniekształcone ciało jest dla niego odpychające. Przypomniał sobie, że rano, gdy powiedziała mu o powrocie Binkiego, miał takie samo wrażenie: spojrzął na nią i wydała mu się okropna.

Był świadkiem, jak rosło i zmieniało się jej ciało, i ledwie zwracał na to uwagę; w nocy z wdzięcznością wtulał twarz w jej ciepłe, pełne ramiona, witał dotykiem dłoni dziecko w jej brzuchu i nigdy nie zastanawiał się nad tym, że nie jest jego. Ale teraz, ponieważ Binkie miał wrócić, myślał wciąż: to nie jest moje dziecko, i jej ciąża stała się dla niego czymś dziwnym i obrzydliwym. Maisie wzięła go za rękę i położyła ją sobie na brzuchu. Nagle poczuł w ramieniu dziwną sztywność, przez chwilę nie zabierał dłoni, a potem pozwolił jej opaść. Maisie spojrzała na niego z przyganą swoimi głębokimi niebieskimi oczami.

Jego niepokój znalazł nagle ujście w pytaniu, które wyrwało mu się mimowolnie:

— Wciąż martwisz się o Binkiego?

— Cóż, to chyba naturalne, no nie? — Patrzyła spod



rzęś na jego dużą, niezgrabną dłoń, która spoczywała obok niej na kocu.

Odpowiedział, atakując niezręcznie:

— Posłuchaj, Maisie, musimy sobie coś wyjaśnić, chcę wiedzieć, na czym stoję, bo wydaje mi się, że masz coś do mnie od chwili, gdy dowiedziałas się o przyjeździe Binkiego.

Nie poruszyła się, wciąż leżała spokojnie na łóżku, duża, niezgrabna, obrzmiała, tak że poczuł prawie fizyczny niesmak, przypominający mdłości. Odparła jednym tchem:

— Więc to ja się zmieniłam? Ja? Powiedziałam, że on wraca, a ty spojrzales na mnie tak, że poczułam się jak śmieć.

Nie odpowiedział, myśląc: Chyba nie mogła się zorientować, co wtedy czułem? I odparł napastliwie:

— Zaczęło się od chwili, gdy się dowiedziałas, że on wraca.

Odparła na to:

— Jest ojcem mojego dziecka.

— Takim ojcem, że musiałem się z tobą ożenić, aby dać temu małemu draniowi nazwisko.

Usiadła i spojrzała na niego. Myślała: miałyby prawo tak powiedzieć, gdyby ożenił się ze mną, a potem pożegnał. Ale myśmy się w sobie zakochali. (Powiedziałyby, że było im z sobą dobrze, ale pamiętając słowa Athena, określiła to jako zakochanie). Teraz więc nie powinien tak mówić, stwierdziła, kładąc się znowu, tym razem odwrócona do niego plecami.

— Nikt cię do tego nie zmuszał. Sam się zaoferowałeś.

— Przepraszam. Niepotrzebnie to powiedziałem.

— Niepotrzebnie.

Cisza, która potem nastąpiła, była nie do zniesienia. Powiedział więc sztywno:

— Mam pójść spać do twojego pokoju? Nie musisz się stąd ruszać, jeśli nie chcesz.

— Jak wolisz — odparła obojętnie.

Już miał bez słowa wyjść do sąsiedniego pokoju, gdy zauważył w jej oczach łzy. Wydał pełen skruchy okrzyk, ściągnął z siebie mundur i położył się obok niej na szorstkim ciepłym kocu.

— Powinnaś się przebrać w koszulę nocną — rzucił. — Jest za gorąco, żeby spać w ubraniu.

Rozebrała się więc pospiesznie, zauważając przy tym, że starał się na nią nie patrzeć. Na jej twarzy pojawiła się uraza; czym prędzej wślizgnęła się pod prześcieradło i odwróciła do niego plecami. On przysunął się do niej, jak w poprzednie noce, wsunął ramię pod głowę dziewczyny, a drugą rękę złożył na jej brzuchu, pod dużymi, nieujętymi stanikiem piersiami. Nagle ogarnął go spokój.

— Hej, Maisie — powiedział cicho w jej wilgotne włosy, a ona przywarła do niego. Wiedział, że przyciskając miękkie pośladki do jego ciała, chce się zorientować, czy jest gotowy. Do tej pory kochali się, nie zważając na jej ciążę. Tej nocy jednak zrozumiał, że fizyczna odraza, jaką w nim budziła, uniemożliwia mu to. Objął jej ramiona, pocałował ją w szyję i powiedział: — Maisie, nie możemy się kłócić.

Stężała.

— Kłócić? — zapytała. — To nie jest kłótnia. Już mnie nie kochasz.

— Ależ kocham, Maisie, naprawdę.

Ujęła jego rękę i przesunęła nią delikatnie po swoim brzuchu. Z jego przyzwoleniem głaskała się tak przez chwilę, a potem gdy przestała, on z kolei chwycił jej dłoń: jej ciało było dla niego obce, ale ręka nie.

Leżeli tak bez ruchu, przepełnieni niesmakiem. Potem ona powiedziała:

— Chyba wolałabym spać dziś sama, jest mi niewygodnie.

Pierwszy raz więc mieli spędzić noc osobno. Wstał z łóżka szybko, nic nie mówiąc, i poszedł do drugiego pokoju. Na ścianach wciąż wisiały zdjęcia jej mężów. Przywitał się z nimi ironicznym skinieniem głowy i pomyślał: pewnie po powrocie Binkiego powiesi obok nich i swoją fotografię. Próbował zasnąć, bo nie chciał spędzić nocy na smętnych rozważaniach, ale chyba jeszcze bardziej bał się, że Maisie, aby odzyskać spokój, przyjdzie położyć się obok niego, a wtedy on zdradzi się ponownie ze swoim wstrętem.

Dokładnie nad Andrew, po drugiej stronie cienkiego sufitu, w identycznym pokoju, leżała w wilgotnej halce Martha, która obserwowała suche, wciąż nieprzynoszące deszczu błyskawice, które przebijały się przez zwały chmur. Paliła papierosa za papierosem i była tak napięta od upału, irytacji i zmęczenia, że nie mogła uleżeć spokojnie. Miała poczucie winy, że tak łatwo wymówiła się od pójścia na zebranie grupy. Jeszcze bardziej gnębiło ją to, że dotarłszy z Colinem na odczyt o Indiach, znowu prawie natychmiast się stamtąd wymknęła. Wiedziała, o czym będzie mówił Jack Dobie, zgadzała się z tym i właściwie sama mogłaby wygłosić taką mowę. A Colin ją irytował. Uznawszy, że powinien w czymś się „specjalizować”, wybrał Indie i z typową dla siebie konsekwencją zaczął studiować ten temat. Siedział na zebraniu obok niej, kiwał i kręcił głową, z flegmatyczną uwagą słuchając Jacka i szepcząc do niej, jeśli jakiś drobny fakt czy szczegół się nie zgadzał. Wkrótce go przeprosiła i poszła do domu, żeby pobyć sama. Pragnęła samotności. W mieszkaniu zastała dwóch lotników z Klubu Postępowców. Od jej ślubu z Antonem ośrodek życia grupy przeniósł się z domu państwa Du Preez do nich. Martha zdała sobie z tego sprawę, gdy

regularnie zaczęli wpadać do nich różni ludzie, a w salonie pojawiły się sterty broszur propagandowych, książek i teczek. Było to naturalne, bo w przeciwieństwie do domu Pieta i Marie mieszkanie Marthy i Antona znajdowało się w centrum; poza tym państwo Du Preez stanowili rodzinę z dziećmi, a ona i Anton jako młode małżeństwo prowadzili bardziej swobodny tryb życia. Kiedy Martha zrozumiała, że musi się liczyć ze stałą obecnością obcych, śpiących na podłodze w salonie, nawet korzystających z wanny, gdy budziła się rano, albo wpadających na posiłki, zaakceptowała to i polubiła. Czuła ulgę, że nie musi za długo przebywać z Antonem sam na sam, i miała tego świadomość.

Ze zdziwieniem jednak odkryła, że Antona to drażni. Można by odnieść wrażenie, że po ślubie Anton stał się kimś innym. Przede wszystkim wytrwale, niemal w sekrecie, z wyrazem skrywanej satysfakcji, kupował meble, które wydawały jej się brzydkie i bardzo tradycyjne. Wolałaby, żeby ich mieszkanie przypominało skromny salonik Maisie, stanowiło miejsce do koczowania, umeblowane dzięki pomocy przyjaciół i własnej pomysłowości. Ale kiedy to powiedziała, Anton zwrócił jej uwagę nowym u niego tonem, który również zaczął przybierać od ślubu, że ma ekscentryczny gust. Oba pokoje mogły więc znaleźć się na wystawie jako przykład przytulnego podmiejskiego domostwa i Martha ich nie cierpiała. A że Anton wydawał na meble wszystkie swoje skromne oszczędności, kilka razy wypomniał jej to. Nic na to nie powiedziała, ale odnotowała sobie w pamięci, że mają odmienny stosunek do pieniędzy. Co więcej, Anton nie stronił od obowiązków domowych i tego samego oczekiwał od niej. Zrozumiała, że jego życie składa się z trzech części: z pracy urzędnika w biurze, którą wykonywał sumiennie, nie pozwalając, aby

przeszkadzały mu w tym inne zajęcia; z działalności politycznej, zebrań i spotkań z ludźmi w jej ramach; i czasu prywatnego spędzanego w domu, do którego polityka i wszelkie inne sprawy nie powinny mieć wstępu.

Wydawało się jednak, że sam wstydzi się takiego podejścia, bo chociaż widział, jak Martha przyjmuje gości, rozmawia z nimi, gotuje dla nich, patrzył uważnie i krytycznie, nie robił nic poza narzekaniem, że ich dom zamienia się w hotel.

— Czy nie sądzisz — pytała Martha — że jeśli wierzymy w braterstwo i dzielimy się tym, co mamy, powinniśmy też karmić ludzi i udzielać im noclegu jak w hotelu?

W tym pytaniu brzmiało autentyczne oburzenie, ale też niepokój, bo wiedziała, że jej motywy nie są do końca szczerze.

— Tak, tak, ale nie stać nas na to.

To skłoniło ją do podjęcia pewnej decyzji. Pan Robinson bowiem odjakiegoś czasu sugerował, że mogłaby nauczyć się prowadzić księgi rachunkowe firmy. Do tej pory odmawiała, bo wolała poświęcać czas na ciekawsze zajęcia. Teraz jednak poinformowała Antona, że jej pensja wzrośnie o dziesięć funtów miesięcznie i powinna pokryć koszty związane z przyjmowaniem gości.

Tego wieczoru poprosiła dwóch chłopców z RAF-u, żeby sobie poszli, ponieważ miała pracę do wykonania. Odparli na to pogodnie, żeby się nie przejmowała, bo sami zajmą się sobą. Siedząc na łóżku, słyszała przez cienką ścianę ich głośną rozmowę i żałowała, że nie ma choć jednego wieczoru dla siebie. Gdyby jednak wywiązywała się ze swoich obowiązków, byłaby teraz na tym czy innym zebraniu, a nie siedziała tu beczynnienie. A miała mnóstwo roboty. Na przykład sprawy związane z kampanią przeciwko pani Van der Bylt. Bo od czasu „wiecu w dzielnicy czarnych” gazeta publikowała

codziennie kilka listów o tym, jak to „agenci Moskwy” podburzają Murzynów do buntu. Nazwisko pani Van der Bylt wymieniono w taki sposób, jakby to ona przewodziła tej działalności. Co więcej, pojawiła się seria anonimowych ulotek i broszur. Niepokój budziły zwłaszcza dwie z nich: jedna piętnująca „pewnych komunistycznych agitatorów, którzy działają wśród kafirów”, pełna osobistych insynuacji; i druga, przedstawiająca działalność pani Van der Bylt, która od wielu lat prowadziła kampanię na rzecz poprawy warunków życia Murzynów i wygłosiła kilkadziesiąt mów na ten temat, jakby niczym innym w życiu się nie zajmowała. W ulotce tej nie było nic obraźliwego, gdyby dopatrywać się w niej zniesławienia; ale ponieważ znalazła się na progach wszystkich domów z miasteczka wraz z tamtą, została przeczytana zaraz po niej i nie można było nie skojarzyć nazwiska pani Van der Bylt z jadowitą treścią tej poprzedniej.

Martha otrzymała więc zadanie przejrzenia wszystkich przemówień pani Van der Bylt, żeby sprawdzić, czy zacytowano je wiernie i nie dopuszczono się manipulacji. Zapoznała się z nimi dokładnie. I właśnie tego popołudnia skończyła też pracę związaną z listami. Należała do niej rozmowa z redaktorem naczelnym „News”. Co tydzień bowiem, od czasu „wiecu w dzielnicy czarnych”, ukazywał się w gazecie jeden jedyny list, który wyrażał dla niego poparcie, czy raczej wzywał obywateli, żeby zachowali zdrowy rozsądek i wyczucie proporcji. A przecież powstały też inne, jak Martha dobrze wiedziała, bo miała dopilnować, żeby je napisano. Jakiś czas wcześniej w grupie powołano podkomitet, który miał dbać o to, żeby żaden reakcyjny list, ukazujący się w „News”, nie pozostał bez odpowiedzi. Jak dotąd działalność ta zajmowała tak niewiele czasu, że tworzące podkomitet

Martha i Marjorie nie były, żeby się tak wyrazić, przeciążone pracą. Gdy jednak wyniknął cały ten konflikt, obie musiały się zmobilizować i w efekcie trzydzieści osób, które uważały się za liberałów, zaczęły pisać listy do redakcji, dowodząc, że „wiec w dzielnicy czarnych”, oprócz dywersji, miał także inne cele. Żaden z nich jednak nie został opublikowany. Dlatego też Martha zażądała rozmowy z panem Haggertym, która odbyła się tego popołudnia.

Pan Haggerty urodził się i wychował w Afryce Południowej, i od razu powiedział Marcie, że nie ma czasu dla sympatyków kafirów. Tym samym rozmowa natychmiast przekształciła się w spór ideowy.

Martha przede wszystkim zapytała, czy to demokratyczne, że w kolonii wychodzi tylko jedna gazeta, w dodatku należąca do prasy związkowej i powiązana z Izłą Górniczą. Nie, odparł pan Haggerty, to może niedemokratyczne, ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zaczęto wydawać inne gazety.

Nic oprócz braku kapitału, zauważyła Martha.

To już nie jego wina, odparł pan Haggerty.

Skoro więc wychodzi tylko ta jedna gazeta, to czy redakcja tym bardziej nie powinna zdawać sobie sprawy z ciężącej na niej odpowiedzialności? — zapytała znowu Martha. Czy jest demokratyczne, żeby publikowała tygodniowo tylko jeden list spośród dwunastu wyrażających poparcie dla „wieceu w dzielnicy czarnych”?

Jak najbardziej, odpowiedział pan Haggerty. Z tego, co się orientował, zaledwie pięćdziesiąt osób w kolonii mogło podzielać tę opinię i ich stanowisko reprezentował właśnie ten jeden list.

Pięćdziesięciu białych, uściśliła Martha.

Tak jest, potwierdził pan Haggerty, a potem, widząc, że nastąpił impas, wyjaśnił, że „News” reprezentują poglądy nie tylko białych, ale także czarnych, jednakże w jego przekonaniu „masom murzyńskim” zależy jedynie na tym, żeby zostawiono je w spokoju. Na to Martha się zaśmiała i pan Haggerty z irytacją zaczął bębnić palcami po blacie biurka.

Potem zapytała go, czy jako redaktor naczelny mógłby określić politykę swojej gazety.

Odparł, że polityka gazety polega na wspieraniu obecnego rządu.

A czy to demokratyczne? — zapytała Martha.

Oczywiście, stwierdził pan Haggerty, rząd został wybrany przez naród i dlatego wspieranie go jest przejawem demokracji.

Przez naród złożony z białych, zauważyła Martha i powołała się na Deklarację niepodległości Stanów Zjednoczonych, Toma Paine’a, Milтона, Jeffersona, Shelleya i Byrona. Słuchając podejrzliwie, pan Haggerty odparł, że nie interesuje go komunistyczna propaganda. Na co Martha, zadowolona, odcięła się stosownie.

Wówczas pan Haggerty oświadczył, że gdyby Jefferson, Paine czy Milton żyli w takiej kolonii, na pewno nie mówiliby o wolności.

Na co Martha zarzuciła mu, że jest całkowicie pozbawiony świadomości historycznej.

Wolność, odpowiedział pan Haggerty, żeby mieć ostatnie słowo, powinna być przywilejem umytych i wykształconych, a kafirom na razie potrzebna jest dyscyplina i higiena.

Na tym rozmowa się zakończyła i obie strony pożegnały się z urazą.

Potem Martha próbowała się skontaktować z panią Van der Bylt, ale nie zastała jej w gabinecie.



Teraz pomyślała: powinnam była pójść do niej do domu. Ale wizyta w gabinecie pani Van der Bylt to było zupełnie co innego niż wizyta w jej domu. Bo od czasu tamtego wieczoru po ślubie między Martha a panią Van der Bylt zapanowała niechęć. Martha nie mogła zrozumieć dlaczego, bo przecież podziwiała tę starszą kobietę.

Róże długo stały w sypialni, choć powinny już zostać wyrzucone. Martha patrzyła, jak ich płatki wiotczeją, marszczą się i blakną, i myślała: Skoro nie chcę ich wyrzucić, to znaczy, że wzruszyłam się tamtego wieczoru. Ale przecież ona dała te róże nie mnie, ale komuś, kim nie byłam, więc w gruncie rzeczy to było nieszczerze z jej strony.

Róże pozostały jednak w pokoju i Martha zauważyła, że narasta w niej bardzo niemiłe, przygnębiające wrażenie; szydziła z siebie, dostrzegając parodię w tym, że pozwala sobie na uczucie, którego nie aprobuje, a które mimo to sprawia jej przyjemność, choć jednocześnie miała świadomość, że unicestwia je własnym szyderstwem. Skąd mam rozeznaczyć się w swoich odczuciach? Wystarczy, żebym posłuchała skautowskiej orkiestry dętej w niedzielne popołudnie, a łzy napływają mi do oczu. Gdy Anton mówi do mnie „maleńka”, czuję dławienie w gardle. Gdy pani Van der Bylt daje mi kwiaty, chce mi się płakać. To wszystko jest nierealne. To tak, jakbym miała gdzieś w środku worek łez, które wylewają się, gdy ktoś przekłuje go szpilką...

Uznawszy więc, że nie pójdzie do pani Van der Bylt, położyła się na łóżku i leżała tak pół godziny, a potem wstała i zebrała dokumenty, bo zdecydowała jednak, że je zanieśnie.

Przeszła cicho przez pokój frontowy. Było w nim teraz pięcioro ludzi. Młody pilot, który właśnie zakończył szkolenie, upijał się w kącie brandy z Kapsztadu. Do dwóch chłopców

z RAF-u, którzy byli tu przedtem, dołączyły ich dziewczyny i wszyscy leżeli na podłodze, dyskutując o tym, co będą robić po wojnie. W trochę smętnym, a trochę żartobliwym tonie, charakterystycznym dla tych czasów (ta żartobliwość była odpowiednikiem jej autoironii, zauważyła Martha), zgodzili się, że pojedą do Związku Radzieckiego, staną przed Stalinem i poproszą o przydzielenie im jakiegoś trudnego, niebezpiecznego zadania.

— Przecież — mówiła jedna z dziewcząt, gdy Martha przechodziła przez pokój — jeszcze nie ukończyli budowy socjalizmu. Chciałabym pomóc w rozwoju Syberii czy coś w tym rodzaju.

Przywitali Marthę, jakby była takim samym gościem jak oni, i gdy wyprowadzała rower, żeby pojechać do domu pani Van der Bylt w alejach, dalej snuli swoje wizje.

Pani Van der Bylt usiadła naprzeciwko niej, spokojna i wyprostowana jak zawsze, i powiedziała, że miło, iż ją odwiedziła, ale zrobiła to w sposób, jakby sugerowała, że chętnie zobaczyłaby się z nią już wcześniej. Martha poczuła się urażona i zdała relację ze swojej misji: rozmowy z redaktorem naczelnym, konsultacji z prawnikiem na temat ewentualnego zniesławienia, lektury cytatów z przemówień. Pani Van der Bylt słuchała jej, oceniając sytuację, z której wynikało, że nie może wstąpić na drogę sądową i w związku z tym jej reputacja polityczna pozostanie na zawsze splamiona. Skwitowała to spokojnym kiwnięciem głowy i powiedziała:

— A teraz muszę pomówić z tobą o sobotnim zebraniu komitetu. Nie jestem zadowolona z postawy twoich kolegów. Grozi nam poważny kryzys i nie jestem pewna, czy zdajecie sobie z tego sprawę.

— Ależ, pani Van der Bylt, całymi godzinami dyskutujemy o tym, jak powinniśmy postępować.

Pani Van der Bylt odparła zimno:

— Być może, ale nie wiem, czy komuniści mają prawo prowadzić własną politykę.

Martha odruchowo wstała, jakby zamierzała wyjść. Była teraz nie tylko urażona, ale i rozgniewana. Dlaczego więc, miała ochotę zapytać, wprowadziła nas pani do komitetu? Posłużyła się pani nami, a teraz mówi „komuniści” takim tonem? Zauważyła, że duże, spracowane ręce kobiety wykonują ruch, który znała: nerwowo wygładzają sukienkę na udach. Tak samo robiła jej matka, gdy była wytraconą z równowagi. Pani Van der Bylt nie zamierzała się jednak do tego przyznać; była zirytowana z jakiegoś osobistego powodu. Martha usiadła więc i czekała.

Pani Van der Bylt, odzyskując panowanie nad sobą, powiedziała już innym tonem, łagodnym i lekko zaciekawionym:

— Ale chętnie się dowiem, jaką linię obralście?

— Pani linię — odparła Martha. — Ale niewątpliwie niepokoi nas kwestia ideowa. Jest coś fundamentalnie niedemokratycznego w powołaniu frakcji murzyńskiej...

Nie zdążyła jednak dokończyć. Pani Van der Bylt znowu dała wyraz dziwnej irytacji.

— To naprawdę nadzwyczajne, że wy, komuniści, zawsze wspieracie prawicę... — Ale i tym razem się powstrzymała, westchnęła i powiedziała cierpliwie: — Przepraszam, ale niepokoi mnie kilka spraw. Oczywiście, że to niedemokratyczne. Zawsze dziwi mnie, że w tym kraju postępowcy przeważnie muszą opierać swoją walkę na podejrzanych moralnie podstawach. Może pamiętasz — dodała z uśmiechem — że biały ruch związkowy przez całe pokolenia nie dopuszczał

Murzynów z Afryki Południowej i z tego kraju do pracy wymagającej kwalifikacji, posługując się argumentem, że byłoby niesprawiedliwe, gdyby czarni robotnicy zarabiali mniej niż biali...

— Dlatego postanowiliśmy panią poprzeć, choć, niezależnie od tego, cała sprawa budzi nasze zastrzeżenia.

— Miło mi słyszeć, że jednak jesteśmy rozsądni — zauważyła pani Van der Bylt, przybierając znowu, tym razem bez przeprosin, poirytowany, suchy ton.

Martha wstała. Ale tym razem usiadła ponownie, bo gospodyni kategorycznie wskazała jej głową krzesło. Siedziała więc i słuchała przez kilka minut, podczas gdy pani Van der Bylt przedstawiała „linię”, którą według jej oczekiwań powinna przyjąć grupa komunistyczna.

Marcie wydało się zabawne, że ma odgrywać rolę łącznika między panią Van der Bylt a grupą, ale wiedziała, że ta inaczej na to patrzy. Słuchała więc, zapewniła, że stawia się wszyscy w sobotę i że ją poprą, po czym wstała i zobaczyła, że pani Van der Bylt jest rozczarowana.

Nastąpił moment wahania. Pani Van der Bylt zaproponowała jej drinka. Pijąc go, Martha słuchała dalej gospodyni, która zaczęła mówić o małżeństwie, i usiłowała się zorientować, co ta kobieta próbuje jej przekazać. W końcu zrozumiała, że pani Van der Bylt mówi do siebie. To ją przygnębiło — myśl, że tak łatwo można zdenerwować tę kobietę. Bo tak się stało. Gospodyni mówiła ochryplym, drżącym głosem. Małżeństwo, powtarzała, to kwestia kompromisu. Małżeństwo to kwestia tolerancji. Choć są takie chwile, gdy człowiek się zastanawia, czy powinno się iść na kompromis w sprawach zasadniczych... Potem zaczęła mówić o prawie, o przypadkach sądowych, o stosunku swojego męża do prawa.

Czyżby niepokoiło ją coś, co zrobił jej mąż? Ale dlaczego teraz? I po co porusza ten temat z Martha?

Martha wiedziała tylko, że oczekuje od tej kobiety siły i że widok jej w takim stanie jest dla niej bardzo przykry. Jej samej też na pewno zrobi się przykro, gdy później przypomni sobie tę scenę. Pani Van der Bylt w ogóle nie patrzyła na Marthę. Przemawiała dalej szorstkim, niepewnym głosem. Spojrzenie jej małych niebieskich oczu przesunęło się z jednego mebla na inny, a ręce szarpały sukienkę, aż wreszcie wszedł służyący, który oznajmił, że baas życzy sobie natychmiast widzieć missus, na co pani Van der Bylt westchnęła, przez chwilę siedziała w milczeniu, a potem wstała i podziękowała Marcie za przyjście w swój zwykły miły, oficjalny sposób.

Po powrocie Martha zastała w mieszkaniu tylko pijanego pilota. Był to jasnowłosy, szczupły chłopak z zarumienioną od alkoholu i snu dziecięcą twarzą. Spał na boku przy łóżku, a obok niego leżała butelka po brandy. Martha uklękła przy nim i położyła mu pod głowę poduszkę. Pomyślała, że musi mu być gorąco w grubej kurtce, i próbowała ją zdjąć, tłumiąc uczucia macierzyńskie, jakie w niej wzbudził. Tyłu pilotów, którzy skupiali się wokół grupy, zginęło. Ten też pewnie zostanie zabity; za kilka miesięcy dowiem się, że nie żyje. Nie zniosę już więcej tych śmierci i smutku. Odsunęła od siebie myśl o pilocie i uznała, że skoro jest dziesiąta, Anton niebawem wróci do domu, więc jeśli ma zastanowić się nad swoją sytuacją, to pozostało jej niewiele czasu. Na początek z szuflady, w której Anton trzymał chusteczki do nosa, wyjęła fotografię młodej kobiety i przyjrzała jej się uważnie. Była to nieżyjąca żona Antona. Dopiero po ślubie opowiedział Marcie o niej. Od tej pory wspominał ją stale, aż Martha zaczęła mieć

wrażenie, że ta kobieta ją prześladowuje. Często patrzyła na jej zdjęcie z szacunkiem, niechęcią i o dziwo, z zazdrością. Była szczupła, smutna, ciemnooka, miała pełne, choć zaciśnięte usta. Ciemne włosy nosiła krótko ostrzyżone, jak mężczyzna, ale nie było w niej nic męskiego, o nie. Martha czuła, że ta kobieta ją przyciąga, ale nie rozumiała, jak to możliwe, że wyszła ona za Antona. Bo za nic w świecie nie umiała sobie wyobrazić tych dwojga razem. Grete należała do grupy pierwszych komunistów, którzy zostali aresztowani przez nazistów, i zginęła w obozie koncentracyjnym. Anton i ona byli małżeństwem przez trzy lata, ale mieli dla siebie niewiele czasu z powodu działalności na rzecz partii. Jak powiedział Anton: „Była kobietą, która poświęciła się rewolucji. Zupełnie nie myślała o sobie”.

Czy była w tym krytyka pod adresem Marthy? Wydawało jej się, że nie. Kiedy Anton mówił o żonie, na jego twarzy pojawiał się spokojny żal i jednocześnie dziwna duma. Grete była świetną mówczynią. Odznaczała się odwagą. Myślała jak mężczyzna — co Martha odnotowała, myśląc, że ta uwaga dużo mówi o Antonie. I „robotniczą uwielbiali”. Bo dlaczego by nie mieli uwielbiać? Pochodziła, zdaje się, z bogatej rodziny, którą opuściła dla sprawy. (To, że Anton, taki zawzięty proletariusz, ożenił się z przedstawicielką klasy średniej, stanowiło kolejny fakt, nad którym Martha zamierzała się zastanowić, bo czuła, że to też jest jakaś ważną informacją o nim).

Anton co wieczór mówił o Grete, a Martha słuchała. Grete pojawiała się, gdy tylko zostawali sami. Kiedy Martha zapytała ze zniecierpliwieniem:

— Anton, dlatego tak dużo mówisz o Grete?

On odparł:

— Bo była dobrą towarzyszką, Matty, dobrą kobietą.

Na co Martha wzruszyła ramionami. To wzruszenie ramion mówiło wszystko o ich małżeństwie. Dlaczego miałabym się tym przejmować, skoro tak naprawdę nie jesteśmy parą? (Choć okazywała mężowi czułość i uległość). Prawda jest taka, orzekła, że on wciąż jest żonaty z Grete. Schowała zdjęcie do szuflady, zdjęła sukienkę i położyła ją na łóżku, czując, że pot spływa jej po plecach i łechce. Łóżko stało pod oknem. Spojrzała przed siebie na czarne, wciąż bezdeszczowe, przecinane błyskawicami niebo, po którym przetaczały się grzmoty. Burze wywoływały w niej podniecenie i już miała pogrążyć się w fantazjach o bezimiennym mężczyźnie, który czekał na nią w przyszłości, czekał, żeby uwolnić tę Marthę, która w niej tkwiła — ale stłumiła je. Anton mógł wrócić lada chwila. Nauczyła się bronić przed jego seksualnymi zakusami. Przeczytała należąca do Marjorie książkę o seksie i odkryła, że Anton cierpiał na przypadłość zwaną przedwczesnym wytryskiem. Odrzuciła jednak to określenie. Bo to połączenie spokojnej dumy z całkowitą fizyczną niemocą—przynajmniej w stosunku do niej — wyrażało w jakiś sposób osobowość Antona i nie miało nic wspólnego z łacińskimi nazwami z podręcznika. Głęboki instynkt podpowiadał jej, że byłoby fatalnie, gdyby domyślił się, jak bardzo jest nim rozczarowana, i w związku z tym coraz lepiej kłamała, jeśli chodzi o seks. Było to jednak możliwe tylko wtedy, gdy jej nie wzruszał. Martha nie należała bowiem do kobiet, które kiedykolwiek użyłyby takiego sformułowania jak „seksualna strona małżeństwa”. I od chwili, gdy zrozumiała, że „seks” z Antonem nie ma dla niej nic wspólnego z tym, co do niego czuła, czyli chłodnym przywiązaniem, przepojonym coraz większym krytycyzmem, a nawet to uczucie osłabia, odzyskała spokój

ducha, bo zdała się w wyobraźni na mężczyznę, który kiedyś wkroczy w jej życie i uczyni z niej taką osobę, jaką — co wiedziała — mogła być. Nie tyle widziała, ile przeczuwała w nim kogoś, kto byłby takim męskim odpowiednikiem Grete. Ponieważ wyobrażenie tego mężczyzny dawało jej poczucie bezpieczeństwa, odnosiła się do Antona z uprzejmością. Ale pójście z nim do łóżka za każdym razem poprzedzała przykra chwila. Na szczęście zawsze było już bardzo późno, rzadko bywali sami dłużej niż kilka minut, a rano w mieszkaniu przeważnie zjawiali się ludzie, którym należało podać śniadanie. Kiedy wojna się skończy, myślała, każde z nich pójdzie w swoją stronę. Jednak pojawiła się w tym już desperacja, bo Martha domyślała się, że dla Antona nie jest tak oczywiste jak dla niej, iż będą musieli się rozstać.

Krótko mówiąc, nie pomogło wzruszenie ramion, ta desperacja narastała. Anton stawał się od Marthy coraz bardziej zależny, i to w sposób, który jej się nie podobał. Widział w niej kogoś, kim nie była. Słuchając, jak Anton opowiada o Grete, myślała nieraz, że gdyby sama umarła, w podobny sposób opowiadałby swojej następnej żonie czy kochance o niej, Marcie: i Martha, i Grete prezentowane byłyby tej nowej kobiecie nie jako wspomnienia o osobie z przeszłości, ale jako życzenia, oczekiwania, przykłady czy części czegoś, co należało kiedyś do Antona. (To ostatnie sformułowanie było zdecydowanie złośliwe — bo Anton miał poczucie własności, którego Martha zupełnie nie przejawiała, mimo że stale krytykował jej nawyki rodem z klasy średniej).

W sposób nieunikniony musiała więc się zastanawiać: ponieważ ze zrozumiałych względów nie będę prezentowana tej przyszłej kobiecie tak jak Grete, która była bohaterką, to jaka ja właściwie jestem? Anton musiał mieć o niej jakies



wyobrażenie, skoro patrzył na nią z takim zadowoleniem i uległością, których nienawidziła. Co więc o niej myślał? W tym punkcie Martha czasami spoglądała na siebie w lustrze. (W ten upalny, burzowy wieczór przyjrzała się sobie, stwierdziła, że jest brzydka, i wróciła do łóżka, nie będąc w stanie się tym przejąć). Była atrakcyjna, ale nie jakoś szczególnie. Niewiele się zmieniła. Kiedy patrzyła na siebie z boku, widziała siebie taką, jaka była zawsze, dość spięta, nadmiernie krytyczna, dziwaczna i obcesowa. Nic, co stanowiłoby dla Antona powód do dumy. A jednak czuł tę dumę i okazywał ją. Kryło się więc w tym coś, czego nie rozumiała; była głupia i pewnie jak zwykle zbyt skupiona na sobie, a przecież powinna...

Kiedy Anton wrócił, a było to późno, Martha już spała. Włączył główne światło i zaczął się rozbierać. Martha obudziła się i rzuciła „cześć” na przywitanie. On nie odpowiedział. Domyśliła się więc, że jest zły, i podniosła się, żeby wysłuchać mowy, na którą zasłużyła, ponieważ nie chodziła na zebrania. Anton jednak wciąż się nie odzywał, choć przerzuciła nogi na drugą stronę łóżka i czekała. Po dwóch czy trzech pytaniach z jej strony w końcu zaczął pomstować na Jacka Dobiego; mówił to, co już nieraz słyszała, że Jack to socjalista-awantur-  
nik starej daty, który nie wie, co to dyscyplina, i tak naprawdę nie zna się na polityce. Martha okazała się bardziej porywczą, niż przypuszczała, bo choć postanowiła nic nie mówić, od-  
burknęła, że być może jest on niezdecydowanym socjaldemo-  
kratą, ale to jakieś osiągnięcie — być wybieranym na kolejne kadencje do parlamentu przez gromadę białych związkowców, którzy nie znoszą tego wszystkiego, co Jack symbolizuje, ale szanują go do tego stopnia, że nie zagłosowaliby na nikogo innego.

Anton, jakby czekał na taką jej reakcję, spojrział na nią zimno i zauważył:

— Tak, tak, ale my nie jesteśmy panienkami ze szkoły, które zachwycają się popularnymi politykami.

Zaczął w piżamie krążyć po pokoju, składając swoje rzeczy. Martha z zainteresowaniem zauważyła, że kupował drogie piżamy i bardzo o nie dbał. Był niezwykle schludny. Kiedy przygotował się już do snu, pokój znowu wyglądał jak na wystawę: dwa małe, porządnie zaścielone łóżka, dwie komody, szafa, wszystko jak trzeba. Wszystko oprócz mnie, pomyślała Martha, wiedząc, że Antona irytuje jej widok leżącej w halce przy otwartym oknie.

— Musimy przeorganizować grupę — zauważył. — Musimy wziąć się w garść. Umawiamy się na zebrania i połowa członków nie przychodzi. Trzeba z tym skończyć.

— Ależ, Anton, wszyscy mają ważne sprawy.

— Partia powinna być na pierwszym miejscu — oświadczył stanowczo. — Zawsze na pierwszym miejscu.

Usiadł na łóżku i starannie nakręcił zegarek. Potem zapytał:

— Zamierzasz się przebrać?

— Jest za gorąco. — Wstała jednak, wciągnęła na siebie koszulę nocną i znowu się położyła.

Na miłość boską, pomyślała, chyba nie zacznie znowu mówić o Grete? Bo ta poważna, zaabsorbowana, skupiona mina oznaczała, że myślami jest w przeszłości.

— Tak, Matty — powtórzył w końcu, przyjaźnie, ale surowo. — Partia jest najważniejsza, zawsze. To pierwsza zasada.

Zauważyła po wyrazie jego oczu, że wrócił do terażniejszości i do niej. Wobec tego muszę jednak wyglądać nie najgorzej, stwierdziła. Ale nienawidzę tego: że jednego wie-

czoru go pociągam, a innego nie pociągam. On chyba jest przystojnym mężczyzną: wysoki, dobrze zbudowany, z jasnymi wijącymi się włosami — to brzmi jak charakterystyka z czasopisma dla kobiet. Jest w tym jednak jakiś cynizm, który mi się nie podoba, nie ma ze mną nic wspólnego. W tej chwili Anton podszedł do niej i spojrzął na nią z nieznacznym, zadowolonym uśmiechem, który znała.

— Jest strasznie gorąco, Anton — odparła i szybko wzięła go za rękę, żeby złagodzić odmowę. Zmienił się na twarzy, sztywno pokiwał głową, wrócił do swojego łóżka i położył się do niego bez słowa.

Jakby tego epizodu w ogóle nie było, zaczął znowu, ale tym razem tonem pouczającym:

— Dobra organizacja i dyscyplina partyjna to najważniejsze sprawy. Musimy przy najbliższej okazji zebrać wszystkich towarzyszy i przeorganizować się.

Martha zauważyła, co miało zabrzmieć żartobliwie:

— Hm, może i dyscyplina to najbardziej szczytny cel dla nas wszystkich, ale myślę, że czasami nawet wujek Joe ją sobie odpuszcza.

Uniósł się gwałtownie na łokciu i spojrzął na nią.

— Mówisz, jak rozumiem, o towarzyszu Stalinie?

— Anton, nie bądź wciąż taki śmiertelnie poważny!

— Są sprawy, które uważam za święte i z których nie żartuję. — Po czym znowu położył się i wyciągnął rękę, żeby wyłączyć światło. Leżeli równolegle do siebie po przeciwnych stronach pokoju, który rozjaśniały raz po raz błyskawice. To jak blask ognia artyleryjskiego, pomyślała Martha i w wyobraźni przeniosła się na front wschodni.

Natychmiast jednak poczuła się nie tyle winna, ile przerażona: sprzeczkę i małostkowość, a tam giną ludzie — leżała

w brzydkim pokoiku, tysiące mil od miejsca, gdzie rozstrzygały się losy świata, zła bez powodu.

— Anton — powiedziała — chyba nie będziemy się kłócić tylko dlatego, że nazwałam Stalina wujkiem Joe... zresztą jak wszyscy?

— Twój sposób mówienia świadczy o tym, jak myślisz — odparł. — Świadczy o tym, jak patrzysz na różne sprawy. To niebezpieczne. Powinnaś uważać, Matty.

To „powinnaś uważać” zabrzmiało jak groźba. Martha zastanowiła się przez chwilę, a potem rzuciła:

— Och, dobranoc, nie zamierzam się kłócić, nawet jeśli ty masz na to ochotę.

Jednakże rano Anton nie odzywał się do niej. Przed wyjściem do pracy oświadczył jej, że ma dopilnować, aby wszyscy członkowie grupy zjawili się punktualnie o siódmej wieczorem na zebraniu grupy. Potem wyszedł, z pełnym zniecierpliwienia niesmakiem na twarzy przekroczył śpiącego pilota, który leżał rozciągnięty pod oknem w ostrym słońcu gorącego poranka.

## Rozdział drugi

Dopiero w przerwie na lunch Martha miała czas powiadomić członków grupy. Jasmine nie było w pracy, Martha pobiegła więc przez ulicę do biura grupy. Zastała ją tam z panem Matushim. Od kilku dni ci dwoje spotykali się w porze lunchu, bo Jasmine, na jego prośbę, miała przekazywać mu lektury na temat organizacji politycznej, ale te spotkania zamieniły się w lekcje angielskiego. Pan Matushi, który znał cztery dialekty murzyńskie, mówił i czytał po angielsku całkiem nieźle, uważał się za analfabetę. Kiedy Martha weszła, Jasmine właśnie poprawiała mu list, który napisał do wydawcy „News” w sprawie „wiecu w dzielnicy czarnych”. Nie został on opublikowany i pan Matushi obawiał się, że przyczyną były błędy, które popełnił.

Jasmine została powiadomiona i przyszła kolej na Marjorie. Martha zastała ją w łóżku, ta jednak obiecała, że powie Colinowi o zebraniu i o tym, iż ma ono „priorytetowe znaczenie”. Przy oknie siedziała Maisie, która się wachlowała. Obojętnie wysłuchiwała Marthy, powiedziała, że ma problemy i że nie przyjdzie. Czy przekaże wiadomość Andrew?

— Ależ, Matty, przecież ci powiedziałam, że mam problemy. Binkie dziś przyjeżdża i nie mogę dogadać się z Andrew.

— Hm, przecież pozbyłaś się Binkiego — zauważyła Martha. — Nie ma prawa cię więcej niepokoić.

— Owszem — odparła Maisie.

— To o co chodzi?

— Nie mogę już patrzeć na nich obu.

Martha roześmiała się i wyszła, ale gdy biegła ulicą, poczuła, że ze strachu ściska ją w żołądku. Pomyślała: jeśli z powodu tego idioty Binkiego coś się popsuje między Andrew i Maisie... Była naprawdę przestraszona i w odruchu obronnym próbowała wzbudzić w sobie lekką, graniczącą z niesmakiem pogardę dla Maisie. Bo jeśli szczęście jakiejś pary było dla innych pewnym symbolem, to gdy się kończyło, należało się przecież spodziewać dezaprobaty z ich strony. Martha myślała: wczoraj wieczorem pani Van der Bylt, a teraz jeszcze Maisie i Andrew... nie dokończyła konkluzji, która brzmiała: jeśli tak, nie ma dla mnie ratunku. Była wręcz bliska łez.

Zadzwoiła do bazy, żeby skontaktować się z Athenem, ale nie udało jej się to. Zatelefonowała do państwa Du Preez. Nie zastała Marie w domu. Było wpół do drugiej. Pojechała więc rowerem na plac budowy na obrzeżach miasteczka, gdzie pracował Piet. Była połowa dnia i niebo aż po horyzont zasnuwały zwały ciężkich, skłębionych chmur, które wciąż nie zapowiadały deszczu. Tu i tam nieregularnymi, przerywanymi snopami światła przebijało się przez nie słońce. Rzucało dziwny, pomarańczowy, złowróżbny blask i powietrze było tak suche, że aż kłuło. Piet siedział okrakiem na do połowy wzniesionej ścianie i układał cegły, które podawał mu czarny robotnik. Przepisy głosiły, że Murzyni mogą mieszać zaprawę murarską, zbierać cegły, podawać jedno i drugie, ale nie

wolno im kłaść cegieł, bo była to praca zarezerwowana dla pracowników wykwalifikowanych, czyli białych. Piet zobaczył Marthę i rozdrażniony szybko skinął jej głową.

— Przepraszam, Piet — powiedziała, stając dziesięć stóp niżej i patrząc na dużą, ociekającą potem, zarumienioną twarz białego i obok na żywą, pokrytą kroplami potu twarz czarnego — ale Anton mówi, że wieczorem musi się odbyć zebranie grupy.

— O, naprawdę, naprawdę? — Piet kładł cegłę za cegłą, a Murzyn wyciągał rękę i kielnią wygładzał nierówne brzegi zaprawy. Pracowali tak, nie patrząc w dół, aż Martha dodała:

— Piet, posłuchaj, bardzo mu zależy, żebyśmy wszyscy przyszli.

— Mam zebranie związku zawodowego.

— Anton mówi, że to ważne.

Piet otarł czoło szerokim rękawem koszuli i oświadczył:

— Matty, znowu wzywają mnie na dywanik, razem z kolegami. O piątej. Mam kłopoty. Powiedz więc swojemu staremu, że trochę tego za dużo. A poza tym jak mam dotrzeć z sali związkowej do waszego mieszkania? Jeśli myślisz, że będę biegł w tym upale, to wybij to sobie z głowy.

— Umówię się z Jasmine i przyjadę po ciebie.

— Jeśli będzie już po wszystkim. W co wątpię. — Ułożył na miejscu kolejną cegłę, skinął na czarnego i powiedział: — Hej, ty, ruszaj się szybciej. — Martha pomyślała: jeszcze pół roku temu uznałabym za swój obowiązek skrytykować Pieta za to, jak odnosi się do Murzynów!

— Przekaż wiadomość Marie — poprosiła. — Nie mogę jej nigdzie znaleźć.

— Jeden z dzieciaków zachorował i zabrała go do szpitala.

— A gdzie Tommy? Możesz go powiadomić?

— Jest tam. — Piet wskazał głową inną część budowy, a potem znowu skinął na Murzyna, który podał mu następną cegłę.

Martha przecięła rozgrzany wyboisty plac, na którym poniewierały się cegły, minęła innego białego z czarnym pomocnikiem i doszła do miejsca, gdzie Tommy, jako praktykant, stał przy płataninie rur z kluczem nastawnym w ręku, słuchając instrukcji starszego białego mężczyzny. Asystowało im sześciu Murzynów, którzy mieli przynosić i podawać narzędzia oraz materiały.

Tommy zmieszał się na widok Marthy. Podszedł do niej, wycierając dłonie o uda. Zapytał nieśmiało:

— Cześć, Matty, co tu robisz? — I niespokojnie spojrzał przez ramię na robotników, którzy im się przyglądali.

Martha przekazała mu wiadomość. Tommy powiedział, że ma już plany na wieczór.

— Wszyscy mamy plany, no nie? — Dotarło do niej, że przybrała ostry ton, poczuła do siebie niechęć i dodała już normalnie: — Proszę, Tommy, przyjdź, jeśli możesz, bo muszę już wracać do pracy.

Spóźniła się po przerwie do biura i pani Buss powiedziała do niej zgryźliwie:

— Pan Robinson życzy sobie, żeby ta notka została przepisana na czysto, nawet gdybyś musiała zostać po godzinach.

Notatka była gotowa dopiero o szóstej. Martha, rozdrażniona z głodu, do którego to stanu tak się już przyzwyczaiła, że nawet zaczęła obawiać się skrycie, czy nie jest chora, spotkała się z Jasmine pod Black Ally's, gdzie zapach jedzenia przypomniał jej, iż od rana nic nie jadła. Kupiła więc paczkę kroketów z mięsem i pochłonęła je łapczywie, siedząc obok Jasmine, która prowadziła samochód. Dziewczyna opowiadała



0 panu Matushim, który, jak stwierdziła, wymagał jeszcze wiele pracy. Ponieważ sama wyjeżdża, może Martha by go przejęła? Martha nie wiedziała, o czym ona mówi, dopóki nie dotarło do niej, że Jasmine, jak właśnie oznajmiła, jedzie do Johannesburga, gdzie „zdobędzie większe doświadczenie i pogłębi swoją świadomość polityczną”.

Martha burknęła:

— Nie możesz wyjechać z miasteczka bez pozwolenia grupy. — Po raz drugi tego dnia usłyszała, że przemawia mentorskim tonem, więc zamilkła, przygnębiona myślą, że staje się sekutnicą.

Jasmine odparła:

— Grupa chyba nie ma prawa zakazać mi wyjazdu. — I dodała, że kupiła już bilet na pociąg.

Czując, że wraca jej dobry humor, w miarę jak do krwiobiegu przenikają substancje odżywcze po zjedzeniu krokietów, Martha odparła z westchnieniem, że jej zazdrości, ale jeśli tak dalej pójdzie, w miasteczku zostanie niewielu członków grupy.

Pod salą obrad związku zawodowego Jasmine oświadczyła, że wyciągnie Pieta z zebrania. Martha zwróciła jej uwagę, że to może być dla niego krępujące. Jasmine odparła, że trudno, i weszła do sali. Martha uzmysłowiła sobie, że jeszcze tydzień temu Jasmine by tak się nie zachowała; jak w przypadku każdego, kto miał wyjechać z kolonii, od razu można się było zorientować, jaki ma stosunek do tego miejsca. Jasmine pojawiła się chwilę później i powiedziała:

— Piet się zdenerwował. — Dodała: — Cholerny, głupi, mały kraj, każdy incydent urasta tu do rozmiarów dramatu.

Czekały prawie godzinę. Piet wreszcie wyszedł.

— To się, towarzyszki, popisałyście — powiedziała. — W całej wiosce jesteście znane jako zdeklarowane komunistki.

Jasmine wkracza na salę i każe mi wyjść, a ty siedzisz w samochodzie na widoku, gdy ja staram się zachować twarz.

— Nie gorączkuj się — zauważyła Jasmine, ale Piet ciągnął:

— Wszyscy skoczyli mi do gardła za to podburzanie czarnych. Próbowałem ich uspokoić, że żaden ze mnie czerwony, ale weszłyście mi w paradę i wszystko na nic. — Był zbyt rozgniewany, żeby powiedzieć coś więcej. W milczeniu jechali więc na zebranie grupy.

Anton, Marjorie i Marie czekali już w salonie państwa Hesse.

Marie wyglądała na zmęczoną, choć starała się zachować dobry humor. Marjorie, mimo upału, siedziała owinięta w koc, bo źle się czuła, i drżała. Anton milczał ponuro.

— No? Zaczynamy — rzucił Piet.

— Czekamy jeszcze na innych towarzyszy — oznajmił Anton. — A dochodzi ósma. Zebranie miało się zacząć o siódmej.

Na to odezwała się Marjorie:

— Mówiłam ci, Anton, że Colin nie przyjdzie.

— Musi przyjść.

Marjorie zwróciła się do pozostałych:

— Są kłopoty w związku z wczorajszym wystąpieniem Jacka Dobiego. Jeden z członków związku zawodowego drukarzy przyszedł do Jacka i powiedział mu, że drukuje się bardzo dużo anonimowych broszur... o tym, jak to Jack szerzy wywrotową propagandę na temat imperium brytyjskiego. Więc Colin i Jack naradzają się, co zrobić. Po co Colin specjalizuje się w sprawach Indii, jeśli nie może wykorzystać swojej wiedzy w krytycznej sytuacji? — zapytała żałośnie.

— Nie ma wymówek — oświadczył Anton. I zapytał

Marthę, z którą nie widział się od rana: — A gdzie Andrew i Athen?

— Wiesz, że niełatwo się z nimi skontaktować w bazie.

— Powinni tu być.

Marie poparła Marthę:

— Tak, towarzyszu, nie można wymagać od wszystkich, żeby przyszli, jeśli zawiadamia się z tak krótkim wyprzedzeniem.

Piet zażądał niecierpliwie:

— Na miłość boską, zaczynajmy!

Ignorując go, Anton ponownie zapytał Marthę:

— A gdzie Tommy?

Piet wyjaśnił:

— Powiedziałem mu, że nie musi przychodzić. Na budowie jest taki bystry facet, czarny z Niasy, i Tommy się z nim zaprzyjaźnił... — Anton chciał coś powiedzieć, ale Piet nie dopuścił go do głosu. — Tak, takiemu chłopcu jak Tommy, przedstawicielowi rasy panów, trudno nawiązać przyjaźń z czarnym, więc ważniejsze jest, żeby spotkał się z nim, niż przychodził na zebranie.

Anton zapytał:

— Kto tak zdecydował?

— A kto zdecydował, że mamy się dziś spotkać? Ty. To nie była decyzja grupy.

Anton stwierdził:

— Jestem przewodniczącym i mam prawo zwoływać zebrania. I skoro to już wszyscy, którzy mają przyjść, możemy zaczynać.

— Nie wszyscy — zauważyła Marjorie. — Jest jeszcze Maisie.

— Nie sądzę, żebyśmy odczuli boleśnie nieobecność to-

warzyszki Maisie — zauważył Anton z tak jawną pogardą, że pozostali spojrzeli na siebie, jednocząc się przeciwko niemu. Rozległy się protestacyjne pomruki. Anton jednak uparcie milczał i czekał. Potem, widząc, jak reszta na niego patrzy, powiedział z rozdrażnieniem do Marthy:

— Zbiegnij na dół i zobacz, co z Maisie.

Marthę zdenerwował jego ton, ale zeszła piętro niżej. Drzwi do mieszkania Maisie były zamknięte. Zapukała w nie raz, potem znowu. W końcu się otworzyły. W progu stała Maisie, a z nią wysoki, barczysty, młody mężczyzna — Binkie. Schudł na wojnie i przez to wydawał się wyższy, smuklejszy i jakby poważniejszy. Martha ledwie go poznała.

— Przepraszam — powiedziała i wycofała się.

Miała wrażenie, że przerwała Maisie jakąś mowę czy oświadczenie, bo zanim drzwi się zamknęły, dziewczyna, przywitawszy Marthę niecierpliwym skinieniem głowy, ciągnęła:

— Jak więc widzisz, Binkie, tak się sprawy mają i musisz się z tym pogodzić.

Martha wróciła biegiem na górę, myśląc z radością: więc Andrew i Maisie jednak pozostaną z sobą. Wpadła do salonu i zawołała:

— Wszystko w porządku! Maisie postawiła się Binkiemu.

— Cieszę się, że problemy małżeńskie Maisie są bliskie rozwiązania — zauważył Anton — ale może przejdziemy do rzeczy.

— Przede wszystkim — zauważył Piet — powiedziałem kolegom, że wrócę o dziewiątej. Zajmują się teraz innymi sprawami. Mamy więc dwadzieścia minut.

Anton oświadczył:

— To zebranie partii komunistycznej i zostaniesz, dopóki się nie skończy.

Marie spojrzała na męża z przestraczem i cmoknęła. Zaśmiała się i powiedziała do Antona:

— Och, przestań. Ja też będę musiała iść. Moje dziecko zachorowało i zostawiłam je pod opieką kucharza. Powiedz, **0** co chodzi, i zmykamy.

Anton zaczął wygłaszać mowę, którą sobie przygotował:

— Towarzysze, pojawiła się paląca konieczność przywrócenia dyscypliny. Jesteśmy komunistami. Zeszły i dzisiejszy wieczór pokazują, jak daleko odeszliśmy od postawy prawdziwego komunisty...

Piet przerwał mu:

— Daruj sobie te wstępy. Po co nas tu ściągnąłeś?

Anton wyjaśnił:

— Chcę zaproponować, żebyśmy zorganizowali serię wykładów na temat historii partii komunistycznej.

Marie znowu zerknęła z żartobliwym niepokojem na męża, któremu dosłownie opadła szczęka. Po chwili zapytał z osłupieniem:

— Mam rozumieć, że ściągnąłeś nas tu wszystkich w takiej sprawie?

— Tak, tak, tak — potwierdził Anton.

Piet wstał, Marie także się podniosła i stanęła przy nim.

Piet zaczął:

— Towarzyszu Anton, jeśli chcesz, żebyśmy formalnie wyrazili zgodę na serię wykładów o historii partii, to ja jestem za. Ale chciałbym coś powiedzieć. Tracisz kontakt z rzeczywistością. Albo żyjesz z głową w chmurach. Jak wygląda sytuacja? Wpadliśmy po szyję w kłopoty. Jeśli nie będziemy postępować ostrożnie, mój związek zawodowy przyjmie rasis-towską rezolucję, która może obowiązywać przez całe lata... I właśnie walczę przeciwko jej uwolnieniu. Grozi mi, że

stracę stanowisko w radzie. Partia Pracy stanęła w obliczu kryzysu... może się rozpaść, jeśli popełnimy błąd. Jesteśmy wszyscy zapracowani, udzielamy się w różnych organizacjach i mamy obowiązki wykraczające poza nasze możliwości. A ty oczekujesz, że rzucimy wszystko i przybiegniemy tu na wezwanie... — Był tak zły, że nie mógł dokończyć.

Marie włączyła się pojednawczym tonem:

— Miej serce, towarzyszu Anton. Czasami myślę, że masz trochę źle w głowie, jeśli chcesz wiedzieć.

Anton odparł spokojnie:

— Nie interesuje mnie twoja prywatna opinia o mnie. Formalnie proponuję, żebyśmy zaczęli serię wykładów od jutra albo pojutrze, jeśli jesteście wszyscy tak zajęci, że nie możecie znaleźć czasu dla partii.

— Pojutrze jest zebranie egzekutywy partii socjaldemokratycznej.

— Kończy się o szóstej — zauważył Anton.

— Ale dobrze wiesz, że najważniejszą częścią tych zebrań są późniejsze dyskusje w pubach.

— Przykro mi to słyszeć, towarzyszu Piet. Przykro, choć muszę przyznać, że nie jestem zdziwiony — stwierdził Anton.

Piet rzucił: — Mam to gdzieś.

I wyszedł. Marie po raz ostatni rzuciła Antonowi żartobliwie proszące spojrzenie i pospieszyła za mężem.

Marjorie wstała.

— Naprawdę źle się czuję, Anton — powiedziała. — Muszę iść. Lekarz powiedział, że w ogóle nie powinnam wstawać z łóżka.

— Jeśli lekarz tak wam powiedział, towarzyszeko, to wcale nie należało przychodzić.

Marjorie prychnęła ze złości i urazy, po czym wyszła za Marie i Pietem.

Jasmine, która do tej pory nie otwierała ust, zauważyła:

— Podejmuję się zwołać następne zebranie o odpowiedniej dla wszystkich porze. I niniejszym informuję, że za dziesięć dni zamierzam wyjechać z kolonii.

I wyszła z łagodnym uśmiechem.

Martha, która została sama z Antonem, czekała, żeby coś powiedział. Ale on starannie zebrał swoje papiery i nie patrząc na nią, poszedł do sąsiedniego pokoju, położył się na łóżku i zaczął czytać Lenina.

Martha zrozumiała z tego, że to bojkot. Poszła za Antonem i zwróciła mu uwagę:

— Zachowujesz się dziecinnie, Anton.

Nie odpowiedział. Odczekała więc chwilę, a potem zeszła do mieszkania Maisie. Usłyszała warkot silnika samochodowego i pomyślała z nadzieją, że to Binkie odjeżdża. Maisie była sama i przywitała Marthę, mówiąc:

— Przepraszam, że zachowałam się niegrzecznie, ale byłam taka zdenerwowana. On już pojechał, więc może napijesz się herbaty albo czegoś innego?

— Wszystko dobrze?

— Popłakał się — powiedziała Maisie ze zdumieniem i niesmakiem w oczach. — Popłakał się, Matty. Okropnie się poczułam. Ale nie lubię tego, to znaczy nie lubię, jak mężczyźni płaczą. Oczywiście to się zdarza, ale on płakał, żeby na mnie wpłynąć, i to było najgorsze. Zresztą chyba wszystko i tak za późno... oczywiście to nie jego wina, że ma takich strasznych rodziców, którzy myślą tylko o pieniądzach, ale... — Wybuchła płaczem i płakała jak dziecko, nie próbując nawet ocierać łez, które ciekły z jej szeroko otwar-

tych oczu po policzkach; siedziała tylko i kiwała się lekko z boku na bok.

Martha spędziła z nią cały wieczór. Maisie miała żal do obu mężczyzn, Binkiego i Andrew. Mówiła o nich z niechęcią, aż się wzdrygała.

— Oni wszyscy mnie męczą, Matty — powtarzała. — Czasami się zastanawiam, po co w ogóle się nimi zajmujemy.

Martha pocieszała ją, tłumacząc, że teraz jest w złym nastroju, ale rano poczuje się lepiej. Nie chciała pogodzić się z myślą, że uczucie między Maisie a Andrew wygasło.

Kiedy wróciła do mieszkania, Anton już spał albo udawał, że śpi.



## Rozdział trzeci

Zebranie komitetu wykonawczego miało się rozpocząć o drugiej. Około pierwszej z północy, od weldu, przyszedł gorący deszcz i prawie zatopił miasteczko. O wyznaczonej godzinie na miejsce stawiła się tylko połowa delegatów; inni przybywali w pośpiechu, otrząsając się w przemoczonych ubraniach i złorzecząc. Zwykle przez drzwi wpadało słońce, tym razem jednak w sali trzeba było włączyć światło, bo na zewnątrz zaległa ponura szarość. Panował nieznośny upał; z powodu hałasu, jaki czyniła ulewa, nie można było usłyszeć słowa, więc delegaci wkrótce wyszli z sali i stanęli pod ścianami wokół podwórka, czekając, aż deszcz przestanie padać. Pod niskim blaszanym dachem werandy było jednak jeszcze głośniejsze. Przychodzący z ulicy delegaci dołączali do swoich stronników i formowały się jakby dwie armie, które z wypraktykowaną nieufnością patrzyły na siebie poprzez unoszące się między nimi na podwórku opary wilgoci; gdy jednak zwracali spojrzenia, żeby powitać swoich, ta nieufność zamieniała się w radosne podniecenie, które zawsze poprzedzało rozstrzygające bitwy w łonie komitetu. Było to jak

podniecenie entuzjastów sportu, które chwilami jednoczyło nawet przeciwników. Na przykład kiedy wszedł pan McFarline ze swoim przybocznym o kwaśnym wyrazie twarzy, od razu jednym spojrzeniem bystrych, brązowych, bojowych oczu oszacował siły obu stron, a następnie przywitał się z panią Van der Bylt, swoim największym wrogiem, szybkim, niemal pogodnym skinieniem głowy. Odpowiedziała mu tym samym, równie dziarsko i wesoło. Pan McFarline zajął swoje miejsce wśród nowo zwerbowanych stronników, delegatów z pospiesznie utworzonych po całym kraju frakcji, i tak jak „czerwoni” popatrzył na nich z ciekawością, bo choć byli to biali związkowcy, z założenia przeciwni powstaniu frakcji murzyńskiej, nikt tak naprawdę nie wiedział, jakie zajmą stanowisko.

Po „czerwonej” stronie podwórka szeregi były rzadsze. Colin Black i Jack Dobie stali obok siebie, połączeni wspólną pasją, jaką były Indie. Pani Van der Bylt miała przy boku Johnny'ego Lindsaya. Jego niebieskie oczy błyszczały, a każda linia smukłego wysokiego ciała wyrażała radość z walki w słusznej sprawie. Stojący po jej drugiej stronie wielebny Playfair, melancholijny i szlachetny w narzuconej sobie bezstronności, studiował z uwagą porządek zebrania. Był on bardzo długi, a nie wyglądało na to, żeby ulewa słabła, zebranie zaś miało skończyć się o szóstej. Delegaci też pochylali się nad harmonogramem obrad, badali pole bitwy, szukając pułapek czających się w podpunktach i możliwości ewentualnych ataków z zaskoczenia, ukrytych między słowami. Wszyscy wiedzieli, że konflikt rozgorzeje przy dwóch punktach: „frakcja murzyńska” i „inne sprawy”. Jasmine, która znała porządek dnia równie dobrze jak pani Van der Bylt, gdyż była jak ona urodzoną organizatorką, patrzyła panu Playfairowi przez ramię i pokazywała mu, jak można za

pomocą odpowiednio dobranych słów ominąć różne zdradliwe miejsca w niektórych mniej istotnych obszarach. Martha i Marjorie stały z państwem Du Preez i wspierały ich w wysiłkach, aby wyjaśnić porządek zebrania Tommy'emu, który jak zwykle z powodu swojej dezorientacji aż cierpiał fizycznie. Powtarzał uparcie:

— Wszyscy wiedzą, że odbędzie się walka o frakcję murzyńską, więc nie rozumiem, dlaczego pan Playfair nie powie po prostu: „Przeprowadźmy głosowanie i skończmy już z tym”. Nie rozumiem, po co to całe zamieszanie, sprawa jest prosta.

— Demokracja, chłopcze, demokracja... o to tu chodzi — powtarzał Piet, żartobliwie rozeźlony. Wciąż śmiał się i żartował, i wszelkie wysiłki Jasmine oraz Marthy, uparcie próbujących przemówić temu krnąbrnemu towarzyszowi do rozumu, przyjmował z taką samą żartobliwą niechęcią. Obie nieraz już rozmawiały o Piecie, doszły do wniosku, że kiedy jest w takim nastroju, gotów nawet odejść z grupy, i uznały, że w związku z tym trzeba nad nim „popracować”.

W oddzielnej grupce, dalej na werandzie, stali cierpliwie pan Matushi i dwaj inni Murzyni z dzielnicy czarnych.

Wszyscy musieli czekać do trzeciej, kiedy to podwórko, dotąd wilgotny, ciemnoszary plac, rozjaśniło się nieco, bo ulewa przeszła w mżawkę, lekko rozświetlaną przez wychodzące zza chmur słońce.

Pan Playfair otworzył zebranie szczerą, pełną przejęcia mową. Cała kolonia obserwuje dziś ich obrady; kwestie, które zostaną rozstrzygnięte, mają uniwersalny charakter — i tak dalej. Zauważono, że po jakichś piętnastu minutach pani Van der Bylt posłała mu surowe spojrzenie. Skończył więc szybko, pokrywając udawaną wesołością głęboką urazę, bo nikt nie

podzielał jego przekonania, że odpowiednia liczba szlache-  
tnych słów powinna wystarczyć, aby wszystkich skłonić do  
szlacheckiego zachowania.

Obrady się zaczęły i przebiegały szybko; oczyszczono pole  
walki i obie strony upewniły się, że w punktach dotyczących  
składek członkowskich i tym podobnych nie kryją się żadne  
zasadki.

Tymczasem uważnie przyglądano się nowym twarzom.  
Fracja „czerwonych” uważała do tej pory, że przewidywal-  
ność ich stanowiska kryje w sobie słabość. Teraz jednak  
dostrzegli, że być może nie mieli racji. Bo to druga strona  
musiała robić podchody; oni zajmowali pozycje małego,  
znacznie mniejszego liczebnie oddziału, który okopał się na  
wzgórzu. Tych kilkoro nowo zwerbowanych ludzi reprezen-  
towało bowiem nie tylko siebie. Pan McFarline i jego przy-  
boczni pojechali wcześniej do dalszych okręgów, żeby za-  
ktywizować uśpione frakcje i powołać do życia nowe, ale  
wszystkie one według wszelkiego prawdopodobieństwa zrze-  
szały ludzi o zróżnicowanych poglądach. Dlatego też istniały  
dwie możliwości: albo pod wpływem jakiejś nagłej zmiany  
nastrojów społecznych poprą frakcję afrykańską, albo — co  
było bardziej prawdopodobne — przyzwyczajeni do niewy-  
szukanych metod prowadzenia zebrań w małych ośrodkach,  
oddalonych od centrów sterowania opinią, w których toczą  
się prawdziwe bitwy, nie rozumieją formalnych manipulacji  
porządkiem obrad i zagłosują wbrew własnym intencjom.

Jednakże do punktu zatytułowanego „frakcja murzyńska”  
dobrnięto dopiero o piątej. Piet ze strony „czerwonych”  
otworzył dyskusję krótkim oficjalnym stwierdzeniem: ini-  
cjatywa powołania frakcji afrykańskiej to przejaw najlepszych  
intencji zorganizowanej białej siły roboczej wobec afrykań-

skiego robotnika; jeśli biały człowiek ma być traktowany poważnie jako przewodnik zacofanych i nieucywilizowanych, musi być gotów zaakceptować choćby symboliczny krok w kierunku demokracji; ponadto, jeżeli pozbawi się Murzynów wstępu do partii socjaldemokratycznej (noszącej nazwę Partii Pracy, podkreślił, czyli partii ludzi pracy), zostanie ona jedynie partią białych ludzi pracy.

Po nim McFarline przystąpił do kontrataku, mówiąc: obecność afrykańskich członków w partii w sposób naturalny budzi u obywateli kolonii nieufność, bo biali obywatele nie rozumieją — tu uprzejmie skinął głową w stronę pana Matushiego i jego dwóch kolegów — że zrzeszeni Murzyni są zasadniczo rozsądni, i podejrzewają ich o knowania za plecami białych działaczy we własnych interesach. Tu zaśmiał się, co spowodowało, że na sali rozległy się pełne skrępowania śmiechy, podczas których trzej Murzyni nadal grzecznie milczeli. A w ogóle, stwierdził, cały ten pomysł utworzenia frakcji afrykańskiej jest niedemokratyczny. Formalnie proponuje więc, żeby nie powoływać żadnej frakcji afrykańskiej, natomiast umożliwić czarnym, jeśli będą chcieli, uczestnictwo w zwykłych zebraniach frakcji na prawach szeregowych członków.

Z obu więc stron zabrzmiały trąbki sygnałowe i można było przystąpić do walki. Teraz wszyscy zwrócili oczy na nowych członków, którzy siedzieli razem na ławce. Wiadomo już było, kto im przewodzi. Był to afrykaner, Danie Du Toit, robotnik kolejowy z G., przysadzisty, silny mężczyzna o byczym karku, szerokiej, mocnej szczęce, spokojnych, surowych oczach. Zaczął od tego, że jako nowo przybyły chciałby upewnić się co do kilku punktów. Będąc człowiekiem pracy, który nigdy nie wierzył w ani jedno słowo prasy kapitalis-

tycznej, nie traktował poważnie tego, co przeczytał o „wiecu w dzielnicy czarnych”; kapitałiści prawdopodobnie chcą tylko zdyskredytować Partię Pracy, i to wszystko. Proponuje więc pominąć tę sprawę, chyba że ktoś z obecnych chciałby udzielić mu rzetelnych informacji o tamtym zebraniu, i przejść do rzeczy.

— Jest bowiem propozycja utworzenia frakcji murzyńskiej. Wszyscy mamy wielki szacunek dla pana McFarline'a i tego, co zrobił dla robotników, ale ja się z nim nie zgadzam. Bo jeśli chcecie mieć w partii czarnych... choć szczerze mówiąc, osobiście jestem temu przeciwny, ponieważ wydaje mi się, że jeszcze nie dojrzeli do polityki... oprócz obecnych tu panów... — dodał pospiesznie — to według mnie zwykłą hipokryzją jest mówić, że powinni być szeregowymi członkami, razem z białymi. — Powiedział to tonem człowieka, który doskonale wie, co jest akceptowane w miasteczkach, a co nie. — W moim okręgu bowiem zebrania odbywają się u mnie w domu i mam pełną świadomość, że nie pozyskałbym żadnego nowego członka, gdyby się dowiedział, że będzie zajmował miejsce obok kafira. Bez urazy — zauważył, znowu zerkając na pana Matusiego, który zachowywał postawę pełną smutku i cierplivej godności. — Równie dobrze możemy więc uchwalić, że kafirzy nie będą mieli wstępu na zebrania. Moja żona nie wpuści do domu żadnego kafira, i już. Może to niedemokratyczne, ale tak wygląda prawda.

Pan Matusi i jego towarzysze pokiwali głowami. Zastępy pana McFarline'a wydawały się zawiedzione. „Czerwoni” z trudem zachowywali obojętne miny.

Pani Van der Byłt powiedziała coś szeptem do pana Playfaira, który zapytał głośno, czy mogłaby przeprowadzić głosowanie. Na to pan McFarline natychmiast wstał i oświadczył,

że nie da się przejechać walcowi. Przedstawiciele jego frakcji pokiwali głowami. Potem zwrócił się do rzekomych sojuszników, Daniego Du Toita i jego grupy, delegatów poszczególnych frakcji, które on sam, McFarline, powołał do istnienia. Powtórzył swoje ostrzeżenie, że członkowie partii, a już na pewno obywatele kolonii, nie poprą frakcji murzyńskiej. Na co Danie Du Toit odparł, że w ogóle nie należało dopuścić do powstania takiej sytuacji, murzyńscy członkowie sami proszą się o kłopoty, ale ponieważ co się stało, to się nie odstanie, trzeba osiągnąć kompromis i takim właśnie kompromisem wydaje mu się frakcja murzyńska.

W całej sali wybuchła dyskusja. Przez dwie godziny obie strony dowodziły swoich racji, powtarzając argumenty i przekrzykując się nawzajem. O szóstej przedłużono zebranie. Żeby wzmocnić swoje stanowiska, jedni i drudzy powoływali się na idee ruchu związkowego i historię brytyjskiej Partii Pracy. Przypominali sobie o braterstwie wszystkich ludzi i równości wszystkich ras. Wyniknął spór o to, czy rasy różnią się od siebie, czy nie: frakcja „czerwonych” przedstawiła naukowe dowody na rzecz swojego stanowiska, a frakcja przeciwna — bardziej emocjonalne na rzecz swojego. (Murzyni w tej części dyskusji nie brali udziału). O siódmej wciąż daleko było do porozumienia; czwórka ludzi Daniego Du Toita nie otworzyła nawet ust i nie wiadomo było, jak zagłosują.

W końcu ustalono, że należy przeprowadzić głosowanie.

Wynikiem był remis: siedemnaście do siedemnastu, dwaj członkowie grupy Du Toita głosowali bowiem jak frakcja „czerwonych”, a dwaj — jak pan McFarline. Głos rozstrzygający należał więc do pana Playfaira. On jednak wstał i oświadczył, że choć, jak wszyscy wiedzą, sympatyzuje z frakcją

murzyńską, to w kwestiach podobnych do tej nie jest gotów wziąć na siebie tak wielkiej odpowiedzialności. Na co pan McFarline zażądał, żeby wobec tego spór został rozstrzygnięty przez kongres.

To z kolei wszystkich wyprowadziło z równowagi. Niczego nie uzgodniono, trzeba było zacząć całą kampanię od nowa. Kongres miał się odbyć dopiero za miesiąc.

Zebranie dowiodło ponad wszelką wątpliwość tylko jednego: że można bardzo szybko odbębnić porządek dzienny, jeśli wszyscy wykazują taką wolę. Zebrani ziewali i niecierpili się, głosując prawie bez dyskusji. Pan Playfair w końcu oznajmił, że przechodzą do punktu „inne sprawy” i właśnie mówił: „Zamykam więc zebranie...”, gdy wstał Danie Du Toit, aby oświadczyć, że ma kilka spraw i jego frakcja domaga się, by je przedstawił. Wszyscy znowu usiedli na miejscach.

Żądał informacji w trzech kwestiach. Po pierwsze, Jack Dobie. Dotarły do nich wieści, że brat Dobie, który oczywiście cieszy się szacunkiem wszystkich robotników w kolonii, wystąpił na zebraniu Klubu Postępowców, organizacji sterowanej przez komunistów, i wygłosił przemówienie na temat Indii. W rezultacie miasteczko założy anonimowe broszury wymierzone przeciwko niemu. Po drugie, pani Van der Bylt: ona też została w podobny sposób zaatakowana przez anonimowych przeciwników i oskarżona o podburzanie Murzynów. Po trzecie, Piet Du Preez, który podobno zaczął występować wśród czarnych z odczytami o ruchu związkowym. Ci troje są członkami partii i nie mają prawa narażać jej dobrego imienia na szwank. Domaga się więc wyjaśnień w tej sprawie.

W tym punkcie wszyscy zrozumieli, że zebranie nie tylko nie zbliża się ku końcowi, ale wręcz przeciwnie — jakby się dopiero zaczęło.



Pan Playfair zapytał, czy ma zarządzić półgodzinną przerwę, żeby delegaci mogli coś zjeść. „Czerwoni” natychmiast się sprzeciwili; nie chcieli dopuścić, żeby pan McFarline wziął Daniego Du Toita na stronę i dał mu do zrozumienia, jak zawodzi pokładane w nim przez niego, pana McFarline'a, nadzieje. Druga strona, przeciwnie, chciała przerwy właśnie z tego powodu. Przeprowadzono głosowanie, w wyniku którego podjęto decyzję, że „wszyscy zostaną do rana, jeśli zajdzie taka potrzeba”, aby omówić wszystkie sprawy.

Teraz więc pani Van der Bylt, Piet, Jack i Johnny wygłosili mowy, broniąc swojego prawa do wyrażania wszelkich poglądów jako osoby prywatne we wszelkich organizacjach.

Na co cała frakcja pana McFarline'a, wreszcie otwarcie i zdecydowanie wrogo nastawiona, oświadczyła, że bynajmniej nie mają oni takiego prawa. Cała czwórka potencjalnych kandydatów partii na członków parlamentu, pani Van der Bylt, Piet, Jack i Johnny, otrzymała bowiem etykiety komunistów i sympatyków kafirów — panowie Matushi i jego koledzy wybaczą oczywiście — i dobrze będzie, jeśli całkiem nie stracą zaufania społecznego. Wyborów należy się spodziewać lada dzień. Partia nie może sobie pozwolić na odrzucenie czterech dobrych przedstawicieli. Jest więc konieczne, aby wszyscy czworo publicznie, w formie listów do „News”, odcięli się od jakichkolwiek związków z komunizmem oraz wszelkimi pomysłami mającymi na celu zrównanie czarnych z białymi.

Pani Van der Bylt w pełnej godności wypowiedzi odmówiła. Piet i Johnny poszli za jej przykładem.

Jack Dobie oświadczył, że nie tylko nie będzie nikogo przepraszać, ale też zamierza pozwać autorów anonimowych oszczerstw do sądu o zniesławienie.

Tylko jak można pozwać do sądu nieznanymi autorów broszur?

To niemożliwe, oznajmił, unosząc wojowniczo swój wydatny podbródek. Można natomiast pozwać drukarza. Już podjął kroki prawne w tej sprawie.

Czy brat Jack rzeczywiście powiedział to, co mu się zarzuca?

Co do słowa, potwierdził. Według niego Brytyjczycy to jak najbardziej krwiożerczy imperialiści, którzy wykorzystują Indie, i ma prawo mówić to, gdzie i kiedy tylko zechce.

Czy więc broszury głosiły oszczerstwa, czy prawdę?

— To kwestia punktu widzenia — oświadczył Jack. — Poza tym sprawa sądowa pomoże upowszechnić socjalistyczny pogląd na sprawę Indii. — Podkreślił słowo „socjalistyczny”, patrząc na członków komitetu, którzy należeli do partii o tej nazwie.

Danie Du Toit zapytał, co wyborcy brata Jacka sądzą o jego postawie. Nigdy w życiu bowiem nie spotkał robotnika kolejowego, który by wyznawał takie poglądy, a nie wydaje mu się, żeby robotnicy kolejowi z okręgu wyborczego Jacka różnili się od tych z jego okręgu.

Jack odparł, że dzień wcześniej złożył wizytę w swoim okręgu wyborczym, spotkał się z tyloma robotnikami kolejowymi, z iloma tylko mógł, i gdy „wyjaśnił im pryncypia”, wszyscy przyznali mu prawo do wyrażania swoich poglądów.

A czy brat Jack zwołał zebranie publiczne?

Nie, odrzekł Jack, nie zwołał, z tego powodu, że nie da się zwołać zebrania z jednodniowym wyprzedzeniem.

Danie Du Toit powtórzył, że nie pochwała postępowania brata Jacka. Jack powtórzył, że nie przyjmuje tej krytyki do wiadomości. Johnny Lindsay i Piet potwierdzili swoje stanowiska i znowu zebranie zamieniło się w ogólną pyskówkę na

temat braterstwa, wolności i równości rasowej. W jej trakcie pan Matushi i jego dwaj towarzysze wyszli, z powodu, dla którego zawsze wcześniej opuszczali zebrania: zbliżała się godzina policyjna, a nie mieli przepustek, które pozwalałyby im w godzinach wieczornych i nocnych poruszać się po mieście.

Po ich wyjściu kłótnia rozgorzała na nowo; stronnicy pana McFarline'a z nagłą werwą wyrazili przekonanie, że kafirzy, czarni, tubylcy są dzicy i dziecinni, zupełnie nie nadają się do działalności w jakiegokolwiek organizacji politycznej; a „czerni” ostro im się sprzeciwili.

O dwunastej zebranie dobiegło końca na skutek zwyczajnego wyczerpania delegatów. Niczego nie uzgodniono, poza tym, że kongres spróbuje pojednać najwyraźniej nieprzejednanych oponentów.

Teraz podskórne niechęci znalazły nowy wyraz. Pan McFarline na przykład, zapomniawszy zupełnie o dobrym wychowaniu, podobno powiedział do swoich zwolenników, że gdyby nawet pani Van der Bylt była jedyną kobietą na świecie, za nic by jej nie z... Pani Van der Bylt to usłyszała, co zresztą było jego intencją i spojrzała na niego z taką pogardą, że podniósł głos i oddalając się mokrą od deszczu werandą, rzucił:

— Powiem wam, panowie, kobieta to kobieta, stara czy młoda, czarna czy biała, ale dla mnie pani Van der Bylt nie ma ani c..., ani p..., i taka jest prawda.

Na to ona, usiłując uśmiechem pokryć wzburzenie, w końcu rozpłakała się rozpaczliwie. Jack i Johnny podeszli do niej, żeby ją pocieszyć, pomóc jej zebrać papiery i odłożyć na miejsce.

To nie wszystko; Danie Du Toit, opuszczając salę, powiedział do Jacka:

— Wbiłeś nam nóż w plecy, bracie, załatwiłeś nas tym swoim „wszyscy jesteśmy braćmi”. Jeśli partia przegra w na-

stępnym wyborach, to będzie twoja wina. I żebyś o tym pamiętał.

Na co Jack odciął się, że jeśli partia nie ma zasad, to nie zasługuje na to, żeby rządzić, jednak Danie Du Toit już wyszedł.

W końcu jeden z należących do frakcji pana McFarline'a posłów, który przyglądał się, jak Marjorie stale zmienia pozycję na krześle (a była już w zaawansowanej ciąży), powiedział do niej:

— Cóż, jeśli komunizm wymaga od kobiety, która powinna leżeć w łóżku, żeby siedziała na zebraniu przez tyle godzin i wdychała dym papierosowy oraz smród, to nie odpowiada mi taka ideologia.

Marjorie wygłosiła na to mowę o prawach kobiet, ale on nie dał jej dokończyć:

— Nie pozwoliłbym swojej żonie na takie zachowanie. — I odszedł, tak że nie usłyszała już jej poirytowanego okrzyku:

— Zdziwiłabym się, gdyby pozwolił pan żonie otworzyć usta na zebraniu...! Mały dyktator, oto, kim pan jest!

Marjorie podwiozła Marthę do domu i powiedziała z ponurym humorem, który całkowicie zastąpił jej dawną uroczą impulsywność:

— Z tego, co widzę, gdy już pokonamy kapitalizm, będziemy musiały wszcząć kolejną rewolucję... przeciwko mężczyznom, bandzie konserwatywnych reakcjonistów, bo nimi właśnie są! Colin powiedział mi wczoraj, że nie widzi sensu, aby kobiety po ślubie pracowały... ma szczęście, że wcześniej o tym nie wspomniał!

Martha była zbyt zmęczona, aby odpowiedzieć. Myślała o tym, że zanim położy się spać, będzie jeszcze musiała stawić czoło Antonowi. Od czasu kłótni nie odezwał się do niej ani słowem.

## Rozdział czwarty

Rozprawa Dobie przeciwko Johnsonowi w Sądzie Najwyższym została wyznaczona na jedenastą w sobotę przed południem. Sławny kongres miał rozpocząć obrady o trzeciej, sto mil dalej, w G. To oznaczało, że Jack i jego stronnicy musieliby jechać jak wariaci, żeby na niego zdążyć.

O jedenastej jednak wciąż toczył się proces Van Rensberg przeciwko Welty'emu; i przedstawiciele „czerwonych” — Martha, Jack i pani Van der Bylt — ledwie znaleźli miejsca w ławach, zajętych przez afrykanerskich farmerów i ich żony, którzy przybyli, żeby obejrzeć rundę finałową długiej walki o mur graniczny. Van Rensbergów reprezentował pan Robinson i Martha wiedziała, że nie należy tego dnia spodziewać się spektakularnego przełomu; pan Van der Bylt, który powierzył panu Robinsonowi reprezentowanie go w sądzie, wynalazł bowiem jakiś mało znany paragraf, który pozwalał utrzymać sprawę w stanie wrzenia jeszcze przez kilka miesięcy. Ci zadowoleni, porządni ludzie z prowincji, z wyrazem satysfakcji i podniecenia na twarzach obserwujący proces, wydawali się więc zaskoczeni. I mieli powód; Martha domyślała się, że

sam pan Robinson jest zaskoczony; poprzedniego dnia podniesionym głosem mówił, że ma nadzieję, iż pan Van der Bylt wie, co robi, bo on ze swojej strony ma już dość tej całej sprawy — gdy tymczasem honoraria zapełniały księgi rachunkowe strona po stronie. Równocześnie toczyło się bowiem kilka innych spraw, które były odpryskami tej głównej. Jakiś Welty napadł w barze jakiegoś Van Rensberga; żona innego Rensberga obraziła ciotkę z domu Welty. Młoda Van Rensbergówna zakochała się w młodym Weltyem i razem z nim uciekła z domu. Sprowadzono ich z powrotem, ale ponieważ dziewczyna była nieletnia, jej rodzice pozwali rodziców chłopaka, oskarżając go o uwiedzenie. Ci młodzi byli tego przedpołudnia na sali, patrzyli na siebie z miejsc, które zajmowali, strzeżeni przez rodziny; te dwie strony, mimo obecności prasy, siedziały bowiem obok siebie w odległości kilkudziesięciu cali, na których niczym na ziemi niczyjej usadowili się Martha, Jack i pani Van der Bylt.

Tymczasem adwokaci i ich asystenci powoływali się na klauzule i podklauzule, a sędzia z Anglii, w przekrzywionej peruce nad bładą, przystojną, rozbawioną twarzą, od czasu do czasu pozwalał sobie na bezstronne, pełne uznania skinienia głową, jakby mówił: — Dobre posunięcie, panie mecenasie.

Sprytna interpretacja nieznanej podklauzuli pozwoliła panu Van der Byltowi uzyskać odroczenie sprawy do następnego tygodnia, a do tego czasu spodziewał się uzyskać dowód, że rodzina Weltych pędzi swoje bydło na ziemię Van Rensbergów, uzasadniając to tym, że Van Rensbergowie spalili ich pastwiska. Martha zauważyła, że pan Van der Bylt, zazwyczaj spokojny i opanowany, jest wręcz radośnie ożywiony; w jego głosie słychać było typowy dla afrikaans zaśpiew, a cała jego angielska powściągliwość gdzieś przepadła, tak zaangażował

się w tę sprawę. Patrzył w oczy publiczności, jakby spodziewał się, że podzielią z nim tę przyjemność. I dzielili; a w każdym razie tak by było, gdyby potrafili zrozumieć zawiłości prawne tej rozgrywki. Sprawa Van Rensberg przeciwko Welty'emu została tymczasem zamknięta, czy raczej zawieszona, i gdy obaj oponenti wyszli z sali sądowej, poszczególni członkowie zwaśnionych stron podchodzili do siebie i współczuli sobie nawzajem, bo stracili pół dnia pracy na swoich farmach i wiedzieli, że będą musieli przyjechać do miasteczka jeszcze w następnym tygodniu.

Przez pięć minut sala sądowa stała pusta. Było to wysokie pomieszczenie o ścianach wyłożonych lśniąca boazerią z ciemnego drewna, po którym przesuwały się promienie słońca, a także cienie ludzi zajmujących miejsca. Stanowiło prawdziwą oazę ciszy w sercu budynku, bo nie słychać w nim było nawet ryku samolotów z bazy.

Pan Van der Bylt przeszedł z jednej strony sali na drugą, zaznaczając w ten sposób, że reprezentuje teraz obronę. Martha i Jack starali się nie patrzeć na panią Van der Bylt. Wiedzieli, że przeżywa, iż jej mąż podjął się bronić przeciwnika jej najdroższego przyjaciela. Jednakże, lojalna wobec męża, nie pozwoliła sobie na żadną krytyczną uwagę pod jego adresem. Powiedziała tylko, opuszczając wzrok, głosem sztywnym z wysiłku, aby zapanować nad sobą: — Pan Van der Bylt nigdy nie zgadzał się ze mną, że są sprawy, których nie powinien się podejmować.

Już od miesiąca anonimowe ulotki, broszury, a także listy do redakcji gazet przedstawiały Jacka Dobiego jako zdrajcę Wielkiej Brytanii, a nawet „sługusa nazistów”. Cały ten czas chodził on z uniesionym wysoko szpiczastym podbródkiem, uparcie nie odpowiadając na krytykę i w wolnych chwilach

zbierał dane statystyczne i fakty związane z rządami brytyjskimi w Indiach. Zwołał trzy zebrania w swoim okręgu wyborczym, żeby wytłumaczyć się pracownikom kolei ze swojego postępowania. Widocznie ich to nie satysfakcjonowało, bo kiedy po wyjściu afrykanerskich farmerów sala sądowa znowu się zapełniła, wśród publiczności znalazła się grupa sześciu robotników kolejowych, którzy przyjechali z U., żeby zobaczyć, jak zaprezentuje się członek parlamentu z ich okręgu. Przybyli też trzej przedstawiciele rady związku zawodowego, do których należał Piet, wybrany na zasadzie fair play, ponieważ wiadano, że wspiera Jacka i będzie stanowił przeciwagę dla pozostałych dwóch, którzy byli przeciwko niemu. Prawicowe skrzydło partii socjaldemokratycznej również przysłało kilku obserwatorów. Wszyscy ci ludzie niecierpili się już, bo potem musieli jechać jeszcze na kongres.

Jack uparł się, że sam wystąpi w swojej obronie, twierdził bowiem, że nie pozwoli tym przeklętym prawnikom zamieniać faktów politycznych w suche paragrafy prawne.

Opuścił Marthę i panią Van der Bylt z pewną siebie, lekko skrzywioną miną i stanął przed obliczem sądu naprzeciwko pana Van der Bylta, który wyglądał bardzo oficjalnie w peruce i czarnej todze sędziowskiej.

Przybrał postawę człowieka, który ma wystąpić na zebraniu publicznym. Czekając, aż zakończą się wstępne formalności, zajrzał do notatek i upewnił się, że pamięta główne punkty swojego wyводу. Były to takie same notatki, z jakich korzystał podczas wystąpień w Klubie Postępowców i na zebraniach z wyborcami, i gdy tylko sędzia skinął głową w jego stronę, przystąpił do wygłaszania mowy, która tym różniła się od innych jego wystąpień, że zawierała więcej danych statystycznych. Adwokaci stron przeciwnych wymienili spojrzenia



profesjonalistów, pełne dezaprobaty wobec takiej amatorszczyzny, która stanowiła obrazę dla sprawnie działającej maszyny sądowej. Pan Van der Bylt z widoczną pewnością siebie notował uwagi i czekał. Przerwał Jackowi dziesięć minut po rozpoczęciu przez niego przemówienia pytaniem:

— Mam rozumieć, że opiera pan swoją obronę na tezie o biedzie narodu hinduskiego po trzystu latach rządów brytyjskich?

Na co Jack odparł żywołowo, że owszem; więc pan Van der Bylt usiadł znowu i wrócił do notowania. Miał trzech świadków: majora brytyjskiej armii w Indiach, który przeszedł na emeryturę; biznesmena, który pracował przez kilka lat w Kalkucie; i wdowę po naczelniku okręgowym w indyjskiej służbie cywilnej, obecnie żyjącą z renty i mieszkającą w dużym domu na przedmieściach, który nazwała Simlańskie Noce. Dama ta, przypominająca świeżo wykapanego teriera sealyhama ze swoimi puszystymi siwymi włosami, spod których spoglądały bystre, choć wyblakłe oczy, i major, puciołowaty, o czerwonej twarzy — wyglądali dokładnie tak, jak można się było spodziewać, i z każdym słowem Jacka byli coraz bardziej oburzeni; energicznie kręcili głowami i zgorszeni, szeptali: „Wstyd! Kompromitacja!” i tak dalej. Biznesmen był natomiast miłym, skromnym, nierzucającym się w oczy człowiekiem, który uchodził za znawcę upaniszad\*. Kiedyś nawet zaproponował, że wystąpi w Klubie Postępowców z odczytem na ten temat. Wydawało się, że nie chce mieć nic wspólnego z tamtymi dwoma świadkami, odsuwał się od nich, gdy wydawali swoje fuknięcia i pomruki, i wyraźnie był zadowo-

\* Upaniszady — „nauki tajemne”, hinduistyczne traktaty filozoficzne. Najstarsze powstały pomiędzy X a VIII w. p.n.e. (jest ich czternaście) i stanowią źródło większości systemów filozoficznych Indii, a nowsze pomiędzy VII a V w. p.n.e.

lony, gdy sędzia próbował uciszyć ich dobrotliwym, ale karcącym spojrzeniem. Pan Van der Bylt powiedział więc coś szeptem dwom świadkom, którzy z urazą zamilkli.

Tymczasem Jack ciągnął swoją orację. Przysłuchujący się temu działacze związkowi, widocznie targani mnóstwem sprzecznych zobowiązań, wiercili się, marszczyli brwi i szepotali między sobą. Adwokaci obrony czekali i przerzucali dokumenty. Pozwany drukarz, drobny rzemieślnik, typ chole ryka, wściekał się, że musi tracić tu czas, wciąż rozglądał się wokół podejrzliwie, patrzył na całą tę pompę i galowy strój sędziego i nie mógł się nadziwić, że to wszystko ma jakiś związek z jego niedawno założoną skromną drukarenką, z którą nie wiązał żadnych ambicji poza zarobkowymi, licząc, że przyniesie mu dość pieniędzy, aby dwoje jego dzieci mogło podjąć studia na uniwersytecie w Kapsztadzie.

Nagle sędzia podniósł głos, żeby zapytać, jak długo pan Dobie zamierza przemawiać.

— Dopóki nie przedstawię swojej sprawy — odpowiedział Jack.

— Aha — odparł sędzia i znowu wsparł policzek na dłoni.

Chwilę później Jack przeszedł do kwestii likwidacji analfabetyzmu w Związku Radzieckim; na co sędzia podniósł się i zauważył nieobecny, niemal rozmarzonym tonem, że nie widzi, co Związek Radziecki ma wspólnego z Indiami.

Jack, przygotowany na to, podenerwowanym tonem wyjaśnił, że porównanie trzydziestu lat rządów radzieckich w zacytowanym kraju z panowaniem brytyjskim w Indiach jest jak najbardziej uzasadnione.

— Obawiam się — powiedział przeciągle sędzia — że nie mogę się z tym zgodzić.

Od tej chwili atmosfera na sali się zmieniła. Przedstawiciele lewicy, zachwyceni, wyprostowali się i zaczęli robić notatki. Obrona, prawnicy i publiczność energicznie pokiwali głowami, przyznając sędziemu rację.

— Nalegam — sprzeciwił się Jack. — Chcę dowieść, że można wyprowadzić kraj z zacofania, jeśli ma się taką wolę.

Sędzia, patrząc z zainteresowaniem w przeciwległy koniec sali, przerwał mu, mówiąc:

— Mój drogi panie, muszę zabronić panu szerzenia propagandy na rzecz Związku Radzieckiego na sali sądowej. — Dodał: — Oraz wszelkiej innej propagandy, jeśli o to chodzi.

— Wysoki Sąd sugeruje, że szerzę propagandę? — zapytał ostro Jack.

Spojrzał na panią Van der Bylt. Ci dwoje wymienili spojrzenia, które można by określić jako ledwie widoczne mrugnięcia okiem. Jack nie miał wątpliwości, że przegra proces, i traktował go jako okazję, aby propagować sprawę. Poczul więc złość, że nie będzie miał takiej możliwości, że nie uda mu się wywołać rozbawienia na sali i pogardy dla argumentów obrony — oburzenie i coś w rodzaju satysfakcji, ogólnej wesołości, a także niechęci do całego procesu, wbrew jego woli widoczne były na jego twarzy, co oczywiście rozdrażniło jego przeciwników ze związku zawodowego i obronę. Na sali dało się wyczuć irytację i ponure zniecierpliwienie; było już po dwunastej, Jack przemawiał od pół godziny, a przynajmniej połowa sądowej publiczności chciała pojechać na kongres.

— W takim razie — stwierdził Jack — kończę przedstawianie sprawy. — Co też zrobić; założył nogę na nogę i skierował kanciasty podbródek w stronę sędziego. I tak miał już zakończyć mowę, ale nie ulegało wątpliwości, że wybrał

dobry moment, aby usiąść, bo stworzył wrażenie, że odbiera mu się głos i generalnie się go tłamsi.

Pan Van der Bylt zaczął więc przesłuchiwać wdowę po naczelniku okręgu. Czerwona z gniewu i upału, oświadczyła, że mieszkała w Indiach przez czterdzieści lat i stosunki między Hindusami a Brytyjczykami układały się idealnie, a jeśli chodzi o nią osobiście, służący pracowali u niej całe lata.

— Ajah była moją najlepszą przyjaciółką! — zawołała wojowniczo. — A mąż zawsze mówił...

Sędzia lekko ziewnął i pan Van der Bylt pośpiesznie przerwał starszej damie. Martha odniosła przez chwilę wrażenie, że podjął się tej sprawy, żeby dzięki swoim umiejętnościom ośmieszyć obronę, ale spojrzawszy na twarz pani Van der Bylt, poważną i zasmuconą, zorientowała się, że jest w błędzie.

Pocziwa wdowa odpowiedziała na kilkanaście pytań i z tego, co mówiła, wynikało, że zawsze pisze życzenia do swojej ajah na Boże Narodzenie, że płaciła kucharzowi „bardzo przyzwoitą pensję jak na tamte czasy” i że opłaciła koszty nauki jego syna, „bo oni są bardzo rozrzutni i gdybyśmy ich nie kształcili, byłiby zupełnymi analfabetami”. Jej zdaniem też klimat Indii jest odpowiedzialny za panującą tam biedę, upał w porze monsunowej trudno sobie wręcz wyobrazić, i „biedacy zawsze mieli pod górkę, nie tak jak my”.

Pan Van der Bylt, który był chyba zadowolony, podziękował jej uprzejmie. Potem wezwał biznesmena, który uśmiechnął się po koleżeńsku do Jacka, jakby mówił: niech wygra najlepszy.

Według niego bieda w Indiach, której „nikt o zdrowych zmysłach nie może negować”, nie jest taka ważna, ponieważ prawdziwa kultura nie zależy od pieniędzy, i jako znawca

upanisad — „oczywiście na poziomie amatorskim” — może stwierdzić, że Hindusi to prawdopodobnie najbardziej kulturalny i uduchowiony naród na świecie. (W tym momencie wdowa i major prawie umarli ze zgrozy). Jako miłośnik Indii od niemal pięćdziesięciu lat — z dumą stwierdza, że się tam urodził — może tylko powiedzieć, że choć sympatyzuje z punktem widzenia pana Dobiego, nie bierze on pod uwagę najważniejszej kwestii: czy bogatemu łatwiej dostać się do nieba niż wielbłądowi przejść przez ucho igielne, czy nie? (Tu uśmiechnął się z wyrozumiałością do Jacka, jakby mówił: nie mam najmniejszego zamiaru przedstawiać pana jako prymitywnego materialistę, ale obawiam się, że wierność prawdzie nie pozwala mi inaczej).

Pan Van der Bylt zwolnił drugiego świadka z taką samą uprzejmością i wezwał trzeciego, majora, z którym wyraźnie wiązał duże nadzieje.

Major wybuchnął przy pulpicie dla świadków jak eksplodujący pocisk, tak że sędzia przywołał go do porządku już pod koniec pierwszego zdania.

— Muszę przypomnieć świadkowi, że to sąd, w którym toczy się rozprawa — zauważył, nie spuszczać wzroku ze ściany ani nie unosząc policzka, wspartego ze znużenia na dłoni.

— A ten przeklęty facet gadał przez godzinę — zaprotestował major.

— Owszem, owszem — przyznał sędzia. — Ale mam nadzieję, że świadek będzie mówił krócej.

Pan Van der Bylt pochylił się i szepnął majorowi, który rzucił głośno:

— No dobra, niech to szlag, ale powiem, co mam do powiedzenia.

Oświadczył, że jak wie każdy, kto „choć trochę zna Indie”, kwestia biedy w tym kraju, jest czymś oczywistym nawet dla najgłupszych”. Bo kobiety na przykład wydają wszystkie pieniądze na biżuterię. Gdyby miały rozum i zainwestowały je, to zamiast wieszać złoto na nosach albo wkładać je sobie na ręce i szyje, gromadziłyby kapitał i...

Tu Jack zauważył, uśmiechając się krzywo, że roczny dochód na głowę wynosi tam przeciętnie kilka szylingów.

Działacze związkowi zaczęli się uśmiechać. Pomiedzy nimi a Jackiem nawiązała się nić sympatii, bo mieli przed sobą wspólnego wroga: połykającego głoski, grubiańskiego, tłustego majora o czerwonej twarzy.

Martha i pani Van der Bylt trzęsły się ze śmiechu.

Sędzia uśmiechnął się powściągliwie, patrząc wciąż w ścianę.

Pan Van der Bylt, równie formalny jak nakaz sądowy, kontynuował przesłuchanie majora:

— Pana zdaniem przyczyną biedy w Indiach jest...

W tym interesującym punkcie Martha zauważyła zaniepokojoną twarz swojego służącego, który stał w bocznych drzwiach, uchylonych, żeby wpuścić świeże powietrze do dusznej sali sądowej. Przeprosiła więc panią Van der Bylt, mówiąc, że zaraz wróci. Służący miał dla niej wiadomość od Antona, który prosił, żeby jak najszybciej wróciła do domu.

— Ale przecież powiedziałam baasowi, że jadę na kongres.

— Baas mówi, że musi pani przyjść natychmiast.

— Dobrze, wobec tego zaraz wracam do domu.

Zatrzymała się jeszcze chwilę w drzwiach, słuchając. Major wygłaszał przez całą salę mowę do Jacka, opowiadając, jak to jego żonie Sikh pewnego razu uratował życie, co miało świadczyć o tym, że Hindusi wcale nie żywią do Brytyjczyków nienawiści, a wręcz ich kochają.

— Bo nie ma większego dowodu miłości, niż oddać swoje życie w obronie przyjaciela! — wykrzyknął gniewnie.

Wszystko wskazywało na to, że rozprawa zbliża się do końca. Grupki związkowców już wychodziły. Dwóch z nich minęło Marthę, która usłyszała, jak jeden mówi:

— Kiedy byłem dzieckiem, miałem za niańkę Zuluskę i... — Odeszli wyłożonym boazerią korytarzem. Marcie nie mieściło się w głowie, że ktoś mógł potraktować argumenty obrony poważnie, ale wszystko wskazywało na to, że jednak pan Van der Bylt wie, co robi.

Pobiegła ulicą w stronę mieszkania, śledząc wzrokiem samolot, który przeleciał tuż nad Main Street. Wyobraziła sobie, że jest w jakimś mieście europejskim i że to samolot wroga, ostrzeliwujący ulicę z karabinu maszynowego. Ta wizja nawiedziła ją pod wpływem młodego pilota, który przychodził na zebrania — chłopaka, który upił się tamtego wieczoru przed miesiącem i który mówił, że nienawidzi tego miasteczka i całego kraju, i za każdym razem, gdy nad nim przelatuje, wyobraża sobie, że „rozwała to cholerne miejsce i tych cholernych białych panów”. Jej uszy, po ciszy w sali rozpraw, w której słychać było jedynie podniesione głosy, zareagowały boleśnie na ryk samolotu. Dotarła do mieszkania niemal ze łzami w oczach na skutek tego hałasu, nikogo w środku nie zastała i szybko pozamykała okna małej sypialni, w której i tak panowała duchota. Ale gdy dwa kolejne samoloty podchodziły do lądowania, powietrze aż zadrgało i usiadła na brzegu swojego łóżka, zasłaniając rękami uszy. Chciało jej się spać. Od miesiąca co rano budził ją ryk i wycie przelatujących nad miastem maszyn. Zazwyczaj sypiała jak kamień i przyszło jej do głowy, że skoro jej sen stał się teraz taki lekki, musi być bardzo zmęczona. Do tej pory unosiła się

na fali nerwowego wyczerpania, które osiągnęło już ten stopień, że przed zaśnięciem ogarniał ją strach, iż jeśli pozwoli sobie zasnąć zbyt głęboko, może się nie obudzić przez wiele dni; jakby głęboki sen był przepaścią, w którą się wpada i znika. Przez cały miesiąc, budząc się, widziała więc samoloty, które wyglądały w blasku księżyca jak srebrne ćmy, ich mrugające światła lądowania, czerwone i zielone, i z gniewną irytacją odbierała całym ciałem nasilające się i słabnące wibracje silników.

Przez cały ten miesiąc Anton nie odzywał się do niej. Przez pierwszy tydzień próbowała przemówić mu do rozsądku.

— Przecież nie będziemy się na siebie gniewać, bo zażartowałam sobie ze Stalina, prawda?

On jednak chodził po mieszkaniu, jadł, spał, jakby w ogóle jej nie było.

Później sama również zamilkła, nie dlatego, że prowadziła jakąś politykę, ale ze zdumienia, i z jeszcze większą energią rzuciła się w wir pracy. Wkrótce zauważyła, że dzieje się coś niepokojącego. Zimna rezerwa, jaką wyrażało całe ciało Antona, zniknęła; i Martha dostrzegała teraz upartą prośbę w jego spojrzeniu czy w układzie ramion. Zrozumiała, że wystarczy, aby go objęła i przeprosiła. Ale nie chciała jeszcze pozwolić, aby jego wizerunek, jaki nosiła w sobie, rozpadł się całkowicie. Wiedziała, że w chwili, gdy obejmie Antona i wyzwoli go z milczenia, tkwiąca w niej istota, której nie cierpiała, narodzi się znowu. Zamieni się w kapryśną, czarującą osóbkę, uległą jak córka, wobec której Anton znowu będzie mógł być dobry — i protekcjonalny, o czym przypominała sobie stale z rosnącą niechęcią. Co przysłoni tylko prawdę, że to on jest od niej zależny; bo nie ona będzie jego dzieckiem, ale on jej. I przytapywała się na myśli: to ma być facet — pod jakim względem?



A jednocześnie marzyła bez przerwy o mężczyźnie, który przecież musi być gdzieś niedaleko i który pozwoli jej wreszcie być sobą.

Jednakże pewnego razu Maisie powiedziała coś, co przełamało opór Marthy.

Martha spędzała teraz cały swój wolny czas z Maisie, która została sama, bo nie chciała zobaczyć się ponownie z Binkiem; po dwóch dniach bezowocnych prób spotkania się z nią skrócił urlop i wrócił do Włoch. Andrew został przeniesiony tydzień później, na skutek interwencji pani Maynard, która powiedziała pani Van der Bylt, że uznała za swój obowiązek „chronić tę głupią dziewczynę przed nią samą”. W ciągu tego tygodnia Maisie i Andrew wrócili do siebie i próbowali porozumieć się z sobą w sposób, który wydał się Marcie smutny. Usiłowali przywrócić zwykłą pełną czułości wesołość z czasów przed przyjazdem Binkiego. Tak samo żartowali, rozmawiali z sobą jak przedtem, ale dzieliła ich uraza i duma. I dzień przed jego wyjazdem się pokłócili. Martha słyszała tę kłótnię przez cienkie ściany mieszkania i sama zamknięta w zimnym milczeniu z Antonem zazdrościła im, że mogą dać upust emocjom. Jednakże następnego dnia Andrew wyjechał; i zgodzili się, że rozpoczną postępowanie rozwodowe.

Maisie była rozgoryczona, zdziwiona, zraniona. Mówiła:

— Żadnemu z nich na mnie nie zależało, wcale. Częściej mówili o sobie nawzajem niż o mnie.

Stała pośrodku swojego małego pokoju, masywna i ciężka, patrząc przed siebie łagodnymi, dziewczęcymi oczami, takimi jak dawniej. Raz po raz przesuwała dłońmi po swoim dużym ciele i opowiadała dalej:

— Jednego tylko nie rozumiem, Matty... nagle obaj przestali mnie kochać. A przecież się nie zmieniłam, czuję, że

jestem taka sama. — Martha zrozumiała, że chyba to właśnie boli ją najbardziej. — Wiesz, Matty, nagle zorientowałam się, że Andrew mnie nienawidzi.

— Ależ, Maisie, jak mógłby cię nienawidzić? Tak się cieszyliśmy, że jesteście razem. On cię kochał.

Maisie powtórzyła z uporem, a jej oczy zachmurzyły się na wspomnienie doznanej przykrości:

— Nie, nagle przestał mnie kochać. To się czuje, Matty, nawet gdy ktoś udaje. Nie znoszę udawania. Poczułam się znieważona. Ja byłam taka sama jak przedtem, tylko on się zmienił.

Była w ostatnim miesiącu ciąży, cierpiała z powodu upału i zranionej dumy. Nie widywała się z nikim oprócz Marthy. Athen, o którym często mówiła, został wysłany do innej bazy, oddalonej o trzysta mil, na jakieś szkolenie. Pozostali członkowie grupy odnosili się do niej niechętnie; Martha broniła jej, tym gorliwiej, że sama żywiła podobną niechęć. Ale znała jej powód; miała żal, jakby skończyło się jej własne szczęście.

Kiedy Maisie urodzi dziecko, znowu będzie potrzebowała mężczyzny — a wtedy się zmieni. Tylko którego mężczyzny? Chyba kocha Athena, ale to przecież nie ma sensu...

Z jakiegoś powodu Martha wolała myśleć o Maisie takiej, jaka była teraz, samowystarczальной i skupionej na sobie. Lecz nie aż tak skupionej, jak wydawało się Marcie, bo któregoś dnia zauważyła, jakby były w trakcie jakiejś dyskusji i kontynuowały myśl, co do której były zgodne:

— I to wszystko musi być bardzo trudne dla Antona. Zawsze myślałam, że jeśli się załamie, to będzie mu szczególnie ciężko.

Stanąwszy wobec informacji, że Anton jest bliski załamania, Martha początkowo nie przyjęła jej do wiadomości. Przyjrzała

się bladej, nieprzystępnej twarzy człowieka, za którego nie wiadomo dlaczego wyszła za męża, i pomyślała, że jest samowystarczalny jak forteca: „drobnomieszczanin, którego interesują tylko meble”. Ale zrobiło jej się go żal. I wieczorem w dzień przed kongresem wślizgnęła się do jego łóżka, a on mruknął:

— Maleńka, więc żałujesz, że byłaś taka niemądra?

Byli w końcu małżeństwem. Pogodziła się z tym z mieszaniną niepokoju i opiekuńczej czułości. Miało ono wprawdzie trwać tylko do końca wojny — co do tego podjęła stanowczą decyzję, ale uznała, że teraz powinna dopuścić do siebie uczucia.

Na razie jednak groziła im kłótnia, bo Martha zorientowała się, że Anton wolałby, aby mniej angażowała się w działalność komunistyczną.

— Jedziesz więc na kongres i zostawiasz mnie samego? — Tego się nie spodziewała; nie wyobrażała sobie, że ten budzący respekt rewolucjonista z Europy, żyjący wspomnieniami o żonie, która nade wszystko była zwierzęciem politycznym, może chcieć, aby siedziała w domu z założonymi rękami i nic nie robiła. Domyśliła się, że on sam siebie też o to nie podejrzewał, bo kiedy zaprotestowała, mówiąc, że została wybrana na delegatkę i musi pojechać, przyznał, że oczywiście, musi, ale jego ton wyraźnie świadczył, iż zgodziłby się równie łatwo, gdyby powiedziała, że pojedzie jej zastępca.

Teraz, odebrawszy od niego wiadomość, przeraziła się, że zabroni jej jechać z pozostałymi delegatami na kongres.

Nie było go jednak w mieszkaniu. Służący wyszedł na popołudniowy posiłek. Dochodziła pierwsza i o tej porze Martha powinna być już w Sądzie Najwyższym. Tymczasem siedziała na brzegu łóżka i walcząc z sennością, czekała na

Antona. W końcu zauważyła kartkę przypiętą do poduszki: *Maleńka, Maisie źle się czuje. Pomyślałem, że chciałaby się z Tobą zobaczyć, zanim wyjdiesz.*

W pierwszej chwili Martha poczuła wdzięczność, że Anton wreszcie polubił Maisie; potem zrozumiała, że był to sposób, aby zatrzymać ją w domu. Odsunęła od siebie tę myśl — zbyt ją rozgniewała.

Zbiegła po schodach do mieszkania Maisie i zobaczyła grupkę ludzi przy wejściu, ciemne sylwetki w blasku słońca dochodzącym z ulicy. Byli pani Van der Bylt, Piet i Jack. Zbiegła jeszcze niżej i zobaczyła ich twarze. Byli zagniewani, ale śmiali się razem na chodniku.

— Przegrałeś proces! — wykrzyknęła.

— Kosztowało mnie to sto pięćdziesiąt funtów. Trzeba mieć pieniądze, żeby się procesować — zauważył Jack. Mimo że był rozdrażniony, oczy rozbłyły mu na wspomnienie farsy, jaką urządził w sądzie.

Pani Van der Bylt stwierdziła:

— Sędzia chyba uznał za niezbity argument zeznanie majora, że Hinduski trwonią dochód narodowy na biżuterię. — Zachłysnęła się ze śmiechu i oparła o ścianę przy wejściu. Jej pulchne ciało aż się zatrzęsło i Piet z Jackiem, stojący po obu jej stronach, wzięli ją pod rękę. Uśmiechnęli się przy tym do siebie i do niej z pełnym rozbawienia szacunkiem, który zawsze okazywali jej przyjaciele, kiedy uwięziona w jej dużym ciele dziewczyna wybuchała niepowstrzymanym śmiechem. — No to świetnie — przywołała samą siebie do porządku. — Ale to poważna sprawa. — Już opanowana, zapytała Marthę: — Jesteś gotowa? Musimy się pospieszyć.

Drzwi do mieszkania Maisie się otworzyły i dziewczyna wyszła; twarz błyszczała jej od potu.

— Och, Marty — jęknęła, chwytając Marthę za ramię. — Cieszę się, że jesteś. Anton mówił, że przyjdiesz.

— Zaczęłaś rodzić? — zapytała Martha.

Wiedziała, że nie będzie mogła pojechać na kongres. Spojrzała na panią Van der Bylt, jakby ta mogła znaleźć rozwiązanie tego konfliktu zobowiązań. Ale pani Van der Bylt była przede wszystkim matką i babką.

— Oczywiście, że Matty zostanie z tobą. Weźmiemy jej zastępcę.

— Poślę po pielęgniarkę — zapowiedziała Maisie i wybuchła płaczem.

Piet, duży mężczyzna, natychmiast przejął dowodzenie; zaprowadził Maisie do mieszkania, mówiąc: — Spokojnie, spokojnie, płacz nie pomoże temu małemu łobuzowi przyjść na świat.

Objął Maisie, która wsparła się na jego ramieniu, lejąc łzy; okazywał jej dziwną, serdeczną i pełną czułości galanterię, za którą wszystkie go tak lubiły.

Martha poczuła jednocześnie, że po raz pierwszy od czasu jej ślubu pani Van der Bylt odnosi się do niej z sympatią. Dlaczego? Pomyślała: była wobec mnie nieprzyjazna; ale to tak jak ja wobec Maisie — to chyba świadczy, że ją w jakiś sposób zawiodłam: chciała, żeby mój ślub coś znaczył, a tak nie było. Martha oddaliła od siebie tę myśl, żeby zastanowić się nad nią później: bo to znaczyło, że było w życiu pani Van der Bylt coś, czego nie rozumiała.

Przez kilka minut wszyscy czworo stali przy Maisie, dopóki ta nie otarła oczu i nie powiedziała:

— Przepraszam, że jestem taka głupia, byłam sama i zaczęłam się bać.

Pani Van der Bylt zapytała Marthę:

— Twoją zastępczynią jest Marjorie, prawda? Hm, ona też jest bliska rozwiązania. To wszystko nonsens; sama cię zastąpię, to zgodne z regulaminem!

Jack i Piet się zaśmiali; Martha była zbyt rozczarowana, żeby się śmiać. Widząc to, pani Van der Bylt odwróciła się w drzwiach i obiecała, że wieczorem zadzwonią do niej z G., żeby powiedzieć, jak przebiegło głosowanie.

— Pewnie Anton też będzie ciekawy — dodała z obojętnością, która zdradzała, jak bardzo nie lubi Antona.

Gdy padło imię Antona, wyraz twarzy Pieta się zmienił.

— Chciałbym zamienić z tobą kilka słów — powiedział gwałtownie do Marthy.

Martha odeszła z nim w głąb korytarza. Pani Van der Bylt i Jack odsunęli się taktownie; widocznie wiedzieli, co Piet ma do powiedzenia.

Piet zaczął:

— Posłuchaj, Matty, chciałem załatwić to oficjalnie, ale nie ma co czekać; chodzi o to, że im rzadziej będę widywał się z twoim starym, tym będzie lepiej dla nas obu.

— Och, Piet, może to jeszcze przemyślisz? — Od kilku dni spodziewała się, że Piet i Marie ojadą z grupy.

— Mam dość — wyznał Piet. Twarz płonęła mu z gniewu i zakłopotania. — To jakiś cholerny cyrk. Uważamy się za komunistów. A prawda jest taka, że zwykli ludzie nawet nie rozumieją języka, którym mówimy. Mówię ci: gdy idę na zebranie związkowe po którymś z naszych zebranych, umieram ze strachu, iż przez przypadek użyję tego przekłętą żargonu i wszyscy pomyślą, że pomieszało mi się w głowie. Jest nas kilkoro, zaharowujemy się na śmierć, a moglibyśmy robić dokładnie to samo, nie należąc do żadnej grupy.

— Jeśli nie zgadzasz się z polityką partii, powinieneś zostać i zaproponować jej zmianę — zauważyła Martha z przejęciem.

— Och, do diabła! — zawołał Piet. — Doszło do tego, że więcej czasu zajmują nam kłótnie niż sama praca. Mam tego dość. I już. To samo dotyczy Marie. — Na zewnątrz zatrafił samochód. — Bez urazy — dodał, wychodząc. — Pewnie uznacie mnie formalnie za faszystowskiego zdrajcę, ale jeśli o mnie chodzi, nic do was nie mam.

Martha wróciła do Maisie, która krążyła po pokoju, wsłuchana w siebie.

Maisie odpadła z grupy bez żadnych formalnych procedur. Marie i Piet odeszli, co znaczyło, że Tommy też się odłączy. Z chłopców z RAF-u pozostał już tylko Athen, a i on miał niebawem opuścić kolonię. Jasmine wyjechała do Johannesburga. Komunistyczna Partia Południowej Zambezji składała się więc obecnie z Antona, Marjorie, Colina i jej samej. Szef wydziału, w którym pracował Colin, ostrzegł go, że jeśli nie zerwie z komunistami, straci pracę. Colin powiedział więc, że wciąż uważa się za komunistę, ale nie będzie już przychodził na zebrania.

Krótko mówiąc, działalność grupy zbliżała się do końca. Martha poczuła się odcięta od tego wszystkiego, co dawało pożywkę jej wyobraźni: do tej pory brała udział w szlachetnej walce, toczącej się w Europie, należała do Armii Czerwonej, partyzantki w Chinach, we Włoszech, w Jugosławii i Grecji, do francuskiego ruchu oporu.

Ogarnęło ją uczucie beznadziei, z którego wyrwał ją ciężki oddech Maisie; dziewczyna chodziła po pokoju tam i z powrotem, powłócząc nogami, a po jej twarzy spływał pot.

— Maisie, nie wprawiaj się w stan zdenerwowania — powiedziała Martha daremnie, bo przypomniała sobie, że sama przed porodem również wpadła w panikę i nie mogła jej opanować. — Co dokładnie powiedziała pielęgniarka?

— Powiedziała, że nie ma pośpiechu — z ponurą miną odparła Maisie. — Ale zaczęły się bóle, przynajmniej takie mam wrażenie... — Opadła na łóżko i siedziała bezwładnie, z opuszczonymi, smukłymi ramionami. Innym słowy, był to prawdopodobnie fałszywy alarm.

— Lepiej zaśnij — poradziła jej Martha, próbując zwalczyć urazę, jaką czuła do niej za to, że przez nią nie pojechała na kongres. Maisie posłusznie położyła się na boku i zamknęła oczy. Martha zaciągnęła zasłony. Na łóżko i na ciężkie ciało padło słabe, przesiane białe światło. W górze, z hukiem, który wręcz wstrząsnął gorącym powietrzem, przeleciał samolot. — Śpij — powtórzyła Martha. Długie rzęsy, leżące na puciołowatych policzkach Maisie, zdrząły z wysiłku, gdy dziewczyna posłusznie próbowała zasnąć.

Martha powędrowała na górę do mieszkania. Anton już wrócił. Gdy weszła do środka, przywitał ją:

— Maleńka, tak się cieszę, że jesteś.

Rzuciła sucho:

— Nie wolałbyś, żebym pojechała na kongres?

Odparł tym samym przymilnym tonem:

— Biedna Maisie, tak się bała. Pomyślałem, że chciałyby, abyś była przy niej. I jak twoja podopieczna?

— Fałszywy alarm. — Być może to Anton zasugerował Maisie, że zaczyna rodzić, przyszło jej teraz do głowy. Jeśli tak... Ogarnęło ją wielkie przygnębienie. Wszyscy powariowaliśmy, pomyślała, próbując podejść do tego z humorem. Rozpoznała w tym suchy, żartobliwy ton Marjorie i zaczęła



się zastanawiać: dlaczego cały czas słucham echa głosów innych ludzi w tym, co mówię i co robię? Prawda jest taka, że jestem nikim, jeszcze nikim; może nigdy nie będę kimś.

Siedziała na łóżku pod oknem i patrzyła na bezkresne, upalne, błękitne niebo, na którym bardzo daleko połyskiwało kilka maleńkich srebrnych robaczek. Anton obserwował ją znad książki.

— Piet właśnie mi powiedział, że oboje z Marie występują z partii — poinformowała.

— Tak? To mnie nie dziwi — odparł. — Słyszałem, że Piet zakłada własną firmę budowlaną... sam będzie teraz szefem. — Mówił to z pogardą.

— Wszystko jedno — stwierdziła Martha tym samym suchym, żartobliwym tonem. — Zostało nas tylko troje. Chyba powinniśmy zastanowić się, czy nie popełniliśmy błędu.

— Tak, tak, jako komuniści powinniśmy przyznawać się do błędów i je naprawiać. — Nastąpiła bardzo długa cisza. Martha myślała: minęły dwa kolejne lata mojego życia. „Dwa lata” brzmiało skromnie; ale były to lata ciężkiej pracy, zaangażowania, radości i nauki, i wydawały się ważniejsze niż wszystkie inne, jakie przeżyła do tej pory. Pomyślała: cóż, to już koniec. Desperacko chciało jej się spać, ale w myślach podążyła za samochodem, którym Piet, pani Van der Bylt, Jack i ten ktoś, kogo pani Van der Bylt znalazła na jej miejsce, jechali na kongres.

Zastanowiła się głośno:

— Ciekawa jestem, kto wygra?

— Tak, tak, ci socjaldemokraci zawsze są bardzo przejęci sobą.

Po chwili dodał:

— Przypomina mi się taki dowcip, który powtarzała Grete... pamiętam, że mówiła...

Martha mimowolnie zawołała:

— Na miłość boską, skończysz wreszcie z Grete?!

Odparł chłodnym tonem, z przyganą:

— Była bardzo dobrą towarzyszką.

— Na pewno — odparła Martha.

Czekał na przeprosiny, ale ponieważ nie kwapiła się z nimi, uniósł książkę i otwierając ją, odciął się od Marthy.

Martha zeszła do mieszkania Maisie, która spała.

Wróciła na górę i czekała całe popołudnie, aż wreszcie zadzwonił telefon. Kongres zakończył się burzliwie. Frakcja „czerwonych” wygrała w głosowaniu i frakcja murzyńska miała działać nadal, przegrana strona musiała to zaakceptować, ale dokonał się w niej rozłam i powstała nowa partia. Inaczej mówiąc, „lewica” się podzieliła: istniały teraz dwie partie, socjaldemokratyczna, reprezentująca Murzynów, a przynajmniej wyrażająca dla nich poparcie, i nowa Partia Pracy, która reprezentowała białą siłę roboczą. Wszelkie szanse na pokonanie obecnie rządzącej partii w następnych wyborach niniejszym przepadły.

Anton, usłyszawszy te wieści, zauważył:

— Tak, bieg wydarzeń w tym kraju odzwierciedla rozwój wypadków w Związku Południowej Afryki\* i to dowodzi, że partia komunistyczna jest tu konieczna.

— Ależ, Anton, zostało nas tylko troje. — Martha zaczęła zastanawiać się nad dwoma punktami widzenia, które wydały jej się równie przekonujące i funkcjonowały równocześnie w jej głowie: że wszystko stało się dokładnie tak, jak miało się stać, i że było to nieuniknione; oraz że wszystko, co się stało, jest nierealne, groteskowe i nieistotne.

\* Związek Południowej Afryki — dominium brytyjskie istniejące od 1911 r., które później przekształciło się w niepodległą Republikę Południowej Afryki.

— Tak, tak, ale to wynik obiektywnej sytuacji politycznej. Musimy znowu przeanalizować pozycje i zacząć od nowa.

Ale przecież to niemożliwe, żeby oba te punkty widzenia były prawdziwe, pomyślała Martha. Przytłoczyło ją poczucie bezsensu. Leżała na łóżku, odwrócona do Antona plecami, który już przystąpił do analizy sytuacji, i pozwoliła sobie zapaść w sen, jak obciążony ołowiem nurek pogrąża się w wodzie.